

Rose M.J.

SZKARŁATNE
PIĘTNO

*Nie w samych gwiazdach
Ani w pączkach kwiatów,
Ani w rudzika aksamitnych trelach,
Ani w perlistym śmiechu smyczków,
Lecz w mętach rzeczy, w świata plewach
Zawsze, zawsze coś śpiewa.*

Ralph Waldo Emerson

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Otaczał go ciepły, otulający mrok. Czuł poruszające się nad nim ciało. Gołe nogi obejmujące go żelaznym uściskiem, kołyszące nim, kołyszące jednostajnie, wprawiające go w senny trans. Ramiona, szyja, tułów, zasłaniające całe światło. Gorący oddech na jego szyi. Miękkie włosy na jego twarzy, mokre od jego łez.

On i płacz?

Pojedynczy szloch, przejmujący i wstydlivy, wydarł się w odpowiedzi.

Nie. Zabierz mnie z powrotem na próg spełnienia.

Pozwól mi się w tobie zatracić.

Proszę.

Przyjemność była zbyt bolesna. On nie brał w posiadanie. To jego brano. Doznania były z niego wysysane. Pulsowanie rozkoszy poza jego kontrolą.

Nie wiedział, która jest godzina i jak długo spał. Ani czy śpi nadal. Wiedział tylko, że nigdy dotąd nie był tak wykorzystywany, i że nigdy tak nie płakał. W ogóle nigdy nie płakał. Teraz został doprowadzony do łez, bo...

Nie wiedział.

Dlaczego płakał?

Czuł na ustach czyjś smak. Czuł w nozdrzach czyjś zapach. Kwaśny zapach. Zapach potu. Nie słodki. Wszystko cuchnęło stęchłym seksem. Chciał więcej. Proszę, wróć.

Nic przez kilka następnych minut. Czy może następną godzinę? Strzępy snu. Tracenie i odzyskiwanie świadomości. Mozolne przedzieranie się przez pajęczynę sennych majaków. Czy może w ogóle się nie obudził?

Musi być w łóżku. Swoim? Nie miał pojęcia. Koncentrując się z całej siły, próbował wyczuć palcami gładkie prześcieradło, ale czuł tylko dotyk skóry. Własnej. Mokrej i lodowatej. Usiłował zsunąć rękę z piersi do boków, ale nie był w stanie.

Co się z nim dzieje?

Spróbuj sobie coś przypomnieć. Cokolwiek z ostatniej nocy.

Nic. Luka w pamięci.

Musi więc spać. Jedynym wyjściem byłoby się obudzić. Otworzyć oczy. Potem by usiadł, przeciągnął się, poczuł to cholerne prześcieradło, postawił stopy na dywanie i poszedł pod prysznic, by zmyć z siebie opary tej mgły.

Gdyby był w swoim domu...

To nie było ciało jego żony.

Jakaś kochanka z dawnych czasów?

Usiłował mimo łez otworzyć oczy. Przedrzeć się jeszcze raz przez resztki mlecznoniebieskiej mgły. Część jego mózgu, mały funkcjonujący fragment odpowiedzialny za emocje, które doprowadziły go do płaczu, zdawał sobie sprawę, że dzieje się coś rozpaczliwie złego. Tu nie chodzi o samo rżnięcie. Gorący strumień łez zalewał mu twarz i spływał na boki. Klatka piersiowa bolała go od szlochu.

Zachłysnął się głęboko powietrzem w nadziei, że to

rozjaśni mu w głowie, i zdał sobie sprawę, że powietrze jest lodowate.

Leżał słaby, bezradny, wycieńczony.

Dlaczego płakał?

Dlatego, że...

Dlatego...

Ręce pogładziły jego włosy. Objęły głowę. Poczul, że znów sztywnieje. Łzy i erekcje. Co się z nim dzieje? Palce bawiły się jego lokami. Pod każdym mieszkem włosowym jego krew śpiewała, rozsyłając dreszcze przyjemności do szyi, wzdłuż kręgosłupa, do jego spłotu słonecznego.

Proszę, weź mnie z powrotem w siebie...

Poruszył się, by sięgnąć do twarzy i otrzeć wilgoć, ale nie zdołał unieść ręki. W nadgarstki wbijała mu się metalowa bransoletka, ciężka i lodowata.

Srebrne kajdanki połyskiwały w zaciemnionym pokoju.

Kiedy został zakuty?

Spróbował unieść głowę z ramionami i wtedy poczuł jeszcze jedne zniewalające go pęta. Pas na wysokości torsu, który nie pozwalał mu usiąść. Opadł z powrotem głową na cienką poduszkę. Nie na wypchaną poduchę z własnego łóżka, lecz żałosną namiastkę grubości kilku centymetrów.

Czy to był dalszy ciąg snu? To nie miało znaczenia, dopóki palce tak cudownie bawiły się jego włosami. Próbował poruszyć nogami, by móc wyrzucić w górę biodra, ale kostki miał równie mocno spętane jak tors. W uszach zadzwonił mu ten sam szczęk metalu o metal.

Bezbronny, nagi i drżący, zrezygnował z chęci zrozumienia.

Rytmiczne ruchy palców stały się torturą. Robił się coraz twardszy. Otworzył usta, chcąc polizać skórę, której zapach drażnił mu nozdrza.

Nie mógł poruszyć językiem. Próbował się odezwać, ale usta wypełniała mu sucha masa, która pochłaniała dźwięk. Jak to możliwe, by miał tak spuchnięty język?

Przez kilka sekund ponawiał próby, w końcu poczuł smak szmacianego knebla.

Nagle palce znieruchomiały.

Zobaczył błysk srebra. Jaskrawy w ciemnym pokoju. Usłyszał ten charakterystyczny szelest, z jakim tnie metal ostry jak brzytwa, precyzyjnie i szybko.

Jedyną rzeczą, którą mógł wykrzesać z własnego ciała, był dalszy potok łez.

Bezsilny, płakał jak kobieta.

On, Philip Maur, który nie znał strachu, był przerażony.

Śmiertelnie przerażony.

ROZDZIAŁ DRUGI

Światło w metrze zgasło i zapaliło się z powrotem. Ktoś przede mną głośno jęknął, jakby spodziewając się nieszczęścia.

- Bum! Bum! Bum! - krzyknął jakiś mężczyzna w tylnej części wagonu.

Wszyscy się odwróciliśmy, ale nie było nic do oglądania. Irracjonalna reakcja jakiegoś człowieka, który zniknął już w tłumie.

Po ataku terrorystycznym na miasto w 2001 roku zaczęliśmy wypatrywać pośród siebie obcych, którzy mogli stanowić potencjalne niebezpieczeństwo. A ja, po zabójstwach, z którymi zetknęłam się ostatniego lata, i po doświadczeniu z mordercą, który wyprowadził mnie w pole jak dziecko, przestałam wierzyć w swoją umiejętność rozpoznawania zagrożeń.

Kiedyś w swej nieposkromionej pysze myślałam, że potrafię ustalić, kto jest bezpieczny, a kto groźny. Byłam ślepo przekonana, że jako doświadczona psychoterapeutka zawsze wychwycę symptomy, o ile zachowam czujność. Teraz wiem, że to nieprawda.

Człowiek autentycznie obłąkany, prawdziwy psychopata, może zwieść równie dobrze mnie, jak każdego innego, stałam się więc jeszcze bardziej czujna

i jeszcze mniej pewna, że potrafię chronić tych, których kocham.

Po nocach nie dają mi spać pytania: Czy będę przygotowana, gdy ktoś mi zagrozi następnym razem? Albo, co gorsza, zagrozi mojej córce Dulcie?

Dulcie siedziała przy mnie, nieświadoma tego, co moim zdaniem może nas zaskoczyć. Miała na uszach drogie słuchawki, które dostała w prezencie od swojego ojca, i kiwała głową do melodii ze ścieżki dźwiękowej słyszalnej tylko dla niej. Moja śliczna młodzianka córka śpiewała bezgłośnie słowa libretta „Tajemniczego ogrodu”, bo za cztery miesiące, piątego stycznia, miała stanąć na jednej ze scen broadwayowskich i zagrać Mary Lennox w nowej wersji tego klasycznego dzieła. Teraz, podczas naszych codziennych podróży metrem do studia na ulicy Lafayette na Dolnym Manhattanie, gdzie odbywały się próby, Dulcie wbijała sobie w pamięć niuanse partytury, pracując niezmiernie nad swoją rolą.

Trzynastoletnia dziewczyna nie powinna pracować, nawet jeśli jej talent rozkwitł wcześniej i aktorstwo ma we krwi. Cena za urzeczywistnienie jej marzeń w tak młodym wieku mogłaby być dla mnie nie do przyjęcia. Dlatego przyglądałam się mojej córce uważniej niż obcym ludziom, obserwowałam ją z większą czujnością niż swoich pacjentów. Bacznie. Ciągłe kontrolując. Może czasem przesadzałam. Gdyby jednak obciążenie psychiczne związane z jej przygodą aktorską okazało się zbyt wielkie, chciałam być przygotowana do interwencji.

Od czerwca, kiedy to została wybrana do głównej roli, Dulcie po prostu kwitła, czując się w nowej sytuacji lepiej niż w swojej prywatnej szkole, gdzie większość bananowych dzieci nie miała bardziej skomplikowanych celów niż dostanie następnej torby

od Prądy. Do Szkoły Barletta, mimo jej artystycznego profilu i dużej liczby stypendiów, wciąż chodziło sporo dzieciaków, które miały do dyspozycji złote karty kredytowe oraz limuzyny.

Do wagonu wszedł biznesmen w średnim wieku i usiadł koło mnie, mimo że po drugiej stronie były wolne miejsca. Wyjęłam z torby miętówkę, rozwinęłam z papierka i włożyłam do ust.

Mam nadwrażliwe powonienie, miejsca publiczne dostarczają mi koszmarnych doznań. Przegryzłam niebiesko-zielony cukierek i chłodny zapach stłumił intensywną woń, chroniąc mnie przed każdym możliwym atakiem.

Czułam na sobie spojrzenie tego mężczyzny.

Musiał uznać, że ciemnowłosa kobieta w wąskich czarnych spodniach, białej bluzce z długimi rękawami i czarnej skórzanej marynarce, siedząca obok swojej smukłej trzynastoletniej córki ubranej w dżinsy, różowy T-shirt i dżinsową kurtkę, z nadgarstkiem oplecionym fioletowymi i jasnozielonymi koralikami, która słucha muzyki z odtwarzacza CD, nie stanowi zagrożenia.

Kiedy minutę później przekręciłam głowę w bok, a on na mnie spojrzał, nie odwróciłam się. Nie robię tego.

Nie, to nieprawda. O wiele za często unikam patrzenia na siebie, zwłaszcza od czterech miesięcy, które upłynęły od mojego rozvodu. Ignoruję to, czego już nie ma w moim życiu, i odpycham od siebie problem, z którego uporaniem się pomagam jako fachowiec innym ludziom: seksualność. Klasyczne zaprzeczenie w wydaniu doktor Morgan Snów. Nie jestem z tego dumna. Po prostu tak sobie radzę.

Jeszcze raz zgasły światła i pociąg się zatrzymał. Ja się tym nie przejęłam, ale pomyślałam o Dulcie. Nie

musiałam szukać ręki swojej córki. Po prostu sięgnęłam po nią, instynktownie wiedząc, gdzie jest, nawet w ciemnościach.

- W porządku? - spytałam.

- Tak. Chociaż to trochę upiorne. Myślisz, że długo tu będziemy stać?

- Mam nadzieję, że niedługo. - Ścisnęłam jej dłoń.

Oddała mi uścisk, a potem cofnęła rękę i włączyła z powrotem odtwarzacz. Światło się zapaliło, lecz pociąg dalej tkwił w miejscu.

Jakiś stojący w przejściu mężczyzna, w podartej, poplamionej kurtce, odwrócił się i zaczął gapić na nogi mojej córki. Nie zauważyła go, ale ja i tak zmusiłam go do odwrócenia wzroku.

Dlaczego miał brudne ubranie? Co mu złamało charakter? Co odebrało poczucie własnej wartości?

Ryzyko zawodowe numer jeden: czytanie mowy ciała obcych ludzi. To jak ocenianie książki po okładce, pokusa stawiania diagnozy na podstawie niepełnych informacji.

Kobieta z opuszczonym wzrokiem siedząca naprzeciw nas bez przerwy poruszała palcami, co sugerowało skłonności maniakalne. Na jakim tle? Musiałyby spędzić sporo godzin na mojej kanapie, żeby to ustalić, ale stawiałam na ciemność, która oplatała jej umysł niewidzialnym kolczastym drutem.

Znów zgasło światło, a my pograżyliśmy się na powrót w gęstym, czarnym mroku.

Znajdziesz się pewnego wieczoru na ciemnej ulicy, a on wyskoczy na ciebie z nożem błyszczącym w świetle latarni. Albo będziesz szła chodnikiem pod pięćdziesięciopiętrowym biurowcem i kompletnie zaskoczy cię hałas, a potem deszcz szklanych odłamków, które pokaleczą ci skórę. Jest tyle możliwości przeżycia

katastrofy, że czasami nie wiesz, jakim cudem udaje ci się nie zwariować.

Udaje ci się, bo masz dziecko. Trzymasz się, bo ciągle masz nadzieję, a ona, jak zgodnie twierdzi większość terapeutów, jest emocją, z którą najtrudniej się rozstajemy.

Pociąg ruszył, światła się zapaliły. Po pięciu minutach zatrzymaliśmy się na przedostatniej stacji.

- Skarbie. - Dotknęłam ręki Dulcie.

Dulcie wcisnęła przycisk „stop” i utkwiała we mnie swoje chabrowe oczy.

- Tak?

- Następna stacja.

- Naprawdę?

Zawsze była zdziwiona, że nasze podróże między domem na Upper East Side a miejscem prób w SoHo są takie krótkie. Kiedy słuchała swojej muzyki, kompletnie traciła poczucie czasu.

Patrząc w ciemność przez brudne okna pociągu, Dulcie z niedowierzaniem szukała jakiegoś punktu orientacyjnego.

- Mamo? - Oczy miała wciąż skupione na pustej ścianie tunelu. - Denerwowałaś się, kiedy zgasło światło?

- Trochę. Pewnie jak większość ludzi.

- Czy ja będę tak samo zdenerwowana, kiedy stanę na scenie i po prostu zapomnę słów? Czy zrobi mi się od tego niedobrze? Co może dziać się ze mną pod wpływem nerwów?

- Nie wiem. Ale trema nie jest złą rzeczą. Możemy porozmawiać o tym, jak mogłabyś ją przewycięzać i obracać na własną korzyść.

Moim zadaniem nie była ochrona tej rozkwitającej nastolatki przed ciemnością. Powinnam raczej na-

uczyć ją znajdować kontakty, tak żeby zawsze mogła włączyć światło.

Tyle że ja wolałabym ją chronić, otulać ramionami, tak jak to robiłam, kiedy miała zaledwie kilka miesięcy, trzymać ją z dala od otwartych okien, od zimna i od trucizn.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy wchodziliśmy do domu, zadzwonił telefon.

- **Odebrać?** - zapytała **Dulcie**, wybiegając przede mną.

- Nie, przygotuj się do kolacji.

Podniosłam słuchawkę, a Dulcie rzuciła na podłogę plecak i natychmiast otworzyła lodówkę. Wyjęła butelkę soku marchwiowo-jabłkowego i wypića duszkiem prawie połowę. Patrzyłam na delikatną szyję mojej córki, kiedy przełykała płyn. Była już ósma, a ona umierała z głodu. Praca nad sztuką, lekcje w przerwach między próbami, odrabianie pracy domowej - przez cały dzień spalała energię. Nie podobało mi się, że dopiero tak późno może zjeść kolację.

- Czy mogę mówić z doktor Morgan Snów?

- Tak, słucham.

Ostatnią rzeczą, jakiej chciałam, to wdać się w jakąś dłuższą rozmowę i odsunąć kolację na jeszcze później.

- Przepraszam, że niepokoję panią w domu, doktor Snów. Doktor Butterfield dała mi pani numer. Nazywam się Gail Danzig. Jestem producentką programu „Today”. Mam nadzieję, że zgodzi się pani wystąpić u nas w piątek rano.

Kiedy w czerwcu moje nazwisko pojawiło się w mediach po tym, jak zaginęła jedna z moich pacjentek, a ja zostałam wciągnięta w polowanie na seryjnego mordercę, odmówiłam udzielania wszelkich wywiadów. Doktor Nina Butterfield, moja mentorka, moja najbliższa przyjaciółka i właścicielka Instytutu Butterfielda - kliniki seksuologicznej, w której pracuję - popierała moją decyzję o unikaniu komentarzy dla prasy. Ostatnio jednak zaczęła naciskać, żebym stała się bardziej widoczna w środowisku psychoanalityków, i to wyraźnie był jeden z tych nacisków. Podobnie jak propozycja wygłoszenia na najbliższej konferencji referatu o agresywnych skłonnościach seksualnych kobiet.

Ninie zależało, żebym się tam pokazała. Mnie zależało na sukcesach zawodowych. Ale rozgłos? O tym nigdy nie marzyłam.

- Doktor Butterfield nic mi o tym nie wspominała.

- A niech to. Powiedziała, że do pani zadzwoni, sądziła, że to panią zainteresuje. Przede wszystkim chciałam powiedzieć, że podchodzimy z dużym respektem do tego, co pani robi, i w żadnym razie nie chcemy wykorzystywać pani zawodu.

Wyjęłam z lodówki i z szafek produkty potrzebne do zrobienia kolacji, i położyłam je na blacie.

- Jestem przekonana, że program „Today” cieszy się wielką popularnością i jest mnóstwo terapeutów, którzy skorzystaliby z takiej okazji, ale dla mnie telewizja naprawdę nie jest czymś, co...

Dulcie oderwała się od przeglądania poczty i podeszła do mnie, stając tak blisko, że czułam na szyi jej oddech.

- Chcą, żebyś wystąpiła w telewizji? - wyszeptwała z błyskiem zachwyty w oczach. - W „Today”?

Przytaknęłam bezgłośnie.

- Po co?

Potrząsnęłam głową. Nie mogłam słuchać producentki i Dulcie jednocześnie.

- Przepraszam, pani Danzig, czy może pani chwileczkę poczekać?

Przysłoniłam dłonią słuchawkę.

- Dulcie, poczekaj, aż skończę rozmawiać, okej?

- Mamo, musisz się zgodzić! Musisz. Wystąpić w „Today”? Jak mogłabyś odmówić?

Dulcie nigdy nie błyszczały oczy z powodu czegoś, co miało związek z moją pracą. Przeciwnie. Dla niej zawód terapeuty seksuologa był „obciachowy”. Czasem nawet nazywała mnie Doktor Grzech, w tak drwiący sposób, jak tylko to potrafi trzynastolatka. O wiele za często przedstawiała mnie swoim znajomym albo ich rodzicom jako specjalistkę od chorób serca.

Tu jednak chodziło o coś, co angażowałyby mnie zawodowo w sposób, jaki imponował Dulcie, a ja wprost łaknęłam poczucia, że moja córka jest ze mnie dumna. To mój czuły punkt i jestem skłonna nagiąć własne zasady, żeby zobaczyć jej uśmiech.

- Jaki jest temat tego programu, pani Danzig?

Podczas gdy producentka wyjaśniała, że prowadzi tygodniowy cykl rozmów o braku satysfakcji seksualnej kobiet w długotrwałych związkach, nalałam wody do garnka, który postawiłam na płycie kuchennej, żeby się zagotowała.

- Zauważyliśmy pewną tendencję. Kobiety wydają się bardziej sfrustrowane seksualnie niż ich partnerzy. Zwłaszcza kobiety pracujące. U wielu z nich zainteresowanie seksem jest tym większe, im więcej pracują, odwrotnie niż u mężczyzn.

Wspąłam do wody soli. Podobno posolona woda gotuje się szybciej i makaron jest smaczniejszy. Sły-

szałam o tym kiedyś w programie Marthy Stewart, a zapamiętuję wszystko, co może mi pomóc w przyrządzaniu smacznego jedzenia. Wiele wskazuje na to, że po prostu brakuje mi genu kucharzenia; potrafię zmarnować nawet gotowe danie.

- To nie jest jakaś nowa tendencja; rzecz w tym, że seksualność kobiet stała się gorącym tematem dzięki firmom farmaceutycznym, które prowadzą wielką kampanię piarowską, żeby rozreklamować leki stosowane w zaburzeniach seksualnych. - Próbowałam nie sprawić wrażenia, że ją pouczam, miałam jednak wątpliwości, czy mi się udało.

- Ciekawa uwaga. Zanotuję to i przekażę naszym redaktorom i dziennikarzom zbierającym materiały.

Rozciąłam plastikowe opakowanie gotowych do podgrzania filetów z kurczaka i zaczęłam kroić je na paski. Musiałam użyć niewłaściwego noża - mięso rozpadało się na strzępy.

- A więc czy właśnie na ten temat miałabym zabrać głos?

- Nie. Chcielibyśmy, żeby wystąpiła pani ostatniego dnia cyklu i porozmawiała o tym, kiedy nadchodzi moment, w którym należy zrezygnować z prób radzenia sobie z frustracją seksualną samodzielnie i zwrócić się do terapeuty seksuologa.

Woda jeszcze się nie zagotowała.

- Prosilibyśmy panią o przyjechanie tu w pół do ósmej rano na zrobienie fryzury i makijażu. Pani część programu powinna wejść na antenę między w pół do dziewiątej a dziewiątą. Czy to jest wykonalne? Potrzebuje pani samochodu, który by panią przywiózł?

Martha Stewart - gospodyni nieistniejącego już popularnego amerykańskiego programu na temat prowadzenia domu, gotowania, dekoracji wnętrz, itp. (przyp. tłumacza).

Twarz Dulcie rozpromienił uśmiech, kiedy podałam producentce adres. Tymczasem woda na makaron ciągle nawet nie zaczynała wrzeć. Sprawdziłam płytkę pod garnkiem. Zapomniałam ją włączyć. Westchnęłam.

- Jakiś problem? - spytała pani Danzig.

Odłożywszy słuchawkę, walczyłam dalej z kolacją: produktem końcowym miał być makaron z kurczakiem w sosie pesto. Kiedy makaron był prawie ugotowany, otworzyłam ostatni gotowy składnik: sos. Przełożyłam szmaragdową pastę do drugiego garnka, włączyłam gaz, dodałam kurczaka i szybko zamieszałam. Potem zmniejszyłam temperaturę, zamierzając znaleźć Dulcie i zawołać ją do stołu.

Nie było jej na górze w jej pokoju. Ani w jej łazience. Nie grzebała też w kosmetykach w mojej łazience - miejscu, w którym znajdowałam ją aż nazbyt często.

Nasze sześciopokojowe mieszkanie znajdujące się na piątym piętrze przedwojennego budynku na rogu Osiemnastej Wschodniej i alei Madisonsa nie było aż tak wielkie. Skoro nie było jej w żadnej z dwóch sypialni ani łazienek, a także w kuchni, musiała być w pokoju dziennym.

Przed laty zlikwidowałam ścianę między klasycznym salonem i jadalnią - których to pomieszczeń tak naprawdę nigdy nie używaliśmy - tworząc wielką, przytulną, otoczoną książkami przestrzeń- z wygodnymi kanapami, miejscem do oglądania telewizji i słuchania muzyki w jednym kącie oraz namiastką mojej pracowni rzeźbiarskiej w drugim.

Dulcie stała po ciemku przy oknie wychodzącym na ulicę. Miała skulone ramiona i czoło przyklejone do szyby. Była zbyt zatroskana, by wyczuć moją obecność.

Tak często czuję ból mojej córki. Zarówno ten fizyczny, jak i ból duszy. Potrafię czytać w jej myślach - nie jestem jasnowidzem, ale to jakiś szczególny rodzaj więzi między nami dwiema. Nie mając zatem pojęcia dlaczego, wiedziałam, że jest smutna, bo nagle mnie zrobiło się smutno.

Jeśli chodzi o moją córkę, nie jestem dobrą terapeutką: jestem po prostu matką. Jedyne, o czym mogłam myśleć, patrząc na jej skuloną postać, to to, jak niebezpieczny jest świat dla trzynastoletniej dziewczyny. Zwłaszcza takiej jak moja córka, której rodzice się rozwiedli, której matka całymi dniami pracuje, i która ma poważne aspiracje aktorskie. Byłe co potrafiło ją wpędzić w melancholię. Tak jak byłe co potrafiło ją z melancholii wyrwać.

- Skarbie?

Odwrociła się. W ciemności nie widziałam wyrazu jej twarzy.

- Kolacja gotowa.

- Dobrze, zaraz idę.

Usłyszałam zmartwienie w jej głosie. Choć bardzo mnie kusiło, by zapytać, co jej jest, powstrzymałam się. Bezpośrednie podejście w stylu „kawa na ławę” zwykle z Dulcie się nie sprawdzało, podobnie jak kiedyś nie sprawdzało się z jej ojcem i w większości przypadków nie sprawdza się z pacjentami.

Większość ludzi nie wie, co im jest, dopóki terapeuta wolnymi kroczkami nie nauczy ich rozpoznawania własnych uczuć, wyrażania ich i radzenia sobie z nimi.

Dulcie, jako córce psychoterapeutki, przychodziło to łatwiej niż innym nastolatkom, potrafiła nazywać rzeczy po imieniu, ale w poważnej rozmowie ona też wołała kluczyć wokół własnych problemów i czekać, aż same się ujawnią.

Wróciłam do kuchni i jeszcze raz zamieszałam sos,

aromatyczną mieszankę czosnku i bazylii, potem odcedziłam makaron. Szybko - zwykle za długo się grzebię i makaron stygnie - przerzuciłam makaron typu penne z durszlaka do szerokiej ceramicznej miski, dodałam sos i kurczaka, wymieszałam całość i rozłożyłam na dwa talerze.

Ustawiałam wszystko na stole w kuchni - mamy więcej szczęścia niż wielu nowojorczyków, którzy żyją bez kuchni z miejscem do jedzenia - kiedy weszła Dulcie i usiadła.

Nalałam jej szklanek mleka, sobie kieliszek wina, i zasiadłam do wspólnej kolacji. Dulcie włożyła do ust pierwszy kęs i lekko zmarszczyła nos. Nawet się nie zdziwiłam. Pewnie przypaliłam pesto albo zapomniałam podgrzać, albo za słabo odcedziłam makaron. Zamiast ją zapytać, spróbowałam sama.

Rzeczywiście coś było nie tak. Moje danie zdecydowanie smakowało dziwnie. Mięso było kwaśne, przesolone i nie pasowało do pesto. Opuściłam głowę. Zwykle szybciej się orientuję, w czym tkwi problem.

Jakim cudem udało mi się zepsuć tak proste danie? Czyżby smak czosnku w pesto zdominował wszystko inne? Czy to przez to, że rozmawiałam przez telefon, krojąc jedzenie? Przez to, że myślałam o frustracji seksualnej kobiet w stałych związkach? Przez to, że się zastanawiałam, dlaczego Nina Butterfield ni stąd, ni zowąd zaczęła mnie popychać do zabiegania o wyższą pozycję w środowisku? W przeciwieństwie do mojego ojca, który mieszkał w Palm Springs ze swoją drugą żoną i był zwyczajnie zadowolony, że jestem aktywna i zdrowa, Nina oczekiwała ode mnie wyższych aspiracji.

- Mamo... co to jest?
- Rozmawiałam przez telefon...

Dulcie tłumiała śmiech. Była naprawdę dobrym dzieckiem; tak bardzo starała się pohamować.

- To jest **okropne**. Co to jest?

- Zamiast **kurczaka** wyjęłam filety z soli w sosie sojowym.

- Sos sojowy i pesto? - Nie była w stanie dłużej się powstrzymać; ryknęła śmiechem, a ja razem z nią.

Myślę, że celowo mogłabym źle gotować, żeby częściej słyszeć taki śmiech mojej córki. Niewiele mogło mnie zmartwić, kiedy ona była szczęśliwa.

- Masło orzechowe i dżem?

- Pomogę ci. Na wszelki wypadek, żeby nie skończyło się na maśle orzechowym z musztardą.

Zgarnęłyśmy jedzenie do śmieci i zaczęłyśmy od zera. Robiąc kanapki, przyglądałam się Dulcie spod opuszczonych powiek, by zobaczyć, czy posępne cienie nie wróciły na jej twarz. Na razie ich nie dostrzegłam. Nie tego wieczoru. Byłyśmy bezpieczne. Przynajmniej jeszcze chwilę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy Betsy Young usiadła za swoim biurkiem w hali redakcyjnej „New York Timesa”, czekała na nią jak co dzień sarta poczty. Rzuciła znoszony zamszowy żakiet na oparcie krzesła, otworzyła puszkę dietetycznego napoju, pociągnęła długi łyk i zaczęła przeglądać listy.

Była wysoka i jej żylaste ciało pasowało do energicznego usposobienia, ale w połowie piątego krzyżyka wyraźnie musiała walczyć z upływem czasu. Jej farbowane w pasemka włosy, opadające na ramiona falą loków, udatnie zasłaniały wiotczającą linię brody, a niebieskie szkła okularów maskowały zmarszczki wokół oczu. W hali redakcyjnej było dużo młodszych ludzi, ale byli też reporterzy i redaktorzy od niej starsi - ci drudzy w większości płci męskiej.

Oderwała się od przeglądania korespondencji i odwróciła w stronę ekranu telewizora, który stał obok biurka, by obejrzeć w wiadomościach materiał z ostatniej chwili. Prezenter ogłosił, że sąd wydał wyrok w sprawie o morderstwo, która od tygodni była na pierwszych stronach gazet.

„Sąd uznał za winną Mary Woods, która przez sześć minionych tygodni była sądzona za zamordowanie

swojego brata, Daniela Woodsa. Statystycznie rzecz biorąc, kobiety rzadziej są skazywane za morderstwo..."

- Ble, ble, ble - mruknęła Betsy, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Robby, dwudziestokilkuletni reporter kryminalny, nowy nabytek „Timesa” z Florydy, który siedział przy sąsiednim biurku, zerknął na nią z zaciekawieniem. Pochwyciła jego wzrok i jednocześnie się roześmiali. Patrzył na nią jeszcze z dziesięć sekund, podczas których otwierała dużą szarą kopertę, kolejną ze sterty poczty.

Przywykła do wzroku młodych reporterów, wiedziała, że podziwiają jej nagrody Pulitzera i chłoną, ile się da, obserwując ją w pracy. Zastanawiała się, czy im nie mówić, że to nie talent, lecz zwykłe szczęście, że znalazła się we właściwym miejscu w odpowiednim czasie, tylko że sama w to nie wierzyła. Jeśli szczęście odegrało w jej życiu jakąś rolę, to dlatego, że na nie zapracowała.

Nie miała świadomości, co w jej reakcji na zawartość koperty sprawiło, że Robby poderwał się z krzesła, podszedł do niej i zajrzał jej przez ramię. Normalnie była na tyle spostrzegawcza, że natychmiast orientowała się, czy mężczyzna wacha jej perfumy.

Tym razem zabrakło jej tej spostrzegawczości. Patrząc na błyszczące zdjęcie formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć, zapomniała o wszystkim. Ciało mężczyzny leżące na prostym metalowym wózku było przerażająco białe, niemal bladozielone. Świetlisty efekt aureoli przyciągnął jej uwagę do czarnych włosów łonowych i skurzonego penisa.

Nie sposób było nie zatrzymać wzroku właśnie tutaj, pomyślała. I nie tylko z powodu oświetlenia. Samo ujęcie zostało tak pomyślane, by uwydatnić

genitalia tego mężczyzny. Na zwłoki patrzyło się poprzez krocze, co wypaczyło perspektywę. Głowa mężczyzny była zmniejszona. Jego narządy płciowe wyolbrzymione.

- O Boże! - wyszeptał Robby.

- Jest taki sławny obraz Chrystusa, który pokazuje go z dokładnie takiej samej perspektywy: stopami do oglądającego, reszta ciała skrócona. Namalował go Mantegna. - Betsy trzymała zdjęcie w wyciągniętej ręce i oglądała je spod przymrużonych powiek.

Potem ostrożnie odłożyła na biurko i wzięła następną. Ta fotografia została zrobiona w bardziej tradycyjnym ujęciu, od góry prostopadle w dół. Penis mężczyzny był nadal centralnym punktem kompozycji, więc tam powędrował najpierw jej wzrok, ale na tym zdjęciu wszystko miało rzeczywiste proporcje, toteż mogła się przyjrzeć wymizerowanej twarzy. Mężczyzna wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat i musiał być w doskonałej kondycji fizycznej. Jego nagie ciało było muskularne i twarde, bez grama nadwagi. Ręce miał skrzyżowane na piersi, oczy zamknięte. Można by pomyśleć, że spał - gdyby nie bladość i poza, w jakiej leżał.

Trzecie zdjęcie pokazywało podeszwy stóp - na każdej widniał numer jeden, napisany odręcznie jaskrawoczerwonym markerem.

- Widziałem różne straszne rzeczy, ale to jest po prostu... - Robby pokręcił głową. Mimo że był błyskotliwym dziennikarzem, nie mógł znaleźć właściwych słów na to, by opisać, jak bardzo te zdjęcia go zszokowały.

- Wiem. Zwłoki, nawet na płaskim zdjęciu, zawsze mają w sobie patos ostateczności, na który nie można zubożnąć.

Robby spojrział na kopertę, w której przyszły zdję-

cia. Betsy widziała, że sprawdza, czy jest zaadresowana do niej. Uśmiechnęła się. Wiedziała, że gdyby było inaczej, chciałby mieć jakiś udział w robieniu materiału.

- Możesz tylko żywić nadzieję, że to przerośnie moje możliwości i będę potrzebowała pomocy - powiedziała. - Może trzeba będzie napisać jakieś aneksy...

- Tylko że ty jesteś tak niez mordowana, że pewnie nie dasz sobie nic wyrwać i zrobisz wszystko sama - odparł smętnie.

Za plecami nazywali ją „mops”, nie z powodu jej nieatrakcyjności, lecz dlatego, że była wytrwała i zacięta. W ciągu dwunastu lat pracy w „Timesie” zdobyła dwa Pulitzery, choć ostatniego już ponad pięć lat temu.

- Czy ten facet wygląda według ciebie na kogoś znanego? - spytała w końcu.

- Tak. Ale nie na tyle, żebym mógł go skojarzyć z nazwiskiem.

Betsy obejrzała zdjęcie przez szkło powiększające.

- To co, pójdziesz z tym na policję?

- Jasne, ale nie w tej chwili.

- Czy to nie będzie współwina, jeżeli masz coś takiego, a oni nie...

- Robby, powiedziałam, że pójdę na policję. Ale najpierw muszę trochę powęszyć. Na tyle, żeby to rozgryźć. Na tyle, żeby nikt nie mógł mi tego zabrać.

Oboje jeszcze raz spojrzeli na fotografie. Rysy zmarłego mężczyzny były rozmyte, ale miał bardzo wydatny nos, a wąsy, które zdobiły górną wargę, wciąż były bujne i lśniące.

- Ja go naprawdę skądś znam - mruknęła Betsy. I nagle pstryknęła palcami.

- Wiem - powiedziała niezwykle radosnym głosem.

- Philip Maur. Dyrektor zarządzający Grimly and Maur. Firma z Wall Street. Zaginał tydzień temu. Puściliśmy jego zdjęcie w zeszyty wtorek.

Podniosła pustą kopertę i najpierw przyjrzała się naklejce z adresem, a potem pieczętce pocztowej. Nagle włożyła do środka rękę i wyjęła z koperty zwykłą torebkę do kanapek zawierającą pięciocentymetrowej długości ciemną substancję.

Minęły dwie sekundy. Trzy.

Westchnęła krótko i upuściła torebkę na biurko.

- O mój Boże, to jego włosy, tak? - spytał z przerażeniem Robby.

Betsy skinęła głową.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Detektyw Noah Jordain siedział przy barze w japońskiej restauracji ze swoim partnerem, Markiem Perezem. Obaj mieli przed sobą talerze z sushi. Jordain zanurzył kawałek *uni* w sosie sojowym, a potem posmarował go pastą wasabi.

- Że też ci to nie wypali wnętrzości...

- Mięczak z ciebie - powiedział Jordain swoim śpiewnym głosem z akcentem nowoorleańskim, a Perez się roześmiał. Odkąd pracowali razem, Jordain oswajał swego partnera z wszelkiego rodzaju egzotycznym jedzeniem.

Noah Jordain uwielbiał gotować i poznawać kuchnie świata w niezliczonych nowojorskich restauracjach etnicznych. Człowiek iście renesansowy, uprawiał nie tylko sztukę kulinarną, ale grał na fortepianie, komponował jazz, kolekcjonował antyki, i szczęśliwie żadna z tych pasji nie była źródłem drwin ze strony kolegów gliniarzy.

Z jednego tylko powodu.

W pracy policyjnej diabeł siedzi w szczegółach.

Oni wszyscy o tym wiedzieli. Jordain tej zasady przestrzegał, i za to go szanowali.

Zadzwo niła komórka. Noah Jordain wyjął telefon,

spojrzał na niego jak na pluskwę, położył obok filiżanki z zieloną herbata, nabrał następną porcję sushi, umoczył w sosie, posmarował japońskim zielonym chrzaniem i włożył do ust. Komórka zadzwoniła po raz drugi.

Perez, który był równie impulsywny, jak Jordain niefrasobliwy, patrzył znacząco na swojego partnera. Podczas dwóch lat wspólnej pracy Perezowi nie udało się przejąć od Jordaina ani odrobiny jego cierpliwości.

- Mam to odebrać?

Jordain przełknął, uśmiechnął się, pokręcił głową i leniwie sięgnął po komórkę, odbierając po czwartym sygnale. Słuchając, przeciągnął ręką po gęstych, przyprószonych siwizną włosach. Potem zrobił to jeszcze dwukrotnie, co wzbudziło czujność Pereza. Nauczył się oceniać, czy wiadomość jest zła po tym, ile razy Jordain odgarnął z czoła falujące włosy.

- Okej, podaj mi numer. - Jordain sięgnął po notes. Zapisał numer i przeczytał na głos. Był dyslektykiem. Teraz, w dorosłym życiu, specjalnie mu to nie przeszkadzało, ale z trudem zapamiętywał numery i podczas notowania zdarzało mu się przestawiać kolejność cyfr. Odczytywanie ich rozwiązywało problem.

Zaburzenie utrudniające naukę było kłopotliwe w szkole podstawowej, bo czytał wolniej niż większość dzieci i nie miał szansy się wyróżniać w konkursach ortograficznych, ale poza tym niewiele sobie z tego robił. Nauczył się jednak uważniej słuchać i obserwować. Zauważał szczegóły i słyszał niuanse, które umykały innym ludziom. Nawet innym detektywom. Nawet tym najlepszym.

- Niezły pasztet.

- Co jest?

- Wygląda na to, że ze sprawy czyjegoś zaginięcia rozwinęło się śledztwo z naszego podwórka: morderstwo ze szczyptą fetysza na dokładkę.

- Kto to zgłosił?
- To może być najciekawsze.

Jordain wziął z talerza ostatni kawałek sushi, zanurzył w sosie sojowym, posmarował wasabi, zawahał się i w końcu odłożył go z powrotem na środek talerza. Położył pałeczki koło ryby.

- Betsy Young.
- Reporterka z działu kryminalnego „Timesa”?
- Czy znamy i kochamy inną Betsy Young?
- Co ona ma?
- Pośmiertne zdjęcia ofiary. Dostała je w dzisiejszej poczcie.

- A fetysz?

- Drobiazg, który jest dla mnie czymś nowym. Zdjęcia przyszły z kosmykiem włosów ofiary. I jest coś jeszcze. - Jordain upił długi łyk zielonej herbaty, która już całkiem wystygła.

- Mianowicie?
- Numer jeden narysowany na podeszwach stóp ofiary.
- Numer jeden?
- Tak. I wiesz, czego się boję?
- Jasne. Jeśli jest numer jeden, na pewno będzie numer dwa.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Możecie ją pytać o wszystko, ale to jest nasz temat - oznajmił Harry Hastings. - Mam nadzieję, że to jest jasne. Chcemy zachować pierwszeństwo i zapewnić sobie wyłączność. Dlatego w zamian za współpracę z wami oczekujemy dostępu do wszystkiego, czego się dowiecie.

Wyjął papierosa ze zmiętej paczki. Mimo że w redakcji „Timesa” obowiązywał zakaz palenia, jemu zdarzało się go łamać. Nikt nigdy nie protestował, szczególnie w jego gabinecie.

- Czy to jest jasne? - spytał obu detektywów.

Noah Jordain przyglądał się bez słowa krępemu mężczyźnie. Choć pozornie działali po jednej stronie, redaktor naczelny „Timesa” był w ofensywie. Noah nie zamierzał odpowiadać. Zostawił to Markowi Perezowi. Dziś jeden z nich odgrywał dobrego gliniarza, a drugi złego.

- Jak słońce - powiedział Perez z nieco wymuszoną swobodą.

Obaj siedzieli przy okrągłym stole na środku gabinetu redaktora naczelnego. Naprzeciwko nich Betsy Young piła dietetyczny napój z puszki. Dotąd nie odezwała się ani słowem. Jej szef skończył wykladać

odstawowe reguły współpracy, do których żaden detektywów nie zamierzał się stosować.

Dlaczego akurat pani? - spytał Jordain Betsy. Pracował z nią już dwukrotnie i choć nie spodziewał się by którykolwiek dziennikarz mógł ułatwić mu pracę, Betsy była tak zachłanna na informacje do artykułów, że omal nie spaliła obu śledztw.

- Nie wiem, co pan ma na myśli, detektywie. - Choć teoretycznie odpowiadała Jordainowi, patrzyła na Perez.

Noah Jordain wiedział, jakiego rodzaju grę prowadzi reporterka, ale niewiele go to obchodziło. Wspólnie z Perezem byłby w stanie sobie z nią poradzić, a jednak w duchu westchnął. Dlaczego to na ogół nie bywa prostsze?

- Jak pani sądzi, dlaczego spośród wszystkich reporterów w „Timesie”... dlaczego spośród wszystkich reporterów w mieście we wszystkich gazetach akurat pani nazwisko znalazło się na tej kopercie? - zapytał Perez, przejmując pałeczkę.

Uśmiechnęła się cierpko.

- A dlaczego miałyby się nie znaleźć moje, tylko inne? Opisałam kilka najgłośniejszych historii kryminalnych w tym mieście.

- Czy zna pani - wtrącił Jordain - lub czy kiedykolwiek pani poznała Philipa Maura? Czy miała pani do czynienia z jego firmą? Z kimkolwiek z jego firmy? Czy pisała pani o jego zaginięciu?

Obserwował jej oczy, ale ona znów patrzyła na zdjęcie, konsekwentnie unikając jego wzroku. Hastings za swoim biurkiem najeżył się, ale cokolwiek myślał, powstrzymał się od komentarza. Jordain wiedział, że redaktor naczelny jest starym wyjadaczem i doskonale zdaje sobie sprawę, że, choć to nieprzyjemne, tego rodzaju przesłuchanie było do przewidzenia.

Policja musi się dowiedzieć, czy dziennikarka jest zamieszana w sprawę.

- Betsy, proszę. Im dłużej się opierasz, tym mniej będziesz miała czasu na zrobienie materiału. Miałś jakieś powiązania z Maurem?

- Nie - odrzekła krótko.

Po kilku następnych pytaniach, które do niczego nie doprowadziły, Jordain spojrzął na Hastingsa.

- Będziemy musieli zobaczyć ten tekst, zanim pan go puści do druku.

- Nie zamierzamy przepuszczać przez pana cenzurę naszych materiałów, detektywie.

- Myślę, że będziecie zmuszeni. Musimy dopilnować, żeby pewne szczegóły nie znalazły się w gazecie. Dobro śledztwa, rozumie pan. Może zgodzi się pan po prostu nie komplikować nam pracy? Mamy do rozwikłania sprawę morderstwa, panie Hastings. Nie chce pan chyba utrudniać dochodzenia?

Redaktor naczelny rozważał to przez moment. Nie lubił się poddawać, ale też nie mógł się doczekać, żeby Betsy wróciła do pracy. Ma do napisania artykuł.

- Może zdecydujemy, czego mamy nie ujawniać.

Betsy tak mocno ścisnęła ołówek, że zbielały jej kłykcie.

- Harry, nie podoba mi się pomysł zatajania jakichkolwiek wątków tej historii.

- Mnie też. Ale najpierw ich wysłuchajmy. Detektywie, czego konkretnie mamy nie ujawniać?

Jordain i Perez przyglądali się fotografiom.

- Możecie puścić to. - Jordain wysunął do przodu zdjęcie stóp ofiary. - Ale reszty nie.

Przeniósł wzrok na plastikową torebkę z kosmykiem świętych włosów.

- I nie wspominajcie ani słowem o tym... - zaczął Perez.

- Nie. - Betsy nie pozwoliła mu nawet skończyć zdania. - Nie. Jeśli chodzi o zdjęcia, to ma jakiś sens. Poza tym nie wolno nam pokazywać nagości. Ale włosy są zbyt ważne. Po co morderca je przysłał? Co to znaczy? Czy to ma coś symbolizować? To jest niepokojące i perwersyjne.

Jordain wstał, Perez także. Razem zebrali wszystkie materiały dowodowe, wkładając każdy przedmiot do specjalnej torby. Kiedy skończyli, Jordain zwrócił się do naczelnego:

- Nie chcę wywoływać wojny. Proszę mnie nie zmuszać do wciągania w to całego departamentu, bo to nikomu nie ułatwi życia.

Hastings zapalił papierosa, zaciągnął się i wypuścił obłok dymu.

- My też tego nie chcemy, detektywie.

- Świetnie. Miło mi to słyszeć. Więc nie przeczytam ani słowa w gazecie o tych włosach?

- Nie przeczyta pan. A w zamian oczekujemy od was wszystkich nowych informacji, przed innymi gazetami.

Jordain zrobił krzywą minę. Nie zamierzał się targować. I nie zamierzał ulegać. Nie musi iść z gazetą na żadne układy, dosyć ma tych przepychanek. Doświadczal tego w Nowym Orleanie, i teraz tutaj.

- Nie będę składał żadnych obietnic. Zrobimy, co w naszej mocy, żebyście byli informowani. Tylko tyle mogę powiedzieć. Na zdjęciach jest mnóstwo odcisków palców. - Spojrzał na Betsy. - Czy pani odciski są w kartotece?

Skinęła głową i próbowała go zmusić do odwrócenia wzroku. Bez sukcesu.

On i Perez zrobili swoje. Ruszyli do drzwi, ale Perez przystanął i odwrócił się do Hastingsa.

- Z powodu tych jedynek na stopach ofiary istnieje

duże prawdopodobieństwo, że będzie druga. Przyślemy kogoś, żeby porozmawiał z ludźmi w waszej kancelarii o tym, jak mają przez kilka następnych tygodni sortować pocztę. Pani też.

Obaj detektywi wyszli z redakcji, nie rozmawiając. Milczeli w windzie. Nigdy nie wiadomo, kto nadstawia uszu. Detektyw musi trzymać język za zębami, dopóki nie znajdzie się poza zasięgiem słuchu. Szczególnie gdy jest w siedzibie „New York Timesa”.

- Sprawdzimy środowisko pani Young - powiedział Noah Jordain, kiedy wyszli na ulicę. - Może nic z tego nie wyniknie, ale chcę mieć pewność.

- Zakładając, że nic nie wyniknie, dlaczego ktoś miałby chcieć, żeby gazeta dostała to przed policją?

- Żeby mieć pewność, że to zostanie opublikowane w całej swojej glorii. Żebyśmy nie mogli w tym przeszkodzić. Żeby przejąć kontrolę. Żeby zachować kontrolę. Wybieraj.

- Co ty wybierasz?

- Wszystko naraz.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W tamten październikowy piątkowy rano siedziałam w charakteryzatorni programu „Today”, popijając mocną czarną kawę, podczas gdy młoda kobieta muskała moją twarz wilgotną gąbką, nadając cieplejszy ton mojej bladej cerze. Było wpół do ósmej i czekało mnie jeszcze czesanie. Do wejścia na antenę miałam jakieś czterdzieści minut, ale nie dlatego byłam zdeenerwowana.

Mimo że znałam temat rozmowy, nie wiedziałam, jakie właściwie padną pytania. Cokolwiek chciałam przekazać widzom o tym, kiedy i dlaczego warto się zgłosić do seksuologa, musiałam to zrobić w niecałe pięć minut.

Piłam kawę i gapiłam się w lustro, obserwując, jak wizażystka czyni cuda na mojej twarzy.

Nawet jeśli ktoś dobrze rozumie, jak działa strach, jak wpływa na stan psychiczny krążąca w żyłach adrenalina, to i tak ma tremę, wiedząc, że wystąpi w popularnej w całym kraju telewizji i że jego twarz, głos oraz słowa będą widziane i słyszane przez ponad osiem milionów ludzi.

Ja wolałabym być prawie w każdym innym miejscu, ale byłam tam dla jednej z tych ośmiu milionów osób:

dla trzynastoletniej dziewczyny, która siedziała przyklejona do telewizora w domu swojego ojca, czekając, by na ekranie pojawiła się jej matka.

Dzień w dzień Dulcie wypytywała mnie o reakcje nerwowe. Choć do premiery na Broadwayu miała kilka miesięcy, już niedługo, bo za parę tygodni, jechała do Bostonu na pokaz przedpremierowy. Często rozmawialiśmy o tremie scenicznej, począwszy od związków chemicznych, które wyzwala organizm w sytuacji napięcia i strachu, po różne techniki zaradcze, jak wolne i równomierne oddychanie. Musiałam pokazać Dulcie, że potrafię tego dokonać, bez ćwiczeń i bez potrzeby występowania na scenie.

- Mamo, jeśli ty umiesz to zrobić, nawet kiedy tego nie potrzebujesz, to ja też się nauczę. W końcu to ja mam żyłkę aktorską.

Wizażystka kazała mi zamknąć oczy; poczułam pociągnięcie szczotki wzdłuż linii powiek.

Moja matka doświadczała tego codziennie. To był nieodłączny element tego, co ją porwało. Aktorstwo. Zaszczyty. Bycie w centrum uwagi. Oklaski. W wieku szesnastu lat dostała jedną z dwóch głównych ról w „Zagubionych dziewczynach”, popularnym wówczas serialu telewizyjnym o dwóch osieroconych nastolatkach, które zostały przygarnięte przez pewne małżeństwo - oboje byli profesorami w elitarnej uczelni bostońskiej.

Dziewczyny ciągle pakowały się w straszne tarapaty, a wtedy jedna z nich - albo moja matka, albo jej partnerka, Dębi Carey - znajdowała jakieś wyjście, ratując sytuację. Tymczasem czarująca, ale naiwna para starszych ludzi nigdy się nie domyślała, jak blisko dziewczyny były niebezpieczeństwa, a czasem nawet śmierci.

Kiedy po trzech latach zrezygnowano z kręcenia

następnych odcinków, kariera mojej matki się załamała. Najpierw uciekła w małżeństwo i macierzyństwo,

a gdy się okazało, że ani jedno, ani drugie nie koi jej bolesnej tęsknoty za blaskiem jupiterów, a poza tym nie udało jej się zdobyć innej znaczącej roli, zaczęła wypełniać dojmującą pustkę różnymi proszkami, alkoholem i przelotnymi romansami.

Moja matka zmarła z przedawkowania narkotyków, kiedy miałam zaledwie osiem lat. Jej gwiazda rozbłysła wcześniej i zbyt szybko się wypaliła: główną spuścizną, jaką po sobie pozostawiła, była krzywda wyrządzona najbliższym.

— Dokąd idziesz? Kiedy wrócisz? - pytałam, kiedy wychodziła pachnąca różami, cytryną i lawendą, ubrana w krótkie spódnice oraz szpilki. Była bardzo piękna nawet w swoim smutku i chorobie. Była jedną z zagubionych dziewczyn, mimo że była kobietą z dzieckiem.

Zagubiona dziewczyna.

Nie pierwsza, którą próbowałam ocalić.

Nie ostatnia, którą zawiodłam.

Teraz miałam przed sobą problem pasji aktorskiej jej wnuczki. Historia nie może się powtórzyć. Zamierałam utrzymać Dulcie w ryzach, nawet gdyby jej gwiazda odpaliła z hukiem i wystrzeliła ją w stratosferę.

Wizażystka po raz ostatni musnęła moją twarz różem, jeszcze raz pociągnęła rzęsy tuszem i pomalowała usta szminką w kolorze morelowym. Aksamitny puder na skórze działał na mnie kojąco. Inna kobieta uczesała mi włosy i utrwaliła fryzurę lakierem.

Zobaczyłam w lustrze drobną kobietę, która tylko mnie przypominała. Był to sobowtór, bardziej subtelny i upiękuszony - ja nigdy tak dobrze nie wyglądałam.

Zaprowadzono mnie do saloniku, gdzie szóstka innych osób zabijała czas, przegryzając coś z wykwint-

nej kompozycji owoców, serów i śniadaniowych przy-
smaków piekarniczych. Dolałam sobie kawy.

Weszła producentka, by zaprosić następnego gościa - smukłą powieściopisarkę, niejaką Lisę Tucker - a resztę z nas spytała, czy czegoś nie potrzebujemy.

Przez kilka minut oglądałam program na monitorze, a kiedy weszły reklamy, wzięłam gazetę, którą zostawiła na swoim krześle powieściopisarka, i przebiegłam wzrokiem pierwszą stronę.

Było tam zdjęcie polityka, który wygłosił przemówienie na forum ONZ, zdjęcie sportowca, który pobił jakiś światowy rekord, i obraz zniszczeń po szalonej nawałnicy, która przeszła nad New Jersey. Ale było też zdjęcie męskich stóp z numerem jeden na podszewkach, które przyciągnęło moją uwagę. Nagłówek brzmiał: „Finansista przypuszczalnie nie żyje”.

Nim zabrałam się do czytania, w jednolitym czarno-białym tekście rzuciły mi się w oczy trzy słowa: zawód oraz imię i nazwisko widniejące w ostatnim akapicie artykułu. Nazwisko mężczyzny. Detektyw Noah Jordain.

Westchnęłam i zaczęłam czytać od początku.

„Jest więcej niż prawdopodobne, że czterdziestojednoletni Philip Maur, najmłodszy prezes w historii Grimły and Maur, prestiżowej firmy inwestycyjnej z Wall Street, nie żyje. Podstawą takiego przypuszczenia jest seria zdjęć - jak się wydaje - jego zwłok dostarczona wczoraj rano do redakcji naszej gazety.

Zona Maura, Cyn Maur, powiedziała, że jej mąż zaginął pięć dni temu: „Wyszedł do pracy w piątek rano i powiedział, że wróci późno, bo wybiera się na jakąś biznesową kolację”.

W piątek Maur przez cały dzień był w biurze, które opuścił o szóstej po południu. Jego sekretarka powie-

działa, że nie mówił, dokąd idzie i nie prosił, by zrobiła mu jakąś rezerwację, co często się zdarzało.

Cyn Maur skontaktowała się z policją w sobotę rano, po tym, jak przez całą noc jej mąż nie dał znaku życia. Wielokrotnie próbowała się dodzwonić do niego na komórkę, ale nie odbierał, co, jak stwierdziła, było do niego zupełnie niepodobne. „On jest bardzo odpowiedzialnym ojcem i mężem. Nigdy nie był poza zasięgiem dłużej niż godzinę lub dwie. Nasza córka ma cukrzycę dziecięcą, a Philip jest jej bezgranicznie oddany. Nigdy nie wyjeżdżał bez uprzedzenia. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, żeby nie wrócił na noc. Uznałam, że stało się coś złego”.

Zgłoszenie zaginięcia przyjęto w sobotę rano o wpół do dziewiątej. Do wtorku rano, kiedy to „New York Times” dostał przesyłkę z fotografiami, policja nie miała żadnych informacji o losach Philipa Maura. Do zdjęcia, które pokazujemy, i do dwóch innych, które są teraz w rękach policji, nie dołączono żadnej notatki. Nie ma żadnej informacji wskazującej, gdzie może znajdować się ciało Philipa Maura.

„Uchylam się na razie od wszelkich komentarzy” -powiedział detektyw Noah Jordain z Wydziału Specjalnego, który zajmuje się przestępstwami na tle seksualnym. „Proszę jedynie wszystkich, którzy widzieli Philipa Maura w piątek wieczorem albo kiedykolwiek później, o skontaktowanie się z naszym biurem”.

Fakt, że śledztwo prowadzi Noah Jordain, wskazuje na seksualne podłoże zabójstwa. Drastyczne zdjęcia, które otrzymała redakcja naszej gazety, wzmacniają takie podejrzenie. Ze względu jednak na dobro toczącego się śledztwa policja poprosiła, żebyśmy nie drukowali wszystkich zdjęć”.

Serce biło mi szybko, dłonie miałam lepkie i zaschło

mi w gardle. To widok nazwiska Noaha wyprowadził mnie z równowagi. Próbowałam się skoncentrować, by powstrzymać galop serca, ale to nazwisko podziało na mnie jak seria elektrowstrząsów.

Nie wiedziałam, że wciąż jestem taka nieodporną. To głupie, ale taka była prawda.

Minęły cztery miesiące od naszego ostatniego spotkania. Cztery miesiące od czasu, kiedy to zawiodłam go, a potem do niego zadzwoniłam - wiedząc, że nie będzie go w domu - i zostawiłam wiadomość na jego automatycznej sekretarce, przepaszając go i wyjaśniając, że jestem zbyt świeżo po rozwodzie, że to za wcześnie, żeby myśleć o romansowaniu.

To było kłamstwo.

Nie było za wcześnie.

Bałam się detektywa Jordaina i tego, co przy nim czułam.

Pewnego popołudnia Noah Jordain wszedł do mojego gabinetu, a wtedy serce zabiło mi trochę mocniej. Utkwił w mojej twarzy swoje przenikliwe niebieskie oczy i próbował mnie zmusić do odwrócenia wzroku. Policyjny trik, pomyślałam. Czy on w ogóle wie, że to robi?

Przyjęłam wezwanie i czekałam, aż pierwszy odwróci wzrok. Trik psychoterapeutki. Nie zrobił tego. Byliśmy sobie wari. Kiedy wyciągnął rękę, podałam mu swoją, świadoma, że jego dłoń jest wielka, przyjemnie sucha, ale nie nazbyt szorstka. Mogłabym powiedzieć, że miał ogromną siłę w palcach, ale zdawał sobie z tego sprawę i był ostrożny. I nagle jego bliskość mnie poraziła. Jak piorun. Przez minutę nic się nie liczyło, straciłam orientację i nie wiedziałam, co się ze mną dzieje.

Nigdy dotąd, ani z nikim, nie zdarzyło mi się coś

podobnego, i ta świadomość była naprawdę szokująca. Wiem przecież, że nie należy tłumaczyć nagłego zauroczenia niczym innym niż psychologicznym skojarzeniem - ktoś, kto wygląda jak ktoś inny, kogo się bardzo lubiło - albo hormonalną, feromonalną, chemiczną reakcją między parą ssaków. W naszym przypadku to nie było takie proste.

Szybciej, niż wydawało się możliwe, lepiej, niżby to zrobił psychoanalityk, Noah przejrzał mnie i załazł mi za skórę. To mnie przestraszyło. Nie lubię rzeczy, których nie mogę nazwać albo wyjaśnić jakimiś naukowymi czy psychologicznymi terminami. Może i bylibyśmy dobrą parą, ale, co jest bardziej prawdopodobne, zniszczylibyśmy się nawzajem. Żadne z nas nie było skłonne zrezygnować z grzebania zbyt głęboko w psychice drugiego. To wszystko stało się za szybko, toteż... wybrałam ucieczkę.

Potem natychmiast o nim zapomniałam.

Dlatego gdy zobaczyłam jego nazwisko w gazecie, byłam zdumiona własną reakcją. Musiał wywrzeć na mnie silniejsze wrażenie, niż sądziłam.

Bzdura.

Już wtedy doskonale wiedziałam, jak silne wywarł na mnie wrażenie. Dlatego uciekłam. On był zniewalający. Pewny siebie. Nieco arogancki, ale miły. Opiekuńczy. I... I... Seksualnie porywający.

Przy Noahu Jordainie myślałam o rozbieraniu się, o bliskości nagich ciał, o pocałunkach. Patrzyłam na niego i przypominałam sobie jego usta na moich ustach, na moich piersiach, pieszczoty między nogami. Wtulałam się w niego, czułam jego zapach i nie byłam w stanie myśleć o niczym innym, tylko żeby wsunąć ręce pod jego koszulę, rozebrać go i robić wszystko, czego zapagnie.

Chciałam ulec tej sile. Dać się porwać i zobaczyć,

dokąd to mnie zawiedzie. Nigdy wcześniej nie myślałam o tych rzeczach - dopóki nie poszłam z **nim** do łóżka.

Wysłuchiwałam takich opowieści od swoich pacjentów. Wracały do mnie w snach. Nawet byłam zadowolona, że nie czułam tego ze swoim mężem. To było zbyt absorbujące. Nie chciałam ulegać żadnym emocjom. Żadnej namiętności. Nigdy.

Noah zaskakiwał mnie swoją intuicją. Jakimś szóstym zmysłem odgadywał, co myślę. Wiedział, jak mnie dotykać, co zrobić, żeby moje ciało stapiało się w jedno z jego ciałem. Potrafił znaleźć wrażliwe miejsce w zagłębieniu nad obojczykiem i dmuchał na nie oddechem tak gorącym, że musiałam zamknąć oczy i wpić się palcami w jego ramiona.

On by mnie rozmiękczył, pozbawił siły.

A to była najgorsza rzecz, jaką mógłby zrobić.

Poczułam falę gorąca na karku. Jedwabna kremowa bluzka przykleiła mi się do pleców, a oliwkowy żakiet z gabardyny wydał mi się nagle o cały rozmiar za mały.

Odwrociłam oczy od gazety, wypiął jeszcze jeden łyk letniej kawy. I jeszcze jeden. Zerknęłam na pierścionek na prawej dłoni - był to motyl z białego złota wysadzany ciemnozielonymi tsaworytami na skrzydłach, z maleńkim brylantem pośrodku. Dostałam go na urodziny od mojej córki i jej matki chrzestnej - mojej matki zastępczej. Dotknęłam wierzchołków skrzydeł, które były prawie tak ostre, że można było się o nie skaleczyć. Dulcie i Nina zaskoczyły mnie tym prezentem kilka dni po aresztowaniu Mordercy Magdalenek.

Kilka dni po tym, jak omal nie zostałam zabita razem z moją pacjentką.

Kilka dni po mojej ostatniej rozmowie z detektywem Noahem Jordainem.

Doktor Snów? Wchodzi **pani na antenę, jak** tylko skończy się przerwa na wiadomości. **Pozwoli pani** ze mną-

W studiu A1 powietrze było lodowate, toteż idąc przez hol, zaczęłam się trząść, świadoma, że jest mi zimno ponad warstwą żaru, który jak wspomnienia zachowa! się pod powierzchnią mojej skóry.

To była ostatnia rzecz, o której powinnam myśleć na dziesięć minut przed znalezieniem się w obiektywie kamery.

- Czy ma pani jakieś życzenia, zanim wejdzie pani na wizję? - spytała producentka.

- Nie, dziękuję, wszystko jest w porządku.

Co nie było prawdą.

ROZDZIAŁ ÓSMY

— Nie chodzi o mnie samą - rzekła Shelby Rush.
— Przyszłam tu w imieniu grupy kobiet, które chciałyby panią prosić o poprowadzenie dla nich prywatnej terapii grupowej.

W piątek po południu, po moim wystąpieniu w „Today”, zadzwoniło ponad dwadzieścia pięć osób. Recepcjonistka Instytutu Butterfielda, w którym praktykuję, powiedziała, że wszyscy z jednym wyjątkiem pytali, jaki rodzaj ubezpieczenia zdrowotnego akceptuję i jaka jest moja stawka. Pięć osób powiedziało, że zadzwoni później, by umówić się na wizytę, po tym, jak skonsultują się ze swoim agentem ubezpieczeniowym. Nie miałam zamiaru zająć się nimi wszystkimi. Mój grafik był już i tak napięty. Mogłam się jednak umówić na pierwsze konsultacyjne spotkania i skierować ich do odpowiedniego terapeuty w instytucie.

Jedna kobieta poprosiła o wyznaczenie wizyty, nie pytając ani o moją stawkę, ani o ubezpieczenie, i teraz siedziała w moim bladeżółtym gabinecie po drugiej stronie biurka. Shelby była po trzydziestce, atrakcyjna i elokwentna w sposób charakterystyczny dla wielu kobiet z Manhattanu. Jej markowe ubranie nie wyróżniało się niczym specjalnym. Spodnie w kolorze zga-

szonogo brązu, biała jedwabna bluzka i czarny blezer.

Pantofle od Chanel na wysokim obcasie i torebka od Gucciego - z tkaniny w kolorze chłodnego brązu ze złotym logo firmy.

Ja byłam ubrana bardzo podobnie - choć mniej kosztownie. Styl był jednak ten sam: klasyczna elegancja krój podkreślający sylwetkę, szyk. Nowojorski uniform dla kobiet po trzydziestce. Nie tyle wyraz indywidualności, co sposób na wygranie wojny z modą którą większość z nas jest zmęczona, gdy początkową dwójkę w naszej liczbie wiosen zastępuje trójka.

Te ubrania niewiele o nas mówią. Nasze buty i torebki, nasze kostiumy, spódniczki i spodnie kompletnie nic nie znaczą. Sekretów naszych dusz nie ujawniają nazwy na metkach żakietów. Nie zdradzają ich nawet nasze twarze.

Niektórzy terapeuci twierdzą, że potrafią dostrzec cień głębszej prawdy o swoich pacjentach w ich oczach, ale ja przestałam być tego pewna. Może dlatego, że tak wielu ludzi sukcesu, z którymi miałam do czynienia, posiadało sztukę mistyfikacji na użytek zawodowy. Może dlatego, że moje umiejętności polegają raczej na tym, że ludzie się przy mnie otwierają, ufając, że nie będę ich osądzać. Nie wierzę w popularną psychologię ani szybkie wnioski.

- Do jakiej organizacji pani należy, Shelby? Dlaczego pani sądzi, że to ja będę właściwą terapeutką?

Opuściła skrzyżowane ręce i spojrzała na swoje dłonie, jakby szukała odpowiedzi w ściągawce zapisanej na bladoróżowych paznokciach.

Mierzyłam jej temperaturę emocjonalną. Nie wierciła się, ale przygryzła dolną wargę i trzymała między zębami tak długo, że wyglądało to na zabieg powstrzymujący ją przed mówieniem.

- Shelby?

- To dość skomplikowane, pani doktor.

Skinęłam głową, dodając jej odwagi. Znów przygryzła wargę. Mogłam czekać tak długo, jak będzie trzeba, aż zdecyduje, czy jest gotowa odpowiedzieć.

Zerknęłam na dwa wysokie łukowate okna na południowej ścianie mojego gabinetu. Za nimi znajdowała się metrowej szerokości wnęka balkonowa, którą wielu mieszkańców Manhattanu nazwałoby tarasem. Można tam było jedynie stanąć i popatrzeć na ulicę, albo w górę na niebo, ale ja przeznaczyłam to miejsce na żardyniery z krzewami i kwiatami, które przywabiają motyle.

Na początku, jak tylko założyłam swój miejski ogród, wszyscy mówili, że śnię, że w mieście nie ma motyli, poza tymi z wystawy motyli w Muzeum Historii Naturalnej.

Ja jednak wiedziałam, że jest mnóstwo motyli monarchów w Central Parku. Przysiadają na kwiatkach w Ogrodzie Szekspirowskim, w Ogrodzie Botanicznym i w dzikim ogrodzie Rambles. Instytut Butterfielda dzieli tylko półtorej przecznicy od Central Parku, więc pomyślałam, że mogą przylecieć.

Pojawiły się dopiero po roku, ale odąd przylatują co sezon. Piękne czerwono-pomarańczowe monarchy, bielinki kapustniki i popartowskie pazie królowej znajdują drogę do mojego ogródka i zaszczycają mnie swoim krótkotrwałym urokiem. Skrzydlate stworzenia, które egzystują, żeby się rozmnażać i przy okazji pomagają kwiatom robić to samo.

Zwykle pod koniec września motyle odlatują, ale tego roku nadal było tak ciepło, że opóźniły zbiorową migrację. Monarcha o głęboko pomarańczowym kolorze liści klonu fruwał z płatką na płatek, podczas gdy Shelby zmagająca się ze sobą w milczeniu, nie wiedząc, w jaki sposób ma odsłonić swój sekret.

Arystoteles nazywał motyle *psyche*, greckim sło-

wem oznaczającym duszę, i chyba rozumiem dlaczego. Ich metamorfoza przypominała mi trud, z jakim pacjenci próbują uwolnić się od tego, co ich więzi w kajdanach przeszłości.

Shelby przestała w końcu gryźć wargę i zaczęła mówić.

- Nasze stowarzyszenie - nazywamy je Szkarłatnym Stowarzyszeniem - jest tajne. Brzmi to strasznie melodramatycznie, prawda? Ale tak jest. Wiedzą o nim tylko jego członkowie, nikt poza tym. Nie robimy niczego nielegalnego ani groźnego. Ale to działa, w tej czy innej formie, od czterdziestu lat i nikt się o nas nie dowiedział poza ludźmi, których chcieliśmy wtajemniczyć.

Policzyłam w myślach. Stowarzyszenie powstało na początku lat sześćdziesiątych.

Shelby zamilkła i znów przygryzła wargę.

- Może mi pani powiedzieć coś więcej?

- Tak. Oczywiście. Do naszego stowarzyszenia należą kobiety samotne, zamężne i rozwiedzione, z których wiele pracuje zawodowo. Wszystkie są dobrze sytuowane. Nasze składki członkowskie są wysokie.

Urwała. Czekałam, ale nic nie dodała.

- To tak naprawdę niewiele mi mówi. Czy jest coś więcej?

- Tak, dużo więcej, ale najpierw musimy osiągnąć pewnego rodzaju porozumienie, choć szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, jak się do tego zabrać. Zawsze byliśmy takie ostrożne. Nawet nie znamy swoich nazwisk. Pani jest pierwszą osobą, która poznała moje. Czy zgodzi się pani nam pomóc? Wtedy będę mogła powiedzieć wszystko to, co powinna pani wiedzieć.

- Nie mogę przyjąć żadnego zobowiązania, dopóki się nie dowiem, czego potrzebujecie i z jakiego powodu.

Shelby zmarszczyła czoło i znów opuściła wzrok na swoje dłonie.

- Dobrze. Może powiem tak. Jesteśmy grupą kobiet, które mają podobne zainteresowania. Nie robimy niczego niebezpiecznego. Ani nielegalnego.

Po raz drugi użyła tych dwóch argumentów. Wiedziałam więc jedno: to, co robią, jest w jakimś sensie niebezpieczne. I prawdopodobnie nielegalne.

Wszyscy kłamiemy. Uczymy się kłamstwa, kiedy jako małe dzieci widzimy na basenie otyłą kobietę i krzyczymy „Patrz, mamusiu, jaka gruba pani”, a nasze matki nam tłumaczą, że to niegrzecznie, że nie mówi się rzeczy, które mogą zranić czyjeś uczucia.

Ponieważ w pewnych okolicznościach grzeczniej jest kłamać, uczymy się przyswajać moralny cyjanek w imię dobrych manier. Aż pewnego dnia dochodzimy do takiego punktu w naszym życiu - być może Shelby Rush znalazła się w tym miejscu - kiedy prawda jest jedynym ratunkiem, jedyną szansą, żeby zacząć zdrowieć, ale my wciąż lawirujemy i kręcimy, bo to jest to, co nam weszło w krew.

- No dobrze, jeśli nie może mi pani powiedzieć nic więcej o stowarzyszeniu, to niech mi pani zdradzi, dlaczego pani zdaniem jestem dla was właściwą terapeutką.

- Bo pani jest seksuologiem.

Skinęłam głową, ale byłam zirytowana, i Shelby to odgadła.

- Mogłabym to wszystko wyjaśnić, gdyby tylko zgodziła się pani z nami pracować.

- Shelby, w tym instytucie przykładamy wielką wagę do tego, żeby kierować pacjentów do odpowiednich terapeutów. Jesteśmy profesjonalistami. Nie mogę założyć z góry, że jestem właściwą terapeutką dla waszej grupy.

- Prawie wszystkie się zgodziłyśmy, że pani będzie najlepsza.

- Kto się nie zgodził?

- Jedna z członkiń, która uważa, że w ogóle nie potrzebujemy terapii, i druga, która chciała, żebyśmy wynająły jej terapeutkę, ale nie uznałam tego za dobry pomysł.

- Dlaczego ja?

- Poradziła mi panią moja przyjaciółka. Cztery lata temu była pani pacjentką. Pamięta pani Ellen Kenneth?

Kiwnęłam głową, a Shelby mówiła dalej:

- Powiedziała, że nie ma pani skłonności do osądzania, że wysłucha pani tego, co będziemy mówili o seksie, o naszych zwyczajach seksualnych, i że nie powie nam pani, że powinniśmy przestać ani nie będzie nas straszyla, że niszczymy nasze związki. Że pani zrozumie, kiedy powiemy, że tak nie jest, że dbamy o swoje związki.

Poczułam pierwszy przypływ ekscytacji, co zwykle mi się zdarza na początku dobrej sesji terapeutycznej.

- A co terapeuta miałby osądzać?

Shelby wyprostowała się, wygładziła spodnie i odrzuciła do tyłu włosy. Szykowała się do bitwy.

- Czym jest dla pani normalny seks, doktor Snów?

- Nie dzielę seksu na normalny i nienormalny. Każdy z nas ma jakieś granice. To, co może być dopuszczalne dla pani, dla kogoś innego jest nie do przyjęcia. Nie dlatego, że jakieś praktyki same w sobie są lub nie są do zaakceptowania, chodzi raczej o to, jak my sami na nie reagujemy.

- Nie ma niczego, co uważa pani za nienormalne?

- Pyta pani, gdzie wyznaczam granice między normą a patologią?

Przytaknęła.

- Kiedy czyjeś potrzeby i praktyki seksualne wywołują poważną krzywdę i powodują zagrożenie, czy to dla niego samego, czy dla innej osoby.

Shelby siedziała w milczeniu, kiwając głową, jakby do siebie.

- Potrzebujemy terapeuty, który jest godny zaufania. Wiem, że każdy powinien być taki, ale my musimy znaleźć kogoś, kto się sprawdził. A wiemy, że pani się sprawdziła. Przyjrzałam się sprawie Mordercy Magdalenek. Pani do końca nie zdradziła swojej pacjentki. Nie powiedziała pani policji tego, czego się od niej dowiedziała.

Potwierdziłam skinieniem głowy.

- Potrzebujemy terapeutki, która zrozumie, jak to jest być kobietą sukcesu przepychającą się w świecie, który jest wciąż zdominowany przez mężczyzn. Która nie będzie zszokowana ani zgorzozona tym, co mamy do powiedzenia. I chcemy, żeby to była terapeutka seksuolog, ale nie dlatego, że potrzebujemy pomocy w sprawach seksu, tylko dlatego, że element seksualny jest tak nierozzerwalnie związany z naszym stowarzyszeniem, że nikt inny naszym zdaniem nie byłby w stanie zrozumieć tego, co chcemy wytłumaczyć.

Shelby oznajmiła, że jest adwokatką specjalizującą się w sprawach rozwodowych, i choć większość jej wypowiedzi była pozbawiona żargonu prawniczego, ta ostatnia przemowa wydała mi się zbyt zawiła. Zastanawiałam się, czy jej celem było zamieszanie mi w głowie, czy też rzeczywiście moja potencjalna pacjentka miała wielkie opory przed ujawnieniem się i opowiedzeniem mi o Szkarłatnym Stowarzyszeniu.

- W „Today” mówiła pani o tym, że w miarę jak kobiety rosną w siłę, zdobywają uznanie i coraz wyższą pozycję zawodową, ich sukces przenosi się na sferę seksu, i że bywa to źródłem kryzysu w wielu dzisiejszych związkach.

Znów potwierdziłam. To był również przyczynek do referatu, który na prośbę Niny miałam wygłosić na

konferencji psychiatrycznej w sierpniu przyszłego roku. Chciałam usłyszeć, jaki związek z tą tezą ma tajemnicze stowarzyszenie.

- Nasz klub jest zbudowany na założeniu, że agresywność seksualna nie jest z natury obca kobietom. To mężczyźni nauczyli nas ją poskramiać, żeby chronić własną pozycję. Zdominowane przez mężczyzn instytucje, firmy, religie i filozofie utrwały mit o uległych kobietach. Są jednak kobiety, które chcą czegoś innego. One nie chcą być zdominowane, nie chcą być wybierane. Ich nie rajcuje ani jedno, ani drugie.

Pochyliłam się do przodu. Shelby rozciągnęła w uśmiechu usta, wiedząc, że chwyciłam przynętę. Ja też zdawałam sobie z tego sprawę, ale to niczego nie zmieniało.

- Doktor Snów, nasz oddział w Nowym Jorku ma problem i nie wiemy, jak sobie z tym poradzić. Boję się... wiele z nas się boi, że jeśli nie podejmiemy teraz właściwych kroków, ta sprawa może nas rozbić albo zagrozić temu, co zbudowałyśmy. A to byłoby okropne, bo kobiety mają prawo postępować zgodnie z własną wolną wolą. Nie tylko na rynku. Nie tylko jako samotne matki. Nie tylko w sensie reprodukcyjnym. Mamy prawo do swojej wolnej woli w seksie. Mamy prawo być silniejszymi kobietami i korzystać z mężczyzn na naszych własnych warunkach, jeśli to nam odpowiada.

- Czego się obawiacie?

- Boimy się o własne życie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

We wtorek o czwartej **po** południu Betsy Young wybiegła z holu redakcji „New York Timesa”. Miała wywiad w mieście i nie chciała się spóźnić. Wiatr strącał liście z drzew, zaśmiecając chodniki, i padał deszcz. Ludzie stawiali kołnierze płaszczy i otwierali parasole. Mimo że Betsy zbyt się spieszyła, by zwrócić uwagę na pogodę czy wirujące liście, zobaczyła stojącego przed budynkiem niebieskiego sedana.

Nie mając jednak czasu, by się rozprasać, wybiegła na ulicę i zatrzymała taksówkę. Wskoczyła do środka, podała kierowcy adres apartamentowca na Park Avenue i zatrzasnęła drzwi.

Ledwie taksówka ruszyła, Betsy wyjęła z torby plik kartek: informacje, które wyciągnęła z Internetu na temat żony Philipa Maura i jej rodziny. Nim zaczęła je od nowa przeglądać, odwróciła się i zobaczyła przez tylną szybę, że za jej taksówką ruszył niebieski sedan.

Czyżby ją śledzili?

To nie byłoby takie dziwne. Policja może ją mieć na oku, w końcu to ona dostała te zdjęcia. Tylko ona. Odłożyła jednak to zmartwienie na później. Teraz musi się skupić na cennym wywiadzie, który ma przed sobą.

Przed **południem** spróbowała szczęścia i zadzwoni-

ła do żony Maura, która była też córką wpływowego nowojorskiego polityka. Cyn Maur była tak zdeorientowana i rozkojarzona, że Betsy miała wątpliwości, czy naprawdę do niej dotarło, że zgodziła się na wywiad dla gazety. Jeśli tak, Betsy chciała wiedzieć dlaczego. Choć cała jej praca zależała od ludzi, którzy z nią rozmawiali, zawsze była zdziwiona, gdy ktoś otwierał drzwi do swego prywatnego piekła.

Betsy nie wyobrażała sobie, żeby ona sama mogła wystawiać na widok publiczny własne blizny i wstyd.

Przy Park Avenue 1235 nie mieszkali Maurowie, lecz rodzice Cyn. To dlatego agentka Tana Butler nie skojarzyła adresu, kiedy taksówka dziennikarki zatrzymała się przed tym domem.

Betsy weszła do marmurowego holu, podała swoje nazwisko portierowi i powiedziała, do kogo przyszła. Portier zadzwonił na górę i zapowiedział gościa. Słuchał przez chwilę i odłożył słuchawkę.

- Apartament 15E, pierwsza winda po prawej.

Betsy weszła do wewnętrznego holu. Gdy tylko zniknęła z pola widzenia, agentka Butler wysiadła z niebieskiego sedana i weszła do budynku. Błyskając odznaką policyjną, zapytała portiera, do kogo udała się kobieta przed nią. Wyjęła notes i zapisała nazwisko rodziców Cyn.

Wyszła na zewnątrz, wsiadła do nieoznakowanego samochodu i czekała.

Na górze Cyn siedziała w salonie swoich rodziców na bładożółtej kanapie i czekała na pytania Betsy z miną, jakby miała przed sobą kata.

- To pani pierwszy wywiad? - Betsy próbowała skłonić zdenerwowaną kobietę, by wytłumaczyła swoje skrepowanie.

- Nie chciałam tego robić, ale minął ponad tydzień,

a policja wciąż nie ma zielonego pojęcia, gdzie jest ciało mojego męża, kto mógł go zabić i dlaczego. Ja muszę to wiedzieć. Po prostu muszę.

- Więc pomyślała pani, że warto porozmawiać z prasą.

Cyn przytaknęła, wykrzywając usta w brzydkim grymasie.

- Wy jesteście jak hieny. Prowadzicie śledztwa bez żadnych skrupułów. Nie ogranicza was prawo. Nie obchodzi mnie, kto znajdzie ciało mojego męża i jego zabójcę, policja czy prasa, byle ktoś to zrobił. Mam dosyć płakania z bezsilności.

Mimo obecności dziennikarki nie mogła powstrzymać łez.

- To jest potworne. Gdzie nie spojrzę, widzę te upiorne zdjęcia, które mi pokazała policja. Próbowałam nawet udawać, że to nie jest ciało mojego męża, że to jakiś inny mężczyzna. Nawrzeszczałam na tych detektywów, powiedziałam, że przyszli pod niewłaściwy adres. Próbowałam wyrzucić ich za drzwi. Ale oni wiedzieli, co robią. Czekali i pozwolili mi płakać, aż w końcu powiedziałam im, że tak, że to Phil.

Był taki zimny na tych zdjęciach - ciągnęła, przeżywając od nowa swój koszmar. - Chciałabym móc zasnąć w nocy i obudzić się rano, żeby nalać dzieciom soku pomarańczowego i zrobić im gofry. Ale na niczym nie jestem w stanie się skoncentrować. Mój mąż był spętany i maltretowany. Został sfotografowany w najbardziej wulgarnych ujęciach, jakie można sobie wyobrazić. Dlaczego? Prześladowuje mnie ta bladeńść jego skóry. Ciągłe mam przed oczami jego zwiotczałą twarz i bezradne dłonie. Phil nigdy w życiu nie był bezradny - dodała, nie bardzo wiedząc, czy odpowiada na pytanie, czy nie.

Betsy uśmiechnęła się współczująco i pochyliła do

przodu z zastygłą w bezruchu ręką, w której trzymała długopis.

- Więc on był silnym mężczyzną? Emocjonalnie czy fizycznie?

Cyn usłyszała coś w głosie dziennikarki. Wątpliwość? Zakłopotanie? Cynizm?

Gdyby choć trochę w nocy spała, mogłaby wychwycić takie subtelności. Jakiś dzwonek alarmowy mógłby ją ostrzec, że Betsy wie o czymś, czego wiedzieć nie powinna.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tamtego wtorkowego wieczoru Dulcie była na kolacji z ojcem, a ja przeglądałam w domu służbową korespondencję. Niezbyt to ekscytujący sposób spędzania wolnego czasu. Ani towarzyski, ani kształcący, ani budujący. Na sam koniec została mi szara koperta od Shelby Rush, która przyszła w popołudniowej poczcie. W środku była kasetka wideo i list na kremowej kartce.

Szanowna doktor Snów!

Cieszę się, że Panią poznałam. Jestem pewna, że jest Pani właściwą terapeutką dla naszej grupy i wiem, że jest Pani w stanie pomóc nam przebrnąć przez te trudne chwile. Tymczasem przesyłam gotową umowę między Panią a Szkarłatnym Stowarzyszeniem. Jest to zobowiązanie do zachowania dyskrecji. Jestem przekonana, że nie po raz pierwszy spotyka się Pani z prośbą o podpisanie czegoś takiego. Tak jak wyjaśniłam podczas naszego spotkania, członkinie stowarzyszenia bardzo się obawiają otwarcia przed kimkolwiek z zewnątrz. Prosimy Panią po prostu o zachowanie wszystkiego, o czym będziemy rozmawiać na naszych sesjach terapeutycznych, w ścisłej tajemnicy...

Odłożyłam list i wstałam. Z wściekłością pomaszerowałam do kuchni. O nie, Shelby, mówiłam do niej w myślach. Nikt w ciągu sześciu lat mojej prywatnej praktyki terapeuty seksuologa w Instytucie Butterfiel-
da nie prosił mnie o podpisanie zobowiązania...

Nie usprawiedliwiała jej - czy stowarzyszenia - nawet ignorancja; wiedziałam, że kilka z nich miało do czynienia z terapeutami. Muszą wiedzieć, że to, co się dzieje między lekarzem a pacjentem, jest chronione tajemnicą zawodową. Poza tym dokładnie jej to wyjaśniłam. Cholera, w czerwcu zeszłego roku omal nie dałam się zabić przez to, że zachowałam tajemnicę pacjentki i nie poszłam na policję, kiedy zaczęłam podejrzewać, że życie tej kobiety może być zagrożone.

Ręka mi się trzęsła, kiedy nalewałam do kieliszka wino. Wdychając jego owocowy aromat, upiłam łyk i z kieliszkiem w ręce wróciłam na kanapę, żeby raz jeszcze przeczytać list od początku, tym razem do końca.

Jesteśmy wdzięczne, że zgodziła się Pani nam pomóc, i liczymy na pierwsze spotkanie w nadchodzącym tygodniu. Tytułem wstępu załączam kasetę z filmem. Licząc, że wszystko, co nas dotyczy, zostanie utrzymane w sekrecie, prosimy, by obejrzała go Pani bez świadków.

Ufam Pani, doktor Snów. Nasza jedyna rozmowa upewniła mnie, że podjęłyśmy właściwą decyzję.

Z wyrazami szacunku

Shelby Rush

W kopercie była jeszcze jedna kartka. Umowa o zachowanie tajemnicy. Odłożyłam ją, nie zerknąwszy nawet na treść. Byłam zaintrygowana Szkarłatnym Stowarzyszeniem i Shelby, kusiło mnie, by z nimi

pracować, ale nie miałam zamiaru podpisywać żadnych cyrografów. To byłoby uwłaczające.

Próbując pozbyć się urazy, usiłując zrozumieć, dlaczego ich żądanie rozzłościło mnie bardziej, niż powinno, złapałam kasetę i z trzaskiem włożyłam do odtwarzacza. Złość mi wcale nie przechodziła.

Po kilku sekundach na czarnym ekranie pojawiło się szerokie ujęcie wytwornego salonu. W świetle kryształowych kinkietów połyskiwały złoczone ramy obrazów. Przestrzeń zapełniały luksusowe aksamitne kanapy, ogromne fotele i przepiękne orientalne dywany w subtelnych odcieniach błękitu i zieleni. Na stołach pyszniły się bukiety róż i czerwonych lilii. Niemal czułam ich słodki waniliowy zapach.

W tle grała głośna rockowa muzyka. Ostry beat Rolling Stonesów, „You Can't Always Get What You Want”, drastycznie kontrastował z nobliwym wystrojem wnętrza.

Kamera nie zmieniała kadru, aż otworzyły się drzwi i do środka zaczął wlewać się tłum.

To zabawne, kiedy widzi się dokładnie to, co spodziewaliśmy się zobaczyć. Od początku wiedziałam, że oglądam film z jakiegoś balu kostiumowego - wszyscy mieli kunsztowne maski zakrywające górną część twarzy. Kobiety były w strojnych sukniach, świetnie uczesane i obwieszone biżuterią - prawdziwą czy sztuczną, nie miało to znaczenia. Rubiny, szmaragdy i brylanty połyskiwały na uszach i szyjach, palcach i nadgarstkach.

Miałam świadomość, że jest coś dziwnego w tym, na co patrzę, ale dopiero po kilku sekundach zdałam sobie sprawę, że suknie kobiet nie są po prostu głęboko wycięte, lecz że ich dekolty odsłaniają piersi. Sutki były podkolorowane różem, skóra upudrowana i często posypana złotym brokatem.

Przy kolejnym zbliżeniu kamery zobaczyłam, że wiele sukni miało rozcięcie z przodu pokazujące, że kobiety nie mają na sobie bielizny.

Towarzystwo było w radosnym nastroju. Panie witały się cmoknięciami na odległość, często coś szeptały, a potem wybuchały śmiechem.

Po Rolling Stonesach rozległa się piosenka Beatlesów „Love, Love Me Do” i w tłum wkroczyli kelnerzy w smokingach, niosący tace z kanapkami i kieliszkami z szampanem.

Dwie kobiety -jedna w kociej, druga w ozdobionej pawimi piórami masce - wzięły szampana i odeszły razem, ramię w ramię. Dopiero teraz zauważyłam, że kelner w smokingowej marynarce i białej koszuli, z szerokim pasem i muszką przy kołnierzu, jest nagi od pasa w dół i paradyje z na wpół pobudzonym członkiem.

Wszyscy kelnerzy byli bez spodni. Kamera zrobiła najazd na ciemnowłosego mężczyznę po trzydziestce, szczupłego, średniego wzrostu, z twarzą o mocnych, ale pospolitych rysach. Kobieta w srebrnej masce, wysadzanej szafirami wokół otworów na oczy, wzięła od niego kieliszek szampana, a potem drugą ręką lekko ucisnęła mu jądra.

Sięgnęłam po swoje wino, nie odwracając wzroku.
Co ja oglądam?

Przyciszonym głosem, jakby uprzedzając moje pytanie, jakaś kobieta rozpoczęła narrację i w kadrze pojawił się tytuł:

Czterdziesta Doroczna Gala Szkarłatnego Stowarzyszenia

Dziesiątego lutego, 2002

- Począwszy od 1962 roku Szkarłatne Stowarzyszenie urządza coroczne gale, by zebrać fundusze na

swą działalność. Uczestniczą w nich zarówno aktywne, jak i bierne członkinie z wszystkich oddziałów, a także wszyscy mężczyźni, którzy bywali zapraszani do zabawy z nami.

Dla niektórych z nas, tych, którzy się przeprowadzili albo z jakiegoś innego powodu przestali być na regularnych wieczorkach, jest to okazja, żeby zobaczyć starych znajomych i oddać się naszym marzeniom na jeszcze jedną noc.

W gali 2002 uczestniczyło ponad sto trzydzieści członkiń i stu pięćdziesięciu zaproszonych mężczyzn. Zebrałyśmy blisko dwa miliony dolarów, które w znacznym stopniu pomogą stowarzyszeniu pozostać aktywną i prężną organizacją. Wszystkie pieniądze zostały przekazane anonimowo. To nagranie jest skromnym podziękowaniem za wasz wkład i pamiątką wspólnego wieczoru. Jak wszyscy wiemy, nieczęsto pozwalamy się filmować, ale tym razem, ponieważ wszyscy byliśmy tak dobrze zamaskowani, rada uznała, że będzie to wspaniałe uwiecznienie naszej upojnej nocy.

Skończyła się narracja, natężenie muzyki wzrosło do poprzedniego poziomu, a mnie dopiero teraz zastanowił fakt, że lektorka powiedziała o stu pięćdziesięciu zaproszonych mężczyznach, a poza kilkunastoma półnagimi kelnerami nie zauważyłam w tłumie kobiet żadnych mężczyzn.

Po trzydziestu sekundach tego samego ujęcia kamera została skierowana na grupę kobiet i podążyła za nimi do ogromnej sali balowej.

Uczyłam się tańca towarzyskiego, kiedy miałam dwanaście lat. Krista, druga żona mojego ojca, stanowczo przy tym obstawała. Mimo że była obrazoburczą rzeźbiarką, która wystawiała swoje prace w galerii na SoHo, traktowała te lekcje jak rytuał inicjacji.

- Co zrobisz, jeśli nie będziesz umiała tańczyć, a jakiś książę z bajki poprosi cię do tańca, na przykład do walca angielskiego?

Ponieważ miałam do niej zaufanie i lubiłam ją - częściowo dlatego, że była na tyle mądra, żeby nie próbować zastąpić mi matki - zgodziłam się chodzić raz w tygodniu na lekcje w ekskluzywnym hotelu Pierre przy Piątej Alei, naprzeciwko Central Parku.

Dziewczyny musiały być w sukienkach, chłopcy w marynarkach i pod krawatem. Początek zajęć zawsze wyglądał tak samo: stałyśmy po jednej stronie sali, chłopcy po drugiej, i czekałyśmy, aż przejdą przez cały parkiet i poproszą nas do tańca. Uczyliśmy się tam czegoś więcej niż fokstrota - przez rok co czwartek, o wpół do szóstej po południu, umacniano nas w przekonaniu o męskiej sile i kobiecej uległości.

Na sfilmowanej gali Szkarłatnego Stowarzyszenia odbywał się teraz ten sam rytuał: kobiety stały po jednej stronie, mężczyźni po drugiej. Tyle że tutaj role były odwrócone: to kobiety demonstrowały siłę, pewnie krocząc przez parkiet i wybierając partnerów spośród mężczyzn w wieczorowych strojach - z których żaden nie pozostał ubrany zbyt długo.

Kamera zatrzymała się na wysokiej blondynce. Z powodu zasłoniętej maską twarzy trudno było określić jej wiek, ale ubrana była w olśniewającą suknię w kolorze lawendy, z rozcięciem z przodu odsłaniającym długie nogi. Odłączyła się od grupy z kieliszkiem szampana w ręce, uśmiechając się do siebie i poruszając uwodzicielsko w rytm muzyki. Kiedy dotarła do tłumu mężczyzn, przystanęła i zaczęła ich oglądać.

Przechadzając się tam i z powrotem, sącząc szampana, patrząc i oceniając, zainteresowała się jednym z mężczyzn, który do niej zagadnął. W końcu się zatrzymała.

Był od niej wyższy, miał falujące włosy, prawie tak jasne jak jej. Był kompletnie i nienagannie ubrany w czarny smoking. Kiedy spojrzała na niego wprost, opuścił głowę. Potem podeszła bliżej, wyciągnęła rękę i uniosła jego podbródek. Tak jak ona, miał na twarzy maskę, ale zwykłą, czarną. Mimo że jego oczy, nos i kości policzkowe były zasłonięte, widać było mocno zarysowaną szczękę i muskularną szyję.

Kobieta skinęła raz głową i wtedy on zaczął się przed nią rozbierać.

Nigdy nie widziałam, by mężczyzna rozbierał się tak wolno, w tak uwodzicielski sposób. Było niemal coś kobiecego w tym, jak zdejmował muszkę i marynarkę, i jak upuszczają je na podłogę. Potem pozbył się koszuli, skarpetek i butów.

Przerwał na chwilę występ, gdy został z nagim torsem, i jakby rzucając tej kobiecie wyzwanie, patrzył na nią z podniesioną głową, wyczekując jej reakcji. Brutalnym ruchem rozpięła jego pasek, potem guzik przy spodniach, jednym szarpnięciem rozsunęła suwak. Cofnęła się o krok, i wtedy on zaczął rozbierać się dalej, aż całe jego ubranie znalazło się na podłodze.

Kompletnie nagi czekał i patrzył na nią spod przy-mrużonych powiek, zachowując się jak posłuszny sługa.

Nie zwracając uwagi na jego erekcję, kobieta powiodła jednym palcem po jego muskularnym ramieniu, leniwym ruchem kreśląc linię żył. Opuściwszy rękę, odwróciła się i szybko odeszła.

Musiała powiedzieć mu coś, co zagłuszała muzyka, albo dała mu jakiś znak, którego nie rozpoznałam, albo obowiązywały tam jakieś reguły właściwego zachowania, bo mężczyzna ruszył za nią jak wierny pies na środek parkietu i wtedy, wykonując swój drugi agresywny gest, wziął ją w ramiona i zaczęli tańczyć.

Wyłączyłam kasetę i patrzyłam nieruchomo w ekran. Wszyscy oglądaliśmy kiedyś jakąś pornografię, ale to nie była taka zwyczajna pornografia. Wielu ludzi filmuje się, uprawiając seks, a potem używa tych nagrań do podniecania się. Tysiące takich domowych filmów porno trafia nawet do Internetu. Jako terapeutka seksuolog często zaglądam do mrocznych i tajnych zakamarków w umysłach moich pacjentów, gdzie badam z nimi ich urojenia i fetysze. To, co dla jednego mężczyzny jest podniecające, innego deprymuje. To, o czym jedna kobieta marzy, w innej budzi odrazę. Nic nie jest normalne lub nienormalne. W fałdach naszego mózgu, tam gdzie rodzą się erotyczne fantazje, kiedy leżymy w półśnie, różne symbole, czynności i zachowania nachodzą nas z podziemi świadomości, z jakichś miejsc, które nie mają nazwy i gdzie nie obowiązują żadne reguły. Znam te miejsca.

Bywa, że jestem zdziwiona tym, co słyszę - mogę być nawet zszokowana - ale nie mogę być speszona i bezradna. Namiętność ma swoje własne zawiłe drogi i jaje przemierzałam z moimi pacjentami. Badałam je. Słuchałam o nich codziennie od sześciu lat.

A jednak tego, co przed chwilą obejrzałam, nie było w moim leksykonie wiedzy psychologicznej. Nie słyszałam o żadnej grupie kobiet, która uprawiałaby masowo aktywność seksualną. Mężczyźni? Tak. Ale kobiety? Nie.

Kobiety nie łączą się w grupy, by organizować działalność erotyczną dla własnej przyjemności, tak jak tradycyjnie kobiety nie gwałcą.

Istnieje teoria naukowa, według której to właśnie konstrukcja hormonalna mężczyzn i kobiet decyduje o agresywnym lub biernym zachowaniu. Kobiety mają więcej estrogenu, który steruje naszym instynktem opiekuńczym. W wyniku naturalnej selekcji i prze-

trwania najsilniejszych jesteśmy zaprogramowane do roli matek. Jednostki najprzydatniejsze dla zachowania gatunku - najwierniejsze kobiety i te z najwyższym poziomem estrogenu, oraz mężczyźni, którzy zapładniają największą liczbę kobiet i mają najwyższy poziom testosteronu - są tymi, którzy przekazują geny.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych feministki próbowały wychowywać pozbawionych agresji chłopców, którzy bawią się lalkami, i agresywne dziewczynki, które wolą samochodziki. Nic z tego nie wyszło. Owszem, zgoda, w indywidualnych przypadkach - tak. Na ogół jednak ponosiły porażkę.

Rządzą nami nasze hormony.

Tyle że przed chwilą oglądałam kobiety, które powielały męskie wzorce zachowań seksualnych, i jako seksuologa zaciekało mnie to bardziej niż wszystko, z czym miałam do czynienia od paru dobrych lat.

Włączyłam z powrotem taśmę i obejrzałam, jak inne kobiety wybierały partnerów do tańca. W ich zachowaniu nie doszukałam się nieśmiałości. Jedyne oznaki zawstydenia widziałam na twarzach mężczyzn, którzy byli do wzięcia - ustawieni w rzędzie, sztywni w eleganckich smokingach, czekający na swoją kolej do odegrania striptizu.

Gdybym nie poznała Shelby Rush, nie uwierzyłabym, że oglądam prawdziwe wydarzenie, a nie jakiś film erotyczny wymyślony i wyreżyserowany przez kobiety dla uciechy kobiet.

Zdumiewające było to kompletne odwrócenie ról. Nie zauważyłam ani jednego gestu, który byłby nienaturalny dla agresora. A tych agresywnych kobiet była ponad setka. Niektóre były wysokie i zgrabne, inne przysadziste, również starsze, zdecydowanie mało atrakcyjne. Łączyła je swoboda bycia, brak skrupowania.

To był seksualny taniec zachęty, którego z braku danych nie umiałam jasno zinterpretować.

Trzeba było odwagi, żeby tak otwarcie manifestować swoje pragnienia. Trzeba mieć ogromne poczucie własnej wartości i gotowość udawania głupka. Trzeba mieć palącą potrzebę zaspokojenia żądy. Ja nie byłabym zdolna wkroczyć do sali balowej, wybrać sobie mężczyznę i powiedzieć, czego od niego oczekuję.

Jakie to musi być uczucie - wziąć sobie kochanka, nie zastanawiając się, czy ten ktoś cię pożąda? Nie zawracać sobie głowy tym, co druga osoba czuje lub myśli, ani jakie ma seksualne potrzeby, tylko wiedzieć, że twoje żądanie sprawia mężczyźnie przyjemność, i że samo to, że chce cię zadowolić, dostatecznie go podnieca.

Jak bym się czuła ze świadomością, że sam fakt mojej dominacji - bez względu na to, jak wyglądam, co mówię, co myślę czy robię - wystarczy, by mężczyzna mnie pożądał?

Film się nie skończył, ale wyłączyłam kasetę. Wzięłam do ręki umowę o zachowanie tajemnicy, przeczytałam ją i spojrzałam na puste miejsce czekające na mój podpis. W pierwszej chwili, kiedy to zobaczyłam, byłam wściekła, że ktoś wątpi w mój profesjonalizm.

Teraz nie byłam pewna, co czułam. I nie miałam pojęcia, co zrobić.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Paul Lessor siedział w swoim mieszkaniu, oglądając wiadomości z wyłączonym dźwiękiem. Blask ekranu telewizora był jedynym oświetleniem w chlewie, którym od dawna był jego pokój. Na stoliku przed kanapą walały się stosy gazet i talerze z nietkniętym jedzeniem. Wyschnięte bułki, zjełczałe masło, trzy czwarte brązowego gnijącego banana.

Nie miał apetytu. To był jeden ze skutków ubocznych przyjmowania leków, i najmniejszy z jego problemów związanych z kuracją.

Czy można sobie wyobrazić bardziej spieprzone życie? Miał trzydzieści trzy lata i był jednym z najbardziej utalentowanych dyrektorów artystycznych, licząc wszystkie wydawnictwa w Nowym Jorku. Został obsypany większą liczbą nagród za swoje okładki niż reszta ludzi w tym biznesie. Uzyskał stypendium w prywatnym nowojorskim college'u Cooper Union, potem w Akademii Sztuki w Yale. Jego kolaże fotograficzne znalazły się na czterech zbiorowych wystawach. Co roku dostawał propozycje przeniesienia się z Pigeonhole Press, małego, lecz prestiżowego wydawnictwa, w którym pracował, do większych firm, ale tego nie robił.

Nie mógł. Jego szefowa, Maria Diezen, pięćdziesięciodwuletnia redaktor naczelna, oznajmiła, że mu nie wolno. Często mu tak mówiła. Kochał Marię. Kochał w niej siłę i surowość, i to, jak potrafiła mu dać popalić, gdy zrobił coś nie tak.

Dlatego był posłuszny.

Nim trzy lata temu zaczął dla niej pracować, wyrzuciła dwudziestu czterech dyrektorów artystycznych w ciągu dwunastu lat. Teraz jego notowania budziły podziw u wielu innych projektantów grafiki w mieście. Wszyscy w Pigeonhole wiedzieli, że Maria to jędrza: była agresywna, wymagająca i najczęściej wściekła. Ale Paul ją kochał. Wprost ją wielbił. Zrobiłby dla niej wszystko. Bo kiedy taka kobieta jak ona, z tego rodzaju usposobieniem i tego rodzaju wymaganiami, uśmiechnie się do człowieka, to jest tak, jakby cały pieprzony świat należał do niego.

Nie było nic piękniejszego niż ich przerwy na lunch, kiedy razem wchodzili do olbrzymiej, gwarnej i załoczzonej księgarni Barnes & Noble na rogu Piątej Alei i Czterdziestej Ósmej Ulicy, blisko ich firmy, by popatrzeć na którąś z jego okładek na stole z nowościami.

Nie ma nic przyjemniejszego niż wiadomość od szefa działu sprzedaży, że wielcy hurtownicy z B & N, Borders, Amazon i wszystkie księgarnie niezależne zwiększyły zamówienia, bo „nie ulega wątpliwości, że z taką okładką książka się rozejdzie jak świeże bułeczki”.

I najczęściej się rozchodziła.

A jednak... Mimo tak świetnej pracy, mimo że tak bardzo kochał to, co robił i czerpał z tego dzięki wprost satysfakcję, z jakiejś cholernej przyczyny zaczął się rozsypywać.

Poszedł do psychiatry pół roku temu z powodu

dziwnych rzeczy, które działały się w jego głowie: szaleńcza huśtawka nastrojów - euforia, depresja, poczucie, że może zrobić wszystko, świadomość, że jest bezsilny.

Wypróbowywali koktajl za koktajlem prochów, żeby doprowadzić go do jakiejś chemicznej równowagi. Jediną rzeczą, która okazała się w jego przypadku skuteczna, był lek o nazwie thorazine, którego głównym składnikiem jest chlorpromazyna. Gdyby nie pewien skutek uboczny...

Chciał móc z tym żyć. Chciał się nie przejmować. Gotów na wszystko, byle tylko przewyciężyć problem, tłumaczył sobie, że wkrótce odzyska równowagę chemiczną, a wtedy lekarz będzie mógł go przestawić na inny lek i znajdzie taki, który nie powoduje impotencji. Musiał w to wierzyć.

Paul spojrział na zegar, nim zamknął oczy. Rok temu w żaden wtorkowy wieczór nie siedziałyby w domu i nie wygniatał kanapy, gapiąc się z nudów w telewizor. Różnały teraz jakąś amazonkę, która wykrzykiwałaby rozkazy, mówiąc mu dokładnie, gdzie ma jej wsadzić fiuta, co robić z ręką, a co z językiem. Szlag. Jasny szlag.

Nie stawał mu ani na pół gwizdka, nawet kiedy wspominał tamte niesamowite wieczory. Krążący w jego żyłach lek kompletnie rozmiękczał mu i mózg, i wyposażenie.

Bez względu na to, jak bardzo starał się skoncentrować na gorących momentach tamtych kilku miesięcy, po tym, jak został przyjęty do Szkarłatnego Stowarzyszenia, wspomnienia ostatnich dwóch tygodni zadreptały go i przesłaniały wszystko inne.

To go wpędzało w depresję.

Paradoksalnie każdy stan bliski depresji był tego wieczoru powodem do ulgi, bo gdyby naprawdę był w depresji, to by znaczyło, że thorazine nie działa

i mogliby spróbować czegoś innego. A wtedy być może... tylko być może, odzyskałby energię seksualną.

Teraz jedyne, co miał, to seksualne poniżenie.

Pierwszego wieczoru, kiedy mu się to przydarzyło, nie robił tragedii. Kobieta, z którą był - blondynka o imieniu Anna - dawała z siebie wszystko, wrzeszcząc na niego i trochę się nad nim pastwiąc, żeby mu znowu stanął. Ale nic nie skutkowało.

Najbardziej Paula dręczyło nie to, jak traktowały go kobiety, kiedy rozeszło się po stowarzyszeniu, że jest do niczego. Było wiele takich, którym nie zależało tak bardzo na stosunku i były całkowicie usatysfakcjonowane, jeśli dogodził im ręką albo językiem. Myślał, że będzie w stanie przetrwać kryzys, przynajmniej do czasu, kiedy on i jego lekarz zdecydują, czy thorzine działa i czy ten lek jest najlepszym wyjściem.

Tak naprawdę to sposób, w jaki odnosili się do niego mężczyźni, sprawił, że ta pieprzona sytuacja okazała się nie do zniesienia. Był świadomy każdego chichotu, każdego ukradkowego spojrzenia na jego zwiotczały penis. Stał się dla nich nikim. Był nikim. Znow znalazł się w szkole średniej - chuderlak, który chciał malować, robić zdjęcia i zostać artystą. Którego wszyscy nazywali fagasem. W Nowym Jorku Paul ze swoją artystyczną duszą mógłby być całkiem lubianym dzieciakiem, ale w publicznej szkole na przedmieściach Detroit uchodził za mięczaka.

Czuł na sobie wzrok każdego faceta, który zerkał na niego, kiedy przechadzał się po sali z beznadziejnym zwisem między nogami, i wiedział, że znow jest fagasem. Pojawianie się tam było czystym masochizmem, ale nie mógł się powstrzymać. Ciągle miał nadzieję na cud, na to, że erotyczne podniety okażą się silniejsze od leków.

Z każdego z tych upokarzających wieczorów Paul

wracał do domu z postanowieniem, że się odegra. Obmyślał formę zemsty, a jeśli mu czegoś brakowało, to na pewno nie pomysłowości. Czyż powodem wszystkiego, co mu się kiedykolwiek przydarzyło, nie był jego twórczy talent?

Wyobrażał sobie wszelkie możliwe sposoby odwetu, od brutalnych i absurdalnych - jak poucinanie facetom fiutów nożem kuchennym, by mogli doświadczyć tego, przez co on przechodził - po śmieszne - na przykład wśliznięcie się do klubu z komórką z aparatem fotograficznym, zrobienie im zdjęć w najbardziej żenujących momentach i umieszczenie ich w Internecie.

W końcu, parę tygodni temu, poczuł się tak przybity i zmęczony szykanami mężczyzn, że postanowił dać sobie spokój. Przez kilka pierwszych dni czuł się dobrze, był nawet zadowolony, że zerwał ze stowarzyszeniem. Choć wiedział, że to wcale nie znaczy, że przestał być obiektem kpin.

Dla nich wciąż był facetem, któremu nie staje. Miękkim i bezradnym. Jak dziecko. Oferma. I pewnie wciąż się z niego śmiali.

Ściągnął ze stolika gazetę. Nie musiał szukać nagłówka. Bezwiednie utkwiał wzrok w prawym górnym rogu, gdzie artykuł ze zdjęciem był za każdym razem, kiedy chciał na niego spojrzeć.

Co kilka godzin od paru ostatnich dni.

Philip Maur nie żyje.

Zaczęli dostawać za swoje, prawda?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Praca ze Szkarłatnym Stowarzyszeniem doskonale współgrałaby z referatem, który przygotowujesz - powiedziała Nina Butterfield, wyjmując z półek książki.

Trzy ściany jej gabinetu zajmowały regały z lat trzydziestych minionego wieku. W tym samym stylu art deco było masywne biurko z drzewa orzechowego, dwa wielkie fotele projektu Ruhlmartha i głęboka wyściełana kanapa. Na podłodze chiński dywan z tej samej epoki -jaskrawe błękity i zielenie przedstawiające sylwetkę żaglowca.

Zawsze uważałam, że to wielka metafora tego, co się działo w jej gabinecie.

Tamtego popołudnia dywan był zakryty stertami książek, z których setka miała nie wrócić na półki, lecz zostać zaadoptowana przez personel instytutu. Ten rytuał czyszczenia biblioteki odbywał się dwa razy w roku. Nikt nie pożerał więcej literatury na temat terapii, psychofarmakologii i medycyny niż Nina.

- Wszyscy padną z wrażenia, jeśli poprzysz swoją prezentację analizą takiego przypadku klinicznego. Kobiety prowadzące grupową aktywność seksualną! Będziesz miała jak na dłoni agresję seksualną. Od-

wrócenie ról. Seksualną władzę kobiet. To są zagadnienia, o których prawie nikt w środowisku terapeutycznym nie ma większego pojęcia. A ty nie jesteś pewna, czy powinnaś te pacjentki przyjąć? Morgan, to, czego się dowiesz od tej grupy, przyniesie ci uznanie, na jakie zasługujesz. Wreszcie.

- Nie jestem pewna, czy zależy mi na uznaniu, nie mówiąc o tym, czy na nie zasługuję. Nina, muszę cię o coś zapytać. - Leżało mi to na sercu, odkąd rozpoczęła swoją krucjatę, ale nic nie mówiłam. - Od tamtej sprawy z Mordercą Magdalenek poganiaasz mnie i dopingujesz jak szalona. Choćby to polecenie mnie producentce „Today”. O co chodzi?

Odwróciła się, uniosła swoje kasztanowe brwi i wbiła we mnie wzrok, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu. A przecież Nina знаła mnie od dzieciństwa. Była najlepszą przyjaciółką mojej matki. Poznały się jako studentki na Uniwersytecie Nowojorskim i mieszkały w sąsiednich pokojach w akademiku w Greenwich Village. Moja matka studiowała tylko rok - nie była w stanie pogodzić nauki z aktorstwem - ale ich więź przetrwała.

Po śmierci mojej matki Nina zajęła się mną do spółki z moim ojcem, i nawet kiedy ojciec powtórnie się ożenił, pozostała najważniejszą kobietą w moim życiu.

- Nie zasługujesz na uznanie? Dlaczego tak mówisz? Wykonujesz fantastyczną robotę z każdym absolutnie pacjentem. Ocaliłaś życie jednej pacjentce, używając wyłącznie swoich umiejętności i swojej hucpy. Jeśli naprawdę nie rozumiesz, że jesteś więcej niż dobra, to może powinnyśmy nad tym problemem popracować. Jak sądzisz?

Nina uważała, że terapeuci i psychiatrzy wymagają od czasu do czasu „nastrojenia” i powinni się okreso-

wo poddawać terapii. Zwłaszcza kiedy przechodzą jakiś życiowy kryzys. Byłam cztery miesiące po rozwodzie i frustrujących przejściach z seryjnym mordercą, które zdecydowanie nadszarpnęły mi nerwy, ale nie czułam wtedy potrzeby skorzystania z pomocy psychologicznej.

- Myślisz, że potrzebuję terapii?

- To jest pytanie, które zadałam tobie.

- Nie - odrzekłam, zła, że weszła w rolę terapeutki, odpowiadając na moje pytanie pytaniem.

Wiedziałam oczywiście, że Nina próbuje wyjść mi naprzeciw, tak jak to zawsze robiła, ale tym razem to mnie rozdrażniło. Miałam niejasne uczucie, że jest coś, o czym rzeczywiście powinnam porozmawiać, stawić temu czemuś czoło, ale nie zaprzętałam sobie tym głowy.

Jeśli chodzi o mechanizmy obronne, w zaprzeczaniu byłam lepsza niż którykolwiek z moich byłych i obecnych pacjentów. Umiałam się chronić przed własnymi uczuciami.

- Nic mi nie jest, Nina. Sypiam. Jadam. Nie dręczy mnie żaden niepokój.

- Czujesz się samotna?

- Chyba większość świeżo rozwiedzionych kobiet jest samotna, prawda?

- Fakt. A co z lękiem o Dulcie?

- Nina, ona ma trzynaście lat. Która matka trzynastoletniej dziewczyny powie, że nie czuje lęku? Tu chodzi o to, o co chodzi. Żadnych podtekstów. Żadnych skrytych zamiarów. Wątpię po prostu, czy zależy mi na powszechnym uznaniu, o jakie twoim zdaniem powinnam zadbać.

- Wolałabym, żebyś miała skryte zamiary, niż była taka skromna. Nie każdy terapeuta powinien mieć publiczną maskę, ale, do diabła, Morgan, ty powinnaś.

Chcę, żebyś została zauważona, bo jesteś tak dobra w tym, co robisz, że zasługujesz na większe uznanie, niż masz.

Sposób, w jaki zasznurowała usta, uświadomił mi, że jest coś, o czym mi nie mówi. A to szczególnie chciałam usłyszeć.

- I?

Uśmiechnęła się znacząco.

- I zależy mi na tym dlatego, że byłabyś dobrą twarzą dla instytutu.

- Gdybym chciała mieć publiczną twarz, pomyślałabym o scenie. Zostałabym...

- Morgan, nie mówię, żebyś była aktorką. Boże broń! - dodała z teatralną miną i śmiechem.

Kiedy twarz Niny rozpromieniała się w ten sposób, łatwo było zapomnieć, że ma sześćdziesiąt dwa lata. Wszystko, przez co przeszła - dwa rozwody, skandal z instytutem pod koniec lat dziewięćdziesiątych, śmierć jej trzeciego męża, Sama Butterfielda - opadało z niej jak maska, i była po prostu atrakcyjną, niewiarygodnie błyskotliwą i energiczną kobietą z ogromnym poczuciem humoru, która lubiła samą siebie i bliskich jej ludzi.

- Możemy wrócić do tematu?

- Tak, skarbie. Usiądź i powiedz mi coś więcej o Szkarłatnym Stowarzyszeniu.

Odłożyła trzy ostatnie książki, które zdjęła z półki, rozprostowała ramiona, przeczesła palcami swoje miedziane włosy i usiadła na kanapie. Ja ulokowałam się naprzeciwko w fotelu i opisałam jej część filmu, którą obejrzałam.

Nina była cała w ciepłej tonacji. Miała śniadą cerę i bursztynowe oczy. W kasztanowych spodniach i w swetrze w kolorze toffi, z podwójnym sznurem bursztynów wokół szyi, wyglądała profesjonalnie, ale

też swobodnie i sympatycznie. I taka była. Miała w sobie mnóstwo matczynej ciepła i opiekuńczą naturę, lecz nie miała dzieci.

Twierdziła, że dzięki mnie i mojej córce nigdy tego nie żałowała. My stanowiłyśmy jej rodzinę, zawsze tak mówiła, ale w pracy ona była moją szefową, więc bardzo się starałyśmy oddzielać nasze role prywatne od zawodowych.

Nie zawsze się udawało.

Gdy tylko skończyłam mówić o kasecie, wręczyłam jej umowę o zachowanie tajemnicy. Przeczytała. Pochyliła się do przodu, skupiła wzrok na mnie.

- Uważam teraz tym bardziej, że praca ze Szkarłatnym Stowarzyszeniem jest idealnym zadaniem dla ciebie. Znam cię i wiem, że nic nie sprawi ci takiej satysfakcji jak pomaganie tym kobietom. A jeśli przy okazji wychwycisz jakiś nowy trend, syndrom lub kompleks, którego nikt inny dotąd nie odkrył, będziesz miała jeszcze więcej powodów do zadowolenia. To jest coś takiego, co rozgrzewa ci krew, ładuje baterie.

Przytaknęłam. Znała mnie jak nikt inny.

- A to zobowiązanie do zachowania tajemnicy? Czy to nie jest uwłaczające?

- Nie, to jest tylko naiwne.

- Ale one decydują się na terapię, nie ufając mi.

- Dziwisz się? Jeśli ta organizacja jest taka, jak mi opisałaś, mają prawo bać się skandalu. Poza tym Rush jest prawnikiem. - Zerknęła na stosy książek. - Chcesz to przejrzeć? Zobaczyć, czy coś ci się przyda?

- Nie, mam własną stertę lektur, które proszą się o przeczytanie. Za dużo książek, za mało czasu.

Nina pochyliła się, by położyć ręce na moich kolanach. Poczułam wytrawny, orientalny zapach jej perfum. Dla mnie był znajomy i kojący, choć wszystkim innym mógł się wydawać zbyt zmysłowy.

- Boisz się pracy z tymi kobietami, Morgan?
- Uhm. Ale nie wiem dlaczego. - Zdziwiło mnie, że powiedziałam to szeptem.
- Nie musisz wiedzieć dlaczego. Jeszcze nie. Robisz najlepsze rzeczy, kiedy się boisz. Podpisz ten papier - poradziła Nina.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Poniedziałek następnego tygodnia był dla mnie wyczerpujący. Przyjmowałam pacjenta za pacjentem i mimo piętnastominutowych przerw między sesjami - na to, żeby zrobić sobie kawę, pochłonać pojemniczek jogurtu albo do kogoś oddzwonić - niełatwo było strząsać z siebie emocje i wszystko, czego dowiadywałam się o ludziach, którzy przychodzili do mnie po pomoc. Te przerwy służyły głównie temu, żebym mogła wstać, rozprostować nogi, podejść do okna, wyjrzeć na ulicę i skupić się na czymś innym.

Zbyt często, kiedy zostaję sama, dalej słyszę głosy pacjentów opisujących rozpacz z powodu miłości, która zamieniła się w nienawiść, bezradny gniew wobec niszczącej zazdrości, lęki związane z rozmaitymi fetyszami, obsesyjne potrzeby zadawania lub przyjmowania bólu, odrazę do samych siebie z powodu kalectwa emocjonalnego, pytania o nienasycony głód lub apetyt, którego nie można rozbudzić.

Dziesiątki razy przebiegam myślą rozmowy z moimi pacjentami i układam pytania, które muszę im zadać podczas następnej sesji, szukając alternatywnych rozwiązań. Badam mroczne kąty, które wymagają więcej światła.

To, co robię, daje mi satysfakcję. Jestem zadowolona z mojego zawodu - pozwala mi on pracować z ludźmi potrzebującymi pomocy, którzy chcą odmienić na lepsze swoje życie.

Jest jednak jeszcze druga strona mojej profesji, choć nie myślę o tym zbyt często, która trawi mi duszę i szkodzi moim własnym relacjom z ludźmi w życiu prywatnym.

Nie, nie chodzi o strach przed tym, co może się popsuć między kochankami. Długo byłam mężatką i przez większość tych lat byłam zadowolona. Po prostu za dużo wiem. Zbyt dobrze zdaję sobie sprawę, jak słaba bywa konstrukcja psychiczna ludzi i jak trudno jest osiągnąć prawdziwe, trwałe zmiany.

Za piętnaście siódma tamtego wieczoru byłam tak zmęczona, że szczerze żałowałam, że wepchnęłam Szkarłatne Stowarzyszenie do grafiku. W ciągu piętnastu minut, które dzieliły mnie od ich przyjścia, zdążyłam wypić świeżą kawę i zadzwonić do Dulcie.

Właśnie wychodziła z próby ze swoim ojcem, niezależnym reżyserem filmowym.

- Tata zabiera mnie na kolację, a potem na premierę „Godziny przed zmierzchem”. - Łapiąc oddech, opowiedziała mi, kto tę sztukę wyreżyserował i wymieniła nazwiska aktorów.

Gdy tylko odłożyłam słuchawkę, zadzwoniła recepcjonistka, uprzedzając, że przysyła mi nową grupę.

Przywitałam się z Shelby, która zaczęła -mi przedstawiać pozostałe kobiety.

- Nie, odłóżmy to - przerwałam jej. - Usiądźmy wszystkie, zanim przejdziemy do prezentacji.

Wszystko, co dzieje się od momentu, gdy pacjent wchodzi do mojego gabinetu, jest potencjalną informacją. Staję się kamera, patrząc, słuchając i próbując zapamiętać, co widzę, wyczuwam i słyszę.

W dzień, kiedy przyjmuję indywidualnych pacjentów, mój gabinet wydaje się przestronny. Mam duże biurko przed regalami bibliotecznymi, które zajmują całą ścianę od strony wschodniej. Przed biurkiem stoi fotel. Przy przeciwległej ścianie jest jasnobrązowa skórzana kanapa, wystarczająco długa, by zmieściły się na niej trzy siedzące osoby albo jeden wysoki mężczyzna w wygodnej pozycji leżącej. Naprzeciwko kanapy stoi mój ogromny fotel.

Kiedy przyjmuję grupę, ustawiam w półkole osiem do dwunastu składanych krzeseł i siadam tak, żebym mogła wszystkich widzieć. Duży pokój robi się mniejszy, lecz nadal jest wygodny.

Pierwsza zajęła miejsce szczupła kobieta w czerwonym dopasowanym kostiumie - wybrała krzesło stojące najbliższej mojego. Na nogach miała szpilki ze skóry czarnego aligatora, na ramieniu skórzaną torebkę z logo Chanel.

Shelby Rush, w czarnym garniturze i zamszowych botkach na wysokich obcasach, położyła swoją torbę na krześle po mojej drugiej stronie i stanęła niczym hostessa, czekając, aż każda z jej towarzyszek znajdzie sobie miejsce.

Zbyt wiele było twarzy, by każda mogła na mnie wyrzeć jakieś szczególne wrażenie, ale zwróciłam uwagę na dwie kobiety. Jedna miała na sobie niebieskie dżinsy, białą koszulową bluzkę i brązową zamszową kurtkę, a w ręku aktówkę równie znoszoną jak kurtka. Charakteryzowały ją niesamowicie rozbiegane oczy. Spojrzała na mnie, na każdą kobietę z grupy, na podłogę, na przedmioty wiszące na moich ścianach. Kiedy nadeszła jej kolej, by zająć miejsce, usiadła pośrodku półkola, skąd miała najlepszy widok na wszystko, co się działo wokół niej. Jej zachowanie nie wskazywało na jakąś nerwową nadpobudliwość, raczej

na potrzebę obserwacji. Wrażenie zrobiła też na mnie jej seksualność. Nie robiła nic, by ją ukryć.

Poza Shelby było kilka innych kobiet ubranych od stóp do głów na czarno - co na Manhattanie stanowi niemal uniform - ale jedna z nich miała tak jasne włosy i bladą cerę, i była tak chuda, że jej czarny strój ją przytłaczał.

Pomyślałam sobie, że wygląda jak wdowa. Poruszała się wolno, jakby podjęcie decyzji, w którą stronę zrobić krok i które miejsce zająć, sprawiało jej wielką trudność. Aż dwa razy potknęła się o nogę krzesła, prawdopodobnie z powodu okularów słonecznych na nosie. Wielkie czarne oprawki z bardzo ciemnymi szkłami kompletnie zasłaniały jej oczy. Było dla mnie jasne, że w tym przebraniu się ukrywa. Nie wiedziałam tylko, czy przede mną, przed innymi kobietami czy przed samą sobą.

Kiedy reszta miejsc została zajęta, okazało się, że sześć spośród dwunastu kobiet jest w okularach słonecznych. Do tego jedna z nich miała na głowie czapkę baseballową, druga chustkę zawiązaną w stylu retro, a la Jackie Onasis.

Byłam przyzwyczajona do pracy grupowej z pacjentami, którzy się poznawali dopiero u mnie. Dobierałam ich starannie, tak żeby ich osobowości się uzupełniały. Tydzień po tygodniu obserwowałam, jak się ze sobą oswajają, odsłaniają cechy charakteru i tworzą zespół.

Ta grupa była już wstępnie uformowana, z ustaloną od dawna dynamiką powiązań. Wiedziałam od Shelby, że wiele z tych kobiet znało się ze stowarzyszenia od kilku lat. Nie miałam szansy być świadkiem wielu wzajemnych relacji charakterystycznych dla układów, które się świeżo zawiązują - przez co moja praca zapowiadała się na trudniejszą niż zazwyczaj.

Kobiety te, nawet kiedy się już usadowiły, były dziwnie milczące jak na dobre znajome. Kiedyś udzielałam pomocy psychologicznej w firmie, w której wydarzyła się śmiertelna tragedia. Mimo ciężącego nad wszystkimi brzemienia katastrofy atmosfera była tam bardziej ożywiona niż wśród moich nowych pacjentek.

Jako terapeutka wierzę, że nic nie jest przypadkowe, żadne skojarzenie nie jest bezpodstawne. Był jakiś powód, z którego członkinie Szkarłatnego Stowarzyszenia przypomniały mi o grupie ludzi pogrążonych w żałobie, którą zajmowałam się osiem lat temu. Muszę być po prostu cierpliwa i odkryć to powiązanie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Zacznijmy od kilku zasad, które będą obowiązywały podczas wszystkich naszych spotkań. Macie prawo mówić i obowiązek słuchać. Nie oceniamy się nawzajem, ale mówimy, jakie uczucia wywołują w nas wypowiedzi innych. Nawet jeśli te reakcje są negatywne. Zwłaszcza jeśli są negatywne. Moim zadaniem jest pomóc wam uświadomić sobie, jakie są wasze autentyczne wzajemne relacje. I zastanowić się nad każdym zachowaniem, które jest szkodliwe dla grupy jako całości i dla każdej z was indywidualnie, ale pamiętajcie, że nie jestem waszą matką, przyjaciółką ani nauczycielką.

Wyjaśniając, jak działa grupa, przenosiłam spojrzenie z jednej kobiety na drugą. W pokoju panowało jakieś trwożliwe napięcie, co na pewno nie stanowiło reakcji na moje instrukcje. Te kobiety bały się czegoś, były głęboko poruszone. Widziałam to po sposobie, w jaki wierciły się na krzesłach, bawiły się rękami albo paskami torebek, i rozglądały dookoła.

- Kiedy zadaję wam pytanie, nie ma dobrej czy złej odpowiedzi. Jesteśmy tu po to, żebyście mówiły o swoich uczuciach albo o problemach z tymi uczuciami związanych. Dla tych z was, które brały już udział

terapii grupowej, to wszystko jest prawdopodobnie znane. Jeśli reszcie cokolwiek wydaje się niejasne, proszę o pytania.

Czekałam, ale nikt się nie odzywał.

- Okej, to może się po kolei przedstawić. Chciałabym też, żeby każda z was powiedziała coś od siebie, dlaczego tu jest i czego się po naszych spotkaniach spodziewa, co ma nadzieję osiągnąć. - Odwróciłam się w prawo, wiedząc, że sfrustruję kobietę w czerwonym kostiumie, która siedziała po mojej lewej stronie, i sądząc z jej zachowania, chciała i może nawet miała nieodpartą potrzebę zacząć pierwsza.

Zanim kobieta, na którą zwróciłam oczy, zdążyła się odezwać, głos zabrała Shelby.

- Pani doktor, myślę, że powinnyśmy się po prostu przedstawić, a potem ja mogę pani wytłumaczyć, jaki mamy problem. Ale najpierw chciałybyśmy dostać umowę, którą przysłałam pani razem z kasetą. Powiedziała mi pani przez telefon, że ją podpisze.

Obserwowałam reakcje na to, jak Shelby zamancała swoją władzę: żadna z kobiet nie okazała zdziwienia. Odpowiedziałam, zwracając się raczej do grupy, a nie do Shelby:

- Cała relacja między nami opiera się na zaufaniu. Tak jak każdego lekarza obowiązuje mnie tajemnica zawodowa i niczego, co powiecie, nie ujawnię nikomu poza tym gabinetem. Jedynym wyjątkiem od reguły jest sytuacja, w której dowiedziałabym się, że moja pacjentka może się targnąć na własne życie. Więc jeśli któraś z was będzie mówiła o popełnieniu samobójstwa, a ja uznam, że naprawdę ma taki zamiar, będę to musiała zgłosić policji. Tak samo jak w przypadku, gdy któraś powie, że chce kogoś zabić, a ja będę miała powody wierzyć, że to nie jest zwykłe fantazjowanie, lecz realna groźba. Muszę wam jednak wyznać, że

w ciągu wszystkich lat mojej praktyki nigdy **nie** musiałam zdradzić zaufania pacjenta.

Shelby pokiwała głową.

- Wszystkie to rozumiemy, ale naprawdę jestem zmuszona nalegać.

Nina wiedziała, że strasznie mi zależy - choć nie do końca wiedziałam dlaczego - by pracować z tą grupą. Nasza rozmowa przygotowała mnie psychicznie na ultimatum Shelby, ale i tak mną zatrzęsło. Wstałam, podeszłam do biurka, wyjęłam z teczki podpisany papier i wręczyłam go jej bez słowa. Spojrzała na podpis, złożyła kartkę i włożyła do swojej torby.

Usiadłam i odwróciłam się do kobiety siedzącej na prawym krańcu półkola.

- Zacznijmy jeszcze raz prezentację. - Uśmiechnęłam się do niej.

Louise M. przedstawiła się i dodała:

- Cieszę się, że będzie pani z nami pracować. Potrzebujemy pomocy.

Wszystkie po kolei podały swoje imiona. Ginny P., Shelby R., Martha G., Ellen S., Bethany W., Annę K., Liz B., Cara L., Aimee B., Gail S. i Davina C. Nie zapamiętałam wszystkich od razu, ale miałam na to półtorej godziny.

Podczas tej wstępnej rundy zanotowałam, że nieco eteryczna blondynka w czerni, która wydawała się taka smutna, to Annę. Liz była kobietą w znoszonej brązowej kurtce, która miała wyjątkową skłonność-do obserwacji. Ta, która chciała pierwsza mówić, w czerwonym kostiumie, miała na imię Ellen.

- Czy wy wszystkie w stowarzyszeniu trzymacie w tajemnicy swoje nazwiska? - Shelby oświeciła mnie, że tak jest, ale chciałam je sprowokować do mówienia.

- Oczywiście - odrzekła Ellen. Nie zdziwiło mnie, że właśnie ona. - Nie używamy nazwisk, tak samo jak

mężczyźni, których zapraszamy. Nasza prywatność jest dla nas równie ważna, jak robienie tego, co chcemy. - Ostatnie słowa wypowiedziała ze szczególnym naciskiem i energią, jakby lekko zaczepnie.

Dalszych wyjaśnień podjęła się Shelby:

- Cała nasza organizacja, czyli wszystkie oddziały w kraju, przestrzega tych samych zasad. Niektóre z nas nie używają nawet prawdziwych imion. Znamy się wyłącznie ze spotkań w naszym środowisku. Nie przyjaźnimy się poza stowarzyszeniem. To byłoby zbyt niebezpieczne.

Zauważyłam, że Annę opuszcza głowę.

- Niebezpieczne w jakim sensie?

- Mamy rodzinę, mężów, dzieci. Pracę zawodową. Niektóre z nas prowadzą życie publiczne - mówiła dalej Shelby.

- Ale wy wszystkie też jesteście rodziną, prawda? Czymś w rodzaju rodziny?

Annę opuściła ramiona z cichym westchnieniem.

- Tak - przyznała miękko.

- Jesteśmy grupą kobiet, które mają odwagę spełniać swoje seksualne potrzeby, wykraczając poza granice, które społeczeństwo uznaje za dopuszczalne - kontynuowała Shelby, przejmując z powrotem ster. - Przestałyśmy się bać swoich pragnień.

Musiałam wciągnąć do rozmowy inną kobietę.

- Jak się czujecie, ustanawiając własne zasady i warunki? - zapytałam, spoglądając kolejno na Bethany, Liz i Davinę.

Davina uśmiechnęła się. Była wysoka i zgrabna, miała krótko obcięte włosy w kolorze kawy i delikatną twarz w kształcie serca. Wszystko w niej było urocze, oprócz poobgryzanych tak głęboko paznokci, że na niektórych skórkach miała zaschniętą krew.

- Czuję się bezgranicznie wolna.

- Ktoś jeszcze? - spytałam.

Martha, która wyglądała **na najmłodszą** z grupy, uśmiechnęła się do mnie.

- Ja się czuję po prostu świetnie.

Więcej chętnych nie było. Stało się jasne, że będę musiała się dowiedzieć, co jest powodem ich niepokoju.

- Czy któraś z was może opisać cel, jaki przyświeca waszej organizacji?

Shelby i Ellen zaczęły mówić jednocześnie. Wymieniły się spojrzeniami. Skinieniem głowy Ellen ustąpiła, toteż Shelby rozpoczęła swój wywód jako pierwsza.

- Od powstania stowarzyszenia jego celem jest tworzenie środowiska dla kobiet, które chcą mieć władzę, miejsca, w którym mogą urzeczywistnić swoje fantazje seksualne z mężczyznami, którzy są chętni służyć im za partnerów.

- Dlaczego nie ma tu żadnego z tych mężczyzn?

- Oni nie należą do stowarzyszenia. To nasz klub, a oni są zapraszani jako goście. Nie utrzymujemy z nimi związków. Nie zaprzyjaźniamy się z nimi ani się w nich nie zakochujemy. Oni są tylko po to, żeby nas zadowalać. Rozumie pani?

Skinęłam głową, zastanawiając się, dlaczego ona jest taka obcesowa, taka dosadna w wyrażaniu wszystkiego, co ma do powiedzenia. Wolałam, żeby mówiła mniej, żeby dała dojść do słowa innym, ale też pouczające było obserwować, jak grupa jej ulega.

- Jakiego rodzaju mężczyzn zapraszacie?

- W większości są to ludzie sukcesu, powszechnie szanowani, często bardzo wpływowi, z których każdy przeszedł staranną selekcję. Pod względem seksualnym jedyne, co mają ze sobą wspólnego, to skłonność do uległości. Zwykle mamy w naszym kółku dwa razy

więcej mężczyzn niż kobiet, więc jest nas teraz około trzydziścioro. Wszyscy są zapraszani na nasze cotygodniowe wieczorki. Dopóki mężczyzna przyjmuje trzy z pięciu kolejnych zaproszeń, pozostaje aktywny.

Wyglądało na to, że Shelby może mówić bez końca, ale przerwała jej Cara, jedna z kobiet w okularach słonecznych. Miała włosy w kolorze brudny blond zaczesane na boki, oliwkową skórę, mocno napiętą na wydatnych kościach policzkowych. Mówiła cichym, łagodnym głosem, i musiałam się nieco pochylić, by ją słyszeć.

- W zeszłym tygodniu dowiedziałyśmy się, że jeden z mężczyzn, który był z nami najdłużej, zaginął. Zgłosili to jego współpracownicy z firmy. - Zawahała się. - Ludzie się zastanawiali, czy nie został porwany. Nikt z nas nie znał jego nazwiska, dopóki nie ukazał się w gazecie artykuł, z tym zdjęciem.

Annę znów opuściła głowę, pojedyncza łza spłynęła na jej kolano. Martha zasłoniła ręką usta, jakby się chciała powstrzymać od mówienia. Shelby intensywnym wzrokiem obserwowała Carę. Ginny, która się dotąd nie odezwała, zdjęła swój wielki pierścionek z onyksem i włożyła z powrotem na palec, jakby ta czynność pomagała jej się skupić.

Cara urwała w pół zdania, ale wyraźnie chciała coś jeszcze dodać.

- Proszę mówić dalej - zachęciłam ją łagodnie.

- Nazywał się Philip Maur. Samo to, że zaginął, było okropne. I nagle w ostatni piątek napisali w „New York Timesie”, że został zabity.

Byłam szokowana, ale miałam nadzieję, że moja twarz tego nie zdradza.

- Widziała pani ten artykuł? - spytała Davina, która chwilę wcześniej zaczęła płakać.

- Tak - odparłam, wyraźnie przypominając sobie

tamten moment w redakcji „Today”, kiedy przebiegłam wzrokiem po artykule i u dołu strony zobaczyłam litery układające się w imię i nazwisko detektywa Noaha Jordaina.

- Problem polega na tym, że nie możemy sobie dać z tym rady. - W końcu to Ellen wyartykułowała powód, z którego znalazły się w moim gabinecie. - Nigdy dotąd nie zdarzyło się coś takiego. Mężczyźni odchodzili, ale z własnej woli. Kilku zachorowało, ale Chryste, nikt nie umarł. Co my mamy robić? Jak sobie dać z tym radę? - powtórzyła pytanie spiętym i wzburzonym głosem.

Teraz, kiedy ktoś wyjawiał już problem, zaczęły mówić wszystkie naraz. Musiałam je zdyscyplinować, wyjaśniając, że powinny mówić po kolei, nie wchodząc sobie w słowo.

- Wiele z nas znało Philipa bardzo dobrze. Był z nami osiem lat - powiedziała Davina.

- Chyba wszystkie z nim byłyśmy, prawda? - Martha rozejrzała się po grupie pytającym wzrokiem.

Kobiety potwierdziły skinieniem głowy.

- Nie wiemy, co zrobić - rzekła Annę. Jej głos **był** melodyjny i wystudiowany. Dobrze znałam tę intonację i zastanawiałam się, czy jest aktorką.

Następna odezwała się Louise, której okulary zasłaniały ponad jedną trzecią twarzy i która mówiła z lekkim bostońskim akcentem.

- Nie możemy o tym rozmawiać z nikim spoza stowarzyszenia. To nas doprowadza do szaleństwa. Nie wiemy, co mówić przyjaciółom czy rodzinom o powodach naszego przygnębienia. Ja dzisiaj rano w pracy wybuchnęłam płaczem, a moja szefowa, która jest mi bardzo, bardzo bliska, spytała, co się dzieje. Nie mogłam jej powiedzieć. Co ja mam zrobić z całym tym żalem?

Pomrukując i kiwając głowami, wszystkie przyznały, że właśnie w tej sprawie mam im pomóc.

- Jest coś jeszcze - dorzuciła Ellen.

Wyglądała na wściekłą i założyła włosy za uszy, jakby się szykowała do bitwy. Zauważyłam w jej uszach wielkie rubinowe kolczyki.

- Z informacji w gazecie nie wynika, żeby policja miała jakiegokolwiek tropy. Co będzie, jeśli się okaże, że jego śmierć ma jakiś związek ze stowarzyszeniem? A jeśli któraś z nas miała z tym coś wspólnego?

- Nie rozumiecie? - wyszeptała Martha. - Każda z nas mogła być zamieszana w to morderstwo. A jeśli Philip zginął dlatego, że był związany z nami?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Funkcjonariusze Tana Butler i Steve Fisher siedzieli w nieoznakowanym samochodzie na Wschodniej Sześćdziesiątej Piątej między Madison a Park Avenue, obserwując z przeciwnej strony ulicy i z odległości czterech numerów okazały budynek z wapienia.

- Na oko nigdy byś nie pomyślała, że to klinika seksuologiczna - zauważył Steve Fisher.

Dopiero teraz Tana przyjrzała się eleganckiej fasadzie domu z przełomu wieków i kutej żelaznej bramie.

- Fakt.

- I ta nazwa na ładnej mosiężnej tablicy też by ci nic nie powiedziała. Instytut Butterfiełda mógłby być wszystkim innym, nie? Jakaś akademią nauk, szkołą artystyczną...

Tana Butler spojrzała na zegarek. Stali tu od za piętnaście siódmej, a dochodziła ósma.

- Jesteś pewien, że w tym domu nie ma tylnego wejścia?

- Tak.

- To coś tu nie gra. Ona tam jest już ponad godzinę. I dlaczego przyszła w peruce?

- Może prowadzi śledztwo dziennikarskie i udaje pacjentkę. To by się trzymało kupy. Sprawa ma tło

seksualne, więc mogła pójść do seksuologa, żeby naprowadził ją na jakiś ślad.

- Powiedzmy. Ale jak wytłumaczysz to, że weszło z nią tyle innych kobiet?

- Tana, to jest klinika. Na pewno większość ludzi przychodzi tu po pracy. Albo mają jakąś terapię grupową i przypadkiem wszystkie zjawiły się w tym samym czasie.

Zadzwoiła komórka Tany. To był Noah Jordain; wyjaśniła mu, gdzie są, jak długo czekają, i dodała słowo o tym dziwnym szczególe, jakim wydało jej się przebranie Betsy Young w perukę.

Kiedy powtarzała Fisherowi, czego chciał Jordain, oboje nie spuszczała wzroku z frontowych drzwi instytutu. Wyszła młoda para; kobieta była wyraźnie przygnębiona.

- Chodziłeś kiedyś do psychoterapeuty?

- Nie. A ty?

- Przez kilka tygodni po tym, jak... - Urwała. Drzwi znów się otworzyły i na ulicę wyszła Betsy Young. Skręciła w lewo i pomaszerowała w stronę Park Avenue.

Steve Fisher przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył za dziennikarką. Śledzenie człowieka na Manhattanie zawsze ułatwiał ruch uliczny. Nawet w nocy ulice nigdy nie są puste.

W strumieniu aut Betsy zauważyła jadącego za nią sedana.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Mężczyzna był przywiązany do wózka skórzanymi paskami, ale sprzączki były rozpięte. Nie mógł już wstać i odejść. Miał zamknięte oczy i zapadnięte policzki. Jego skóra była ziemista. To był kolor bez śladu koloru. Nie zdajemy sobie sprawy, ile odcieni żółci, brzoskwiowego i różu składa się na barwę naszej doczesnej powłoki, dopóki nie zobaczymy ciała pozbawionego tych wszystkich barw.

Mimo włączonej klimatyzacji Timothy Wheaton nie drżał z zimna. Nie wyglądał też, jakby spał. Śpiący człowiek ma głowę przechyloną na jeden bok albo zwiniętą pod brodą rękę. Albo drga mu jedna stopa. Ten mężczyzna wyglądał na zmarłego.

Była północ. Timothy Wheaton był tu dokładnie od czterech dni. Wystarczająco długo. Nadeszła pora, by zabrać się do pracy.

W zaciemnionym dotąd pokoju rozbłysło światło.

Gdyby mężczyzna po prostu spał, mógłby zareagować na jasność i otworzyć oczy, ale Timothy Wheaton ani mrugnął, nawet kiedy flesz aparatu błysnął po raz drugi.

Fotograf uśmiechnął się pod nosem. Po tylu latach używania aparatu wyłącznie do dokumentacji przyjemnie go było wykorzystać w twórczy sposób.

Z drugim mężczyzną poszło łatwiej niż z pierwszym. Z trzecim powinno pójść całkiem gładko. Jeżeli będzie trzeci. Co do tego decyzja jeszcze nie zapadła.

Trzeba było przejść spory kawałek drogi do ciemni, gdzie na korkowej ścianie w równiutkich rzędach wisiało kilkanaście zdjęć Philipa Maura.

Kilka z nich zostało wysłanych do „New York Timesa”. Inne były zbyt osobiste, by je komukolwiek pokazywać. Każdy krok został udokumentowany: ustawienie sceny, uwięzienie mężczyzny, skrupowanie go, przygotowanie i zniewolenie.

Mokre jeszcze zdjęcie Timothy'ego Wheatona, jak wszystkie poprzednie, prosto z kąpieli utrwalającej trafiło na ścianę.

Obaj, Philip i Timothy, łatwo dali się zwieść. Skuszeni pochlebstwem i zainteresowaniem, usiedli w dużym wygodnym fotelu i sącząc trunk w kolorze bursztynu, rozprawiali o swoich wyczynach seksualnych. Żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że razem z whisky przyjmuje chlorpromazynę w płynie.

Zignorowali pierwsze relaksujące skutki leku, bo pili alkohol, i nie zdziwiło ich specjalnie, że czują lekki szmerek. Kiedy zaczęły im ciążyć powieki, mieli trudności z podniesieniem rąk i wstaniem. Wkrótce byli kompletnie zamroczeni - i nieszkodliwi.

Fotograf bez kłopotu ich rozebrał. Philip Maur nawet pomagał zdejmować z siebie ubranie, myśląc, że to dalszy ciąg przygody. Nawet było go jeszcze stać na erekcję. Ciekawym doświadczeniem okazał się seks z wółmartwym mężczyzną, który był bezradny, ale podniecony.

Timothy Wheaton natomiast pod wpływem leku stracił potencję.

Przeglądając wiadomości w Internecie, fotograf zastanawiał się, które zdjęcie powinien wysłać do

gazety. Umieszczenie na pierwszej stronie zdjęcia Philipa Maura było satysfakcjonujące, choć brakowało nazwiska autora. Oczywiście, nic się nie da z tym zrobić. Szkoda, że redakcja nie wykorzystała tych długich ujęć pięknego nagiego ciała wycelowanego z całej energii i wigoru, a zamiast tego puściła zwykłe zdjęcie męskich stóp. Stóp oznaczonych numerem. Czerwone cyfry na obu podeszwach stóp. Jedyńka na prawej stopie. Jedyńka na lewej.

Teraz miało ukazać się nowe zdjęcie w „Timesie”. Z dwójką na prawej stopie i dwójką na lewej.

Wszyscy bez wątpienia będą zakładali, że po dwójce będzie trójka.

Wszyscy.

Strach, że można być następnym w kolejce, musi działać obezwładniająco, prawda? Na pewno myślą, że jeśli dwaj z nich zostali zabici, każdy inny może podzielić ich los. Fotograf bardzo na to liczył.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W środę padał deszcz. Silny wiatr zrywał z drzew liście, które przyklejały się do chodników, śliskie, ale cudownie lśniące na tle betonowych ulic.

Z powodu pogody i dlatego, że na pierwszą po południu miałam zapisaną konsultację z nowym pacjentem i zostało mi tylko pół godziny na lunch, zamówiłam zupę jarzynową z chlebem „siedem ziaren” i zjadłam ją przy swoim biurku.

Nicky Brooks zjawił się punktualnie, ledwie zdążyłam sprzątnąć po jedzeniu. Gdy tylko usadowił się na kanapie, zapytałam, jak do mnie trafił, zakładając, że usłyszał o mnie w programie „Today”. Okazało się jednak, że poleciła mnie Shelby.

- Powiedziałem jej, że szukam kogoś, kto może pomóc mnie i mojej żonie. Shelby nas zna. Wie, co się z nami dzieje. Poradziła mi panią.

Nicky był po trzydziestce, ubrany w granatowy garnitur z błękitnym krawatem w paski. Miał wysokie czoło, gęste kasztanowe włosy, dołeczki w policzkach i mocno zarysowany podbródek. Wyglądał na człowieka, który doskonale radzi sobie w życiu i dostaje to, czego chce.

- Chodził pan już na terapię?

Przytaknął skinieniem głowy.

- Kiedy?
- Jakies sześć lat temu.
- Jak długo?
- Około roku.
- Powiedział pan, że Shelby pana zna i wie o pana problemach. Chciałabym wiedzieć, w czym rzecz.
- Moja żona i ja żyjemy w separacji. - Rozejrzył się po gabinecie. Nie byłam pewna, czy z ciekawości, czy raczej unika mojego wzroku.
- Jak długo jesteście małżeństwem?
- Półtora roku. - Odpowiadając, znów patrzył na mnie.
- A od jak dawna jesteście w separacji?
- Od blisko czterech miesięcy. Nie wytrzymaliśmy nawet dwóch lat. - Obniżył głos, wyrażając zdęgotowanie. Sobą? Swoją żoną?
- Kto chciał separacji?
- Daphne.
- Dlaczego?
- Mamy problemy.
- Z jaką sferą waszego życia?
- Z naszym życiem seksualnym.

Sposób, w jaki wypowiedział słowo „naszym”, wzbudził we mnie wątpliwość, czy rzeczywiście problemy dotyczą ich obojga.

- Chciałabym usłyszeć, na czym, pana zdaniem, polegają te problemy. Jeśli zdecydujemy się podjąć terapię, te same pytania zadam pana żonie. Czy nie czuje się pan niezręcznie, rozmawiając o waszych kłopotach bez żony?

Wydawał się zdziwiony, jakby mu nigdy nie przyszło do głowy, że może być coś niestosownego w rozmawianiu o tym podczas jej nieobecności.

- Daphne i ja spotkaliśmy się w Szkarłatnym Sto-

warzyszeniu prawie trzy lata temu. Ona należała do tego klubu.

Wyczekiwał reakcji, lecz ja ćwiczyłam to od lat i umiałam doskonale ukrywać uczucia, jeśli chciałam albo kiedy było to potrzebne. Nicky zaczął mówić dalej:

- Dowiedziałem się o stowarzyszeniu od kobiety, z którą się spotykałem, która uważała, że mi się to spodoba.

- I spodobało się?

- Po raz pierwszy w życiu byłem seksualnie zaspokojony.

- Co się działo przedtem?

- Z kilkoma kobietami, z którymi byłem, czułem się skrępowany.

- Dlaczego, Nicky?

- To żenujące. Wyjaśniać, co się lubi. Niektóre kobiety to może zrazić.

- A co pan lubi?

Poprawił się na kanapie i skrzyżował ręce na piersi. Po raz pierwszy, odkąd wszedł do mojego gabinetu, miał wyraźne opory. Jego mowa ciała wyrażała więcej niż jakiegokolwiek słowa. Oczy mu się zwęziły i pociemniały. Opuścił wzrok, nie patrząc już na mnie, tylko na filizankę z kawą, która stała na bocznym stoliku. Założył nogę na nogę.

- Jeśli nie powiem, nic z tego nie będzie, prawda?

- Właśnie. Mówił pan, że chodził wcześniej na terapię. Czy wtedy wypłynął ten temat?

- Tak, ale niczego nie rozwiązaliśmy. A potem trafiłem do stowarzyszenia i rzuciłem terapię. Nie potrzebowałem już tego rozwiązywać.

- Co takiego znalazł pan w stowarzyszeniu, co zmieniło sytuację?

Milczał. To był moment na dodanie mu otuchy.

- Nie chcę, żeby się pan obawiał, że mnie pan zszokuje albo że poczuję się zakłopotana. Jestem terapeutką od jedenastu lat. Jedyna rzecz, którą uważam za problematyczną, to sytuacja, w której pragnienia seksualne, albo ich brak, przeszkadzają nam samym żyć w taki sposób, jak byśmy chcieli, albo zagrażają naszym partnerom.

Wypuścił z płuc powietrze.

- Nie ukrywam niczego groźnego. Po prostu lubię, kiedy mi się mówi, co mam robić. To nic takiego. - Nie przekonywał mnie, tylko kogoś, kogo z nami nie było. Kogoś, kto jego próbował przekonać, że to nienormalne, aby mężczyzna lubił być seksualnie uległy.

Kiwnęłam głową dla zachęty.

- A stowarzyszenie jest miejscem, w którym może pan to robić i nie być przez nikogo potępiany?

- Nie pociągają mnie dominy w czarnych skórach i na wysokich obcasach. Pejczy, smycze... próbowałem tego. Obłeśne kluby. Cholernie drogie usługi. - Pokręcił głową. - Nie chciałem być z takimi kobietami. Chciałem obopólnego seksu z kobietami, które są takie jak ja. Nie z innego świata. Nie z takimi, które biorą ode mnie pieniądze.

Znów pokiwałam głową. W końcu zaczął mówić jasno i miałam nadzieję, że się rozkręci.

- Jestem kupcem winnym. Mam ponad stu pracowników. Ciągłe mówię ludziom, co mają robić. Cały czas rządę. Więc od czasu do czasu lubię sobie odpuścić rządzenie.

- Jak to jest?

Zastanawiał się kilka sekund.

- Mieć kobietę, która stoi przed tobą, jest ciebie głodna, mówi, jak ją dotykać... widzieć, jak rozchyła usta i wysuwa język... słyszeć, jak jej oddech staje się coraz szybszy i szybszy... wiedzieć, że twoim zada-

niem jest zadowolić ją, zanim będziesz mógł zadowolić siebie... czekanie na to... świadomość, że jeśli nawalisz, zostaniesz ukarany... - Urwał, jakby nie był pewien, czy potrafi mi to opisać słowami.

- Jak się pan z tym czuje, że lubi pan właśnie taki, a nie inny rodzaj seksu?

- Teraz?

- Teraz i przedtem.

- Jestem z tym pogodzony. Kiedyś tak nie było. Kiedyś to mnie przerażało. Ta odmienność. Przez jakiś czas zastanawiałem się nawet, czy to nie znaczy, że jestem... gejem. Ale nie chodzi o to, że chciałbym być z mężczyzną, nawet nie o to, że chciałbym być kobietą. Ja po prostu lubię wykonywać zadania. I być nagradzany. Lubię układ „coś za coś” i jasne normy.

- Czy zdarza się, że chciałby pan, żeby było inaczej, żeby nie podniecało pana bycie uległym?

To go zbiło z tropu. Zamilkł. Usiadł prosto, wzruszył ramionami, ale dalej nie odpowiadał.

Czekałam. Milczenie się przedłużało. Słyszałam bijący o szyby deszcz.

- Przypuszczam, że moje życie byłoby łatwiejsze. Ale ja tego potrzebuję. Żeby ktoś mną dyrygował.

- Patrzył mi prosto w oczy, bez wstydu.

Zdarzało mi się pracować z mężczyznami, którzy w seksie woleli odgrywać bierną rolę. Niektórzy znajdowali spełnienie w swoich związkach - z żonami czy kochankami - inni wynajmowali dominy prostytutki albo znajdowali partnerki w seksklubach. Dwóch moich byłych pacjentów podniecało wyłącznie ekstremalne sadomaso, więc skierowałam ich do innego terapeuty w instytucie, który był ekspertem od modyfikacji zachowań. Szkarłatne Stowarzyszenie stanowiło jednak dziecinną igraszkę wobec hardcorowych klubów sadomaso.

- Jak wpływają pana preferencje na związek z żoną? Mówił pan, że poznał ją w stowarzyszeniu i że ona była jego członkinią?

- Była. A potem złamaliśmy jedną z zasad stowarzyszenia i zaczęliśmy się spotykać poza pokojami zabaw. Tak nazywamy mieszkanie, w którym spotyka się klub: pokoje zabaw.

- I jak się układał seks poza klubem?

- Na początku nie robiliśmy tego na zewnątrz, zaczęliśmy jakieś osiem, dziewięć miesięcy przed ślubem. Spotykaliśmy się, żeby robić wszystko to, co było zakazane w stowarzyszeniu. Żeby porozmawiać, pójść na kolację czy do kina. Potrzymać się za ręce. Posiedzieć w parku o zmierzchu i opowiedzieć sobie, co robiliśmy w dzień. Daphne jest malarką. Odnosi wielkie sukcesy. Często jej wtedy pozowałem. Nago. Uwielbiała mnie malować. I było to bardzo erotyczne. Zawsze byliśmy o krok od pójścia do łóżka. Ale zostawialiśmy to na spotkania w klubie. Prowadziliśmy swoje podwójne życie, właściwie potrójne, i nikt nic nie wiedział.

- Może mi pan opowiedzieć o tym potrójnym życiu?

- W pierwszym byliśmy po prostu tym, czym widział nas świat. Ja kupcem winnym, ona malarką. Poza tym było tajne życie w klubie. Podwójnie tajne, bo tajne jest stowarzyszenie, a do tego nikt, kiedy tam bywaliśmy, nie wiedział, że Daphne i ja łamiemy zasady. Seks w tamtym czasie był lepszy niż kiedykolwiek przedtem - z nią i z innymi kobietami. I mieliśmy jeszcze nasze trzecie życie, kiedy spotykaliśmy się tylko we dwoje. - W jego głosie zabrzmiała tęsknota.

Choć mogę wyjaśnić pacjentowi, że nie ma potężniejszego afrodyzjaku od zakazanej miłości i zakaza-

nego seksu, nie zawsze jestem w stanie wyswobodzić go z ich pęt. Kiedyś kobieta, której życie waliło się w gruzy, bo nie potrafiła przerwać namiętnego romansu, spytała mnie, czy to, co przeżywa, jest rzeczywiste. Czy owo szaleńcze upojenie, jakiego doznają ona i jej kochanek, kiedy są ze sobą, może trwać jeszcze długo. Czy intensywność kolorów, smaków, dźwięków i wrażeń wzrokowych, jakiej doświadczała podczas tych kilku pierwszych miesięcy ich związku, jest autentyczna.

Owszem, to było rzeczywiste w tym sensie, że było rzeczywistością tej kobiety. Ale nie, nie mogło przetrwać próby czasu. Euforia brała się z samej tymczasowości ich związku. Podsycała ją aura tajemnicy, smak zakazanego owocu.

Chcemy tego, czego mieć nie możemy. Nie z powodu samego faktu, że coś jest nieosiągalne, lecz dlatego, że silne pragnienie działa jak narkotyk. Uwniosła nasze życie i pobudza zmysły. Tęsknota za mirażem popycha artystów do malowania, rzeźbienia, pisania i komponowania. Z siły ludzkich dążeń powstawały miasta i upadały rządy.

Niektórzy twierdzą, że nie ma potężniejszej rzeczy, poza wolą przetrwania, niż wczesny etap skrywanej namiętności. Nie wiem. Słuchając pacjentów, wierzę, że to możliwe. Więż seksualna nabiera w tych związkach niemal mistycznych wymiarów. Zbliżenia w mroku potajemnych schadzek są wynoszone ponad wszelkie inne doświadczenia. Mężczyźni i kobiety przemieniają się w bóstwa, kiedy w tajemnicy przed światem rozkoszują się nawzajem sobą.

Sprawcą tego jest tęsknota za nieosiągalnym. Dla wielu ludzi skrywana namiętność jest tym, co podsyca najgorętsze związki ich życia.

- Dlaczego chcieliście się pobrać? - spytałam Nicky'ego.

- Doszliśmy do wniosku, że doskonale się uzupełniamy. Daphne jest bardzo silna i wygadana. Lubi rządzić. Ja lubię być zdominowany. Poza tym łączyła nas miłość do sztuki, dobrego jedzenia i wina. Wszystko pasowało. No i znaleźliśmy swoje sekrety. Akceptowaliśmy je. - Nie powiedział tego, ale w tonie jego głosu usłyszałam: „Tak mi się zdawało”. Wątpliwość.

- Co się stało?

Odwrocił twarz do okna. Według zegara stojącego na bocznym stoliku koło popielniczki z agatu zostało nam tylko dziesięć minut. Wiele się dowiedziałam jak na trzydzieści pięć minut rozmowy, i nie byłabym zdziwiona, gdyby Nicky zaciął się na dobre.

W tym momencie zadzwonił mój telefon. Zerknęłam na wyświetlacz. Podczas sesji odbierałam tylko rozmowy mające związek z moją córką. Ta do takich nie należała. Dałam Nicky'emu jeszcze kilka sekund. Gdyby nie odpowiedział, nie naciskałabym go. On jednak zaczął mówić:

- Trzy miesiące po ślubie Daphne zaszła w ciążę. To było planowane. Potem straciła dziecko. Mniej więcej w szóstym tygodniu. Właściwie nie rozpacziała. Nie była w depresji. Przynajmniej tak mówiła. Ale zaczęła pracować intensywniej niż zwykle, szykując następną wystawę. Rzuciła się do malowania z jakąś dziką energią. Dzień po dniu stawała się coraz bardziej obsesyjna w doskonaleniu obrazów. Więc choć mówiła, że nie opłakuje dziecka i że z tak wczesnym poronieniem dość łatwo się pogodzić, widziałem, jak bardzo jest przygnębiona, patrząc na jej obrazy. Były mroczne, widniały na nich czarne, krwistoczerwone kłęby podartych i poszarpanych tkanin. Wtedy zainteresował ją temat śmierci i zaczęła chodzić do synagogi. Jest Żydówką. Oboje jesteśmy Żydami. Oboje niepraktykującymi. Daphne stała się nagle bardzo religijna.

Nawet studiowała kabałę. Wkrótce zaczęła mówić, że powinniśmy się nad sobą zastanowić i zmienić nasz styl życia. Chciała spróbować jeszcze raz zająć się, ale pod warunkiem, że się ustatkujemy i skończymy z seksualnymi grami, i zażądała, żebym przestał chodzić do klubu.

- Nie rozumiem. Złamał pan zasady i dalej chodził na spotkania klubu?

- Nikt nic nie wiedział. Daphne po prostu się wycofała, nie podając powodu. Nikt nie miał pojęcia, że się ożeniłem.

- Kiedy ona przestała tam chodzić?

- Kiedy zdecydowaliśmy się pobrać.

- Czyj to był pomysł?

- Jej. Powiedziała, że kiedyś to ją bardzo kręciło, a teraz przestało i już. Wtedy jeszcze mówiła, że pewnie jakoś to zniesie, jeśli ja dalej będę chodził. W każdym razie myślała tak przed ślubem. - W jego słowach zabrzmiała głęboka uraza. - Twierdziła, że mam prawo mieć inne potrzeby niż ona.

- Więc ona przestała bywać w stowarzyszeniu, a pan tam nadal chodził.

- Do czasu, kiedy straciła dziecko. Żeby ją udobruchać, ja też przestałem. Nie miałem wyjścia. Nie mogłem patrzeć, jak ona się zmienia. Chciałem odzyskać kobietę, w której byłem zakochany, i chciałem założyć z nią rodzinę. Tyle lat żyłem bez stowarzyszenia i jakoś mi wystarczał normalny seks - dopóki nie odkryłem, co mi sprawia największą przyjemność. Więc mogłem się poświęcić, prawda? To chyba nie powinno być takie trudne.

Jego oczy wyrażały ból i gniew.

- Ale nie potrafił pan?

Pokręcił głową.

- Próbował pan?

- Jak cholera. Wytrzymałem półtora miesiąca.

- I co się stało?

Wzruszył ramionami.

- Łączy pan to z czymś konkretnym, co wydarzyło się w pana życiu?

Znów wzruszył ramionami, ale tym razem za gestem poszły słowa.

- Podróżowałem. Pojechałem na wielkie targi wina do Anglii i zarobiłem kupę forsy. To była jedna z najbardziej udanych wypraw w mojej karierze zawodowej. Wróciłem, wyszedłem z lotniska i nawet nie zahaczyłem o dom. Pojechałem prosto do stowarzyszenia i spędziłem tam trzy godziny.

- Czy Daphne się dowiedziała, a może sam pan jej o tym powiedział?

- Powiedziałem jej.

Nie byłam zdziwiona. Nie można zostać ukaranym, nie dawszy się złapać. Po odniesionym sukcesie chciał, by mu przypomniano, że mimo swoich możliwości jest bezsilny. Gdyby został u mnie na terapii, sam lub ze swoją żoną, pracowalibyśmy nad jego potrzebą kary - ale dopiero wtedy, gdy byłby gotowy.

- I co teraz?

- Daphne chce, żebym wrócił. Ja też chcę. Ale ona stawia mi ultimatum: muszę zerwać ze stowarzyszeniem. Tylko że ja nie jestem w stanie, potrzebuję pomocy, żeby to zrobić. I to ona musi być jedną z osób, które mi pomogą. Musi wrócić do traktowania mnie seksualnie tak jak dawniej. A ona nie chce. Seks z nią stał się śmiertelnie poważny.

- Czy ona jest skłonna uczestniczyć w terapii?

Skinał głową.

- To dobrze.

Jego trzy kwadranse minęły. Pochyliłam się do przodu, tylko trochę, żeby być skupiona i przekonująca

w chwili, gdy będę musiała powiedzieć, że nasz czas dobiegł końca.

- Nicky, uważam, że był pan dzielny, przychodząc tutaj. I bardzo otwarty. Myślę również, że jest pan bardzo inteligentny i ma dużą intuicję. Więc jeśli chce pan nad tym pracować, sam lub ze swoją żoną, chętnie panu pomogę.

Kiedy wstał, znów był spokojnym, pewnym siebie mężczyzną, który wszedł do mojego gabinetu blisko godzinę wcześniej. Włożył z powrotem swoją zbroję. Pozbył się wystraszonego spojrzenia, które miał przed ledwie kilkoma minutami.

- Polubi pani Daphne - rzekł. - To najbardziej twórcza osoba, jaką poznałem w życiu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Noah Jordain wlał do garnka bulion z kurczaka, dodał dwie łyżki stołowe oleju i wyspał filiżankę ryżu. Czekając, aż całość się zagotuje, nalał sobie podwójnego bourbona Maker's Mark i pociągnął łyk.

Ze szklanką w rękę wyszedł z kuchni do dużego pokoju i włożył płytę CD do swojego ekskluzywnego stereo marki Bose. Noah mieszkał w znacznie bardziej luksusowych warunkach, niż mogłaby sobie na to pozwolić większość detektywów z nowojorskiej policji, ale miał dodatkowe dochody: grał i komponował jazz, na tyle dobry, że za tantiemy z Amerykańskiego Stowarzyszenia Kompozytorów, Autorów i Wydawców mógł sobie kupić apartament na Greenwich Village i trochę artystycznych mebli.

Wróciwszy do kuchni, przykrył gotujący się ryż. Gotowanie było dla niego zajęciem relaksującym, tak jak kiedyś dla jego ojca, jednego z najtwardszych gliniarzy w wydziale Nowego Orleanu. Jambalaya była jego specjalnością i ilekroć przyrządzał to danie, myślał o swoim staruszk. Andre Jordain był szanowanym policjantem z trzydziestoletnim stażem, kiedy ktoś go wrobił.

On i jego partner, Pat Nagley, rozbili gang kokaino-

wy. Wydawało się, że to prosta, czysta sprawa, dopóki obrona nie przedstawiła dowodów na to, że Andre i Pat byli opłacani przez pięć lat, biorąc dolę od jednego z dealerów, aż w końcu go przycisnęli, gdy odmówił płacenia więcej.

Noah i cała jego rodzina wiedzieli, że to oskarżenie zostało sfabrykowane. Owszem, jego ojcu zdarzało się za dużo wypić i czasami ponosił go temperament; owszem, był flirciarzem. Ale skorumpowanym glina? Wykluczone. Ktoś musiał być na żołdzie gangu, ale nie Andre Jordain. Noah poprzysiągł sobie, że pewnego dnia oczyści imię ojca.

Właśnie to sprowadziło go do Nowego Jorku cztery lata temu. Słyszał, że tamten dealer miał powiązanie z kimś wysoko postawionym w policji nowojorskiej.

Po kolejnym łyku bourbona Noah podniósł przykrywkę, powąchał aromatyczny wywar i zamieszał w garnku. Potem zabrał się do przygotowania reszty składników, zaczynając od wrzucenia na patelnię pikantnej kiełbasy andouille. Pokroił w paski czerwoną i zieloną paprykę, pęczek dymki, posiekał trochę pomidorów, następnie wyjął kiełbasę na papierowy ręcznik, by odsączyć tłuszcz. Włożył na patelnię małe porcje kurczaka, podsmażył krótko i w końcu dodał warzywa.

Wciągając w nozdrza aromaty gotowania, Noah poczuł pierwsze ukłucie tęsknoty za domem, kiedy zadzwonił telefon. Ostry dźwięk wdarł się nieprzyjemnie w łagodne jazzowe nuty Dizzy Gillespiego. Choćby nie wiem jak chciał, Noah nie mógł ignorować telefonów. To było to, czego nie znosił w swoim zawodzie.

Dzwonił Mark Perez.

- Noah, właśnie dostałem wiadomość od Betsy Young z „Timesa”... - Nie musiał kończyć.

- Numer dwa?
 - Tak.
 - Wiedzą, kto to jest?
 - Mówią, że nie.
 - A ile mieliśmy zgłoszeń zaginięć w ciągu ostatnich dni? Sto, dwieście?
 - Najmarniej.
 - Co było w kopercie?
 - To samo co poprzednio, trzy zdjęcia i kosmyk włosów.
 - Nie jedziemy do nich. Każ komuś przywieźć Betsy Young z dowodami do komisariatu.
 - Nie ma sprawy.
 - I zadzwoń do Butler. Niech czeka na Betsy i piorunem zanieś zdjęcia do laboratorium.
 - Przyjechać po ciebie?
- Noah spojrzął na zegarek. Była ósma.
- Jadłeś już?
 - Nie.
 - Jesteś głodny?
 - A co pichcisz?
 - Jambalayę.
 - Jestem głodny.
 - Dobra, to wpadnij. Zjemy w dziesięć minut i pojedziemy na spotkanie z prasą. Lepiej bić się z pełnym żołądkiem.
 - Zdajesz sobie sprawę, że będzie wściekła, że kazaliśmy jej czekać.
 - Nie każemy jej czekać. Powiedz Butler, żeby z nią pogadała.
 - Nie wyrobi się przez nas z materiałem do... - Perez urwał w pół zdania. - Jasne, przecież o to ci chodzi, żeby nie puścili tego jutro rano.
- Noah odłożył słuchawkę i westchnął. Pierwszy materiał w gazecie informujący o morderstwie Nowy

Jork i resztę świata był policzkiem dla niego i dla reszty wydziału. To, że gazeta dowiedziała się pierwsza, **jest** kompromitujące.

Co gorsza, oni w dalszym ciągu nie mieli błędnego pojęcia, co się stało z Maurem. Ale żeby druga taka sama ofiara...? I żeby znów „Times” dowiadywał się pierwszy?

Spojrzał rzewnym wzrokiem na napoczętego bourbona, ale nie podniósł więcej szklanki. Jest z powrotem na służbie.

Zwykle Wydział Specjalny nie dowiaduje się ostatni. Ktokolwiek stoi za tymi morderstwami, chce, by dziennikarka „Timesa” dostała informację przed policją.

Z jakiego powodu?

Skończyli po porcji z dokładką - bez piwa, na które mieli ochotę, ale czekały ich obowiązki - w piętnaście minut. Wystarczająco długo, żeby przetrzymać nieco dziennikarkę.

Pożarli tę pikantną specjalność Nowego Orleanu, jakby to mógł być ich ostatni posiłek w życiu. Przynajmniej ostatni dobry posiłek. I rzeczywiście mógł być ostatni przed długim postem. Nie mieli pojęcia, ile informacji będą musieli tego wieczoru zdobyć. Może być i tak, że nie wychylą nosa z komisariatu przez dobę albo dwie.

- Jeśli w ciągu kilku dni mamy dwa identyczne morderstwa... - zaczął Noah Jordain, kiedy wsiedli do samochodu Pereza.

- Nie wymawiaj w złą godzinę - poprosił błagalnie przyjaciel.

Ale Noah musiał to powiedzieć. Musiał nadać temu powagę i nazwać rzeczy po imieniu.

- Jeśli były dwa morderstwa, może być trzecie.

Ostatnia rzecz, której nam trzeba, to następny serial.
Jeszcze się nie pozbialiśmy po poprzednim.

- Może to było tylko wzorowane na morderstwie
z poprzedniego tygodnia.

- Może śnisz. - Noah ciężko westchnął.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

- Gdyby pani dostała następną taką przesyłkę, proszę jej nie otwierać, dopóki nie obejrzy tego jeden z nas - zwrócił się Noah Jordain do Betsy Young.

Była za piętnaście dziewiąta. Dwaj detektywi siedzieli naprzeciwko dziennikarki i funkcjonariuszki Butler w wewnętrznym pokoju komisariatu - obskurnym pomieszczeniu ze zdezelowanym stołem i ośmioma krzesłami, które różniły się stopniem wysłużenia od starego i wygodnego po bardzo stare i prawie nienadające się do użytku. Brakowało okien, a białe niegdyś ściany były brudne i pożółkłe jak zęby starego zatwardziałego palacza.

Piankowe kubki z kawą i puszki z dietetycznymi napojami stały na podłodze przy ich krzesłach. Na stole rozłożone były dowody rzeczowe, które przyniosła Betsy Young.

- Oczekiwanie na wasze przybycie mogło mi przeszkodzić w zrobieniu materiału - rzekła Betsy, mierząc Noaha agresywnym wzrokiem.

Poczuł się zaskoczony. Ta kobieta wyraźnie go prowokuje, nie tylko w sensie zawodowym. Drapieżny seksualnie błysk w oczach wydał mu się odpychający.

Odsuwając na bok osobiste wrażenia, pochylił się

ku niej, dostosowując swój język ciała do jej gestów, zmuszając nawet usta do uśmiechu.

- Rzecz w tym, że jeśli pani otworzy te koperty i obejrzy ich zawartość pierwsza, zaszkodzi pani naszemu śledztwu.

Betsy nie odpowiedziała. Wpatrywała się w trzy błyszczące fotografie formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć, ułożone na środku porysowanego stołu. Noah oglądał je kilkanaście razy, ale zrobił to jeszcze raz. Betsy zidentyfikowała mężczyznę jako Timothy'ego Wheatona i nietrudno było potwierdzić, że ma rację; pani Wheaton dostarczyła policji zdjęcia męża, kiedy zgłosiła jego zaginięcie.

Wheaton był lekko po trzydziestce. Niski, ale dobrze zbudowany. Miał zamknięte oczy, nieznaczne siniaki na nadgarstkach i wokół kostek. Był sztywny jak kamienny anioł z nagrobka ojca Noaha Jordaina.

Ten mężczyzna został ułożony dokładnie tak samo jak Philip Maur, i zdjęcia z obu kompletów były robione pod identycznym kątem.

Trzy ujęcia. Jedno na męskie stopy z numerem dwa narysowanym na podeszwie czerwonym tuszem. Drugie obscenicznie skupione na penisie mężczyzny. I trzecie pokazujące całe jego ciało.

Poza fotografiami na stole było jeszcze coś: niewinna plastikowa torebka. W środku tylko jedna rzecz: kosmyk rudawozłotych włosów długości około czterech centymetrów.

Betsy odchyliła się na krześle, zwiększając nieco dystans do Noaha.

- Przypuszczam, że moglibyśmy zawrzeć pewien układ. Pozwólcie mi się kręcić koło was w czasie trwania śledztwa. Wpuście mnie, cholera, do swoich tylnych kieszeni spodni. Pozwólcie mi słyszeć i wi-

dzieć wszystko, co się dzieje. Tylko mnie. Żadnemu innemu dziennikarzowi.

Pierwszą myślą Noaha było zdecydowanie odmówić. Perspektywa spędzania całych dni z tą bezczelną kobietą zupełnie mu się nie uśmiechała.

- Przefaksuje nam pani wszystkie swoje artykuły w wieczór przed wypuszczeniem ich do druku? Tak na wszelki wypadek. Nie chodzi o żadne ingerencje redakcyjne.

Bijąc się przez chwilę z myślami, Betsy skinęła w końcu głową.

- Okej.

Mark Perez ani drgnął, ale jego partner widział, jak leciutko uniosły mu się brwi. Tymczasem Betsy pożądliwie błyszczały oczy. Jej zachłanność, jawna żądza sukcesu budziły w Noahu dreszcze. Sposób, w jaki naśladowała najgorsze cechy męskie, wydawał mu się godny litości.

Dlaczego ta kobieta tak demonstruje swoją bezwzględność? Nie rozumie, o ile silniejsze są kobiety od mężczyzn, nawet jeśli ubierają się w różowe bliźniaki? Był zdziwiony, że w środku tego trudnego i denerwującego spotkania, mając przed oczami te przygnębiające zdjęcia, nagle zaczął myśleć o takich rzeczach.

- Jeszcze jedno - oświadczyła. - Moja praca polega na zdobywaniu newsów. Coraz trudniej to robić, kiedy całodobowe stacje informacyjne nadają świeże wiadomości dzień i noc. Chcę mieć gwarancję, że jeśli wpuszczę was do redakcji i pozwolę wam pracować nad tą sprawą, zanim materiał ukaże się w gazecie, nie będziecie składali oświadczeń innym przedstawicielom prasy, jak tylko wyjdziecie za próg.

Choć nie bez przykrości, Noah musiał przyznać, że rozumie jej problem, ale nie przywykł do targowania

się z gazetą. Z drugiej strony, nigdy dotąd nie miał do czynienia z tak szczególną sytuacją.

Okazało się, że spośród tysięcy zaginionych ludzi dwaj mężczyźni zostali zamordowani w ciągu kilku dni w identyczny sposób. Nie było absolutnie żadnych domysłów co do miejsca zbrodni ani tego, co się wydarzyło. Jasny gwint.

Sprawa jest zwietrzała od samego początku. Nie mają się na czym zaczepić. Żadnych tropów. Wałkował w myślach na okrągło te same pytania. Dlaczego zdjęcia? Dlaczego ścięte włosy? Dlaczego ci dwaj mężczyźni? Co mieli ze sobą wspólnego? Kim byli dla swego napastnika? I dlaczego jedyny komunikat od mordercy był adresowany bezpośrednio do Betsy Young z „New York Timesa”, a nie do policji?

- Jak pani wpadła na nazwiska tych mężczyzn?
- spytał Mark.

Noah wiedział, o czym myśli jego partner. Może dziennikarka ukrywa coś w zanadrzu? List? E-mail? W kopertach poza zdjęciami i włosami nie było niczego, co identyfikowałoby ofiary.

- Pisaliśmy o Philipie Maurze, kiedy zgłoszono jego zaginięcie. Był nie byle kim. Zapamiętałam jego twarz.

Noahowi nie spodobał się sposób, w jaki to powiedziała. Trochę za gładko. Nie zastanawiał się jednak nad tym dłużej.

- A skąd pani wiedziała, kim jest Timothy Wheaton? - spytał Mark.

- Tak samo. Z rejestru osób zaginionych. On jest synem znanego pisarza.

- O nim też pisaliście?

- Ja osobiście? Nie.

- A gazeta?

- Tak, ale nie w tak widocznym miejscu **jak** o Maurze.

- A jednak pani go rozpoznała?
- Nie od razu. Przejrzałam wszystkie wzmianki o zaginionych ludziach z kilku ostatnich tygodni, zakładając, że coś znajdę.

- I znalazła pani.

- Znalazłam - odparła lakonicznie.

Mark Perez zerknął na partnera - dając do zrozumienia, że wyczerpał swoje pytania. Noah **miał** jeszcze tylko jedno.

- Betsy, umowa stoi?

- Daje mi pan pełną wyłączność?

- Nie będę składał żadnych oświadczeń **prasie**, dopóki nie puści pani swojego materiału.

- Z wyjątkiem mnie.

- Z wyjątkiem pani, kiedy nic nie będzie stało na przeszkodzie.

- Nie podoba mi się ostatnia część. Umowa nieaktualna.

W drodze do komisariatu Noah skonsultował się z komórką prawną wydziału. „New York Times” nie musi spełniać żądań policji. Przesyłki były adresowane imiennie do Betsy Young, i choć teoretycznie mogli wystąpić o nakaz sądowy, by przechwytywać pocztę dziennikarki, zdaniem prawników byłoby lepiej, gdyby Noah skłonił gazetę do współpracy.

„The Times”, powiedział mu jeden z radców prawnych, Jest najbardziej liczącym się dziennikiem w Nowym Yorku i całym stanie, a właściwie, wielu tak uważa, w całym kraju. Wygodniej byłoby uniknąć występowania przeciwko Szarej Damie. Stałoby się to sensacją samą w sobie i morderca mógłby zrezygnować z przysyłania czegokolwiek”.

Nie to Noah chciał usłyszeć, ale wiedział, że musi sobie z tym jakoś poradzić. Albo pójść na całość.

Wstał. Mark Perez tylko kilka sekund po nim.

- Zrobiliśmy, co w naszej mocy, żeby z panią współpracować. Jeśli odrzuci pani moją prośbę, będę zmuszony wystąpić o sądowy nakaz przejęcia pani poczty.

Betsy wyjęła z torby komórkę, wybrała numer i powiedziała tylko trzy słowa:

- Nie ma zgody.

Słuchała przez chwilę, potem wręczyła telefon Jordainowi.

- Mój szef chciałby z wami pogadać.

- Witam, panie Hastings. Wygląda na to, że naknęliśmy się na pewien problem. Do pani Young zupełnie nie dociera fakt, że mamy na wolności mordercę i potrzebujemy waszej współpracy w śledztwie. Naprawdę wolałbym to niż występowanie do sądu O nakaz, który was do tego zobowiąże.

- Ma pan wszelkie szanse dostać taki nakaz, detektywie. I wszelkie szanse, że go panu odmówią. Pani Young prosi o coś, czego zagwarantowanie leży ściśle w pana gestii. Wyłączność informacji w zamian za to, że otworzymy przed wami drzwi.

- Tu stawką jest ludzkie życie, a pan się targuje?

- W głosie Noaha zabrzmiała złość.

- Wydaję gazetę i staram się być ugodowy.

Noah mówił do telefonu, ale patrzył na Betsy.

- Nie. Prosi pan o wiele więcej, niż ktokolwiek mógłby panu dać. Oto moja propozycja, Hastings. Jeszcze raz. Po raz ostatni. Codziennie rano nasz człowiek będzie przeglądał u was pocztę. Cokolwiek podejrzanego znajdzie, wykona dwa telefony. Jeden do mnie albo detektywa Pereza, drugi do pani Young. A ona poczeka na nas, zanim otworzy przesyłkę. I chcę, żeby wstrzymał się pan z drukiem każdego artykułu na ten temat, dopóki nie powiemy, że nie mamy zastrzeżeń.

- Jak długo?
 - Trudno mi powiedzieć. Zależy, co będziemy musieli zrobić.
 - Jeżeli zajmie wam to zbyt dużo czasu, możemy stracić naszą wyłączność.
 - Mało prawdopodobne. Jeśli ktokolwiek coś wyęszczy, będzie musiał zadzwonić do nas, żeby to potwierdzić, a my tego nie zrobimy, dopóki nie zwolnimy waszego materiału.
 - Nie powiem, żeby mi się to podobało.
 - Wcale się nie dziwię, ale to nie jest jakaś tam wiadomość. Chodzi o morderstwo. I to bardzo skomplikowane. A my nie mamy żadnego punktu zaczepienia poza tym, co przychodzi do was.
- Jedno, co mnie martwi w tej przemiłej współpracy między nami a „Timesem” - powiedział Mark Perez po wyjściu Betsy Young - to że morderca osiąga dokładnie to, czego chce i co sprawi mu satysfakcję. Wysłała te zdjęcia do „Timesa” zamiast do nas, bo chce, żeby o nim pisali w gazecie. A my na to pozwalamy.
- To nie my na to pozwalamy. Pozwala na to konstytucja Stanów Zjednoczonych.
- Mark pokiwał głową. Obaj byli wystarczająco długo gliniarzami, by zdawać sobie sprawę, że respektowanie wolności obywatelskich nie zawsze ułatwia pracę policji.
- Nie ma się co żalić, nie ma się komu żalić. Musimy się trzymać prawa.
 - Poza sytuacjami, w których nie ma prawa.
 - O czym ty mówisz?
 - Nie sądzę, żeby było jakieś prawo mówiące, że musimy pamiętać o dzwonieniu do Betsy i wtajemniczaniu jej w postępy śledztwa. Żadne prawo nie każe

nam składać raportów dziennikarzom. I nie ma prawa mówiącego, że musimy się spieszyć ze zgodą dla „Timesa” na puszczanie następnego artykułu. Czy, nie daj Boże, kolejnych artykułów.

- Na pewno im się to nie spodoba.
- Przeżyjemy.
- Mogą wziąć odwet.
- Mogą, ale nie wezmą. Policja nowojorska ma układ z gazetą. Nie dałbym złamanego grosza za Young, ale Hastings myśli perspektywicznie i nie będzie dla jednej sprawy ryzykował, że przestaniemy z nim współpracować. Zwłaszcza że ma świadomość, że to, na co się zgodził, jest rozsądne.

- Więc któregoś dnia, kiedy będziemy pamiętali, żeby to zrobić, zadzwonimy do Young, powiemy jej o swoich planach, zabierzemy ją na przejażdżkę i potrzymamy w samochodzie na pustym rogu ulicy w porze, kiedy księżyc już zaszedł, ale nie wstało jeszcze słońce.

- Wyjąłeś mi to z ust. Tymczasem niech się zajmą w laboratorium tą próbką włosów i tymi zdjęciami. I módlmy się, żeby wynikła z tego jakaś informacja, której Young nie spaliła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Telefon zadzwonił dokładnie za trzynaście siódma wieczorem. Rozmówczyni musiała chodzić kiedyś na terapię albo mieć dostateczną wiedzę o terapeutach, by wiedzieć, że pacjenci zawsze opuszczają gabinet kwadrans przed pełną godziną.

Przedstawiła się jako Betsy Young i powiedziała, że jest dziennikarką z „New York Timesa”. Skojarzyłam jej nazwisko z artykułem o wydarzeniu, które sprowadziło do mnie Szkarłatne Stowarzyszenie.

- W czym mogę pani pomóc, pani Young?

- Zastanawiałam się, czy nie zechciałyby pani odpowiedzieć na kilka pytań. - Jej głos był niski i dość serdeczny, i brzmiał mi trochę znajomo, ale nie mogłam go z nikim skojarzyć.

- Czego miałyby te pytania dotyczyć?

- Morderstwa Philipa Maura. Widziała pani zdjęcie, które ukazało się w gazecie wraz z artykułem?

Czy to może być przypadek, że „New York Times” dzwoni do mnie - terapeutki pracującej ze Szkarłatnym Stowarzyszeniem - z prośbą o komentarz? Oczywiście, że nie, ale skąd mógł pochodzić przeciek, że jestem w tę sprawę zaangażowana?

Shelby Rush rozesłała wiadomość do wszystkich,

którzy byli związani z klubem, przedstawiając mnie i Instytut Butterfielda i sugerując, że każdy, kto ma potrzebę skorzystania z pomocy psychologicznej, może się ze mną skontaktować. Czyżby ktoś ze stowarzyszenia przesłał tę wiadomość do dziennikarki i dlatego do mnie zadzwoniła?

Oczywiście. Wszystko było możliwe, ale nie mogłam spytać o to pani Young bez naruszenia poufności mojej wiedzy.

- Owszem, widziałam zdjęcie i czytałam artykuł, ale nie rozumiem, dlaczego dzwoni pani w tej sprawie do mnie.

- Zdjęcia, które otrzymaliśmy, ale nie zamieściliśmy ich w tym materiale, każą przypuszczać, że to była zbrodnia na tle seksualnym i...

- Powinna pani porozmawiać o tym z policją.

- Rozmawiałam. Oni też tak uważają. Czy mogę pani powiedzieć, na jakiej podstawie?

- Naprawdę nie sądzę, żebym była uprawniona...

Przerwała mi i jednym tchem zaczęła opisywać zwłoki Maura:

- Na ciele były widoczne zasinienia wokół nadgarstków i kostek oraz na jądrach. Poza tym jedno z ujęć było skierowane na jego genitalia. Myśli pani, że to ważne?

- Nie mogę udzielać tego rodzaju komentarzy. Nie widziałam tych zdjęć.

- A gdybym wysłała pani cały komplet, przyjrzała by się im pani?

- Nie, przykro mi, ale...

- Detektyw Jordain zasugerował, żebym zdobyła drugą opinię.

- Ode mnie? - Jego nazwisko zbiło mnie z tropu.

Musiałam zmusić się do skoncentrowania na słowach dziennikarki, zamiast myśleć o tym, co wydarzyło się przed czterema miesiącami.

- **Współpracowała** pani z **detektywem w sprawie** Mordercy Magdalenek, prawda?

- Nie mogę o tym dyskutować.

Nie miałam ochoty myśleć o tamtych morderstwach ani o detektywie, który prowadził śledztwo. Zwłaszcza podczas rozmowy przez telefon z jakąś dziennikarką, bo to wymagałoby ode mnie pełnego skupienia. Nie mogłam sobie pozwolić na najmniejszą nieostrożność.

- Pani Young, czy detektyw zasugerował, żeby zwróciła się pani do mnie? Chyba nie to miała pani na myśli.

Usłyszałam jej nerwowy oddech.

- Pisano, że pracowała pani z jedyną ofiarą mordercy, której udało się przeżyć. Chodziły nawet plotki, że to pani uratowała jej życie i naprowadziła policję na ślad mordercy. Ponieważ jest pani seksuologiem, a ta nowa sprawa wskazuje na jakiś rodzaj przemocy seksualnej, pomyślałam, że byłoby świetnie zacząć od pani opinii. A więc, pani doktor, czy mogę zadać pani kilka pytań?

- Może pani, aleja nie mogę obiecać, że odpowiem.

- Na tym zdjęciu, które ukazało się w „Timesie”, zauważyła pani, że pan Maur miał narysowany na obu podeszwach numer jeden?

- Tak, widziałam to.

- Czy to może oznaczać, z punktu widzenia psychoterapeuty, że będzie więcej ofiar? Numer dwa, trzy i tak dalej?

- Tak. Ale nie z punktu widzenia psychoterapeuty, lecz na zdrowy rozum.

- I mogę się w tym powołać na panią?

- Jeśli pani chce, to chyba nie ma przeszkód.

- Dziękuję. A czy domyśla się pani, jaki rodzaj gry seksualnej może wchodzić w grę, jeśli mężczyzna ma sine nadgarstki, kostki i jądra?

- Sine przebarwienia często wskazują na sadomasochizm. Fizyczne skrępowanie wzmaga zarówno poczucie dominacji, jak i uległości. Mogły być jednak inne przyczyny, dla których pan Maur został związany, nie mające nic wspólnego z sadomasochizmem.

- Dziękuję, doktor Snów - powiedziała i rozłączyła się, a ja patrzyłam na telefon i dopiero gdy moje myśli przeskoczyły od Betsy Young i jej motywacji do Noaha Jordaina, wstałam gwałtownie i odsunęłam krzesło.

Zdecydowałam, że muszę porozmawiać z Simonem Weissem o pacjencie, którego chciałam do niego skierować. Wiedziałam, że będzie w swoim gabinecie, bo niedawno widziałam, jak przechodził korytarzem. To było ważne - oderwać się od mojego biurka, moich papierów, mojego telefonu. Odwrócić myśli od detektywa Noaha Jordaina i czasu, który z nim spędziłam.

Nie przyszło mi do głowy, by zastanowić się, dlaczego Betsy Young pisze kolejny artykuł o Philipie Maurze, ale tego miałam się dowiedzieć już wkrótce.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Następnego dnia wyszłam z instytutu o wpół do dziewiątej, po ostatniej sesji. Nie czułam w powietrzu chłodu, toteż moja czarna skórzana kurtka była w sam raz na wieczorny spacer. Przyglądałam się ludziom na ulicy, wracającym do domu albo idącym gdzieś na kolację. Zatrzymywałam się przy wystawach butików, które oferowały luksusowe dobra nie na moją kieszeń. W jednym ze sklepów wypatrzyłam kuszącą parę wysokich czarnych botków, w innym prosty, ale elegancki kostium z granatowego jedwabiu. Za żadne zarobki w instytucie nie mogłabym sobie pozwolić na tak nieprzyzwoicie drogie rzeczy.

Donikąd się nie spieszyłam tamtego wieczoru, bo ojciec Dulcie odebrał ją z próby i byłam sama. Miała zostać u niego na cztery dni. Zwykle to był jeden tydzień w miesiącu plus co drugi weekend, ale mój były mąż miał zdjęcia poza Nowym Yorkiem w tygodniu, w którym nasza córka miała mieszkać u niego, więc zmieniliśmy grafik.

W nic, co kiedykolwiek osiągnęłam w życiu, nie włożyłam więcej wysiłku niż w przyjazne rozstanie z Mitchem, nie zapominając tamtego strasznego roku, kiedy moja matka porzuciła mojego ojca i zamiesz-

kałyśmy razem w małym obskurnym mieszkaniu na Lower East Side. Umarła po roku, zostawiając mnie z przekonaniem, że nie byłam wystarczająco mądra, by ją uratować. A tak bardzo się starałam. Przez cały długi rok.

Moja matka często była chora, a wtedy robiłam dla niej to, co ona robiła dla mnie, kiedy chorowałam: opowiadałam jej historyjki, które znałam na pamięć.

Siadałam przy niej na sfatygowanej kanapie, która służyła jej za łóżko, trzymałam ją za rękę, odżywiałam krakersami i napojem imbirowym, i odgrywałam kolejne odcinki jej telewizyjnego serialu. A kiedy zabrakło mi prawdziwych, wymyślałam nowe.

Na koniec zawsze wygłaszałam ostatnią kwestię drugiej bohaterki.

- A co było dalej?

- I wszyscy żyli długo i nieszczęśliwie - mówiła moja matka głosem jakby z oddali.

Bez względu na to, jak źle się czuła, zawsze pamiętała to ostatnie zdanie swojej roli, zdanie, którym kończyła każdy odcinek. Moim powracającym marzeniem było, żeby w końcu zmieniła to zakończenie na inne: „I wszyscy żyli długo i szczęśliwie”.

Ale to było tylko marzenie. A kiedy dorosłam na tyle, by zrozumieć, że moja matka zwykle nie była chora, tylko pijana, i że prawdopodobnie nie chwyciła nawet sensu moich słów, było za późno. Wiedziałam już, że ją zawiodłam. Nie umiałam jej ocalić:

Byłam na rogu Siedemdziesiątej Ulicy i alei Madisona, kiedy zadzwoniła moja komórka. Nie zatrzymując się, wyjęłam ją z torby. Gdyby nie troska o Dulcie, nie wiem, czy w ogóle odbierałabym to świństwo. To nie w porządku, że nigdy nie możemy uciec przed ludźmi, którzy mają do nas sprawę.

Zamiast imienia przeczytałam na wyświetlaczu

„rozmówca prywatny”, a że istniało prawdopodobieństwo - choćby niewielkie - że telefon dotyczy Dulcie, odebrałam.

- Halo?

Doszłam do skrzyżowania w momencie, gdy zapaliło się czerwone światło i czekając, usłyszałam własne imię wypowiedziane męskim głosem:

- Morgan.

To było tak, jakby wypróbowywał jego brzmienie, jakby przeobrażał je z myśli w słowo, jakby nie słyszał go albo nie wymawiał od długiego czasu i nie był pewien, czy robi to dobrze, jakby to była nazwa egzotycznej przyprawy w sklepie, w której jest wiele rzeczy, o których się nigdy nie słyszało.

Rozejrzałam się wokół, zastanawiając się, dokąd pójść. Dokąd uciec od tego głosu, bo naprawdę nie chciałam go słyszeć, ale nie było takiego miejsca. Nigdy nie ma, jeśli problem tkwi w naszej własnej głowie.

- Cześć, Noah.

Usłyszałam, jak detektyw bierze oddech. Nagle wyobraziłam sobie jego twarz, z bliska, tak jak wyglądała tamtej jedynej nocy, którą spędziliśmy razem, przed kilkoma miesiącami. Jak to możliwe, by mężczyzna, z którym nie rozmawiałam od miesięcy, wprawił w drżenie moją rękę - tę, w której trzymałam telefon. On jest tylko policyjnym detektywem z Nowego Orleanu. Poza tym, że gra na fortepianie cudowny jazz, gotuje jak szef kuchni w pięciogwiazdkowej restauracji, kocha jak marzenie, i intuicyjnie wie o mnie więcej, niż chciałam, by wiedział ktokolwiek.

- Co u ciebie? - spytał.

Brzmienie jego głosu przypomniało mi o palcach gładzących moją twarz. O tym, jak czułam się w jego ramionach. O smaku jego ust. Powstrzymałam lawinę wrażeń i zmusiłam się do mówienia.

- W porządku, nic specjalnego. Jestem trochę przepracowana.

- Jeśli się do tego przyznajesz, choćby nieśmiało, to sytuacja musi być ekstremalna.

Roześmiałam się. Czy naprawdę nasza znajomość trwała kilka tygodni? Przestań myśleć, powiedziałam sobie w duchu. Dowiedz się, czego chce i skończ rozmowę.

- Więc w czym ci mogę pomóc, Noah? - spytałam, skręcając się z zażenowania. Skąd mi się brało? Dlaczego zawsze, kiedy z nim rozmawiałam, słyszałam w swoim głosie ten flirtujący ton?

Chciałam, by jak najszybciej powiedział, o co chodzi i dał mi święty spokój. Nagle poczułam się kompletnie wyczerpana.

- Chciałem zapytać, czy masz trochę wolnego czasu, żeby się ze mną spotkać. W moim biurze czy w twoim, albo, jeśli przypadkiem jesteś tak głodna jak ja, może moglibyśmy pójść na kolację.

- Miałam zamiar oddzwonić - wymamrotałam, nie zdając sobie sprawy, że to nielogiczne.

- Nie, nie miałam zamiaru.

Nie odezwałam się.

- Morgan?

- Tak?

- Gdzie jesteś? Zjedźmy jakąś kolację.

Zatrzymałam się i oparłam o czerwony mur kościoła Świętego Jakuba. Wieczorne niebo zmieniło kolor z elektryzującego kobaltowego błękitu na niebieskawą aksamitną czerń i miałam wrażenie, że jeśli Noah nie przestanie mówić, będę tam stała tak długo, aż pojawią się gwiazdy i nawet nie zauważę, że upłynął jakiś czas.

- Jestem tutaj. - Nie, to bez sensu. - Mówiąc dokładnie, jestem na ulicy Siedemdziesiątej Pierwszej.

Wyszłam z instytutu. - Niedobrze, pomyślałam. To nie brzmi, jakbym panowała nad sytuacją.

- Więc gdzie możemy się spotkać? Muszę z tobą pogadać. Muszę zapytać, w jaki sposób jesteś zamieszana w sprawę śmierci Timothy'ego Wheatona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Dwadzieścia minut później szef sali prowadził mnie do okrągłego stołu dla dwojga w tylnym kącie włoskiej restauracji Nicola's. Dla ludzi mieszkających na Upper East Side od trzydziestu lat jest ona miejscem, w którym czują się jak w domu. Od dziecka, przynajmniej raz w miesiącu, jadałam tam kolację z moim ojcem i Kristą. Była to bezpretensjonalna, przyjazna, pełna zgiełku knajpka udekorowana obwolutami książek z autografami autorów, okładkami albumów i zdjęciami bardziej znanych gości.

Zaproponowałam tam spotkanie, bo była to najmniej romantyczna restauracja, która przyszła mi do głowy w momencie, gdy rozmawiałam przez telefon.

Noah jakimś cudem przyszedł pierwszy i, co równie zadziwiające, biorąc pod uwagę liczebność tłumu czekającego przy barze, zdobył jeden z niewielu stolików, przy których dało się spokojnie rozmawiać. Pomyślałam, że nie spytam, jak mu się to udało. Nie chciałam okazywać, że jestem pod wrażeniem.

Kiedy się zbliżałam do stołu, uniósł głowę znad sterty papierów, które czytał. Wpił wzrok w moje oczy. To spojrzenie przeszło mnie na wskroś, jak podmuch gorąca w zimowy wieczór.

Kelner odsunął moje krzesło.

- Strasznie miło cię widzieć - powiedział Noah swoim śpiewnym akcentem, który sprawiał, że każde słowo brzmiało trochę egzotycznie. Zobaczyłam, że zamówił butelkę wina. Jeden kieliszek, już napełniony, czekał na mnie.

- Wzajemnie. - Mój głos zabrzmiał zimno. Noah albo to zignorował, albo nie zauważył.

- Napij się wina. I zjedz trochę czosnkowego chleba. - Podsunął mi koszyk z pieczywem. - Założę się, że nic dzisiaj nie jadłaś. Może poza pojemniczką jogurtu. I połówką bajgla.

Nie chciałam sprawiać mu satysfakcji, przyznając, że trafił w dziesiątkę.

- Co słyhać u Dulcie? Jak tam jej próby? - spytał.
- Chyba niedługo premiera.

Upiłam łyk wina. Potem jeszcze jeden, zanim zebrałam się do odpowiedzi.

- Premiera jest w styczniu. Dulcie ciężko pracuje. Za ciężko, jeśli miałabym wyrazić własną opinię, ale ona to uwielbia. Za dwa tygodnie jadą do Bostonu na pokaz przedpremierowy.

- Czy w związku z tym jest równie zdenerwowana jak ty?

Poznałam go w czerwcu i widziałam się z nim z sześć razy, z czego większość w sprawach zawodowych, bo wówczas Noah tropił seryjnego mordercę, a jednak doskonale wiedział, co czuję. Nie znosiłam go za to.

Moja praca polegała częściowo na tym, by panować nad emocjami - nigdy nie dać po sobie poznać, jak reaguję na zwierzenia pacjentów - i byłam w tym na tyle dobra, że nawet mój były mąż, z którym przeżyłam szesnaście lat, nie zgadywał, co się kryje za moim nijakim wyrazem twarzy.

A Noah wiedział.

- Boi się. Ale oczywiście jest podniecona. To ogromna rola. Nie występuje tylko w dwóch scenach. Ma trzy partie solowe i sześć zespołowych. - Pokręciłam głową. - Nie wiem, czego jej życzyć. Jeśli odniesie sukces, boję się, że zechce następnych, a naprawdę przeraża mnie pomysł, żeby teatr - albo, co gorsza, film - pozbawił ją dzieciństwa. - Wypiłam następny łyżeczek wina, które było tak delikatne, że czułam w ustach dotyk aksamitu. -I równie bardzo się boję, że jeśli nie wypadnie dobrze, będzie się czuła okrutnie zraniona. Ona jest w tak trudnym wieku. Jeszcze nie dorosła, ale już nie jest małą dziewczynką.

Słuchał uważnie, czytając z mojej twarzy, moich min, zwracając uwagę na to, co mówię i czego nie mówię. Właśnie to robił. Słuchał mnie. To w ten sposób mnie uwiódł, zadając pytania, których nikt nigdy mi nie zadawał: jak się czuję, słuchając przez cały dzień pacjentów, jak to jest chłonać ich cały ból i zmieszanie i przetwarzać to. Przez jakiś czas upajałam się jego pytaniami. Mówiłam i mówiłam. Gorączkowo. Dziko. Bez opamiętania. Jak motyl złapany w siatkę i nagle, po godzinach, wypuszczony na wolność.

Później do mnie dotarło, że gdybym pozwoliła sobie zobaczyć się z nim znowu, nie byłabym w stanie zataić niczego. Było to niepokojące, dziwne, całkowicie obce mi uczucie.

To było tak, jakbym dostała pudełko wyśmienitych czekoladowych trufl i zamiast je odłożyć i zjadać po jednej od czasu do czasu, delektując się nimi, wyrzuciła całe pudełko, nie wierząc, że stać mnie na umiar. I nie żałowałam swojej decyzji.

Przynajmniej tak mi się zdawało. Aż do owego spotkania w restauracji Nicola's.

Wyglądaliśmy jak wszystkie inne pary wokół nas. Mężczyźni i kobiety, którzy spędzili oddzielnie dzień i zeszli się na wieczór, by opowiedzieć jedno drugiemu, co im się przydarzyło i wymienić się radami.

Tyle że my nie byliśmy parą.

On był detektywem w elitarnym nowojorskim Wydziale Specjalnym i chciał ode mnie informacji. Ja byłam terapeutką seksuologiem, która nie ma prawa dyskutować o czymkolwiek, co wyszło na jaw w moim gabinecie.

Jeszcze bardziej utrudniał rozmowę fakt, że nawet nie wiedziałam, w jakiej sprawie powinnam zachować milczenie.

Podszedł kelner i Noah zamówił krewetki królewskie, linguini i sałatę fryzowaną z czosnkiem i oliwą - ani na moment nie spuszczać ze mnie wzroku. Kiedy przyszła kolej na mnie, poprosiłam o eskalopki cielece. Gdy tylko zostaliśmy sami, Noah otworzył swoją teczkę, wyjął jakiś faks i wręczył mi kartkę, nic nie mówiąc.

To był jakiś materiał prasowy. Na półtorej strony. Przeczytałam tytuł: Obraz śmierci.

Potem przeczytałam podtytuł: Istnieje obawa, że zaginiony nowojorczyk Timothy Wheaton jest drugą ofiarą.

Pod spodem nazwisko autorki tekstu, Betsy Young - dziennikarki, która zadzwoniła do mnie kilka godzin wcześniej.

- Co to jest? - Podniosłam wzrok.
- Artykuł, który wyjdzie w „Timesie” jutro rano.
- Dlaczego go masz?
- Wszystko wyjaśnię, ale najpierw to przeczytaj.

Wczorajszego popołudnia „New York Times” otrzymał przesyłkę z trzema zdjęciami syna znanego pisarza

Lesla Wheatona, Timothy'ego Wheatona, starszego wiceprezesa agencji reklamowej MLM. Zaginięcie trzydziestodziewięcioletniego Wheatona zgłosiła podczas weekendu jego żona, Linda Ravitch, mówiąc, że jej mąż nie wrócił do domu ze służbowego spotkania.

Sięgnęłam po wino. Wypiłam łyk. Uniosłam głowę znad kartki, napotkałam oczy Noaha, po czym wróciłam do czytania artykułu, z którego wynikało, że policja zbadała zdjęcia i na razie uchyła się od komentarza. Ciała Wheatona, podobnie jak ciała Philipa Maura, nie znaleziono.

Detektyw Noah Jordain z nowojorskiego Wydziału Specjalnego powiedział, że policja bada obie powiązane sprawy i obecnie rozmawia z kilkoma podejrzanymi.

- To prawda? Macie jakichś podejrzanych? - spytałam, przerywając czytanie.

Noah pokręcił smętnie głową. Ze swoją wydatną szczęką wyglądał teraz jak przed czterema miesiącami, w najgorszych dniach poszukiwania seryjnego zabójcy prostytutek, którego nazwali Mordercą Magdalenek.

- Nie mamy pojęcia, co się dzieje. - Wskazał brodą faks z artykułem. Następny akapit mnie zaskoczył, choć nie mogłam powiedzieć, że się tego w ogóle nie spodziewałam.

Doktor Morgan Snów, terapeutka seksuolog, która pracuje w Instytucie Butterfielda i która w znacznym stopniu przyczyniła się do zdemaskowania Mordercy Magdalenek, przyznała, że zdjęcia, których zdecydowaliśmy się nie publikować, mogą wskazywać na seksualne tło obu zbrodni. Na jednym z ujęć niewidocz-

ny fotograf skierował obiektyw prosto między nogi ofiary. Zdaniem doktor Snów, również sine ślady na nadgarstkach, kostkach i jądrach ofiary sugerują seksualny motyw zbrodni.

„Sine przebarwienia często wskazują na sadomasochizm. Fizyczne skrępowanie wzmacnia w grze seksualnej zarówno poczucie dominacji, jak i uległości”, powiedziała Snów.

Przeszłam do następnej strony faksu. To nie był tekst. Patrzyłam na gruboziarniste zdjęcie, na którym były podeszwy męskich stóp. Prawie identycznie wyglądało zdjęcie stóp Philipa Maura, które widziałam w gazecie.

Różnica polegała na tym, że zamiast numeru jeden na obu podeszwach, tutaj był numer dwa.

Odłożyłam kartki. Noah sięgnął przez stół, zabrał papiery i schował je do teczki, w której zapewne miał jeszcze inne zdjęcia. Nawet w restauracji, gdzie w powietrzu unoszą się setki zapachów, rozpoznawałam specyficzną ostrą woń odczynników chemicznych używanych w fotografii.

- Teraz rozumiesz, z jakiego powodu chciałem z tobą porozmawiać? Cytują twoje słowa. Dlaczego udzieliłaś wywiadu dziennikarce, która prowadzi tę sprawę.

- Zadzwoiła do mnie.

- I widziałas się z nią.

- Nie.

Nic nie powiedział, ale jego świetliście niebieskie oczy mówiły więcej niż słowa.

- O co chodzi? - zapytałam. - Dlaczego tu jestem? Bo rozmawiałam z jakąś dziennikarką?

Napił się wina, potem odłamał kawałek chleba czosnkowego i zaczął go chrupać. Noah uwielbiał

jedzenie, uwielbiał jeść, gotować i planować, co będzie jadł i gdzie. W czasie krótkiej historii naszej znajomości wziął kiedyś to, co miałam w swojej żałośnie pustej lodówce i przyrządził danie, które było pyszniejsze od wszystkiego, co zdarzyło mi się jeść w restauracjach.

- Powiem ci, co wiemy, a potem zadam ci kilka pytań. Wierzę, że mi odpowiesz. - Jego południowy zaśpiew sprawiał, że wszystkie słowa brzmiały jak muzyka, nawet te brutalne, nieprzyjemne i ostre.

- W miarę moich możliwości.

- Okej. W ciągu dwóch ubiegłych tygodni dzien-
nikarka, z którą rozmawiałaś, dostała dwie anonimowe przesyłki. Pierwsza zawierała zdjęcia zwłok Philipa Maura. W drugiej były zdjęcia zwłok Timothy'ego Wheatona. W obu przypadkach rodzina i znajomi ofiar zgłosili nam ich zaginięcie na kilka dni przed otrzymaniem zdjęć przez Betsy Young. Wszystko, co mamy, poza tymi zgłoszeniami o zaginięciu, pochodzi od Betsy. I to nam śmierdzi.

- Jak myślisz, dlaczego morderca wysłała dowód swoich zbrodni dziennikarce zamiast tobie?

Nim zdążył odpowiedzieć, przyszedł kelner z naszym jedzeniem, i Noah przestał mówić, aż wszystkie talerze znalazły się na stole. Czułam maślano-czosnkowy sos i zapach morza.

Podniósł widelec i nadział jedną krewetkę, lecz zanim włożył ją do ust, spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

- Nie jesz? Morgan, to jest gorące.

Czekałam, by usłyszeć, co ma do powiedzenia o morderstwach, ale wzięłam do ręki sztucce, ukroiłam kawałek cielęciny i włożyłam go do ust. Była pyszna i tak krucha, że mogłabym nie używać noża. Żując powoli, przyglądałam się Noahowi. Sposób, w jaki jadł, przypomniiał mi nagle sposób, w jaki się ze mną kochał, tamten jeden jedyny raz. Oddawał się przyjem-

ności bez reszty. Upajał się każdą chwilą. Delektował się. Pamiętając to tak wyraźnie, wzdrygnęłam się, ale miałam nadzieję, że Noah tego nie zauważył.

- Dlatego, że morderca chce mieć pewność, że wiadomość o tych zabójstwach ukaże się w gazecie. A ty jak myślisz?

- Myślę, że to logiczny wniosek - powiedziałam, z całej siły próbując się skoncentrować.

- Jak twoja cielęcina?

- Pyszna.

- To dobrze. Krewetki też. Chcesz spróbować? - Nie czekając na odpowiedź, nadział jedną i podał mi przez stół. Próbowałam wziąć widelec, ale go nie wypuścił: chciał mnie nakarmić. Mogłam się opierać, lecz zamiast tego zdjęłam różowy kasek zębami. Czosnek i masło zachwyciły moje kubki smakowe.

- Morgan, jakie inne powody, z psychologicznego punktu widzenia, mógł mieć porywacz, wysyłając zdjęcia do Betsy Young?

- Mógł mieć coś do policji i chciał cię w ten sposób ukarać. Może chciał cię postawić w trudnym położeniu.

- Uhm. Coś jeszcze?

- Nic, co by mi przyszło do głowy w tej sekundzie. Mogę zobaczyć zdjęcia, które masz w tej teczce? Są tu wszystkie inne?

- Nie, nie wszystkie.

- Mogę obejrzeć to, co masz?

- Nie, raczej nie.

- Dlaczego?

Nie odpowiedział, zamiast tego zadał mi pytanie:

- Morgan, co wiesz o Timothy Wheatonie?

- Nic.

- Dlaczego w tym artykule powołują się na ciebie?

- Mówiłam ci już. Zadzwoiła do mnie ta dziennikarka.

- Dlaczego do ciebie? Dlaczego z wszystkich terapeutów w Nowym Jorku wybrała właśnie ciebie?

- Z twojego powodu.

Uniósł brwi.

- Powiedziała, że dzwoni do mnie, bo ty prowadzisz tę sprawę i ty prowadziłeś sprawę Mordercy Magdalenek, a ja byłam zaangażowana w śledztwo, więc wydawało jej się sensowne zadzwonić do mnie.

- Uwierzyłaś jej?

Patrzył na mnie. Znów wnikające we mnie oczy. Było w nich więcej pytań, niż wypowiadał na głos.

- Nie miałam żadnych powodów, żeby nie wierzyć.

Jedząc i pijąc, dalej szukaliśmy ewentualnych powodów, z których Betsy Young zadzwoniła do mnie, i zastanawialiśmy się, dlaczego ktoś miałby ujawniać swoje zbrodnie gazecie zamiast policji. Przyszło mi do głowy, że Noah podejrzewa Betsy Young o popełnienie tych morderstw, ale kiedy go o to spytałam, krążył wokół tematu, nie odpowiadając wprost na pytanie.

- Nie sądzę, żeby stała za tym kobieta.

- Bo tradycyjnie kobiety nie bywają seryjnymi mordercami?

- Kobiety popełniają zbrodnie namiętności, jasne, ale zaplanowane z zimną krwią wielokrotne morderstwa jak te? Nie, to jest na ogół męska specjalność.

Po jedzeniu oboje zamówiliśmy kawę. Kelner odchodził od stołu, gdy Noah przywołał go z powrotem i dodał do zamówienia jedną porcję zabaglione.

Kiedy deser pojawił się na stole, kazał mi spróbować, podając do ust łyżeczką truskawki zanurzone w gęstym kremowym sosie. Starłam się nie zwracać uwagi na sposób, w jaki patrzy na moje wargi, kiedy pochłaniałam słodki melanz, ani na zmysłową powolność, z jaką wyjmował mi z ust łyżeczkę.

Każdemu dałby spróbować swojego deseru, mówiłam sobie. To nie jest zaproszenie.

Dobrze jednak wiedziałam, że jest. I to budziło we mnie strach, bo Noah był ode mnie silniejszy. A jego siła uzmysławiała mi moje własne słabości. Nie chciałam, by mi o nich przypominano. Nie on. Ani ktokolwiek inny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Na ulicy, kiedy owiał nas silny wiatr, popychając ku sobie, zastanawiałam się z lękiem, jak będzie wyglądało nasze pożegnanie.

- Dulcie jest w domu?

Zaskoczona jego bezpośredniością, choć powinnam była się do niej przyzwyczaić, mimowolnie pokręciłam głową.

- Więc nie musisz jeszcze wracać?

- Nie, ale powinnam. Mam jutro wczesną wizytę.

- Zbyt wczesną, żeby wpaść ze mną do komisariatu i zerknąć na zdjęcia, których nie pozwoliliśmy wydrukować w „Timesie”?

Zadrżały mu kąciki ust, oczy rozbłyły w świetle ulicznej latarni, i uśmiechnął się do mnie. Znacząco i uwodzicielsko. Uśmiechem, który wyrażał bezdźwięczny śmiech. Miał mnie. I wiedział o tym. Pewnie zrobił to celowo. Podpuścił mnie, sugerując, że prosi o coś zupełnie innego, niż zaproponował. Może odgrywał się na mnie za to, że kilka miesięcy temu, w lipcu, nie odpowiedziałam na jego telefon?

Rozdarta pomiędzy swoim zażenowaniem a ogromną chęcią obejrzenia zdjęć wzięłam głęboki oddech, wciągając w nozdrza wieczorne rześkie powietrze. Wyczułam coś znajomego. Ale co?

Już wiedziałam, to woda kolońska Noaha: rozmaryn i mięta.

Odwróciwszy oczy, by nie mógł z nich wyczytać, co myślę i czuję, powiedziałam, że tak, chciałabym zobaczyć te zdjęcia.

W komisariacie mogłaby być równie dobrze dziesiąta rano zamiast dziesiątej wieczorem. Przeszliśmy przez gwarny hol i zatłoczone korytarze, w górę po schodach, do końca korytarza i do pierwszego za rogiem gabinetu, który Noah dzielił z Markiem Perezem.

Pokój nie wyróżniał się niczym szczególnym. Biurowe wysłużone meble, dawno niemyte okna, porysowane stoły, zdarta drewniana podłoga. A jednak, mimo bezbarwnej anonimowości tego miejsca, kipiało tu energią detektywów. Na parapecie okiennym stał rząd kolorowych doniczek z roślinami - zielonymi, wyglądającymi całkiem zdrowo, choć nie wyobrażałam sobie, żeby przez te okna mogło się wdrzeć wiele słońca. Na biurku Noaha wisiała na srebrnej lampie maska z nowoorleańskiego karnawału Mardi Gras.

Centralnym miejscem pokoju była jednak południowa ściana, zapełniona zdjęciami, notatkami, mapami i raportami: kolaż obrazów i zapisanych papierów. Niektóre fragmenty były tak powiększone, że wydawały się tylko kolorowymi plamami, mozaikami bez znaczenia.

Wszystkie coś jednak znaczyły.

Noah wziął mnie pod ramię i zaprowadził do odległej części ściany po prawej stronie.

- Zaczynij tutaj.

Dwa zdjęcia wisiały obok siebie, oba wykonane pod identycznym kątem. Wyglądało na to, że fotograf stał jakies pół metra przed leżącymi ciałami. Specyficzne ujęcie wypaczyło proporcje ciała w taki sposób, że

stopy były nienaturalnie wielkie, podobnie jak penis, a klatka piersiowa i głowa pomniejszone.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Mruknęłam przytakująco, ale nie byłam pewna; ci mężczyźni nie zostali po prostu zabici, oni byli maltretowani seksualnie. Sińce wokół nadgarstków, kostek i jąder, które opisała mi Betsy Young, były żywo purpurowe, czarne i niebieskie. Barwy przemocy i gwałtu. Dla wytchnienia spojrzałam na tło, które było czysto szare i gładkie. Nie ściana. Nie było żadnych nierówności ani rys, żadnych śladów okien, drzwi czy oświetlenia. Pomyślałam sobie, że powinnam wiedzieć, co to za miejsce, ale nie kojarzyłam.

- Gdzie oni są? - spytałam Noaha.

Nawet jeśli się zdziwił, że moje pierwsze pytanie dotyczyło ścian, nic nie powiedział.

- Jeszcze nie wiemy, ale ta szara przestrzeń to chyba studyjny prospekt. Wielu fotografów ma w swoich studiach różne opuszczane kurtyny i w zależności od potrzeby zmienia tło.

Wiedziałam, o czym mówi. Kiedy Mitch startował w zawodzie, pracował jako asystent reżysera, który kręcił reklamy jedzenia i nakryć stołowych. Oglądałam takie prospekty.

- Zasłonił tą kurtyną ścianę razem z podłogą, żeby nie zostawić żadnych tropów - mówił dalej Noah.

- Byłoby zbyt oczywiste zakładać, że morderca jest fotografem, prawda?

- Nie. Nic nie jest nigdy zbyt oczywiste. Ale mamy opinię profesjonalisty na temat tych zdjęć. On uważa, że we wszystkich ujęciach jest coś amatorskiego, odbitki są nierówno wywołane. Wydaje mu się, że ktokolwiek to robił, na pewno jest obeznany z aparatem i rozumie zasady kompozycji, ale to nie jest ktoś, kto żyje z fotografii.

Usiadłam na krześle po drugiej stronie jego biurka, twarzą do ściany, nie mogąc oderwać oczu od zdjęć.

- To znaczy, że fotograf jest samoukiem albo uczył się gdzieś fotografii. W końcu wywołuje te zdjęcia sam.

- Ostatnia część pasuje do profilu - powiedział Noah. - Seryjni mordercy są samotnikami. Czują się odrzuceni, wyalienowani ze społeczeństwa. Nierozumiani. Zabijanie może być nawet chybioną próbą nawiązania kontaktu z ludźmi. Czy to z ofiarami, czy z ludźmi, którzy będą zrozpaczeni po ich śmierci. Pracują w samotności, i jestem pewien, że ten facet nie zaniósł swoich zdjęć do najbliższego ekspresowego zakładu. On ma prawdopodobnie własną ciemnię.

- Czy możesz powiedzieć, że jest seryjnym mordercą tylko dwóch ofiar? Może był jakiś powód, z którego zabił właśnie ich i ma dosyć. Może to już koniec. - Wciąż się gapiłam, utrulałam w pamięci obrazy bladych zwłok.

Noah mi odpowiedział, ale go nie słyszałam, bo na jednej z fotografii coś zauważyłam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Kawa była strasznie gorąca, ale Paul Lessor nie uważał i sparzył sobie język tak boleśnie, że trzasnął kubkiem o stolik. Płyn wylał się łukiem na pierwszą stronę „New York Timesa”, oszczędzając jednak tekst, który Paul właśnie czytał. Kawa wsiąkła w papier i obrus.

Czy ma uznać to za jakiś omen, że plama zatrzymała się dokładnie na krawędzi artykułu o Timothy Wheatonie?

Ból w ustach był intensywny, ale Paul nie mógł się teraz przejmować drobiazgami. Przeczytał każde słowo i myślał o wszystkich mężczyznach ze Szkarłatnego Stowarzyszenia, którzy też to czytali przy swoich biurkach, przy swoich stołach, jedząc śniadanie, w metrze, w samochodach z szoferem, w taksówkach. I pewnie oni wszyscy srali ze strachu w gacie.

Dwaj mężczyźni. Najpierw zaginęli, a po kilku dniach okazali się już tylko dwoma ciałami bez życia z żałosnymi numerami na podeszwach stóp.

Numer jeden. A teraz numer dwa.

Paul Lessor zrozumiał właśnie sens wyrażenia „zacierać ręce z satysfakcji”. To było najprzyjemniejsze uczucie, jakiego doznał od długiego czasu. To jest

zemsta. To jest to, na co zasłużyli. Ha! Skoro on nie może się więcej pieprzyć, przynajmniej może sobie wyobrazić z rozkoszą, jak to rąbnęło każdego faceta, który odwiedził kiedyś stowarzyszenie i który spojrzął na niego z litością.

Co z tego, że mu nie staje? Im też może więcej nie stanać. Thorazine nie jest jedynym lekiem, który robi z człowieka impotentą. Strach działa tak samo. Każdy z tych mężczyzn musi teraz krztusić się swoim croissantem, zlewać się potem, mieć skurcze żołądka albo rozwolnienie. Rozmyślają poważnie nad swoim hobby, prawda? Zastanawiają się, co mogliby robić inaczej niż Philip i Timothy, by móc dalej bywać w klubie, ale uniknąć losu tamtych dwóch.

Tylko że nawet gdyby się odważyli przełamać strach, jak by teraz wyglądał ich seks?

Paul trzymał rękę pod szlafrokiem i obejmował swój członek. Ścisnął, pocierał, miał nadzieję, że euforia, jakiej doznawał, widząc artykuł i myśląc o cierpieniu innych mężczyzn, przełoży się na innego rodzaju euforię.

Skoro potrafił odczuwać taką radość, nie mógłby się normalnie podniecić?

Nic się nie działo.

Próbował z całych sił. Jego umysł skupił się na wyobrażeniu kobiety żądającej, by się dla niej rozebrał. Kobiety wpychającej mu do rąk swoje piersi i mówiącej, jak ma jej dotykać. Kobiety stojącej nad jego twarzą z rozchyłonymi nogami.

Jego miękkie fiut go zawodził. Paul miał wrażenie, jakby parzył mu palce, tak jak kawa oparzyła mu język. Cofnął gwałtownie rękę.

Myśl o czymś innym, o czymkolwiek innym.

Spojrzął na gazetę i zaczął czytać artykuł od nowa, upajając się zdjęciem stóp mężczyzny. I numerem

dwa. Wyobrażając sobie inną fotografię ze stopami innego mężczyzny z numerem trzy na podeszwach. A potem jeszcze innego z numerem cztery...

Nie wiadomo, ilu spotka taki sam los.

Uśmiechnął się, wiedząc, że choć nie może zaznać wszelkiego rodzaju przyjemności, przynajmniej ta przyjemność go nie ominęła.

Upił z kubka trochę kawy. Gorzkiej, czarnej i letniej. To nie ma znaczenia, jedynym smakiem, który czuł, była słodycz zemsty.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Nina i ja spacerowałyśmy Piątą Aleją po zachodniej stronie ulicy, gdzie ciągle jest brukowy chodnik i wąski obcas może wpaść w szczelinę. Często wychodziłyśmy razem na spacer w czasie przerwy na lunch, zwykle bez konkretnego celu. Nieważne było, dokąd zajdziemy, lecz sama wyprawa.

- Widziałam rano artykuł w „Timesie” o Timothy Wheatonie, z twoją wypowiedzią.

- Myślę, że on też mógł być związany ze Szkarłatnym Stowarzyszeniem.

- Dlaczego tak uważasz? Miałaś drugie spotkanie z grupą?

- Nie. Jesteśmy umówione na poniedziałek. Ale na jego ciele są takie same znaki jak na ciele Philipa Maura. Znaki, o których nie ma mowy w artykule.

- Dziennikarka ci o nich powiedziała? Dlaczego miałyby to robić?

Cholera, nie powinnam była zaczynać. Teraz musiałabym wyjaśnić Ninie, że ostatniego wieczoru widziałam się z Noahem, a ona nie miała za grosz zaufania do policji.

W 1996 roku, kiedy jej mąż Sam był szefem instytutu, policja podejrzewała go, że pod przykrywką

firmy prowadzi nielegalną działalność sutenerską. Umieścili wewnątrz policyjną wtyczkę, kobietę, która udawała seksuologa i znalazła wystarczające dowody, by wsadzić Sama do więzienia. Sprawa była na etapie apelacji, kiedy Sam zmarł na zawał.

Zamiast oskarżać Sama, który istotnie był winien, Nina całą odpowiedzialność za jego śmierć przypisała policji, twierdząc, że ich perfidna prowokacja była przyczyną szoku, który go zabił, że nie doszłoby do tragedii, gdyby działali jawnie.

Po raz pierwszy doświadczyłam irracjonalnej nienawiści Niny wobec policji, kiedy zaangażowałam się w sprawę Mordercy Magdalenek i poznałam Noaha. Teraz przygotowywałam się na kolejny wybuch.

- Noah Jordain do mnie zadzwonił. Powiedział mi o zdjęciach.

- Oo? - Nie spojrzała na mnie, ale wyczułam ledwie uchwytny chłód w jej tonie.

- Widział ten poranny artykuł wczoraj, zanim puścili go do druku, przeczytał moje wypowiedzi i chciał się dowiedzieć, jaki mam z tym związek i dlaczego, spośród wszystkich terapeutów w mieście, dziennikarka wybrała do konsultacji akurat mnie.

- Co mu powiedziałaś?

- Nie było nic do powiedzenia. Nie wiem, dlaczego ta dziennikarka zadzwoniła do mnie.

Dotarliśmy do Metropolitan Museum na rogu Osiedziesiątej Pierwszej i Piątej. Na ulicy zawsze stały wózki zjedzeniem i naszym zwyczajem w porze lunchu było zatrzymać się i pozwolić sobie na nowojorski przysmak: hot doga Sabrett z kiszoną kapustą i musztardą, owiniętego w ciepłą bułkę.

Kupiłyśmy jedzenie, usiadłyśmy na szerokich kamiennych schodach prowadzących do muzeum, jadłyśmy i rozmawiałyśmy o znanej nam obu terapeutce,

która chciała przyjść do pracy w instytucie. Cieszyłam się, że Nina zaniechała rozmowy o Noahu.

Przedwcześnie. Wstałyśmy, i gdy otrzepywałyśmy okruszki z ubrań, zadała mi konkretne pytanie.

- Nie powiedziałaś niczego, co sugerowałyby detektywowi Jordainowi, że Philip Maur należał do jakiejś grupy, prawda?

- Jak możesz mnie o to pytać?

- Czasami zasady nam się rozmywiają.

- Nie mnie. I dobrze o tym wiesz.

- Tak. Nie tobie. Jeszcze nie. Ale, skarbie, jesteś tylko człowiekiem. W czerwcu przesłaś przez traumatyczne doświadczenie, a Noah Jordain przybył ci na ratunek i mogłaś...

- Nie. Nie byłam w żadnym niebezpieczeństwie, kiedy zjawił się Noah Jordain.

- Okej. - Nie wyglądała na przekonaną.

- Tamta sprawa nie ma nic do rzeczy, Nina. To znów jest taka sytuacja, kiedy zaczynasz się gubić, nie jesteś pewna, czy powinnaś być moją szefową, czy grać moją matkę. Mylisz role. O co tak naprawdę się martwisz? O mnie? O instytut? Czy może o pacjentów?

Zeszliśmy ze schodów i zawróciliśmy do instytutu Piątą Aleją. Obie w milczeniu.

- Masz rację - odezwała się w końcu Nina.

Uśmiechnęłam się do niej.

- Byłoby po prostu łatwiej, gdybyś nie spotykała się więcej z detektywem. To jest napięta sytuacja. To jest zbyt kuszące.

- Wiesz, on nie jest żonaty.

Roześmiała się.

- Nie o ten rodzaj pokusy mi chodziło. Ale to ciekawe wiedzieć, w którą stronę pobiegły właśnie twoje myśli.

Nie było mi do śmiechu.

- Skończ z tą psychoanalizą, Nina. Powiedz mi po prostu to, co chcesz mi powiedzieć.

- Okej. Świetnie. Obawiam się, że jeśli zaangażujesz się uczuciowo z detektywem, możesz mieć pokusę powiedzieć mu coś, co może ułatwić jego pracę, nawet za cenę naruszenia twojej własnej etyki zawodowej, żeby pomóc komuś, na kim ci zależy.

- Czy nie miałam okazji się sprawdzić?

- Nikt z nas nie jest ze stali. Nie w każdej sytuacji zachowujemy się tak samo. To, co wydarzyło się latem, to jedno. To, co wydarzy się następnym razem, będzie czymś zupełnie innym.

- Dobrze, nie musisz się tym martwić. Nie mam zamiaru wiązać się z Noahem.

- W porządku. Więc nie ma problemu?

- Nie ma.

I wtedy byłam pewna, że tak jest. To Nina jednak miała rację. Jak zwykle.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Nie umawiam się na wizyty domowe poza naprawę szczególnymi okolicznościami. Ponieważ żona Nicky'ego, żyjąca z nim w separacji, cierpiała na ciężki przypadek agorafobii, zrobiłam wyjątek i zgodziłam się z nimi spotkać w jej domu w Greenwich, w stanie Connecticut.

Nicky powiedział, że jego żona, malarka, zawsze miała w zwyczaju spędzać długie okresy w samotności, dlatego nie zauważył jej narastającej fobii ani nie wiedział, co ją wywołało.

Dopiero kiedy wyprowadził się do mieszkania w mieście, zdał sobie sprawę, że ona od tego czasu chyba ani razu nie opuściła domu. Czterdzieści minut drogi od Manhattanu, zamknęła się w ośmiohektarowej posiadłości, która od trzech pokoleń należała do jej rodziny.

Raz w tygodniu jeździłam z moim kolegą Simonem do więzienia stanowego dla kobiet w północnej części stanu Nowy Jork, gdzie od lat pracowałam ze skazanymi prostytutkami. Zwykle on nas wiozł, ale jeśli miałam pomóc Nicky'emu i jego żonie, najlepszym dniem był czwartek po mojej szychcie w więzieniu. Wynajęłam więc samochód, wykonałam swoją robotę z Simonem, i pojechałam do księstwa Fairfield.

Zgodnie z instrukcją Nicky'ego za czarną skrzynką pocztową z adresem aleja Pondview 26 skręciłam w prawo i jechałam pięć minut drogą wyciętą przez las. Wysokie sosny o zwisających konarach rzucały tak gęsty granatowozielony cień, jakby nagle w środku popołudnia zrobił się wieczór. Po kilkuset metrach samych zakrętów droga wychodziła na polanę. Tuż przede mną pojawił się dom, a dookoła we wszystkich kierunkach rozciągały się pola i lasy.

Zaparkowałam koło dwóch innych samochodów. Na srebrnym terenowym mercedesie nie było śladu brudu ani kurzu, ale zielonemu jaguarowi przydałoby się solidne mycie.

Wysiadłam, rozprostowałam nogi i rozejrzałam się wokół. Teren był pieczołowicie zadbane i malowniczy. W oddali widniał staw, a za nim, jak okiem sięgnąć, połańdowane wzgórza.

Krajobraz aż prosił się o ciszę, ale gdzieś w posiadłości prowadzono jakieś roboty, i warkot mechanicznego potwora wydawał się czymś nie na miejscu. Jeśli świergotały ptaki, czego byłam pewna, nie mogłam ich słyszeć. Cały ten sielankowy widok psuł hałas. W powietrzu czułam ostrą woń żywicy sosnowej i zapachy jesieni. Gdzieś niedaleko paliło się w kominku drewno.

Jako że całe swoje życie mieszkałam w bardzo załoczonym mieście, taki bezmiar przestrzeni i taka samotność wydawały mi się zarówno luksusem godnym pozazdroszczenia, jak i perspektywą zatrważającą.

Wyboistą kamienną ścieżkę prowadzącą do drzwi frontowych z obu stron okalał wiejski ogród w klasycznym angielskim stylu. Zauważyłam, jak wiele roślin miało powodzenie u motyli: bergamotki, fiołki, lawenda, męczennica, orlik, astry i krzewy budlei. Poza purpu-

rowymi, białymi i lawendowymi budlejami wszystkie kwiaty przekwitły.

Niektóre z nich rosły w żardynierach na moim własnym balkonie. Była wyjątkowo ciepła jesień i na pewno było jeszcze trochę motyli, które posilały się w tym ogrodzie, ale nie zauważyłam ani jednego.

Nacisnęłam dzwonek i usłyszałam wewnątrz długi kurantowy dźwięk, a potem zbliżające się kroki. Drzwi otworzył Nicky. Był w bladoniebieskiej koszuli, czarnym kaszmirowym swetrze z dekoltem w serek i wyprasowanych džinsach. Uśmiechnął się ciepło, uściśnął mi rękę i powiedział, jak bardzo jest wdzięczny, że zgodziłam się przyjechać, choć to taki kawał drogi.

- Daphne jest w środku - wyjaśnił, prowadząc mnie przez główny hol i salon na zamknięte, kryte szklanym dachem patio, które służyło za pokój letni.

Majolikowa ceramika ozdabiała niskie stoliki. Kanapa i fotele były ogromne, grubo wyściełane, obite perkalem w różyczki. Ściany były jasne, bladoniebieskie z białym obramowaniem, kafelkowa podłoga częściowo zakryta pięknymi, choć pamiętającymi lepsze czasy orientalnymi dywanami. Wszystko pachniało starą fortuną. I to nie było jaką.

Gdy weszłam do środka, Daphne wstała i wyciągnęła rękę. Wiedziałam, że agorafobia nie jest czymś, co ma się wypisane na twarzy, a jednak spodziewałam się zobaczyć kogoś zupełnie innego.

Była wysoką i szczupłą blondynką, która powitała mnie silnym, zdecydowanym uściskiem dłoni. Elegancka szyja wspierała twarz w kształcie serca, która była mocno opalona. Od zegarka marki Cartier do tweedowych spodni, skórzanych botków, cytrynowożółtego bliźniaka i sznura olśniewających pe-

reł, wszystko pasowało do wizerunku członkini Junior League².

Spojrzałam jej w oczy i przedstawiłam się. Były zielonoszare, inteligentne, ale chmurne i aroganckie. To nie były oczy kobiety, która boi się wyjść z domu. Raczej kobiety, która nie boi się niczego, pomyślałam.

Po chwili uraczyła mnie delikatnym uśmiechem, który złagodził jej surowość.

- Bardzo miło mi panią poznać, doktor Snów. Nicky dużo mi o pani opowiadał. On jest bardzo entuzjastyczny, wiąże z tą próbą ogromne nadzieje. Napije się pani kawy albo herbaty? Może coś zimnego? - Jej głos pasował do jej urody, nie do ostrych oczu. Brzmiał słodko i jedwabiście.

- Nie, dziękuję.

Uprzejmym gestem wskazała mi miejsce i kiedy usiadłam, zrobiła to samo.

- Naprawdę jestem wdzięczna, że zgodziła się pani przyjeżdżać do nas. Choć myślę, że to nie potrwa długo. Pracuję nad agorafobią z moim własnym terapeutą i oboje czujemy, że zbliżam się do przełomu.

Fotel był dla mnie za duży; czułam się w nim zagubiona i tęskniłam za własnym gabinetem. Żyjąca w separacji para usiadła na kanapie naprzeciwko mnie. To dobry znak, że zdecydowali się usiąść razem.

- Z którym terapeutą pani pracuje? - spytałam na wypadek, gdybym w którymś momencie uznała, że powinnam się z nim skonsultować.

Zawahała się. Czy z jakiegoś powodu obawiała się mi powiedzieć? Podmuch wiatru wpadł przez otwarte

² The Association of Junior Leagues International Inc. - międzynarodowa organizacja kobiet propagujących ideę wolontariatu, wykorzystywanie potencjału kobiet i ulepszanie społeczeństw poprzez skuteczną aktywność charytatywną i przewodzenie wyszkolonym wolontariuszkom (przyj. tłumacza).

okno i przywiał do mnie zapach Daphne. Konwalie. Pasowały do niej. Ale wyczułam nie tylko perfumy; nagle w powietrzu pojawiła się jeszcze inna woń. Czysta, ostra i drażniąca. Nie byłam jednak w stanie z niczym jej skojarzyć.

- Nazywa się William Klein. Jest stąd, z Greenwich. Chodzę do niego z przerwami od czasów, kiedy byłam nastolatką.

Chciałam ją zapytać, dlaczego chodziła do terapeuty jako nastolatka, ale na to było za wcześnie. Przystałam o tym myśleć.

- Od jak dawna się znacie, pani i Nicky?

Nim odpowiedziała, odwróciła do niego głowę, więc nie widziałam wyrazu jej twarzy. Zadałam jeszcze kilka pytań, które niczemu specjalnemu nie służyły, poza tym, żeby od czegoś zacząć i nawiązać kontakt.

- Zależy pani na rozwiązaniu waszych problemów z Nickym?

Odpowiedź była natychmiastowa i bardzo gwałtowna.

- Tak. Nigdy w życiu nie zależało mi na czymś tak bardzo. Zrobię wszystko, co będzie konieczne, żeby naprawić nasze małżeństwo.

- No, niezupełnie wszystko - odparował Nicky.

- Wszystko, co jestem w stanie zrobić.

- Daphne, może mi pani opowiedzieć o waszych problemach?

- Nicky nic nie mówił?

- Tak, ale to była jego wersja. Chciałabym usłyszeć pani wersję. A potem chciałabym, Nicky, żeby mi pan powiedział, na czym pana zdaniem polega sedno problemu.

- Już to zrobiłem w pani gabinecie - odrzekł zniecierpliwionym tonem.

- **Tak**, ale chcę, żebyście oboje usłyszeli, co myśli drugie.

- Jedyną pieprzoną rzeczą, która psuje nasz związek, jest to, że Nicky nie jest w stanie rzucić Szkarłatnego Stowarzyszenia.

Użycie przez nią tego jednego słowa wydawało się nie na miejscu w tak nobliwym domu. Czy był to przejaw buntu czy złości?

- Trzy albo cztery razy powiedział mi, że z tym skończył, ale nie może się powstrzymać. Jestem skłonna zaakceptować, że ma taki nałóg i pracować z nim nad tym, ale nie mogę tak po prostu machnąć ręką i pozwolić, żeby chodził tam dwa czy trzy razy w tygodniu, robił z siebie pizdusia i udawał, że nie ma sprawy.

Jeśli oczekiwała reakcji na to wyrażenie, nie miałam zamiaru wyjąć jej naprzeciw.

- Uważa pani, że machnięcie na to ręką jest jakimś rozwiązaniem?

- To jest rozwiązanie dla niego. On chce być moim mężem i mieć ze mną rodzinę, a na boku rozbierać się do golasa i być traktowany jak...

- Skupmy się na pani i na tym, czego pani chce. Nicky'emu pozwolimy mówić za siebie, gdy przyjdzie jego kolej.

Daphne, rozgorączkowana, splatała i rozplatała na kolanach dłonie. Miała krótkie, niepolakierowane paznokcie, bez manikiuru, szorstką i zaczerwienioną skórę. Widząc moje spojrzenie, uśmiechnęła się i wyciągnęła ręce, żebym mogła przyjrzeć się lepiej.

- Ręce malarki. Terpentyna robi swoje.

To pewnie jest ten zapach.

- Chciałabym obejrzeć pani prace.

- Pani doktor jest miłośniczką sztuki?

- Jestem, choć bez wykształcenia. - To była praw-

da, ale nie dlatego chciałam zobaczyć jej obrazy. Byłam ciekawa, co mi powiedzą o niej samej.

- Tacy są najlepsi. Ludzie, którzy po prostu patrzą na pracę i decydują, czy im się podoba, czy nie, w zależności od tego, jak ich porusza to, co widzą, a nie kierują się opinią jakiegoś dupka profesora albo prze-mądrzałego krytyka.

Teraz wybuch wrogości. Ciekawie byłoby pójść tym tropem, ale nie mogłam sobie pozwolić na odejście aż tak daleko od związku Daphne z Nickym na pierwszej sesji. Zwróciłam się do niego.

- Nicky, mógłby mi pan powiedzieć, czy zgadza się pan z oceną Daphne tego, co się dzieje między wami?

Pokiwał głową.

- Nie umiem zrezygnować z tego, z czym ona nie chce się pogodzić.

- A chce pan?

- Nie mogę.

- Jest pan gotów spróbować?

- Próbowałem.

- Czy jest pan gotów spróbować jeszcze raz?

Nie czekając, aż Nicky odpowie, Daphne wtrąciła:

- Nie, nie jest. On uważa, że to ja powinnam się zmienić. Uważa, że skoro należałam kiedyś do tego obleśnego klubu, powinnam być wyrozumiała. Aleja chcę, żeby mój mąż był mi wierny.

- Jestem wierny, Daphne. W tym, co dzieje się tam, nie chodzi o miłość, nawet nie o sympatię.

- A o co chodzi? - zapytałam. >

- O seks.

- W seksie nie chodzi o miłość?

- Czasami tak. Ale też seks może być tylko seksem. To jest aktywność fizyczna. Jak gra w tenisa albo pójście na basen, żeby popływać.

Daphne zaniósła się długim śmiechem, w którym zaskoczyła mnie nieprzyjemna, szydercza nuta.

- Ale on bredzi. Dobrze wiem, czego chce i...

- Chwileczkę - przerwałam. - Nie chcę, żebyście mówili, czego chce drugie. Odpowiadajcie tylko za siebie. Daphne, proszę mi opowiedzieć o Szkarłatnym Stowarzyszeniu. Jak dawno temu przyłączyła się pani do klubu?

- Lata temu. Jedna z moich przyjaciółek była jego członkinią i opowiedziała mi o nim.

- Jak często pani tam bywała?

- Mniej więcej raz albo dwa razy w miesiącu. Zwykle z nią.

- Co się pani w tym podobało?

- Nie rozumiem, jakie znaczenie ma to gówno...

- Ma związek z pani małżeństwem. Stowarzyszenie jest tym, co, jak pani wspomniała, przeszkadza pani i Nicky'emu być dobrym małżeństwem. Muszę wiedzieć o tym coś więcej.

Myślała przez chwilę, a ja w ciszy pokoju słyszałam monotony warkot maszyny razem z waleniem młotka wybijającego swój rytm co pięć do dziesięciu sekund.

- O co mnie pani pytała?

Gra na czas czy naprawdę zapomniała?

- Spytałam, co się pani podobało w Szkarłatnym Stowarzyszeniu.

- To było jak malowanie ręką innego artysty. Moje obrazy są bardzo realistyczne. To było coś- takiego, jakbym nagle zaczęła malować jak abstrakcyjny ekspresjonista. Nie byłam tam sobą. A przynajmniej nie kimś, kogo od zawsze znałam.

- Jak się pani z tym czuła?

- To było podniecające... ale też dziwne. Po raz pierwszy w życiu byłam w środowisku, gdzie nikt nie wiedział, kim jestem, kim są moi rodzice, jak wygląda

moje życie. My nie **rozmawiamy o** sobie. Pani o tym wie, prawda?

Skinęłam głową.

- Tam było prawdziwe poczucie wolności. Przedtem znałam tylko świat, w którym istnieją właściwe sposoby zachowania. I niewłaściwe. Wszystko, co działo się w Szkarłatnym Stowarzyszeniu, było niewłaściwym sposobem zachowania. Do cholery, to była najlepsza rzecz, jaka przydarzyła się mojej sztuce.

Nie spodziewałam się tego.

- Co to znaczy: najlepsza rzecz, jak przydarzyła się pani sztuce?

- Mój ojciec był sędzią Sądu Najwyższego. Moja matka była członkinią Junior League i DAR. Jestem najstarszą z trzech siostr. Kiedy miałam dwadzieścia pięć lat, obie młodsze siostry były mężatkami z dziećmi. Rodzice myśleli, że moje malowanie jest słabością, z której wyrosnę. Nie mieli nic przeciwko temu, żebym studiowała sztukę - dopóki robiłam to w Instytucie Radcliffe. Mogłam sobie malować, dopóki moja pracownia mieściła się w apartamencie, który kupili mi na Park Avenue. A takie Stowarzyszenie na pewno by ich wkurzyło. Nigdy by tego nie zaakceptowali.

- A pani robiła tylko to, co oni akceptowali?

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby się postawić. Tego się po prostu nie robiło.

- Zanim pani dorosła, jak oni postępowali, kiedy zrobiła pani coś, co ich rozgniewało?

Odpowiedziała od razu - niskim głosem, który był prawie szeptem:

- Przystawali się do mnie odzywać. Kompletnie.

DAR - ang. Daughters of the American Revolution - stowarzyszenie potomkiń uczestników wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych (przypis tłumacza).

godziny albo cztery dni. Traktowali mnie, jakbym była niewidzialna. Dopóki nie przeprosiłam. Dopóki nie okazałam skruchy.

- Czy miała pani poczucie winy z powodu tego, co pani robiła w stowarzyszeniu?

- Nie. To nie byłam ja. Nie używałam tam nawet prawdziwego imienia. To było kompletnie oddzielone od reszty mojego życia.

- Dla niektórych ludzi to mogłoby być trudne. Pogodzić dwa tak różne życia.

- Naprawdę?

Było coś bardzo naiwnego w tym pytaniu. Wzbudziło to we mnie czujność i nastawiło na wychwycenie innych momentów jej skutecznego dystansowania się od rzeczywistości.

- Dla niektórych ludzi mogłoby być trudne - powtórzyłam.

- Dla mnie nie było. I bardzo dobrze wpływało na moją sztukę. To było w tym najlepsze. - Splotła ciasno dłonie.

- W jakim sensie?

Gdy się uśmiechnęła, jej twarz przeobraziła się z poważnej i zatroskanej w pełną zachwyty buzię dziecka.

- Łatwiej byłoby mi pokazać. - Podniosła się z kanapy.

Nie byłam pewna, czy powinniśmy przerywać sesję w takim momencie, ale jej entuzjazm był ważny.

- Nie ma pani nic przeciwko temu? - spytał Nicky.

- Ależ nie, skąd. Mówiłam, że chcę zobaczyć prace Daphne.

Oprowadziła mnie po pokoju i pokazała cztery martwe natury z kwiatami i owocami, które namalowała, mając niewiele ponad dwadzieścia lat. Były pogodne i zamasytne, a także bardzo poprawnie wykonane.

Połączenie kolorów Matisse'a z kompozycją Cezanne'a, ale bez oryginalności i werwyjednego lub drugiego. Tak nijakie, że nawet ich nie zauważyłam, kiedy siedzieliśmy, rozmawiając.

- Tego rodzaju rzeczy malowałam po college'u. Warsztatowo przyzwoite. Bez polotu. Nie chcieli mnie w żadnej poważnej galerii w mieście. W końcu przyjęła mnie pod skrzydła bezpieczna, staromodna galeria w alei Madisonsa. - Zaśmiała się. - Ale potem wyszło na jaw, że to moi rodzice zagwarantowali, że po każdej wystawie moje prace znajdą nabywcę.

- Kiedy pani się o tym dowiedziała?

- Kilka lat temu. Moja matka zmarła i odziedziczyłam ten dom. Wszystkie obrazy, które, jak sądziłam, trafiły do klientów, znalazłam zapakowane w skrzynki wysyłkowe w jednym z pomieszczeń w piwnicy.

- Jak pani na to zareagowała? Co pani czuła?

- Wdzięczność, to było naprawdę wielkie z ich strony.

- Nie była pani na nich zła?

- Przypuszczam, że byłabym zła, gdybym się dowiedziała o tym wcześniej, zanim wyszłam na swoje. Teraz nie potrzebuję żadnej pomocy w sprzedawaniu moich obrazów.

Wyczułam w jej głosie chełpliwy ton - coś więcej niż pewność siebie. Czy to był jej zwykły sposób mówienia o własnej twórczości, czy tylko na mój użytek?

- Niech pani rzuci na te obrazki ostatnie spojrzenie, doktor Snów. - Poczekała kilka sekund. - A teraz pani pokażę, w jakim kierunku rozwinęłam się jako artystka.

Opuściliśmy z Daphne pokój, przeszliśmy z powrotem przez salon i hol. Przed nami były wielkie, biegnące łukiem schody. Daphne je obeszła.

Za schodami był korytarz z przeszklonym sufitem. Przeszliśmy do olbrzymiej pracowni malarskiej, która

wydawała się częścią oddzielnego budynku. Ściany były śnieżnobiałe. Dzięki ogromnym świetlikom pokój tonał w naturalnym świetle. Tutaj zapachy terpentyny i farb olejnych, które w pokoju letnim ledwie wyczuwałam, były o wiele bardziej intensywne.

Na środku pracowni stały sztalugi, z obrazem odwróconym tyłem do nas. Daphne podeszła do niego i obróciła sztalugi o sto osiemdziesiąt stopni.

Płótno miało sporo ponad metr szerokości i co najmniej taką samą wysokość. Kolory były głębokie i świetliste. Farba gęsta i ciężka. Zaglądałam do pomieszczenia przypominającego jaskinię. Źródło światła znajdowało się ponad krawędzią płótna, ale rozświetlało cały obraz, nadając cieplejszy ton skórze nagiego mężczyzny, który wylegiwał się na aksamitnej kanapie, demonstrując swą erekcję. Co dziwne, jego zniewieścienie zostało wyrażone w sposób, który sugerował bardziej uległość niż homoseksualizm. Było to zrobione subtelnie - kompletnie nie miałam pojęcia, jak ona tego dokonała.

Zmusiłam się do odwrócenia wzroku od erotycznego obrazu i spjrzałam na jego twórczynię. Uśmiechała się, błyszczały jej oczy i miała rozchylone usta. Przyjemność, jakiej doznawała, obserwując moje zmaganie się z jej dziełem, była wyczuwalna i seksualnie zmysłowa.

Odwróciłam się z powrotem w stronę płótna.

W to, że kobieta stojąca koło mnie, dama z perłami wychowana w środowisku amerykańskiego establishmentu, stworzyła taki obraz, trudno byłoby uwierzyć, gdyby nie tamto napięcie w jej słowach i błysk w oczach. Była świetną malarką, ale tak naprawdę w tym obrazie porwała mnie i nie pozwalała oderwać oczu jego autentyczna seksualność - równie prowokująca jak film o stowarzyszeniu, który oglądałam kilka dni wcześniej.

Taki wyraz twarzy mężczyzny, jaki uchwyciła Da-

phne, widuje się tylko w czterech ścianach własnej sypialni. Próbuje się go zapamiętać, wiedząc, że to nie jest coś, co będzie nam dane oglądać zbyt często. Wielu ludziom nigdy nie zdarza się widzieć czegoś takiego, po prostu nigdy.

To, co namalowała Daphne, wiele o niej mówiło. Namalowanie tego portretu, tego konkretnego mężczyzny, przekraczało granice podglądactwa. Sportretowanie wewnętrznej głębi jego żądy było niemal profanacją.

Aktorzy kochający się w filmach potrafią wyrażać namiętność i jeśli wciągnie nas historia na ekranie, nie zauważamy subtelnych fałszywych tonów. One nie są ważne.

Ale coś, co uchwyciła Daphne na twarzy tego mężczyzny, nie było grą. On wpatrywał się w kobietę z takim pożądaniem, że sprawiało mu to ból, i gotów był zrobić wszystko, czego by zażądała, za cenę każdego upokorzenia, byle dostać to, czego pragnął. A pragnął tego w tamtym momencie niecierpliwie, i to z całego mnóstwa powodów, zarówno właściwych, jak i niewłaściwych.

- Niesamowite, prawda?

To nie padło z ust Nicky'ego, lecz samej artystki. Tym też mnie zaskoczyła. To nie była arogancja. I nie przechwałki tym razem. Ona była teraz sobą, stała się widzem oglądającym czyjś obraz.

Odpowiedziałam ostrożnie, ale szczerze, obserwując jej reakcję:

- Tak, to bardzo mocne.

- Wcześniej, zanim przyłączyłam się do stowarzyszenia, nie bardzo rozumiałam, czym jest seks. Był mroczny, nierzeczywisty i tajemniczy. Tam dowiedziałam się o żądy, perwersji, fantazjach, i choć seks pozostał tajemniczy, przynajmniej byłam w stanie go

rozumieć. Wypróbowywałam mnóstwo sposobów wyrażania swoich potrzeb seksualnych, i to wszystko na mnie wpływało. Było pożywką dla mojej pracy. Stałam się twórczą w taki sposób, jak nigdy przedtem. To stało się częścią mnie. Albo ja stałam się częścią mojej seksualności i mojej twórczości.

- I ciągle czułam pani potrzebę, żeby tam chodzić?

- Żeby znów zobaczyć to spojrzenie w oczach mężczyzn.

Chciałam wiedzieć, gdzie nadal widuje to spojrzenie, skoro rok temu przestała chodzić do klubu. Kogo teraz maluje? Kto jej pozuje w ten sposób? Ale to nie był jeszcze właściwy moment, by ją o to zapytać.

Odwróciłam się do Nicky'ego, żeby ocenić jego reakcję na słowa żony. Patrzył na Daphne z tym samym jawnym pożądaniem jak mężczyzna z obrazu. Było oczywiste, że żona bardzo go pociąga. Albo dlatego, że przestała być dla niego dostępna, albo dlatego, że mówiła o swoim życiu seksualnym w czasach, kiedy nie była jeszcze jego żoną, albo po prostu dlatego - i dla mnie był to nie tylko najprostszy, ale najmniej możliwy z powodów - że był zakochany w Daphne, podziwiał jej talent i chciał z nią być.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

W drodze powrotnej do miasta odtwarzałam z pamięci sesję, wiedząc, że jest więcej nowych pytań, niż uzyskałam odpowiedzi. I kilka rzeczy, które mnie niepokoiły. Przede wszystkim nie byłam pewna, czy Daphne mówi prawdę o swojej agorafobii.

Zwróciłam wypożyczony samochód i dotarłam do domu o wpół do piątej. O siódmej musiałam być w studiu, w którym Dulcie miała próby, na zebraniu dla wszystkich rodziców i młodych aktorów, ale miałam jeszcze trochę czasu. Zrobiłam sobie kawę we francuskim zaparzaczu - to była jedna z moich niewielu pewnych umiejętności kulinarnych - i zaniiosłam kubek do dużego pokoju.

Koperta z nagraniem wideo, które przysłała mi Shelby Rush, stała za rzędem podręczników do psychiatrii, bo wiedziałam, że Dulcie nigdy by na takie książki nie spojrzała. Włożyłam kasetę do odtwarzacza, włączyłam bez głosu i usiadłam wygodnie, by przyjrzeć się kilkudziesięciu kobietom zachowującym się jak drapieżniki.

Znalazłam to, czego szukałam, w kilka minut.

Daphne tam była. Nie wiedziałam, kim jest, gdy oglądałam taśmę po raz pierwszy, ale dzisiaj wydała

mi się znajoma, kiedy tylko ją zobaczyłam. Na gali była w błękitnej sukni i wyszywanej cekinami masce zasłaniającej oczy. Ale włosy miała odkryte. Smukłe ciało, twarz w kształcie serca i olśniewająca szyja nie zostały zamaskowane.

Stała przed rzędem mężczyzn w smokingach, taksowała ich wzrokiem i w końcu dokonała wyboru. Położywszy jedną rękę na ramieniu wysokiego mężczyzny, skinęła na niego władczym gestem, odwróciła się i nie sprawdzając, czy za nią idzie, odeszła, znikając z kadru.

Sączyłam kawę i jak zahipnotyzowana oglądałam rozwój tej seksualnej gry.

Mogłabym wymienić wszystkie możliwe perwersje i fetysze, słuchałam w gabinecie mężczyzn i kobiety zdradzających najintymniejsze szczegóły swojego życia seksualnego, instruowałam zastępczych partnerów seksualnych, jak dokładnie mają wykonywać swoje zadania, studiowałam twardą i łagodną pornografię - ale nigdy nie widziałam prawdziwych ludzi prowadzących tego rodzaju gry seksualne.

Nie robiła na mnie wrażenia agresja kobiet, ale szokowali mnie mężczyźni, ich gorliwość, ich brak oporów przed poddawaniem się takiemu traktowaniu, ich striptiz od smokingów przez bieliznę do pełnej nagości na oczach tylu ludzi, z żadnego innego powodu poza tym, że przyglądające się kobiety właśnie tego od nich żądały, a oni chcieli swoją publiczność zadowolić. To, że ich zadowolenie podniecało tych mężczyzn, podniecało także mnie.

Nigdy nie kazałam swojemu mężowi zrobić dla mnie striptizu czy przejść się nago po pokoju, albo też uklęknąć przede mną. Nigdy nie miałam wobec niego żadnych żądań seksualnych. Kochaliśmy się, nie odgrywając żadnych ról i nasze życie seksualne nas

satysfakcjonowało, choć nie było obsesyjne, tajemnicze ani uduchowione. Nigdy nie przywiązywałam do tego wagi. Po pierwsze, widywałam, jak tego rodzaju namiętność łamie i okalecza ludzi, jak niszczy ich związki.

Im więcej się dowiadywałam o seksualności na studiach, a potem na terapii, tym bardziej sobie uświadamiałam, że mój własny popęd seksualny jest przeciętny i że na pewno nie mam zbyt bujnej fantazji. Nie próbujemy jednak rozwiązywać problemów, których nie postrzegamy jako problemy. Ponieważ nigdy nie byłam seksualnie sfrustrowana, nigdy mi nie przychodziło do głowy, że nudzę się z Mitchem. Nie koncentrowałam się na własnym libido.

Przyznaję to bez dumy, ale pracowałam z tyloma pacjentami, których martwiły jakieś aspekty ich seksualności, że jeśli już myślałam o swojej, to raczej byłam zadowolona, że seks zajmuje bardzo niską pozycję w hierarchii spraw, którym poświęcam uwagę. Miałam nawet z tego powodu lekkie poczucie wyższości.

Teraz wiem, że niesłusznie, ale przez bardzo wiele lat naprawdę wierzyłam, że jeśli nie będę się za bardzo przejmowała seksem, nigdy nie będę nim rozczarowana.

Tak było aż do rozstania z Mitchem.

Potem przez kolejne miesiące stopniowo zdawałam sobie sprawę, jak mało oboje wkładaliśmy wysiłku w poznawanie siebie nawzajem. Jak na dwoje ludzi tak twórczych w pracy zawodowej, dla siebie byliśmy do tego stopnia nudni, że to zniszczyło nasz związek.

Nie rozumiałam, dlaczego tak było, choć czułam, że kiedyś będę musiała znaleźć odpowiedź. Kiedyś. Kiedy będę miała czas. Kiedy będę chciała się tym zająć. Kiedy zechcę pogrzebać w przeszłości, żeby wyciągnąć z niej nauczkę na przyszłość.

Ten czas jeszcze nie nadszedł.

Ekran zrobił się czarny i już miałam wcisnąć „stop”, kiedy pojawiła się następna scena. Poprzednim razem obejrzałam film tylko do tego miejsca, nie wiedząc, że jest coś więcej.

Włączyłam głos i patrzyłam, jak wyłania się obraz pokoju z regałami bibliotecznymi wzdłuż ścian. W sześciu rzędach krzeseł siedziały kobiety plecami do kamery. W jednym końcu pokoju była prowizoryczna scena. Tam, za podium, stała Shelby Rush.

- A teraz mamy numer trzy, Tim - powiedziała.

Na scenę wszedł mężczyzna bez koszuli i bez butów, ubrany tylko w parę wytartych dżinsów. Miał szerokie ramiona i gładki, nieowłosiony tors. Stał pokornie, z rozłożonymi dłońmi.

- Tim, mógłbyś zdjąć dżinsy? - zapytała Shelby.

Jakby dokładnie tego się spodziewał, bez śladu zażenowania zabrał się do spełniania prośby i w kilka sekund był rozebrany do bielizny.

- Czy zechciałbyś się doprowadzić do wzwodu?

Tim bez wahania zaczął masować sobie kroczę przez bawełniane slipy. Patrząc na wpatrzoną w niego publiczność, uśmiechał się lekko, podczas gdy jego ręka poruszała się w stałym rytmie niczym automat.

Po niespełna trzydziestu sekundach był gotów.

- A teraz nam pokaż.

Tim zdjął slipy.

Miał pięknie wyrzeźbione ciało.

- Czy któraś z was chce wypróbować Tima, zanim otworzę licytację?

- Ja - odezwał się głos z widowni. Wstała niska kobieta o rudych włosach.

W cywilizacji, w której tyłu mężczyzn, a teraz i kobiet, ucieka się do najróżniejszych leków na receptę, by wywołać pożądanie, które zniknęło, zostało

zniszczone albo wyparte tak głęboko, że bali się dowiedzieć, co je hamowało, dzikie i autentyczne apetyty tych kobiet były czymś zdumiewającym.

Co było w nich innego, co pozwalało zawiesić na kołku społeczne normy? Tak wiele kobiet, z którymi pracuję, chcąc być częścią pary, choćby to było najbardziej frustrujące, wybiera życie złożone z kompromisów, zamiast spróbować alternatywy. Wypierają się, nawet w zaciszu własnych umysłów, swoich najbardziej twórczych fantazji, w zamian czerpiąc inspirację ze scen łożkowych, o których czytają w rozmamłanych powieściach. Boją się przeszukiwania krętych tuneli własnej podświadomości, żeby odkryć, co byłoby naprawdę podniecające - czy to głośne mówienie, czy odgrywanie scenek, czy dążenie do bólu.

A jednak ta grupa przełamała wszelkie opory, by zaspokajać swoje pragnienia. Żeby stworzyć jakieś rozwiązanie, choćby najbardziej niekonwencjonalne. Czy ich upodobania są niezwykle? Czy są zaburzone? U niektórych z nich zapewne tak, u innych nie. Osądzanie ich nie pomogłoby mi zrozumieć, w jaki sposób docierali do najbardziej mrocznych, najbardziej prywatnych zakamarków swojej seksualnej natury. Ale mogłam nad tym rozmyślać. Szczególnie tutaj, w moim własnym domu, oglądając, jak spełniają wzajemnie swoje seksualne marzenia.

Na ekranie nagi mężczyzna zszedł ze sceny i zmierzał do kobiety, która nadal była odwrócona plecami do kamery. Kamerzysta skierował obiektyw na jej szarą suknię, od góry w dół, i zrobił najazd na jej wypielęgnowaną dłoń obejmującą jądra Tima, oceniającą ich ciężar. Potem wzięła do ręki jego penis i trzymając jak smycz, na oczach publiczności wyprowadziła mężczyznę z sali. Cięcie.

Kamera przeniosła się do zaciemnionej sypialni.

Kadr wypełniały nagie plecy Tima, a po obu bokach jego ciała widoczne były nogi kobiety, z paznokciami w kolorze głębokiej czerwieni.

- Nie spiesz się - rozkazał jej bezcielesny głos. Palce zaciśnięte na jego plecach wpijały się paznokciami w ciało, zostawiając głębokie znaki w kształcie półksiężyca.

Miękkie światło połyskiwało na jego skórze, kiedy poruszał się w wolnym, monotonnym tańcu.

- Rozumiesz, że to nie jest dla twojej przyjemności. Nie chcę, żebyś sobie zaraz ulżył. Nic z tych rzeczy. Nie teraz. W ogóle. Myślisz, że wytrzymasz? - Jej słowa nie były zwykłymi poleceniami; ona się podniecała, słysząc własny głos. - Potrafisz być dla mnie cały czas twardy? Tak długo, jak będę potrzebowała?

- Tak. - Jego głos był zachrypły i niski. Posłuszny. Bez śladu teatralności. Pełen autentycznego szacunku.

Jedynym dźwiękiem przez kilka następnych sekund było hałaśliwe uderzanie ciała o ciało.

- Powiedz, jak możesz się powstrzymywać. Nie jest ci dobrze? - wyszeptała tak łagodnie, że musiałam się pochylić, by ją usłyszeć.

Widziałam teraz pot na jego plecach, i to, jak rozluźnił mięśnie pośladków, a potem znów napiął.

- Tak. Jest mi dobrze. Ale chcę, żeby tobie było dobrze.

- Dlaczego?

- Bo chcę dostać nagrodę.

- Im dłużej będziesz czekał, im więcej potrafisz mi dać, nie dając nic sobie, tym hojniej cię nagrodzę. O to chodzi? Właśnie tego chcesz?

- Tak. Proszę.

- Czy to nie doprowadzi cię do szaleństwa, kiedy zacznę się pod tobą rzucać? Kiedy zacznę dochodzić? A ty nie będziesz mógł?

- Doprowadzi.
- Ale wytrzymasz?
- Tak.

Zaparło mi dech.

- Jak ci się uda powstrzymać orgazm, nie spuścić się, nie wystrzelić we mnie? - Zatraciła się w swojej własnej grze erotycznej, mówiąc teraz wcale nie do niego, tylko po to, by podsycić własną rozkosz.

- Wytrzymam, bo to jest to, czego ode mnie chcesz.

Jej oddech był coraz szybszy, z ust wydobywało się błogie pojękiwanie. Łapała płytko powietrze. Mięśnie jego pleców były napięte i wyraźnie zarysowane. Wyśięk musiał być bolesny.

Tymczasem kamera ani drgnęła.

Mężczyzna poruszał się w rytmie jęków kobiety i cicho wzdychał.

- Nie! - wykrzyknęła. - Nie. Słyszysz mnie?

Wstrzymałam dech.

- Tak - szepnął. - Przepraszam.

- Jesteś pewien, że dasz radę? - Jej głos brzmiał natarczywie.

- Tak.

Długi, wolno wznoszący się dźwięk wymknął się z jej ust i zanim zgasł, zmieniła się scena. Byliśmy z powrotem w bibliotece. Tim znów stał na scenie. Nadal z pełną erekcją. I z opuszczoną głową.

- A teraz, kiedy Tim przeszedł swój pierwszy test, zacznijmy licytację.

Byłam na erotycznym rauszu, ale nim zrozumiałam dlaczego, ogarnął mnie smutek. Nie było nikogo, komu mogłabym poświęcić swoją energię. Nawet nikogo, komu mogłabym wyznać, jak to oglądanie grupy kobiet oceniających mężczyznę i testujących jego jurność wzbudziło we mnie kompletnie nieznanne pragnienie.

Nie. To nie dlatego wpadłam w melancholijny nastrój.

Był taki ktoś. Choć byłam z nim tylko raz, założyłabym się o wszystko - nawet w tym stanie otumanienia - że Noah Jordain zrozumiałby, co się ze mną dzieje. Że gdybym opowiedziała mu o filmie i o tym, jak na niego zareagowałam, uraczyłby mnie tym swoim leniwym uśmiechem, który wyglądał tak, jak brzmiał jego głos, podniósłby rękę, położył ją na moim policzku, spojrzalby mi prosto w oczy i powiedział, że zagra ze mną, w co tylko zechcę. Że tak, nawet stanie przede mną nagi i z radością będzie wykonywał wszystkie moje polecenia.

Niczym wybuch niechcianego porannego światła, gdy potrzebujemy więcej snu i ciemności, zobaczyłam Noaha, nie w swoim marzeniu, lecz stojącego przed tamtą ścianą ohydnych zdjęć w komisariacie. Wszystkie uczucia kłębiące się w moim ciele i umyśle przegoniło jedno nagłe olśnienie.

Mężczyzna, którego oglądałam na filmie, który rozbierał się, onanizował, wykonywał polecenia kobiet, a potem pozwolił wystawić się na licytację, był drugą ofiarą mordercy, którego ścigał Noah.

Tim. Oczywiście. Timothy. Timothy Wheaton. Zdrowy, opalony i prawie nierozpoznawalny jako szare zwłoki na zdjęciach w komisariacie.

Drżącą ręką wcisnęłam guzik cofania na pilocie, słuchałam przez chwilę szelestu przewijanej taśmy, wcisnęłam „stop”, a potem „play”. Włączyłam szybkie przewijanie do przodu, oglądając jeszcze raz erotyczne sceny, które na przyspieszonym filmie wyglądały jak ze złej slapstickowej komedii.

W końcu znalazłam fragment, którego szukałam.

Tim, z nagim torsem i w dzinsach, pozujący przed głodnymi kobietami.

Tim zdejmujący spodnie, a potem slipy.

Tim demonstrujący swoją erekcję, wychodzący i pokoju z niezidentyfikowaną kobietą.

Zamknęłam oczy, by przypomnieć sobie możliwie najwyraźniej fotografie ze ściany Noaha.

Przywołałam twarz mężczyzny na zdjęciach, których nie puściła gazeta. Był blady, nagi i bez żadnych oznak życia, ale to był z całą pewnością ten sam mężczyzna, którego widziałam na filmie.

Przerażenie wywołał fakt, że jeden z mężczyzn związanych ze Szkarłatnym Stowarzyszeniem został zamordowany.

Ale dwóch mężczyzn?

To nie mógł być zbieg okoliczności.

Dwaj mężczyźni musieli być elementem schematu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Był jeszcze półmrok, kiedy wyszłam z domu i ruszyłam w dół Manhattanu na zebranie rodziców w studiu prób teatralnych. Idąc spacerkiem do stacji metra na Lexington, przyglądałam się ciemniejącemu niebu.

Zmierzch gęstniał szybko tamtego dnia, był bezbarwny. Wieżowce wtapiały się w szarość wieczoru, ich szczyty nikły w powłóce chmur i zapadających ciemnościach. Jesienne złote i czerwone liście były na tle zmroku jak eksplozje ognia.

W drodze wciąż myślałam o filmie, ale zanim wszłam do studia, zmusiłam się, by zostawić na zewnątrz problemy doktor Snów i być po prostu mamą Dulcie.

Młodzi aktorzy i ich rodzice siedzieli na metalowych krzesłach w prowizorycznej sali konferencyjnej, popijając zimne napoje, niedobłą kawę albo jeszcze gorsze wino, słuchając reżysera, który mówił o zbliżającym się wyjeździe na pokaz przedpremierowy. Rozdał kartki z programem, który zawierał takie informacje jak nazwa hotelu, adresy, godziny przedstawień oraz inne istotne szczegóły organizacyjne. Potem mówił o stresie, z jakim muszą się zmierzyć wszystkie dzieci, i co możemy zrobić, żeby im pomóc przejść przez tę doniosłą próbę.

Dulcie siedziała między mną a moim eksmężem i kręciła się na krześle, nie mogąc znaleźć pozycji, w której wytrzymałaby dłużej niż minutę lub dwie. Ani na moment nie oderwała wzroku od twarzy reżysera, a kilka razy zauważyłam, że żuje od wewnątrz policzki, czego nie robiła chyba od lat. Jej nerwowość była coraz bardziej widoczna.

Po zebraniu poszliśmy we trójkę na kolację do Time Out, modnej, choć bez luksusowego zadęcia restauracji odległej o dwie przecznice od studia. Dulcie piła wodę, ja i Mitch wino. Było lepsze niż to, którym nas uraczono na zebraniu.

Czuliśmy się swobodnie, bo ja i mężczyzna, którego żoną byłam przez niemal połowę swojego życia, utrzymaliśmy dobre stosunki. W końcu mieliśmy wspólny cel - być jak najlepszymi rodzicami dla naszej córki. Rozwód nigdy nie jest łatwy, nasze doświadczenie jednak było tylko smutne, a nie brutalne, toteż nigdy nie czuliśmy wobec siebie wrogości. Udało nam się przebrnąć przez całą procedurę prawną, pozostając w przyjaźni, czego zasługę w pełni przypisuję Mitchowi. Był wspaniałomyślny i życzliwy.

Jeśli mam być do końca szczerą, przyznam, że tym, co mnie skłaniało do tak rozsądnej postawy, była między innymi świadomość, że Mitch i Dulcie mają ze sobą wyjątkowy psychiczny kontakt. Nasza córka jest bardziej podobna do swojego ojca niż do mnie. To z nim dzieli miłość do teatru i filmu, do książek i aktywności fizycznej, takiej jak jazda na nartach czy chodzenie po górach. Mają tę samą tyczkowatą budowę ciała, tę samą krótkowzroczność i ten sam gust kulinarny, z upodobaniem do mało pikantnego jedzenia, w przeciwieństwie do mnie.

Czasem bywam zazdrosna o tę ich szczególną więź, zapominając, że Dulcie i ja również jesteśmy sobie

bliskie, znając dobrze Mitcha w dzieciństwie , zbył usilnie pracowałam nad utrzymaniem dobrego kontaktu z moją córką i czasami, w momencie olśnienia, zdawałam sobie sprawę, że to nas bardziej od siebie odsuwa, niż zbliża.

Byliśmy przy deserze. Właściwie Mitch i Dulcie byli przy deserze, pałaszując po porcji sernika, podczas gdy ja zadowalałam się kawą. Przyglądałam się Dulcie przez cały wieczór, czekając, aż opadnie z niej choć trochę napięcie, ale nic z tego. Coś było nie tak.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam.

Kiwnęła głową, a potem spojrzała na Mitcha.

Znałam to spojrzenie. Widywałam je od lat. Sposób mojej córki na rozwiązywanie problemów był niezmienny: najpierw szła do Mitcha, a potem razem przedstawiali mi sprawę.

Kiedy wałkowałam to przed laty z Niną, powiedziała mi, że nie ma nic niezwykłego w tym, że dziecko terapeuty obawia się przenikliwości tego rodzica. Że zwrócenie się najpierw do drugiego rodzica, który nie jest psychologiem, daje dziecku ochronę i poczucie równowagi. Nina pomogła mi zaakceptować ich sojusz, co nie znaczy, że byłam nim zachwycona.

- Morgan, chodzi o podróż do Bostonu - oznajmił Mitch, przekładając na słowa spojrzenie Dulcie.

- Okej. Wyduś to z siebie. - Beztroskim tonem próbowałam dać jej sygnał, że najpierw spokojnie wysłucham, bez reagowania. W środku jednak ogarnęła mnie panika, nagły strach, który w jakimś stopniu był moją własną projekcją tego, co przeżywała Dulcie, ale przede wszystkim brało się to z niej.

Odkąd była niemowlęciem, zawsze wyczuwałam jej ból, zarówno fizyczny, jak i emocjonalny. Często mi się zdarzało, nawet kiedy byłam daleko od niej, że ni stąd, ni zowąd chwytał mnie ból gardła, brzucha czy

ręki, a kiedy wracałam do domu, okazywało się, że Dulcie zachorowała albo się skaleczyła.

Innymi razy ogarniała mnie nagła tęsknota lub strach, a potem się dowiadywałam, że Dulcie na jakimś biwaku albo obozie bardzo za nami tęskniła i chciała wrócić do domu, albo że w szkole dokuczyło jej jakieś dziecko.

Już wcześniej tamtego wieczoru byłam bardzo zdeenerwowana. Przypisałam to uczucie jej naturalnej tremie scenicznej.

- Chciałabym, żeby tata pojechał ze mną do Bostonu.

Westchnęłam z ulgą.

- Oczywiście, skarbie, że może pojechać. Oboje z tobą pojedziemy. Nie musisz nawet o to pytać, prawda, Mitch?

Mój były mąż ostrzegł mnie wzrokiem, że nie słu chałam, co mówiła Dulcie.

- Ale to nie o to chodzi, prawda? - skierowałam pytanie do niej.

Miała zaciśnięte usta, odmawiając wyjaśnienia, chcąc, żebym ją wyręczyła. Nie było to zbyt trudne.

- Chcesz, żebym została w domu?

- To nie o to chodzi, że nie chcę, żebyś pojechała. Po prostu nie chcę, żebyś widziała moje błędy. Najpierw muszę to dopracować. Nie chcę, żebyś mnie oglądała aż do premiery w Nowym Jorku. Kiedy wszystko będzie, jak trzeba. Kiedy będzie doskonałe.

Pokiwałam głową. Coś, co mnie od dawna niepokoiło, nagle stało się jasne.

- Skarbie, to dlatego zwykle mi mówisz, żebym cię odebrała o jakiejś godzinie, a kiedy przyjeżdżam, to się okazuje, że jestem piętnaście minut później niż inni rodzice? Nie chcesz, żebym oglądała próby?

Przygryzła dolną wargę.

- Ja po prostu chcę, żebyś zobaczyła gotową sztukę. Na wieczorze premierowym.

Było coś jeszcze, o czym nie wspomniała, ale wiedziałam po tym, jak zamgliły się jej niebieskie oczy, że nie powie mi nic więcej. Odziedziczyła po Mitchu również kilka wad. To uparte zamykanie się w sobie było jedną z nich.

Podniosłam kieliszek, wypiałam długi łyk wina i próbowałam oddzielić moje zranione uczucia od psychologicznej oceny tego, co robi moja córka i z jakich powodów. Ale zastanawiałam się tylko nad jednym: co ja takiego robiłam, co każe jej myśleć, że chcę - albo wymagam - żeby była doskonała.

Przykryłam jej rękę i pochyliłam się do niej.

- Kochanie, ja nie oczekuję, że twoje występy będą doskonałe. Ja ciebie nie oceniam.

Pierwszą reakcją były Izy.

- Jeśli się nie sprawdzę, nie pozwolisz mi tego robić dalej.

- Dlaczego tak myślisz?

Teraz nastąpiło konwulsyjne wzruszenie ramion.

- Kocham cię, Dulcie, bez względu na to, czy wejdziesz na scenę i będziesz śpiewała jak Judy Garland, czy się sypniesz, czy będziesz fałszowała. A jeśli chodzi o twoje dalsze granie, to będzie decyzja rodzinna. Podejmiemy ją wspólnie, kiedy „Tajemniczy ogród” zejdzie z afisza. Zobaczymy, jak sobie radzisz ze szkołą, jak znosisz stres, i razem zdecydujemy.

Skinęła głową, ale nie miałam pojęcia, czy ją przekonałam. Później, w samotności, będę mogła się dalej bić z myślami. Teraz chodzi tylko o to, by powiedzieć coś, co podniesie na duchu moją córkę.

- Obiecuję, że nie będę ci stawać na drodze, jeśli aktorstwo jest tym, czego naprawdę chcesz. Wierzysz mi, prawda?

Pokiwała głową.

- A co z Bostonem? - spytała lekko łamiącym się głosem. - Może pojechać ze mną tata? Będziesz mogła poczekać z obejrzeniem mnie do prawdziwej premiery?

- Jeśli to ma dla ciebie aż takie znaczenie...

- Ma. Próby zawsze wychodzą źle. Dużo innych dzieci przekonało rodziców, żeby ich nie oglądali.

Zerknęłam na Mitcha. W jego oczach nie znalazłam odpowiedzi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Czekałam, aż wrócimy do domu. Potem czekałam, aż Dulcie odrobi lekcje. Później obejrzałyśmy razem odcinek filmu z Jerrym Seinfeldem, pękając ze śmiechu, choć wszystkie dowcipy znałyśmy na pamięć. Na koniec czekałam, aż moja córka rozbierze się, położy do łóżka i zaśnie.

I dalej nic nie robiłam. Zagotowałam wodę. Czekałam, aż naciągnie herbata. Czekałam, aż roztopi się w niej łyżeczka miodu. I nie miałam już więcej pretekstów, by czekać dalej, mimo że nie mogłam mu udzielić żadnej solidnej informacji. Mimo że nie mogłam złamać tajemnicy lekarskiej.

Chyba jednak mogłabym mu powiedzieć, że coś, co zauważyłam na zdjęciach w komisariacie, co wtedy wydawało się bez znaczenia, ma znaczenie teraz?

Chyba powinnam to zrobić?

Nie powiedziała mi o tym żadna z kobiet ze Szkarłatnego Stowarzyszenia. Nie wspomniała o tym Shelby, kiedy rozmawiałyśmy w cztery oczy. To było coś, co zauważyłam sama.

Podniosłam słuchawkę. I ją odłożyłam.

A jeśli moja rozmowa z Noahem wpłynie na jego śledztwo? Jeśli moja informacja będzie pasowała do

faktów, które już znał, jeśli okaże się brakującym elementem układanki? Zaczęłam rozważać wszystko od nowa. Nie informuje się policji o czymś, co ma związek z pacjentami. Nie ma nic świętszego w naszym zawodzie niż dyskrecja pomiędzy mną a ludźmi, którym pomagam.

Zanim zasnęłam, długo leżałam w łóżku, roztrząsając problem i nie znajdowałam rozwiązania. W domu panowała cisza, którą tylko czasem zakłócał przejeżdżający ulicą samochód.

Gdzie on jest? Mężczyzna, który zabił Philipa Maura i Timothy'ego Wheatona. Czy był na filmie, który przysłała mi Shelby Rush? Czy któraś z kobiet z grupy, z którą pracuję, uprawiała z nim seks? Co go łączyło ze Szkarłatnym Stowarzyszeniem? Na czym polega moja odpowiedzialność?

Wstałam i boso pomaszerowałam przez ciemny korytarz do pokoju Dulcie. Drzwi były na wpół otwarte, a mój wzrok przywykł już do mroku, kiedy leżałam w łóżku, rozbita i podminowana.

Moja córka spała na plecach, z jedną ręką pod pościelą, drugą przerzuconą przez pierś. Twarz miała spokojną. Nie widziałam cieni pod oczami, które zwróciły moją uwagę wieczorem przy kolacji. Zależało mi tylko na jej bezpieczeństwie. I jej szczęściu.

Gdzieś za ścianami tego domu jest na wolności mężczyzna, który zabił już dwukrotnie. Nie pojmowałam dlaczego. I nie miałam pojęcia, co powinnam z tym zrobić. Wiedziałam jednak, że mężczyźni, których zabił, mieli dzieci, którym będzie ich brakowało, których życie już nigdy nie będzie takie samo.

Zagubione dziewczynki. Zagubieni chłopcy.

Czy naprawdę mogę nie powiedzieć tego, co wiem, Noahowi Jordainowi?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Następnego dnia w przerwie na lunch Nina spytała, czy mam ochotę na spacer.

- Tak, jeśli wpadniesz ze mną do Tiffany'ego. Muszę odebrać prezent dla Dulcie.

- Dobrze. Wezmę kurtkę.

Wciąż było słonecznie i ciepło. Spacer powinien mi sprawić przyjemność, ale byłam zmęczona i pochłonięta własnymi myślami.

- Co cię gryzie? - spytała, jak tylko wyszliśmy na ulicę.

Nie zaprzeczyłam, że mam zmartwienia. Nina знаła mnie zbyt długo i zbyt dobrze.

Były dwie rzeczy, które zaprzętały mi głowę, ale byłam gotowa rozmawiać tylko o jednej z nich. Wciąż nie wiedziałam, co zrobić z informacją, która miała związek ze śmiercią Timothy'ego Wheatona i Philipa Maura, ale zaledwie kilka dni wcześniej posprzeczaliśmy się na temat kontaktów z policją, wybrałam więc bezpieczniejszą sprawę i powiedziałam jej o prośbie Dulcie, by nie jechać z nią do Bostonu na pokaz przedpremierowy.

Chodniki wypełniały tłumy spacerowiczów. Był to jeden z tych mobilizujących jesiennych dni, kiedy

każdego, kto mieszka w takim mieście jak Nowy Jork, Paryż czy Londyn ciągnie na ulice. Gdyby tak mogło być zawsze, wszyscy rozmawialibyśmy o rzeźkim powietrzu i barwach liści na drzewach.

- Przez to, że sama wychowałam się bez matki, zastanawiam się bez końca nad każdą cholerną decyzją - żaliłam się Ninie, gdy szłyśmy aleją Madisonsa w dół Manhattanu, zbyt pochłonięte rozmową, by oglądać wystawy sklepów.

- Na pewno w tym rzecz? Straciłaś bardzo wcześnie matkę, więc teraz nie wiesz, co robić?

- A jak to inaczej wytłumaczyć?

- Wiesz, nawet gdybyś miała matkę przez cały okres dojrzewania, i tak nie byłabyś przygotowana na ten konkretny problem.

- Miałabym jakieś mapy drogowe.

- Być może. Ale to jest zbyt proste. Myślę, że dzieje się coś innego, kiedy Dulcie narzuca w ten sposób swoją wolę.

Westchnęłam. Chyba już mniej nie mogłam się po niej spodziewać, prawda? Nina jest przede wszystkim terapeutką.

- Co?

- Morgan, kiedy Dulcie ci powiedziała, że nie chce, żebyś z nią jechała do Bostonu, pamiętasz, jak się poczułaś?

- Koncentrowałam się na tym, jak zareagować. Na tym, co jej powiedzieć, żeby ją wesprzeć, żeby czuła, że traktuję ją poważnie, że kocham...

- Przestań. Czasami doprowadzasz mnie do szału. Czy ty siebie słuchasz?

Doszłyśmy do szarego granitowego budynku na rogu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Linie art deco, czyste i szlachetne, miały już swoją historię, i ta swojskość była kojąca. Fragmenty Nowego Jorku,

które nigdy się nie zmieniają, są punktami orientacyjnymi dla tych z nas, którzy mieszkają tu od urodzenia.

Bar z hamburgerami na rogu alei Madisonsa i Sześćdziesiątej Trzeciej ulicy, do którego zabierała mnie matka, kiedy miałam sześć lat, wciąż tam jest. Tak jak ekskluzywny dom towarowy Saks przy Piątej Alei, dokąd zabierał mnie ojciec na zakupowe szaleństwo w każde moje urodziny. Choinka, która przyjeżdża co roku do Centrum Rockefellera, przywodzi wspomnienia każdej Gwiazdki, w którą przyprowadzałam małą Dulcie na zapalenie świateł. Było więcej takich miejsc, ale niektóre odeszły w niebyt, wyburzone, a na ich gruzach wyrosły nowe domy. Brakuje mi tych znaków przeszłości.

- Nina - westchnęłam - będziemy to robić na ulicy, w tej chwili?

- Nie. W tej chwili wejdziemy do sklepu, będziemy się zachowywać w bardzo elegancki sposób i upając wyrafinowaną atmosferą, ale wrócimy do tego, jak odbierzesz prezent. A właśnie, co to jest?

Dla uczczenia głównej roli Dulcie w „Tajemniczym ogrodzie” zamówiłam złoty klucz z monogramem, na złotym łańcuszku, symbolizujący klucz znaleziony przez Mary Lennox, który zawiódł ją do opuszczonego przed laty, ukrytego ogrodu.

- Naszyjnik.

Weszliśmy przez oszklone drzwi do spowitego miękką ciszą sklepu jubilerskiego. Niebieskie pudełeczka od Tiffany'ego, z ich białymi jedwabnymi wstążeczkami, były luksusowe. Chciałam, żeby Dulcie cieszyła się nimi równie mocno jak ja, kiedy dostawałam je od swojego ojca. Mój prezent na szesnaste urodziny, prezent z okazji ukończenia szkoły średniej, prezent dla uczczenia dyplomu college'u, wszystkie pochodziły od Tiffany'ego. Również moja obrączka ślub-

na. I Mitcha. Grzechotka Dulcie i jej pierwszy srebrny kubek.

Nina stała obok, kiedy sprzedawca pokazał mi złoty kluczyk z inskrypcją: datą premiery i napisem „Dla Dulcie z miłością, mama i tata”.

W drodze powrotnej do instytutu zatrzymałyśmy się w barze kawowym. Usiadłyśmy przy małym stoliku, który akurat się zwolnił, zamówiłyśmy po filizance cappuccino i małej kanapce.

- Okej, wróćmy do tego - powiedziała Nina, kiedy odeszła kelnerka.

- Musimy?

Skinęła głową.

- Nie pamiętam, na czym skończyłyśmy - skłamałam.

- Zbyt dobrze cię znam, Morgan. Nigdy w życiu nie zdarzyło ci się zapomnieć, w którym momencie przerwałaś rozmowę. Spytałam cię, co czułaś, kiedy Dulcie powiedziała, że nie chce, żebyś pojechała z nią do Bostonu.

Zaczęłam się zastanawiać. Nina zaprotestowała.

- Nie, żadnego myślenia. Po prostu mi powiedz. Szybko. Co czułaś?

- Że ona mnie nie chciała.

- Kto cię nie chciał?

- Że moja matka... - Urwałam. Zszokowana. Mimo wszystkiego, co wiedziałam o psychoanalizie, mimo całego swojego doświadczenia psychoterapeutki nie dostrzegłam tego związku samodzielnie.

- Dulcie angażująca się w aktorstwo wydobywa więcej wspomnień o twojej matce, prawda?

Miałam ściśnięte gardło. Kiwnęłam głową.

- Ona tak bardzo lubiła grać - powiedziała Nina łagodniejszym głosem, bo ona też myślała o swojej dawnej przyjaciółce.

- Pamiętam, jak się stroiła, kiedy szła na jakieś przesłuchanie. Siadałam na brzegu wanny i patrzyłam, jak skrupulatnie nakłada makijaż i jak się skrapia perfumami. Potem czekałam na jej powrót. Zawsze była taka podniecona, kiedy wracała. Opowiadała mi o wszystkim, co się wydarzyło, i jak to jest pewna, że dostanie rolę, a jak już zaczniesz grać, to przeprowadzimy się do większego mieszkania, ale...

Przypominało mi się teraz zbyt dużo i nie chciałam w to brnąć. Pomyślałam o czymś, co nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy.

- Nina, ona nie szła na przesłuchania, prawda? Chodziła do barów, tak? Łowiła facetów, żeby płacili za jej drinki i za jej prochy.

Przytaknęła.

- I żyli długo i nieszczęśliwie - powiedziałam, powtarzając kwestię, która przyniosła mojej matce sławę krótką jak okamgnienie i w ostateczności wyrządziła więcej szkód niż dobra, odbierając jej przyjemność życia, które nie miało szansy stać się tym, czym było wcześniej. Smak kariery aktorskiej uwiódł ją, omamił, a potem już nic się do tego nie umywało: ani małżeństwo, ani rodzina, ani jej przyjaciele, ani nawet ja.

A ja pozwalałam swojej córce narażać się na to samo. Wzdrygnęłam się.

Nina pokręciła głową.

- Dulcie nie jest twoją matką. Jest twoją, córką. I pamiętaj, że ona ma matkę. Ma ciebie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

W następny poniedziałkowy wieczór grupa kobiet ze Szkarłatnego Stowarzyszenia była posępna i milcząca. To było drugie nasze spotkanie i jeszcze ich nie rozgryzłam.

- Czytała pani w piątkowych i sobotnich gazetach o Timothy'ym Wheatonie? - spytała Shelby, nim wszystkie zajęły miejsca.

- Tak.

- On też był naszym znajomym. Ze stowarzyszenia.

- Naprawdę? To bardzo niepokojące. I pewnie was przeraża. - Sama doszłam do tego, o czym mówiła, ale udawałam zaskoczenie. Jak mogłam im wyjaśnić, skąd o tym wiem? - Bardzo mi przykro z powodu Timothy'ego. Z powodu waszej straty - dodałam, zwracając się do całej grupy.

Shelby skinęła głową, przyjmując kondolencje.

- To może zaczniemy?

Przez kilka sekund milczały, spoglądając jedna na drugą. W końcu odezwała się Annę:

- To nie może być zbieg okoliczności. - Tak jak poprzednio była cała w czerni i chowała twarz za ogromnymi okularami.

- Jak się z tym czujecie?

Ellen zareagowała z wrogością, która mnie zaskoczyła. Była w zielonym kostiumie w stylu Chanel, a na jej lewej dłoni połyskiwał wielki szmaragd.

- A jak się mamy czuć? Znałyśmy tych mężczyzn. W sensie intymnym. Od lat łączyło nas z nimi coś osobistego. Coś bardzo wyjątkowego. I cudownego.

- Policja powiedziała gazecie, że nie znaleźli jeszcze ich ciał - dodała Davina. Jej ton wydał mi się mniej zdecydowany niż przed tygodniem.

- To tylko kwestia czasu - wtrąciła Liz, kobieta w dżinsach, koszulowej bluzce, w miękkiej zamszowej kurtce i botkach. Trzymała na kolanach aktówkę i opierała na niej łokcie.

Bethany, która podczas pierwszej sesji głównie milczała, sama z siebie zabrała teraz głos. Miała lekki południowy akcent, co nasunęło mi myśl, że musiałam ją widzieć na filmie.

- Ty nie masz z tym żadnego uczuciowego związku.

Kilka kobiet wyprostowało się gwałtownie. Davina pochyliła się do przodu. Ginny opuściła na kolana skrzyżowane wcześniej ręce. Szykowały się, ale do czego?

- Niby co to ma znaczyć? - spytała Liz lekko kwaśnym tonem.

- To, że ty się tym nie przejmujesz tak jak reszta naszej grupy. Byłaś na nich wszystkich zła. Narzekałaś od miesięcy - wyjaśniła Bethany.

- Zła? - Liz roześmiała się.

Nie przerywałam. To spięcie było ważne - nie tylko dla nich, ale i dla mnie. Musiałam zobaczyć, jak się do siebie odnoszą, żeby poznać ich wzajemne relacje.

- Tak, sama mi mówiłaś, że jesteś na nich zła.

- W prywatnej rozmowie.

- Byłoby dobrze, Liz, gdyby porozmawiała pani o tym z nami wszystkimi - zasugerowałam.

Nie odezwała się.

- Dlaczego była pani zła na Timothy'ego i Philipa? Liz uparcie milczała.

- Myślę, że Liz chodzi o to... - zaczęła Ellen.

- Lepiej będzie, jeśli Liz wypowie się sama - przerwałam i skupiłam wzrok z powrotem na Liz. - Skoro już wiemy, że była pani zła, może nam jednak pani powie dlaczego? Wiem, że to trudne - świadomość, że było się złym na kogoś, kto nagle zmarł. Zostajemy z uczuciami, których nie umiemy przetworzyć. Z żalem i poczuciem winy trudno jest sobie poradzić na własną rękę.

- Żalem? - Przenikliwy śmiech Liz trącił histerią.

- Cała koncepcja Szkarłatnego Stowarzyszenia jest w porządku, dopóki mężczyźni cię chcą. Ale kiedy nie chcą, cały gówniany problem bycia kobietą pojawia się znowu, czyha na ciebie, szydzi z ciebie. Identycznie jak w całym społeczeństwie, nie ma żadnej różnicy.

Przez minutę panowało milczenie.

- O czym ty mówisz? - spytała w końcu Annę dobitnym głosem.

Liz skrzyżowała ręce na piersi, jakby miała zapaść w zimowy sen. Odczekałam pełne trzydzieści sekund.

- A jeśli ktoś poluje na mężczyzn z naszej grupy?

- przerwała ciszę Shelby, kierując pytanie do mnie.

- Dlaczego zmieniasz temat?

- Myślę, że musimy o tym porozmawiać.

- Dlaczego, Shelby? Uważasz, że właśnie to się dzieje?

Kątem oka zobaczyłam, że Liz siedzi nieruchomo, z twarzą zastygłą w grymasie gniewu.

- To chyba nie jest przypadek, że dwaj mężczyźni związani z naszą organizacją zostali zamordowani w identyczny sposób? Jak pani sądzi? - spytała Shelby.

- Zdecydowanie nie. Nie wierzę w przypadki.
 - A poza członkami klubu nikt o nas nie wie - odezwała się Martha. - Cholera, nawet sami o sobie niewiele wiemy. Nie wiemy, kim tak naprawdę jesteśmy. - Tego wieczoru miała przyciemnione szkła okularów, nie na tyle ciemne, by zakrywały jej oczy, lecz niebieskie i wystarczająco duże, by zmienić jej wygląd. Miała na sobie zwykłe czarne dżinsy, jasnoniebieski sweter i żakiet w jodełkę. - Skąd ktoś mógł się dowiedzieć, kim byli ci mężczyźni, jeśli nie od nich samych?
 - Philip by się nie zdradził - stwierdziła Annę. - Miał żonę, dzieci, swoje publiczne życie, na którym mu zależało. Na pewno nikomu nic by nie powiedział. Jedyną szansą, żeby mieć i nas, i karierę, było utrzymywanie naszej tajemnicy.
 - Wszystkie tak uważamy - poparła ją Davina.
 - Wszystkie - powtórzyła jak echo Ginny.
- Na chwilę zapadło milczenie.
- Ale co my mamy teraz robić? - zapytała Annę.
 - Czy powinniśmy dalej chodzić na spotkania? Czy może zamknąć klub?
 - Nie. - Shelby stanowczo pokręciła głową. - Nie. Pozostałe kobiety kolejno się z nią zgodziły.
 - Wydaje się pani taka pewna swojej racji - powiedziałam.
 - Musimy sobie ufać - ciągnęła Shelby. - Wszystko, co dotyczy Szkarłatnego Stowarzyszenia, opiera się na zaufaniu. Jesteśmy mocniejsze od każdej zewnętrznej siły. To, co robimy, jest naszym prawem. Nikt nas nie zmusi strachem, żebyśmy z tych praw zrezygnowały.
- Kiedy z jej ust padały tego rodzaju oświadczenia, czułam, że kolektywny sąd przechyla się na jej stronę. Kobiety nie patrzyły na nią ze ślepym oddaniem.

Shelby nie była ich guru. Była ich wodzem. A one - kobiety, które były silniejsze od przeciętnych w swoim głodzie i potrzebie władzy - jej ulegały.

- W gazecie nie było ani słowa o ich przynależności do grupy - rzekła od niechcienia Liz. - Skąd wiadomo, że ich śmierć miała związek z nami? Czy dwaj mężczyźni nie mogli zostać zabici na Manhattanie, nie mając żadnych konspiracyjnych powiązań?

- Dobrze byłoby porozmawiać o waszych osobistych uczuciach wobec Philipa i Timothy'ego, zamiast domyślać się, kto popełnił te zbrodnie - zauważyłam, zwracając się do grupy. Po pierwsze, chciałam je naprowadzić z powrotem na właściwy temat. Celem naszych sesji było pomóc tym kobietom uporać się z emocjami wywołanymi śmiercią bliskich im osób. Uczuciami, które poza ścianami mojego gabinetu nie miały żadnego ujścia.

Czekały wszystkie, żeby któraś inna zaczęła. A ja czekałam razem z nimi. W końcu odezwała się Martha:

- Nie wiem, jak to zrobić.

- Po prostu mówić o nich. O tym, co było w nich wyjątkowego. Co się pamięta.

Patrzyła na mnie przez chwilę.

- Philip mógł... - Urwała.

- Co? - spytałam.

- Cokolwiek powiem, wszystko będzie o seksie. O tym, jaki był szczęśliwy, kiedy mówiło mu się, co ma robić, kiedy kazało mu się powstrzymać orgazm, im dłużej był zmuszany... no właśnie. To nie fair. Nie możemy o nich mówić w ten sposób, o tym, jak się nadawali do pieprzenia.

- Dlaczego?

- Bo... - Nie znalazła wytłumaczenia.

Następna próbowała Shelby.

- Timothy miał bardzo silne ramiona. Ćwiczył.

Potrafił cię podnieść i trzymać w powietrzu, i jednocześnie być głęboko w tobie... - Pokręciła głową. - To jest bardziej skomplikowane, niż myślałam.

- Dlaczego uważacie, że to nie w porządku rozmawiać o tych mężczyznach od tej strony, którą znaliście najlepiej? Łączył was seks. Czy znaliście ich od jakiejś innej strony?

- Ja z nimi rozmawiałam, z jednym i z drugim - oznajmiła Annę. - Często. O tym, co lubią, dlaczego to lubią. Częściowo na tym polegał układ: słuchałam, jak to jest być bezsilnym i mieć mnie do decydowania i rozkazywania... Ale jak można mówić o kochanku po jego śmierci, jeśli nie było go w żadnej innej sferze twojego życia?

- Uważam, że obaj byli gówno warci - oświadczyła Liz.

Wszystkie głowy zwróciły się ku niej.

- Mieli robić dokładnie to, czego zechcemy. Ale nie potrafili. Nie z nami wszystkimi.

- To okropne z twojej strony - oburzyła się Annę.
- Powiedzieć coś takiego.

- Co jest okropne? - zapytałam. - Proszę wyjaśnić, Liz, dlaczego denerwuje panią to, co powiedziała Annę. Proszę opisać, jakie to wzbudza w pani uczucie, lecz jej nie oceniać.

- Pani nie rozumie - wtrąciła się Ellen ostrym tonem. - Ona jest o nas zazdrosna. Myśli, że mężczyźni się nią nie interesują, bo jest od większości - z nas starsza. A to nie jest tak. Chodzi o jej postawę. Sposób, w jaki ich poniża.

- Nie poniżam ich. - Liz zasznurowała wściekle usta.

- Oczywiście, że tak. Tobie nie chodzi tylko o władzę i kontrolę. Żądasz, żeby byli twoimi niewolnikami. Chcesz, żeby płaszczyli się u twoich stóp. Chcesz, żeby

się siebie bali i to, co każesz im czasem robić, **jest** obrzydliwe.

- Skąd wiesz, co im każę robić?

Ellen uśmiechnęła się. Szyderczo. Przyszło mi do głowy, że od dawna czekała, by to powiedzieć.

- Od Marka. Powiedział, że kazałaś mu wejść ze sobą do łazienki i...

- Zamknij swój pieprzony dziób! - wrzasnęła Liz.

Annę zaczęła płakać. Martha wstała i objęła Annę. Ginny mówiła coś do Liz, ale w ogólnym poruszeniu nie usłyszałam ani słowa.

- Proszę, usiądźcie. Shelby, Ginny, wróćcie na swoje miejsca. Poczekajmy, aż będziemy mogły się słyszeć...

Liz wstała z torebką na ramieniu i aktówką pod pachą.

- Wychodzi pani? - zapytałam. - Mamy jeszcze czterdzieści pięć minut do końca sesji.

- Nie wiem, po co tu w ogóle przyszłam. Nie pasuję do tego towarzystwa. Dla nich wszystkich to jest niewinna gra. Nie biorą tego serio. Myślą, że są silne i mają jakąś władzę, a to jest jak zabawa małych dziewczynek w dorastanie.

- Liz, byłoby z pożytkiem dla wszystkich, gdyby pani jednak usiadła i została. Przechodźcie przez to razem, i odseparowanie się nie pomoże ani pani, ani reszcie.

Stała dalej, dominując nad całą grupą. Światło rzucało cień na jej twarz, przez co zmarszczki między jej brwiami wydawały się głębsze. Trudno byłoby powiedzieć, że jest ładna. Miała zbyt dużą twarz o grubych rysach, choć w jej ciemnozielonych oczach z długimi rzęsami było coś kociego i tajemniczego. Gęste i kręcone jasne włosy z jakichś powodów nie pasowały do jej osobowości, sylwetki ani wyrazu twarzy.

- Ci mężczyźni upokarzali się przed nami - powiedziała. - Przychodzili do nas, bo chcieli, żebyśmy ich wykorzystywały. Pomiały nimi. Traktowały gorzej, niż oni kiedykolwiek traktowali czy byłiby w stanie traktować kobiety. Lubimy udawać, że to, co robimy, jest w porządku. A to jest perwersja. Nie jestem z tego powodu szczęśliwa, ale to jest mój sposób na seks. Nie chcę być łapana za tyłek, wolę sama łapać. Chcę, żeby facet podchodził do mnie z fiutem w rękach i błagał, żebym pozwoliła mu się zbliżyć bardziej. Co z tego, że chciałam zobaczyć, jak by to było mieć ich za niewolników? Czy nie to samo mężczyźni robią z kobietami? Kochać ich? Podziwiać? Wychwalać ich? Żadna z nas tego nie potrafi. Używałyśmy ich twardych kutasów i zwinnych języków. Nie kochałyśmy ich. Wystawiałyśmy ich na licytację. Lubili być otoczeni gorącymi kobietami, które chcą gorącego seksu. Lubili się gapić na zgrabne tyłki i jędrne cycki. Nie wiecie, jak to jest, kiedy patrzysz na nich, a oni odwracają oczy.

Liz spojrzała na Ellen, potem na Annę, Ginny i w końcu na Shelby.

- Nie wiecie, jak to jest, kiedy widzisz, jak się modlą, żeby ich nie wybrała, bo nie są pewni, czy się z tobą sprawdzą. - Łykała łzy nie tak, jak to robi kobieta, lecz tak, jak mężczyzna odmawia sobie luksusu płaczu.

Młodsze kobiety patrzyły na Liz w milczeniu, niektóre ze współczuciem, inne z pogardą. • Tylko Shelby, najbliższa jej wiekiem, wstała i podeszła do niej. Wzięła ją bez słowa za rękę i zaprowadziła do jej krzesła.

- Mniejsza o to. Należysz do nas. Musimy się trzymać razem. Zwłaszcza teraz. Wszystkie.

Liz usiadła, ale oczy miała wbite w aktówkę, którą trzymała na kolanach jak tarczę obronną.

- W piątek odbędzie się nabożeństwo żałobne za Philipa - zwróciła się do mnie Ellen, kiedy cała grupa usadowiła się na miejscach. -I niektóre z nas chcą tam iść.

- Ale nie możemy - zareagowała Shelby, nie dając mi szansy odpowiedzieć. Nagle wydała mi się zmęczona. - Mamy moralne zobowiązanie. Pokazywanie się w jakimkolwiek miejscu publicznym razem, nawet we dwie, naraziłoby stowarzyszenie. - Odwróciła się do mnie. - To jest część naszego problemu. Po prostu nie wiemy, co robić. Jak sobie radzić z naszym żalem. Jak się pogodzić z faktem, że nie możemy zrobić czegoś tak zwyczajnego jak pójście na nabożeństwo. Nie jest możliwe, żebyśmy miały całe miesiące na to, by powoli z tego wybrnąć. Czy istnieje jakiś rodzaj terapii interwencyjnej, która mogłaby nam pomóc?

- Poświęćmy resztę dzisiejszego czasu na omówienie tych spraw i skupmy się na nabożeństwie. - Rozejrzałam się po wszystkich twarzach. - Czy któreś z was jest naprawdę trudno pogodzić się z tym, że nie możecie pójść na nabożeństwo żałobne?

- Mnie - szepnęła Annę. - Znałyśmy tego człowieka. Byłyśmy ważną częścią jego życia. Może wszystkim się zdaje, że to nie ma znaczenia, ale dla mnie ma. Myślę, że to ma wielkie znaczenie. Wiem, jak on pachnie... Jak pachniał - poprawiła się łamiącym głosem. - Jaki smak miały jego usta. Pamiętam, jak obejmował moje plecy nagimi ramionami... - Urwała i zaczęła płakać.

- Nie. Nie jesteś z tym sama - powiedziała Martha. - Dla mnie to też ma znaczenie.

Annę wyglądała na zdziwioną.

- Jak się pani czuje przez to, że nie może pani iść?

- Czuję się do dupy. Co to za głupie pytanie? - oburzyła się Ellen.

- Ellen, byłoby lepiej, gdyby pozwoliła pani Marcie powiedzieć nam wszystkim, jak się czuje.

Ellen spiorunowała mnie wzrokiem. Nie dziwił mnie poziom jej agresji. Jedną z najciekawszych rzeczy, które zauważyłam w tej grupie, były pewne specyficzne cechy osobowości wspólne dla wielu kobiet. Mimo że nie wszystkie były atrakcyjne, każda wyraźnie akceptowała własne ciało - co samo w sobie byłoby niezwykle jak na tak liczną grupę żeńską, gdyby nie brać pod uwagę zainteresowania, które ich połączyło. Sam fakt przynależności do tego grona wykluczał ich nieśmiałość czy brak odwagi. Wszystkie, przynajmniej seksualnie, były agresywne. Nawet kiedy dobierałam grupę uzależnionych od seksu, zawsze się bardzo starałam, żeby każdy członek tej grupy miał różne problemy i różne indywidualne skłonności: żeby niektórzy byli agresorami, a inni byli bierni.

- Martha? - Spojrzałam w jej stronę.

- Trudne jest dla mnie to, że chociaż wiem, że mamy zasady, które pozwalają nam się zadawać z mężczyznami z klubu tylko seksualnie, to oni też są ludźmi. A dwóch z nich nie żyje. I my ich znałyśmy. I dla jednego z nich odbędzie się nabożeństwo żałobne i ja chcę tam być.

- Och, jakie to słodkie! - parsknęła Cara.

Dotąd w ogóle się nie odzywała, ani w czasie poprzedniej sesji, ani obecnej. Miała ciemną oliwkową cerę, lśniące czarne oczy i włosy przewiązane- wyszukaną apaszką od Hermesa.

- Komentarze tego typu naprawdę niczemu nie służą - powiedziałam. - Raczej niech pani powie, co sama czuje.

- To jest żałosne. My tych facetów używamy. Mają twarde ciała, chętne ręce, są dla nas sposobem, żeby dostać wreszcie to, czego chcemy, bez żadnych zo-

bowiazań. Wkładamy cholernie dużo wysiłku w to, żeby mieć pewność, że dopuszczamy do siebie mężczyzn, którzy chcą być traktowani tak, jak my ich chcemy traktować. Tu nie chodzi o żadne uczucia.

- Wiesz co, to jest tak wyświechtany banał, że aż śmieszny - powiedziała Davina. - To, że ich używamy, nie znaczy, że nie możemy mieć wobec nich żadnych uczuć.

- Powinnam mieć jakieś uczucia czy nie, rzecz w tym, że mam - Annę zwróciła się do Cary. - I wcale się nie wstydzę tego mówić. I chcę iść na nabożeństwo w intencji Philipa i modlić się ze wszystkimi, żeby znaleźli jego ciało i żeby mógł być pogrzebany na wieczny spoczynek. Myślę, że to straszne, co się z nim stało. Nie jestem w stanie przestać myśleć o tym, że leży gdzieś porzucony, martwy. W jaki sposób został zabity? Dlaczego został zabity?

- Jeezu - mruknęła Cara.

Spojrzałam na nią.

- Cara, co jest złego w tym, że Annę przejmuje się śmiercią Philipa? Znała go pani?

- Nie, ale pieprzyłam się z nim. - Popatrzyła spode łba na resztę grupy. - Wiecie co, do cholery? Hipokryzja polega na tym, że wszystkie jesteśmy dorosłymi, świadomymi swoich czynów kobietami, które należą do tego pieprzonego łajdackiego klubu. To nie jest pośrednictwo matrymonialne. Większość tych facetów ma żony. Nie jesteśmy ich kochankami. Przeciwnie, to oni nam służą do zaspokajania chuci. To oni mają do nas słabość. My do nich nic nie czujemy.

- Do żadnego mężczyzny, z którym była pani w klubie, nic pani nie czuje? - zapytałam.

- Nie.

- Od dawna należy pani do stowarzyszenia?

- Od dziewięciu lat.

- Jak często bywa pani w klubie?
- Dwa, trzy razy w miesiącu. - Poprawiła się na krześle.

- I zawsze spędza pani czas z innymi mężczyznami?
- Nie. Mam swoje preferencje.
- Oparte na czym?
- Oparte na ich sprawności.
- Rozmawia pani z mężczyznami, z którymi pani jest?

- Z mężczyznami, których wybieram - poprawiła mnie rzeczowym tonem.

- Dobrze. Z mężczyznami, których pani wybiera.
- Tak, rozmawiam z nimi.

- O czym?
- Jaki cel mają te pytania? - spytała jadownicie.
- Po co tu jesteś, skoro tak cię to wszystko mierzi?

- spytała Shelby. - Postawiłam sprawę jasno, kiedy zaproponowałam, żebyśmy poszły do doktor Snów: że powinny iść tylko te z nas, które uważają, że śmierć Philipa jest dla nich problemem.

Cara milczała.

- Myślę, że to słuszne pytanie, Caro - powiedziałam.

Ale to pytanie było też zbyt bezpośrednie. Mogłam zgadywać, w czym rzecz, ale moja szczerść nikomu by nie pomogła.

- Myślę, że Cara czuje się skonsternowana - zauważyła Davina z zadziwiającą wnikliwością..

Nie po raz pierwszy próbowała wyjaśnić, co czuje ktoś inny. Zakładałam, że albo jest prawnikiem, albo ma jakieś wykształcenie psychologiczne. Wszystkie jej odpowiedzi, pytania i reakcje na to, co działo się w grupie, zdawały się tak dalece bezosobowe, jakby przyglądała się rozwojowi wydarzeń z dystansu - na jaki poza nią stać było tylko Liz.

- Caro, czy czujesz się skonsternowana?

- Tylko w tym sensie, że nie mogę zrozumieć, dlaczego się w ogóle zastanawiamy nad naszą pierwotną decyzją o niełamaniu podstawowych zasad. One są bardzo jasne. Nie utrzymujemy ze sobą kontaktów towarzyskich. Nie angażujemy się w żadną społeczną działalność z innymi członkiniami klubu. Nie próbujemy się kontaktować z którymkolwiek z mężczyzn ani nawiązywać z nimi jakichkolwiek związków poza stowarzyszeniem.

- I przestrzegała pani tych zasad przez cały czas, odkąd jest pani w stowarzyszeniu? - spytałam, mając nadzieję, że nie zawodzi mnie instynkt.

Przemawiając, Cara rozprostowała skrzyżowane ręce i wyciągnęła je przed siebie z otwartymi dłońmi, w niemal błagalnym geście. To był szybki mimowolny ruch, ale ja go zauważyłam.

- I przestrzegała pani tych zasad przez cały czas?
- powtórzyłam.

Nie odpowiedziała. Ale zrobiła to Liz.

- Nie, nie przestrzegała.

Cara rzuciła jej nienawistne spojrzenie. **Mordercze.** Jej roziskrzone oczy zwięziły się do szparek.

Przez minutę nikt nic nie mówił.

- Cara, czy jest coś, o czym chciałaby **pani nam** powiedzieć?

- Nie. Liz kłamie.

Liz uśmiechała się jak uczeń, który włożył nauczycielowi żabę do dziennika. Między tymi dwiema kobietami było coś, czym powinnyśmy się kiedyś zająć. Na razie jednak grupa miała inne problemy, które oceniałam jako palące.

- Caro, jesteś zła?

- Cholernie słuszne spostrzeżenie. Jestem zła jak diabli.

- Na kogo?
- Na nią. - Kiwnęła **brodą na Liz**.
- Dlaczego?
- Za to, że kłamie.
- Nie kłamie. Widziałam ciebie z...
- Zamknij się, ty pieprzona dziwko. Jesteś zazdrosna. Jesteś zazdrosna o każdą z nas i dobrze o tym wiesz. To już nie jest dla ciebie łatwe. Ciagle o tym mówisz, że starzenie się jest okropne i że żebyś nie wiem ile ćwiczyła, to nic nie daje. Nie masz pojęcia, jak ten proces zatrzymać. Przestało ci się podobać, jak reagują na ciebie faceci i...

- Caro, to niczemu dobremu nie służy. Rzucanie w powietrze oskarżeń nikomu nie pomoże. Spróbujmy wrócić do tematu i zająć się pani uczuciami. Tym, co pani odczuwa.

- W tej chwili nie czuję niczego poza złością, złością na myśl o błędzie, jaki popełnimy, jeśli któraś z nas pojawi się na nabożeństwie. - Znow skrzyżowała ręce na piersi.

Teraz nie było żadnego sposobu, by do niej dotrzeć. Stawiała na to, że spotykała się kiedyś z jakimś mężczyzną poza klubem, ale mogłam ją przyprzeć do muru dopiero przy następnej okazji.

Do końca sesji Cara milczała, a reszta z nas rozmawiała o nabożeństwie, które miało się odbyć pod koniec tygodnia. Ostatecznie wszystkie się zgodziły, że choć niektórym bardzo zależało, by w nim uczestniczyć, nie byłoby to właściwe. Philipowi by to nie pomogło, a najważniejsze było dotrzymanie zobowiązania, które miały wobec niego i wobec wszystkich członków grupy.

- Mamy tylko jedną rzecz, która nas ze sobą wiąże i pozwala istnieć stowarzyszeniu: jest to przysięga, że żadnej z nas nie narazimy na niebezpieczeństwo ujaw-

nienia naszej działalności - oświadczyła Shelby na zakończenie półtoragodzinnej sesji.

To była dobra sesja. Mówiły o gnębiącym je poczuciu straty i przy całym swoim zagubieniu próbowały wypracować jakąś postawę wobec mężczyzny, z którym były bardzo blisko w jednym sensie, ale w innym nic o nim nie wiedziały.

Kiedy wychodziły, wierzyłam, że wszystkie dotrzymają słowa, darują sobie nabożeństwo i zachowają milczenie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

O siódmej wieczorem w poniedziałek pokój Jordaina i Pereza był kompletnie zaśmiecony jednorazowymi kubkami po kawie i opakowaniami po jedzeniu na wynos.

- Dlaczego my, do diabła, nie mamy? Jak można zabić dwóch mężczyzn i tyle czasu ukrywać ich ciała? A teraz trzeci. Jasny szlag. Gdzie oni są? - Perez nalał sobie następny kubek mocnej kawy z cykorią, którą przed chwilą zaparzył Jordain. To był ich czwarty dzbanek tego dnia.

- Naprawdę mnie o to pytasz, czy mówisz do siebie? - spytał Jordain.

Perez spojrział na niego wymownie. Jasne, że to nie było prawdziwe pytanie. Obaj detektywi byli sfrustrowani, zmęczeni i wściekli na mordercę, który był tak nieuchwytny.

- Ciekaw jestem, jak bardzo Dalili się nie spodoba, że daliśmy mu żeńskie imię - powiedział Perez.

Zaczęli nazywać anonimowego mordercę „Dalilą” z powodu włosów, które przysłał Betsy Young wraz z trzema kompletami zdjęć.

Tak, trzema. Trzeci przyszedł tego ranka.

' — Uzna to za obelgę. To uwłacza jego siłę i jego męskości. Naprawdę mu tym dokopujemy.

Po raz drugi w niespełną pięć minut Perez rzucił swojemu partnerowi rozpaczliwe spojrzenie.

Dzwonił telefon, tak jak dzwonił przez całe popołudnie, ale wszystkie połączenia przechwytywała centrala. Połowa z nich była od redaktora naczelnego „New York Timesa”, który czekał, by policja zwolniła do druku następny z serii artykułów, informujący, że jest trzecia ofiara. Grant Firth. Czterdzieści dwa lata. Chirurg ortopeda z New York Hospital. Ojciec trzech córek. Mąż Donny Firth, dziennikarki, która pisała na tematy medyczne dla „Wall Street Journal”.

- Wiesz, że Hastings wisi na telefonie - powiedział Perez.

- Jasne, że to on. Nie może wytrzymać. Każda upływająca minuta to kolejna minuta stracona. A jeśli straci ich za dużo, przypadnie jutrzejszy materiał na pierwszą stronę.

W tej sprawie nie było niczego, co dawałoby im powód do zadowolenia, może oprócz świadomości, że Harry Hastings czeka i prosi. Gazeta może puścić artykuł, kiedy oni się zgodzą. Nie wcześniej.

Wszystkie wyniki z laboratorium już do nich wróciły, nie wnosząc do śledztwa żadnego tropu. Ślady na kopertach, które przeszły przez całą maszynę pocztową, były bezużyteczne. Po wewnętrznej stronie skrzydełek ani pod znaczkami nie było śliny. W środku ani jednego włosa. Poza kosmykami w torebkach, które zostały włożone tam celowo.

W drugiej kopercie było jedno włókno. Strzęp białej nitki trzymilimetrowej długości. Ślad sam w sobie bez znaczenia.

Zdjęcia zostały zrobione na standardowym papierze, takim, który można dostać w każdym sklepie

fotograficznym w Stanach Zjednoczonych i w setkach sklepów internetowych. Nawet gdyby się dowiedzieli, gdzie został kupiony, jaka byłaby szansa, że fotograf zapłacił kartą kredytową?

Mniejsza o to. Mają ekspertów od badania pochodzenia towarów.

Typowej wielkości szara koperta jest jeszcze bardziej powszechnym artykułem niż papier fotograficzny. Przynajmniej pieczętki pocztowe są interesujące. Pierwsza koperta została wysłana z centrum Manhattanu. Druga z Port Chester w stanie Nowy Jork, jakieś pół godziny drogi za miastem. Trzecią natomiast nadano w Harlemie.

Pracowali nad znalezieniem jakiegoś klucza do tych trzech lokalizacji, ale było za wcześnie, by się na tym skupiać.

Kroki były lekkie, ale ponieważ obaj mężczyźni na nią czekali, odwrócili głowy, zanim Tana Butler weszła do pokoju. Uśmiechała się, co Noahowi wydało się najpiękniejszą rzeczą, jaką widział od co najmniej trzydziestu dwóch godzin.

- Co masz?
- Próbkę włosów Firtha.

Obaj mężczyźni pochylili się i zamienili w słuch.

- Tak?
- Było na niej trochę krwi. A w krwi ślady chlorpromazyny. Rozmawialiśmy z żoną Firtha. Nie brał żadnych leków na receptę. Żadnych środków przeciwdepresyjnych. Żadnych psychotropów. Nic.

- Co znaczy, że najpierw został nafaszerowany prochami, a potem zabity - oświadczył Jordain. - Albo zabiły go prochy.

Tana Butler przytaknęła.

- Jak trudno jest zdobyć thiorazynę? - zapytał Perez.
- I jak trudno jest przedawkować ten towar?

- Wyprzedziłam was - powiedziała Tana. - Jak tylko zobaczyłam ten raport, zadzwoniłam do lekarza sądowego.

- I co?

- Czekam, ma do mnie oddzwonić.

- Znowu czekanie - mruknął Jordain.

- Jest coś jeszcze.

- Tak? - Obaj jak na komendę podnieśli z powrotem głowy.

- Na jednej z próbek włosów jest jakaś inna substancja chemiczna. Ludzie z laboratorium nie są pewni, co to jest. Robią dalsze testy. Powinni mieć wynik za kilka godzin. Jeśli dopisze nam szczęście.

- Jak dotąd szczęście omija nas szerokim łukiem - pożalił się Perez.

- Może wreszcie zaczęło iść ku lepszemu - powiedział Jordain.

Perez uśmiechnął się do swojego partnera, tak jak rodzice uśmiechają się w Wigilię do swojego dziecka, kiedy maluch wystawia ciasteczka i mleko dla Świętego Mikołaja.

- To miłe, że wciąż potrafisz marzyć.

- Jeśli przestaniesz marzyć, równie dobrze możesz przestać żyć.

Noah naprawdę w to wierzył. Mimo że codziennie robił to, co robił, mimo że oglądał to, co oglądał, mimo że wiedział to, co wiedział o ludzkiej psychice i zdolności człowieka do wyrządzania zła.

- To ten twój cholerny fortepian - rzucił Perez. - Przez ten cholerny fortepian jesteś popieprzonym romantykiem.

W odpowiedzi Noah położył ręce na krawędzi biurka, jakby to była klawiatura, zaczął na niby grać i z tym niemym akompaniamentem wyśpiewał swój nowy riff jazzowy. Zarówno Perez, jak i Tana Butler

setki razy widzieli, jak to robi, ale z niezmiennym zachwytem patrzyli, jak palce Noaha poruszają się z gracją, która wydawała się nie na miejscu. Jak zawsze byli poruszeni jego głosem, choć jako twardzi gliniarze powinni mieć skórę hipopotama.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

We wtorek moja ostatnia popołudniowa pacjentka wyszła za pięć piąta - dziesięć minut po czasie, bo zagłębiłyśmy się w poważny problem i nie chciałam jej sztucznie ponaglać. Pobiełam na górę do sali konferencyjnej na zebranie zespołu, które zwykle rozpoczynało się punktualnie.

W instytucie pracowało ośmiu terapeutów, z których wszyscy specjalizowali się w seksuologii, a nasze cotygodniowe konwentykłe dawały nam szansę porozmawiania w pełnym gronie o naszych pacjentach i przebiegu ich terapii. Nina - a przed nią jej mąż - wierzyli, że jedną z mocnych stron Instytutu Butterfielda jest uzgadnianie opinii kilku lekarzy i terapeutów pod jednym dachem.

Rzeczywiście, dla mnie możliwość konsultowania się z innymi okazała się korzystniejsza od pracy całkowicie samodzielnej, w prywatnym gabinecie, tak jak to robi większość przedstawicieli mojej profesji.

Tamtego wieczoru dyskusja skupiła się na jednym z pacjentów Niny, który jej zdaniem powinien zacząć pracować z zastępczą partnerką. Oczekiwała naszych opinii - terapia z zastępczym partnerem seksualnym była podejmowana tylko w ostateczności.

Zastanawialiśmy się wszyscy, czy istnieje jakiś inny sposób leczenia impotencji, który mogłaby wypróbować Nina, zanim skorzysta z ostatniej deski ratunku, ale nikt nie podsunął możliwości, której ona by nie wykorzystowała. Spojrzała na mnie pytającym wzrokiem.

- Niewiele masz do dodania, Morgan. Żadnych pomysłów?

- Wygląda na to, że przerobiłaś chyba wszystko poza zastępczą partnerką.

Pokiwała głową, ale miała skrzywioną minę.

- To ustaliliśmy jakieś pięć minut temu.

Patrzyłam na nią, nie rozumiejąc.

- Teraz rozmawiamy o tym, która zastępcza partnerka będzie w tej sytuacji najlepsza.

- Przepraszam.

- Jak się mają sprawy z twoimi pacjentami? - spytała.

Nie było to wymagane, ale stało się zwyczajem, że w którymś momencie spotkania każde z nas omawiało swoje najbardziej skomplikowane przypadki. Tylko że jedyną rzeczą, o której powinnam porozmawiać, była ta jedyna rzecz, o której rozmawiać nie chciałam. Przebiegałam w myślach wszystkich innych pacjentów, próbując wydobyć jakiś istotny problem, który wzbudzi dyskusję i odciągnie uwagę Niny - a także jej wściekłe spojrzenie - od mojej osoby.

- Morgan?

Nie przychodziło mi nic do głowy, a ona czekała. Wiedziałam, że to do mnie niepodobne. Serce waliło mi głośno z niepokoju. Zmusiłam się, żeby to po prostu powiedzieć.

- Muszę porozmawiać o pójściu na policję.

Nina uniosła brwi.

- Myślałam, że to już załatwiłyśmy.

Pokręciłam głową.

- Z jaką sprawą chcesz pójść na policję? - spytał Simon Weiss.

W sali konferencyjnej nie było okien. Tylko ciemnozielone ściany, wygodne skórzane fotele, stół z zielonego marmuru i zabytkowe mapy na ścianach. Ze swojego miejsca widziałam kolekcję map Europy na sztychach z siedemnastego wieku. Błękit oceanu był lekko wyblakły, ale czerwienie, brązy i żółcie lądu zachowały intensywność. Nie mogłam gapić się bez końca na ścianę.

Wziąwszy oddech, zabrałam się do wyjaśniania tego, co się działo w Szkarłatnym Stowarzyszeniu, co widziałam w komisariacie, i co, moim zdaniem, powinnam zrobić.

- Jedyne, o czym Morgan nie wspomniała - zauważyła Nina tonem surowszym niż zwykle - jest to, że już o tym rozmawialiśmy i że poradziłam jej, żeby nie kontaktowała się więcej z policją.

- Owszem, poradziłaś. Ale myślę, że to nie jest słuszna decyzja.

- To jedyna decyzja, jaką możesz podjąć w takiej sytuacji - odparowała.

Simon i reszta zespołu musieli być świadomi podtekstu naszej rozmowy. Wszyscy wiedzieli o rozbuhaniej, irracjonalnej wrogości Niny do nowojorskiej policji.

- Proszę cię, Morgan, czy nie możesz mi w tej sprawie zwyczajnie zaufać?

Spojrzałam na Simona, mojego najbliższego przyjaciela w instytucie, błagając go oczami, by wziął mnie w obronę. Zrobił to. Oczywiście, że zrobił. Zawsze mogłam na niego liczyć, więc uśmiechnęłam się kątem ust, żeby mu z góry podziękować.

- Nina, na czym polegają twoje zastrzeżenia? Jeśli to nie kobiety z grupy udzieliły Morgan tej informacji,

jeżeli to jest coś, co sama zobaczyła, nie ma powodu, z którego nie mogłaby iść na policję.

Dwójka innych terapeutów wyraziła pomrukiwaniem swoje poparcie.

- Nie, Morgan, myślę, że nie możesz tego zrobić - rzekła Helen Grant, która była jedną z najstarszych osób w zespole. W instytucie zatrudnił ją Sam, zanim jeszcze ożenił się z Niną. Już wtedy była niemłoda. Teraz zbliżała się do wieku nazywanego sędziwym, ale wciąż pięć razy w tygodniu przyjmowała pacjentów.

- Nie. Morgan nie może iść na policję. Ma zobowiązania wobec grupy. Nie ma do powiedzenia nic, co mogłoby pomóc, jeśli to stowarzyszenie jest tak tajne, jak utrzymuje.

Potrząsnęła siwymi lokami z energią godną jej następnej wypowiedzi.

- Nie do nas należy rozwiązywanie zagadek kryminalnych. Czy nie dosyć mamy tego wszystkiego tutaj, we własnej pracy?

Nina patrzyła na mnie srogo, inaczej niż na wszystkich innych. Zżymała się, tak jak ja się zżymam na Dulcie, kiedy doprowadza mnie do skrajnej irytacji.

- Nie jestem dzieckiem - powiedziałam ostrzej, niż zamierzałam. - Nie jestem nieświadoma granic. Nie mam żadnego powodu nie mówić detektywom Jordainowi i Perezowi o tym, co zobaczyłam na tamtych zdjęciach.

- No cóż. Skończyliśmy na dzisiaj - powiedziała Nina, odstawiając na stół swoją filiżankę.

Trzask był nie tyle głośny, ile niespodziewany. Wszystkie pary oczu zwróciły się na odłamki białej porcelany oraz rozlaną herbatę. Nikt nawet nie drgnął poza Niną, która pochyliła się i zaczęła zbierać kawałki porcelany.

- Nie rób tego... - zaczęłam mówić, żeby prze-

strzec ją dokładnie przed tym, co się stało. Skaleczyła palec wskazujący odpryskiem szkła.

Przez moment patrzyła na kroplę jasnej krwi jak na jakiegoś intruza. Uniosła głowę, kiedy palec zaczął solidnie krwawić, i spojrzała na mnie.

- Rozumiesz, że moim zdaniem jesteś o krok od popełnienia poważnego błędu.

Odwrociłam się i wzięłam papierową serwetkę z bocznego stolika, na którym była kawa, herbata, filiżanki i talerz z ciastkami.

- Proszę - powiedziałam, podchodząc do niej. - Masz skaleczony palec.

Wzięła serwetkę bez podziękowania. Nagle zdałam sobie sprawę, że w sali jest za cicho. Rozejrzałam się dookoła. Byłyśmy same. Pozostali uczestnicy spotkania wymknęli się bez słowa.

- Dlaczego z takim zaciekłym uporem robisz dokładnie to, czego według mnie nie powinnaś robić? Dlaczego poruszyłeś ten temat tutaj? To było między nami.

- Nie, Nina, to nie było między nami.

- Powiedziałam ci któregoś dnia...

- To nie jest decyzja dotycząca mnie osobiście, którą omówiłam z moją matką chrzestną. Tu chodzi o terapeutkę, o grupę pacjentek i o dwa morderstwa. Poruszyłam tę sprawę w gronie członków Instytutu Butterfielda, bo instytut powinien mieć udział w podejmowaniu takiej decyzji.

Wyglądała na szokowaną. Jak gdybym ją popchnęła na wąskim parapecie i bała się, że spadnie.

- Tu nie chodzi o instytut. Ani o twoje pacjentki. Wiesz o tym. - Potem wyszła, zatraskując za sobą drzwi i zostawiając mnie w sali konferencyjnej samą.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Włożyłam swój czarny zamszowy płaszcz i wyszłam z instytutu. Na dole nie byłam pewna, w którą stronę pójść.

Nina i ja nigdy dotąd nie kłóciłyśmy się w ten sposób. Nigdy wcześniej tak na mnie nie naskoczyła. Była jedyną kobietą, którą znałam od początku swojego życia.

Zerknęłam w tył na budynek i zobaczyłam, że w jej gabinecie pali się jeszcze światło.

Czy powinnam wrócić? Gdybym to zrobiła, co bym jej powiedziała? Że nie chciałam jej zdenerwować? Że nie znoszę się z nią kłócić? Mogłabym powiedzieć, jak bardzo mnie zaniepokoił jej nagle bezosobowy ton. Ale żadna z tych rzeczy nie miałaby znaczenia, gdybym jej jednocześnie nie oznajmiła, że to ona miała rację i że nie pójde na policję.

A tego nie byłam gotowa powiedzieć.

Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do Simona, ale nawet dalsza rozmowa o tym, co zrobiła Nina i jak zareagowała, wydawała się nieprzyzwoitością. To nie była sprawa czysto zawodowa. To było osobiste. Miałam przyjaciół poza instytutem, ale rozmawianie z nimi byłoby naruszeniem tajemnicy zawodowej, bo aby

to wyjaśnić, musiałabym zdradzić zbyt wiele faktów o Szkarłatnym Stowarzyszeniu i o zdjęciach.

Wciąż stałam na skrzyżowaniu, czekając na zmianę światła, wciąż się zastanawiałam, jak mam postąpić, wyczerpując skromny zapas pomysłów, odrzucając ten najbardziej oczywisty.

W końcu mogłam iść do domu, ale w pustym domu siedziałabym i myślała ciągle o tym samym. Dulcie została z Mitchem. Wspólna opieka rodzicielska może i jest najlepszym rozwiązaniem dla mojej córki, aleja za nią tęskniłam, kiedy nie było jej w domu. Związki mojego byłego męża ze środowiskiem niezależnych filmowców na tym etapie życia Dulcie stanowiły ciągłą atrakcję, i od kilku miesięcy tę wspólną, ale dzieloną opiekę częściej sprawował Mitch.

Mogłam iść do kina. Nie, pewnie bym nawet nie zauważyła, co oglądam.

Zmieniły się światła, więc przeszłam przez ulicę. Niebo było szare, zasnułe burzowymi chmurami. Wiał wiatr z północnego wschodu i przepędzał wirujące w powietrzu liście. Krótsze dni i jesienny chłód nie podkradły się do nas niepostrzeżenie, lecz wdarty się gwałtem. Dopiero co było lato, prawda?

Bez żadnej świadomej decyzji skręciłam w lewo i skierowałam się do centrum. Doszłam do Sześćdziesiątej Drugiej, kiedy zaczęło padać. Nie miałam parasola, a nie chciałam zniszczyć płaszcza.

Patrząc na uliczne szyldy, zastanawiałam się, co z sobą począć. W połowie drogi do następnego skrzyżowania był dom towarowy Barney's. Mogłam w nim przynajmniej kupić parasol.

Pobiegłam tam i wpadłam do środka, otrzepując z wody płaszczy. Barney's był otwarty do ósmej. Mogłam się rozejrzeć, a potem kupić parasol, gdyby dalej padało. Mijając bez pośpiechu gabloty z biżuterią,

zerkałam na co ciekawsze świecidełka. Jedyne w swoim rodzaju okazy leżały na aksamitnych poduszkach z ukrytymi metkami, czekając na kogoś, kto je przymierzy.

Ruszyłam do windy. Parasol może zaczekać.

Wiedziałam, dokąd mnie niesie. Na czwarte piętro. Buty. To było to, co mogło mnie oderwać od uporczywego myślenia o Ninie.

Czekoladowobrązowe zamszowe pantofle. Wysookie obcasy. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam ich. Były takie miękkie i gładkie, że mój palec zostawił na skórze lekki ślad. Wiedziałam, że są niepraktyczne, że będę musiała dokupić do nich jakieś ubranie, bo w mojej szafie rządzi niepodzielnie czerń. Miałam ochotę na brązowy kostium. Coś dopasowanego w talii. Z nieco głębszym wycięciem pod szyją niż to, co włożyłabym do pracy.

Sprzedawczyni wyrwała mnie z marzeń, by zapytać, czy może w coś pomóc. Podałam jej rozmiar butów, usiadłam, zdjęłam swoje płaskie pantofle i czekałam, przyglądając się innym kobietom, które robiły to samo co ja.

Od czego one uciekają w zakupy? Od kłótni z mężem, problemów w pracy? Synów, którzy nie radzą sobie w szkole? Od córek, które są na dietach niszczących ich włosy?

Ile z nas naprawdę potrzebuje tych butów? Albo kostiumu w kolorze czekoladowego brązu, który chodził mi po głowie? Sprawiamy sobie ciuchy w ramach zadośćuczynienia za doznane krzywdy, myślimy obsesyjnie o tym, jak poprawić swój wygląd, wmawiamy sobie, że nie ma nic złego w wydawaniu pieniędzy dla zrekompensowania swoich życiowych niepowodzeń.

Sprzedawczyni wróciła z otwartym pudełkiem,

a kiedy podała mi do zmierzenia prawy pantofel, mimo woli poczułam lekki przypływ adrenaliny.

Wstałam i podeszłam kilka kroków do lustra. Miałam niezłe nogi, a na obcasach wyglądały jeszcze lepiej. Przez lata nie nosiłam szpilek, aż niedawno jedna z moich pacjentek zainspirowała mnie, by znów zacząć. I oto odkryłam, kupując buty na obcasach i bieliznę, że szukanie w sklepach ładnych rzeczy sprawia mi przyjemność, że chcę wyglądać lepiej.

Och, bez owijania w bawełnę - chcę wyglądać seksowniej. Mijać wystawę i zobaczyć w niej odbicie oglądającego się za mną mężczyzny.

Wręczyłam kobiecie kartę kredytową i czekałam, aż zarejestruje transakcję w kasie.

Kobiety ze Szkarłatnego Stowarzyszenia nie zrezygnowały z tego, z czego ja zrezygnowałam. Spełniały swoje erotyczne marzenia na przekór społeczeństwu, które im tego nie ułatwiało. Zawodowo osiągały to, czego chciały, i w sposób zgodny z ich oczekiwaniami zaspokajały swoje potrzeby seksualne.

Czy było w tym coś złego?

Z torbą z butami w ręku przystąpiłam do oglądania ubrań na tym samym piętrze. Chciałam zobaczyć, czy są jakieś kostiumy w kolorze czekoladowego brązu.

Nic. Na czwartym piętrze niczego nie znalazłam.

Wjechałam windą wyżej i zaczęłam przerzucać wieszaki na piątym.

W pewnej chwili zobaczyłam brązową sukienkę z welwetu i natychmiast dokładnie wiedziałam, dlaczego chcę ją mieć i gdzie w niej wystąpię. Na broadwayowskiej premierze Dulcie.

Kiedy wyszłam z domu towarowego, było po deszczu. Portier zerknął na moje torby i spytał, czy chcę taksówkę. Skinęłam głową. Wyszedł na ulicę, podniósł rękę, a gdy taksówka się zatrzymała, otworzył drzwi.

Dałam mu wygrzebanego z torby dolara i wsiadłam. Począł, aż się usadowię, i zamknął drzwi.

Rozpoznałam ten odór w dziesięć sekund. Zanim wsiadłam do taksówki, kierowca palił cygaro.

- Przepraszam - powiedziałam. - Może pan zatrzymać? Przykro mi, ale nie znoszę smrodu cygar.

Zatrzymał się, przeklinając. Wsiadłam. Przejechałszy tylko pięć metrów.

- Co jest, oszalała pani? - krzyknął za mną.

Weszłam na chodnik i zaczęłam o tym myśleć. Co jest, oszalała pani? Taka sobie odzywka. Tak łatwo to powiedzieć. Nie, nie oszalałam. Widziałam szalonych ludzi. Widziałam ludzi, którzy popadali w szaleństwo. Moją matkę. Moich pacjentów. W czerwcu widziałam mężczyznę, który oszalał i zamordował pięć prostitutek, jedną po drugiej, bo myślał, że może je zbawić. Pięć kobiet straciło życie.

Teraz jest jakiś inny szaleniec, gdzieś w tym mieście, który porywa mężczyzn, zabija ich i robi im zdjęcia.

Zawsze się zastanawiałam, jak sąd może uznać kogokolwiek, kto odebrał drugiemu człowiekowi życie, za poczytalnego. Odebranie życia, które nie jest naszym życiem, musi być aktem niepoczytalności.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Przeszłam spacerkiem dwadzieścia przecznic do komisariatu policji, cały czas mając nadzieję, że uda mi się przekonać samą siebie, by zawrócić i pójść do domu.

Powtarzałam sobie w myślach wszystkie argumenty Niny i dodawałam nowe, na które ona nie wpadła, ale żaden nie był wystarczająco przekonujący. Zanim dotarłam na miejsce, określiłam dokładnie, co mogę powiedzieć, a czego nie, by w najmniejszym stopniu nie naruszyć zasad mojej etyki zawodowej.

Noah jest bystry i nie musi przypierać mnie do muru. Nie będę musiała zdradzić mu niczego, o czym dowiedziałam się od kobiet ze Szkarłatnego Stowarzyszenia. Byłam przekonana, że po prostu powiem mu, co zauważyłam, a on zrobi z tym, co trzeba.

Jeśli, oczywiście, sam tego do tej pory nie zauważył. Jeśli tak, tym lepiej. Zabiorę swoje torby, myślałam, wrócę do domu, położę się do łóżka i będę mogła zasnąć, bo choć zdaniem Niny moja decyzja była błędem, wiedziałam, że robię to w słusznej sprawie. Żeby uratować komuś życie.

I nikt poza Noahem nie musi się dowiedzieć.

Serce waliło mi w piersi i czułam, że mam lepkie

dłonie, kiedy podeszłam do oficera dyżurnego, podałam swoje nazwisko i zapytałam o detektywa Jordaina.

- Byłabym wdzięczna, gdyby mu pan powiedział, że to ważne.

Młody policjant wykręcił numer, przekazał wiadomość, słuchał przez chwilę i odłożył słuchawkę.

- Prosi, żeby zechciała pani zaczekać w jego pokoju. Zaraz tam przyjdzie. Poproszę, żeby ktoś panią zaprowadził.

W korytarzu było tłoczno - tam zawsze było tłoczno - i nikt nie zwracał uwagi na mnie ani na moją eskortę. Skręciliśmy za rogiem. W sporej odległości przede mną pojawili się detektywi Jordain i Perez, idący z przeciwnej strony, oraz kobieta, która wyglądała znajomo.

Nie zdajemy sobie sprawy, jak szybko działają synapsy: oczy przekazują sygnał do mózgu, który dostarcza nam świadomej informacji, zanim zdążymy sobie uświadomić, że jej szukamy.

Oczywiście, znajome było zestawienie uprasowanych dżinsów, brązowego zamszowego żakietu i nieodłącznej znoszonej skórzanej teczki. Tylko te ciemne brązowe włosy zdezorientowały mnie w pierwszej chwili.

W moim gabinecie, jako Liz, członkini Szkarłatnego Stowarzyszenia o bardzo długim stażu, była blondynką. Ale oczy miała te same i wpatrywała się we mnie równie zszokowana jak ja, zadając mi dokładnie to samo milczące pytanie, które ja zadawałam jej.

Co ty tu robisz?

Jaką popełniasz zradę?

Nie czekałam, by porozmawiać z Noahem. Przyjście tam istotnie było wielkim błędem. Eskortujący mnie policjant zniknął, ale wiedziałam, dokąd iść. Wróciłam tą samą drogą, najszybciej jak mogłam, objając sobie nogi zakupami.

Kiedy wyszłam na ulicę, znów padał deszcz. Przeklinając się w duchu, że zapomniałam kupić parasol w domu towarowym, postawiłam kołnierz, skuliłam ramiona i ruszyłam przed siebie, zastanawiając się, czy uda mi się w miarę szybko złapać taksówkę. Szczęście dopisało mi za trzecim skrzyżowaniem.

Podaliśmy kierowcy adres, usiadłam wygodnie, wyjęłam z torebki tubkę z miętusami, włożyłam do ust dwa naraz i przegryzłam, wiedząc, że świeży intensywny zapach mięty neutralizuje woń stęchlizny, jaką przesiąka powietrze w zamkniętej przestrzeni.

Wdychając ostry, czysty zapach, skoncentrowałam się na przyjemności szybkiej jazdy przez pogrążone w wieczornym mroku ulice i bębnieniu deszczu o dach samochodu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Było wpół do dziewiątej, ale miałam za sobą ciężki dzień i byłam wykończona. Od mojego wejścia do domu minął zaledwie kwadrans. Torby z zakupami wciąż stały w przedpokoju, tam, gdzie je rzuciłam, przekroczywszy próg. Przebrałam się w legginsy, kaszmirowy rozpinany sweter i czarne zamszowe baletki, które służyły mi za kapcie. Zdążyłam nawet włożyć do piecyka jakieś mrożone danie, zrobiłam sobie drinka z wódką oraz sokiem z limonki, i wtedy usłyszałam dzwonek.

To oczywiście nie była niespodzianka. W krótkim okresie naszej znajomości poznałam Noaha Jordaina lepiej, niż zdawałam sobie z tego sprawę. To, że będzie chciał się dowiedzieć, dlaczego zawróciłam i uciekłam z komisariatu, skoro sama przyszłam mu coś powiedzieć, nie mogło mnie zaskoczyć. A jednak realność tej wizyty, jego sylwetka wypełniająca framugę drzwi, wprawiła mnie w szok.

Gapiłam się na krople deszczu połyskujące na szerokich ramionach jego skórzanej kurtki i na jego przyprószonych siwizną włosach. Ile czasu chciał mi zająć? W jaki sposób mogłabym się go pozbyć?

- Mogę wejść?

Jego oczy były zbyt intensywnie **niebieskie**.

- Co będzie, jeśli powiem nie?

- Wejdę bez zaproszenia.

- Tak też myślałam. - Otworzyłam **drzwi szerzej** i Noah wszedł do mojego mieszkania.

- Jest tu Dulcie?

- Nie. Jest u swojego ojca.

Pokiwał głową i rozejrzał się dookoła. Był tu już kiedyś, a teraz zdawał się sobie przypominać, oswajając od nowa z przestrzenią i moimi rzeczami, które ją wypełniały.

- Jadłaś już?

- Nie, właśnie zrobiłam sobie drinka.

- Brzmi obiecująco. Poproszę o to samo.

Nie ma zamiaru mnie spytać, z czym do niego przyszedłam? Dlaczego nie chce załatwić tego z miejsca?

Kiedy szłam do barku, mój umysł próbował sobie poradzić z różnymi emocjami naraz. Może Nina miała rację? Może powinnam trzymać się z daleka od policyjnego śledztwa i pozwolić im samym ustalić, kim byli tamci mężczyźni i dlaczego zostali zamordowani? A może tak myślałam, bo Noah był tutaj?

Wyjęłam szklankę z półki nad barkiem. Drżała mi ręka. Czy on to widzi? Nalałam wódki i trochę soku. Nie było lodu. Zostawiłam Noaha, poszłam do kuchni, wrzuciłam do szklanki trzy kostki i wróciłam do niego. Wyglądał przez okno, lecz na dźwięk moich kroków odwrócił się, podszedł do mnie, wziął drinka, upił łyk, uśmiechnął się i nie odstawiając szklanki, przyciągnął mnie do siebie i pocałował.

Jego wargi były zimne od napoju. Miały smak limonki. On pachniał rozmarynem i miętą. Przyłgął do mnie całym ciałem i przypomniał mi to uczucie, kiedy pobudzona jest każda komórka ciała, a nie tylko mózg. Pokój odpłynął. Powód, z którego chciałam

z nim rozmawiać, i deszcz, i niestosowność sytuacji, i zasady, które łamałam - wszystko przestało istnieć.

To, że bliskość ciał może być taką rozkoszą, tak potężną siłą, że może sprawiać taką przyjemność, jest zarówno darem niebios, jak i zmiennym zjawiskiem naukowym. To, że wciąż temu nie ufałam, zawstydzalo mnie. Że myślałam o zwrocie tego daru, wzbudzało poczucie, że jestem niewdzięczna.

Noah nie przestawał mnie całować.

Straciłam równowagę.

Podtrzymał mnie ramionami.

Wiedział nawet to.

Wtuliłam się w niego.

Odwzajemnił ten gest, objął mnie mocniej.

Nie przestawał mnie całować.

Nie pamiętałam, żeby kiedykolwiek ktoś mnie całował w ten sposób. Nie pamiętałam, żeby pocałunek **był** tak dobry jak kochanie się. Żeby pocałunek był **tak** intymnym doznaniem, jakby mężczyzna był we mnie. Nie. Bardziej intymnym. Noah oddychał przez moje usta. Ja wchłaniałam jego oddech. Reszta naszych ciał przestała istnieć. Jedyne punktu kontaktu między nami płonał. Wiedziała, że kiedy przestaniemy, będę miała opuchnięte wargi. Miała tylko nadzieję, że jego będą opuchnięte równie mocno. Miesiące długich nocy były w moich ustach, buchając lawą ze mnie w niego. Moje zęby zgrzytały o jego zęby, dając mu znać, że czekał za długo, by wrócić. Gryzłam jego wargi, próbując ukarać go za to, że potraktował poważnie moje słowa. Przecież wiedział swoje. Liczyłam na to. Zawiódł mnie.

Odgryzał się. Odpierał każdy atak. Używał języka jak jakiejś broni, gromiąc mnie za zmarnowany czas, karcąc za to, że nie mogliśmy być razem wcześniej. Wymierzał mi pocałunek. Przyjmowałam go jak wy-

rok. Buntowałam się ustami. To nie była tylko moja wina. Nie stawiał oporu. Nie walczył o mnie. Ale walczył teraz.

I nagle napór zelżał. Jego wargi stały się delikatne, język kuszący. Atak zamienił się w pieszczotę. Nie, przeprosiny. Czekał na moje zaległe przeprosiny. Dałam za wygraną, otwierając szerzej usta, gładząc językiem wewnątrz jego policzków. Pocałunek trwał, przeobrażając się jeszcze raz w zaproszenie. Bezśłowne pytanie, czy pozwolę mu być we mnie. W ten czy inny sposób.

Odstawił szklankę, nie przerywając pocałunku i zaprowadził mnie na kanapę, kładąc się razem ze mną. Wciąż mnie całując. Mijały sekundy. Minuty. Ile? Nie wiem.

Na tym polega problem z namiętym romansem, miłością czy jakiegokolwiek słowa zechcemy użyć. To zawsze wypacza rzeczywistość. Przypływ hormonów rodzi złudzenie, że odczuwamy emocje. A jeśli działają prawdziwe emocje w połączeniu z hormonami, deformacja rzeczywistości jest jeszcze głębsza. Tak było z Noahem.

Odsunęłam się. Wstałam. Zaczęłam chodzić tam i z powrotem. On został na kanapie. Poczułam ukłucie zawodu, ale stłamsiłam to w zarodku. Dobrze, że w końcu przerwaliśmy ten pocałunek. Usiadłam na krześle naprzeciwko niego.

- Podoba mi się ten pokój. Te krzesła mają piękny kształt. Oryginalny Grange?

Noah też był koneserem antycznych mebli. Kiedy po raz pierwszy i jedyny byłam w jego mieszkaniu w Greenwich Village, jakość jego wyposażenia szczerze mnie zachwycała.

- Tak - odrzekłam, kiwając głową.

Cała się trzęsłam, ale wypięłam łyk mojego drinka

i zaczęłam ssać kostkę lodu w nadziei, że to znieczuli mi wargi i ostudzi żar, który wciąż czułam w ustach.

- Chciałem zjeść z tobą kolację tamtego wieczoru - powiedział.

Cholera. Nie miał zamiaru dać mi spokoju.

- A więc to prywatna wizyta.

- A więc z powrotem włożyłaś swoją zbroję.

Wzruszyłam ramionami,

- Jestem zmęczona. Martwię się.

- Wiem - powiedział z tak ogromnym ciepłem, że poczułam, jak ono ogarnia mnie całą i otula ramiona niczym miękki koc. - Mów do mnie, Morgan.

To było bardziej seksualne i otwarcie erotyczne zaproszenie niż długa glisada pocałunków, od której zaczął. Jego słowa eksplodowały we mnie ogniem; musiałam zacisnąć nogi, by spróbować powstrzymać nagłe, intensywne pulsowanie w dole brzucha.

Ja, terapeutka, która doskonale wie, co mówić pacjentom, która pomaga ludziom odnajdować się w najbardziej skomplikowanych relacjach międzyludzkich, nie miałam pojęcia, co powiedzieć ani jak myśleć o Noahu i o tym, jak na mnie działał. Nie wiedziałam nawet, gdzie spojrzeć. W jego oczy? Nie, jeśli chcę wyjść z tej przygody cało. On by mnie pożarł. Zmąciłby moją logikę i zredukował mnie do uczuć.

- Jesteś zbójem - powiedziałam z wymuszonym śmiechem.

- Dlatego, że zależy mi na tobie, choć ty mnie nie chcesz, albo wydaje ci się, że nie chcesz?

- Nie bądź taki mądry. I nie próbuj mnie zagadać.

- Gdzieżbym śmiał.

Droczył się ze mną i przez minutę nie miałam nic przeciwko temu. Przez te sześćdziesiąt sekund naprawdę żałowałam, że on jest detektywem, a ja terapeutka,

i że mam jakieś informacje dotyczące śledztwa, które spędza mu sen z powiek.

- Noah, czego chcesz? Po co tu przyszedłeś?

- Wypić drinka. Posiedzieć z tobą. Posłuchać cię.

Miła propozycja, ale musiałam mieć się na baczności - on był linią, której nie mogłam przekroczyć. Był pokusą, przed którą Nina tak słusznie mnie ostrzegała.

Ja jestem terapeutką. On jest policjantem. Chce wiedzieć to, czego nie mogłam mu powiedzieć.

Gdyby nie jeden drobiazg, przypomniałam sobie. Sama tam poszłam, by mu pomóc. Było nie fair z mojej strony mieć teraz pretensje o to, że przyszedł mnie zapytać, co miałam do zaproponowania. Czy siebie, czy pomoc w śledztwie.

Wstał, podszedł do mnie, pochylił się i znów mnie pocałował. Wsunął palce w moje włosy i delikatnie mnie podniósł. Staliśmy naprzeciw siebie, wtuleni jedno w drugie, nie przestając się całować.

Jego ręce zsunęły się z głowy na moje ramiona. Potem odpiął mój sweter i gdziekolwiek mnie dotknął, stawałam się świadoma zakończeń nerwowych, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Noah wyczuwał każdy przeszywający mnie dreszcz. Odsunął się i spojrział na mnie z uśmiechem, który był pełen wdzięczności i kusicielski zarazem.

- Od samych palców? - wyszeptał.

Kiwnęłam głową, pomyślawszy, że nawet gdybym chciała coś powiedzieć, nie byłabym w stanie.

- Morgan, powiedz mi...

Potrząsnęłam głową.

- Powiedz mi - powtórzył.

Przycisnęłam usta do jego szyi, a on położył otwartą dłoń na moich plecach. Parzyła mnie skóra. Byłam pewna, że rano będę miała piętno jego pięciu palców, że czerwony znak nigdy nie zniknie, że zostanie mi

wielka blizna na całe życie i zawsze będę czuła jej kształt.

- Powiedz mi.

- Mówiłam ci już. Nie mam zaufania do tego wszystkiego. Słyszałam o wszystkich możliwych okropnościach, jakie dwoje ludzi jest zdolnych sobie zrobić. O tym, jak namiętność zatruwa umysły. Jak ten rodzaj uczucia staje się tak potężny, tak obezwładniający, że wszystko inne schodzi na dalszy plan. Kobiety stają się wobec tego bezsilne, Noah. Rozmawiam z nimi. Pomagam im. Próbuję wynaleźć sposoby na to, żeby się znów odnalazły, po tym jak ten rodzaj dotyku pożarł je całe, odebrał im wolną wolę. Dokładnie ten sam rodzaj wrażeń, jakie ty budzisz we mnie...

Rozpiął mi stanik, zdjął go, pochylił głowę i obrysował językiem mój sutek.

- Nie przerywaj - poprosił.

O tym samym pomyślałam. Ale on powiedział to pierwszy. Pragnął moich słów, tak jak ja pragnęłam jego dotyku.

- To nie jest realne. To jest zbyt kuszące. To jest ulotne. Nie rozumiesz? To nie może trwać długo. Wyssiemy z siebie krew, do ostatniej kropli, wykończymy się, i jedyne, co zostanie, to wspomnienie namiętności. Potem będziemy próbowali żyć tym wspomnieniem, udawać, że to wystarczy, ale nie wystarczy, jednak żadne z nas nie będzie chciało się do tego przyznać.

Pochłonał ustami cały mój sutek, zamieniał w czyny moje słowa. W następnej sekundzie zamiast ciepła jego warg poczułam na skórze chłodny powiew. Jednym palcem, śliskim od wilgoci z jego ust, Noah zataczał kręgi wokół mojej piersi, prosząc o więcej słów.

- Nie pójdę na to, Noah. Nie mogę. Za dużo wiem. Czuję, co ze mną robisz, i ciągle słyszę tych wszystkich ludzi, którzy przychodzą do mojego gabinetu, których zgubiło właśnie to. Których poniosła euforia namiętności i szybko się dowiedzieli, że to czysta złuda.

Nie tylko nie prosił, żebym przestała mówić, ale rozbierając się, zaczął mnie wypytywać. Chciał coraz więcej.

- Co mówisz tym kobietom? Tym, które wpadają w to po uszy? Które chcą tego więcej? Które nie rezygnują z nadziei, że to odzyskają?

Był teraz nagi. Podniecony. Całe jego ciało było silne i jędrne. Patrzyłam na niego, nie słysząc nawet własnych słów.

- Pomagam im z powrotem się odnaleźć. Oddzielić uczucia od lęków. Zrozumieć, w którym momencie ich własne problemy zakłóciły intymność ich związku. Zmierzyć się z wewnętrznym konfliktem, który polega na tym, że chcą być w jakiś sposób zdominowane, a jednocześnie buntują się przeciwko temu.

Rozebrał mnie, i kiedy byłam naga jak on, znów się uśmiechnął w ten szczególny sposób. Nie znałam mężczyzny, którego uśmiech działałby na mnie tak jak uśmiech Noaha. Była w nim obietnica. Otucha. Zaproszenie. Ten uśmiech był tajemnicą. Zupełnie inną miną niż pogodna twarz, którą pokazywał publicznie. Ta prywatna twarz była bardziej naga od jego ciała. Wyrażała radość - ale radość połączoną z wiedzą, jak subtelny jest każdy moment.

- Chcesz, żebym cię zdominował? - spytał.

Pokręciłam głową.

- Chcesz mnie zdominować?

- Nie.

Położył się przy mnie. Nasze ciała stykały się w stu różnych punktach. Powoli, w górę i w dół, wodził ręką

po moim boku, ogrzewając mnie, elektryzując moją skórę. Czułam, jak coraz bardziej tracę świadomość. Chciałam do niego mówić, dalej opowiadać o głosach, które słyszałam w swojej głowie, gdy tylko próbowałam się otrząsnąć.

O tym, jak trudno było mi zapomnieć o pacjentach, ilekroć próbowałam znaleźć przyjemność w seksie. Kiedyś, przed tym jedynym razem, kiedy kochałam się z Noahem. Ale nie mogłam mówić. Już nie. Każde miejsce na moim ciele, którego dotknął, było pobudzone. Miałam wrażenie, że moja skóra wybuchnie orgazmem. Nie wewnątrz mnie, nie gdzieś tam w oceanicznym mroku, gdzie pulsują fale krwi - lecz na powierzchni ciała. Moje ramiona, szyja, krzyż, zagłębienia pod kolanami, uda, podeszwy stóp: wszystkie te miejsca strzelały iskierkami rozkoszy.

Słowa przerodziły się w uczucie. Głosy stłumił zwyczajny dźwięk oddechu Noaha, z czasem coraz bardziej przyspieszony. W harmonii z moim oddechem w moich własnych uszach. Jeszcze bardziej niespokojnym niż jego.

- Morgan - powiedział tak cicho, że nie byłam pewna, czy się nie przesłyszałam, dopóki nie powtórzył: - Morgan. - Jak gdyby odnalazł coś, co kiedyś znał, ale utracił.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Leżeliśmy potem na kanapie, pochłonięci sobą bez reszty, mokrzy od potu i otuleni ciepłem, które wciąż z nas parowało. Noah dalej mnie całował, a ja go nie powstrzymywałam. Jeszcze długo lewitowałam na jego wargach, aż ochłonęłam na tyle, by przypomnieć sobie, kim jestem. I z kim jestem.

- Gdybyś zechciał nie pakować się do mojej głowy - powiedziałam, odsuwając się, kończąc pocałunek, nie zdając sobie nawet sprawy, że odpowiedziałam na pytanie, którego nie zadał na głos.

Mruknął coś pod nosem. Nie na zgodę, po prostu dla potwierdzenia, że mnie słyszał.

- To błąd, Morgan. Potrzebujesz mnie w swojej głowie. Po to, żebyś mogła ze mną rozmawiać. Po to, żebym mógł cię słuchać.

- Musisz przeć jak taran, co?
- Nie przeszkadzało ci to dziesięć minut temu.
- Przestań.

Mimo jego beztroski, byłam w strachu. I on o tym oczywiście wiedział. Odsunął się więc, sięgnął po dawno porzuconego drinka i wypił długi łyk.

- A właśnie, co to jest?
- Wódka, lód, sok z limonki.

Pokiwał głową, upił następny długi łyk.

- Niezłe. Widzisz, potrafisz coś przyrządzić.

Uśmiechnęłam się mimo woli.

- A skoro mowa o jedzeniu... - Noah wstał, wciągnął spodnie i poszedł do mojej kuchni.

Chwilę później, ubrana w szlafrok, znalazłam go w świetnym nastroju. Właśnie otworzył piecyk i śmiejąc się, wyjmował żalosną, kiedyś zamrożoną, teraz wysuszoną na wiór przystawkę z kurczaka.

- Tylko prawdziwe jedzenie, Morgan - oświadczył, wyrzucając do śmieci moją kolację. - Powinnaś jeść prawdziwe jedzenie.

Wyszedł do przedpokoju i wrócił z plastikową torbą z zakupami. Nawet nie zauważyłam, że z nią wchodził.

W kuchni wyjął paczki i ułożył w rzędzie na blacie. Potem otworzył szafki, znalazł kilka misek, łyżki do mieszania, patelnię i garnek.

Wstawił wodę do zagotowania, przekroił dwie z trzech cytryn, które przyniósł, i wycisnął sok do miarki kuchennej.

- Sitko? - zapytał, nie odwracając głowy.

- Szafka pod szufladą na sztućce.

Chciałam się zbuntować, wyrzucić go stamtąd w diabły, a jednocześnie byłam tak szczęśliwa, siedząc sobie przy stole i patrząc, jak ten cudowny facet gotuje dla mnie kolację, że po prostu nie mogłam przestać się uśmiechać.

Tylko na ten jeden wieczór zapomnę, przed czym przestrzegała mnie Nina; nie będę się zastanawiać, co będzie dalej z Noahem i ze mną, nie będę się martwić morderstwami ani gazetami, ani kobietami ze Szkarłatego Stowarzyszenia.

Otworzył śmietanę i wlał do rondla. Po włączeniu palnika delikatnie pomieszał. Przyglądał się. Mieszał

jeszcze chwilę. Po minucie wlał sok z cytryny, połączył płyny trzepaczką, a potem zmniejszył płomień.

Wymieniając składniki, które jego zdaniem powinien mieć, obserwował, gdy wyjmowałam je z szafek. Później pochylił się nad zlewozmywakiem, wyjął z opakowania świeże przegrzebki, zwane muszlami świętego Jakuba, i umył je ostrożnie, uważając, żeby nie poobijać białego mięsa. Równie delikatnie osuszył je papierowym ręcznikiem. Potem swoimi długimi palcami podnosił błyszczące przegrzebki i powoli obtaczał w cienkiej warstwie mąki zmieszanej z solą i pieprzem. Kuchennym nożem odciął kawałek masła i włożył na patelnię, żeby się roztopiło.

Czekając, otworzył butelkę białego wina i nalał nam po kieliszku. Masło zaczęło skwierczeć, toteż Noah włożył mięczaki na patelnię. Całe jego ciało było skoncentrowane na przyrządzaniu tego dania. W taki sam sposób jak piętnaście minut wcześniej było skupione na każdym centymetrze naszych splecionych ciał.

Wytrawne, rześkie białe wino, które przyniósł, było doskonałym akompaniamentem do makaronu z cytrynowo-śmietanowym sosem i smażonych muszli świętego Jakuba. Smaki wzajemnie się uzupełniały - maślane i słonawe owoce morza oddawały swój zdecydowany aromat, złagodzony aksamitnym kremowym sosem do makaronu, z kwaskowatym posmakiem cytryny. Przez kilka minut nic nie mówiłam, tylko delectowałam się jedzeniem.

Mój podziw dla talentu detektywa podszyty był cieniem urazy. Nie chciałam go podziwiać. Ani patrzeć na jego zbyt niebieskie oczy i wydatne kości policzkowe, ani śledzić ruchów jego dłoni, kiedy podnosił do ust kęsy jedzenia, ani...

- Po co tak naprawdę przyszedłeś? - spytałam,

zdając sobie, niestety, sprawę, co robię. Psułam cudowny wieczór, ale nie miałam wyboru, prawda?

Spochmurniał.

- Miałem nadzieję, że nie będziemy musieli o tym rozmawiać, dopóki nie zrobię kawy. Chcesz cofnąć pytanie? Masz do tego prawo. To jedna z reguł gry, kiedy ja robię kolację. Ci, którzy psują nastrój przy stole, mogą unieważnić swoje słowa. Masz pół minuty.

- Spojrzał na zegarek.

- Chciałabym móc to zrobić. Po co, Noah?

- Przyszedłem tutaj, bo miałem nadzieję usłyszeć, że twoja wizyta u mnie w komisariacie miała charakter prywatny. Że po naszej kolacji w zeszłym tygodniu doszłaś do wniosku, że wtedy, w czerwcu, popełniłaś błąd. Że żałujesz, że wystawiłaś mnie do wiatru, chcesz się poprawić i zacząć od początku.

- To nie była wizyta prywatna. Przykro mi.

- Naprawdę? - W jego głosie pojawiła się nagle sarkastyczna nuta.

Zrobiło mi się przykro, a jednocześnie poczułam ulgę. Odzyskałam panowanie nad sytuacją.

- Okej. - Westchnął lekko, jakby wkroczenie na tę ścieżkę go zasmucało. - Dlaczego w takim razie uciekałaś z komisariatu? Zrobiłaś kawał drogi, żeby się ze mną zobaczyć. Co spowodowało, że zmieniłaś zdanie?

- Przykro mi, Noah. Nie mogę ci tego powiedzieć.

- Nie?

Cholera, zdradziłam o wiele za dużo jednym słowem. Zapomniałam, z jak bystrym człowiekiem mam do czynienia.

- Śledziliśmy Betsy Young. Wiemy, że była w twoim gabinecie. Powinienem być się domyślić, że nie chodziło tylko o wywiad z tobą. A więc jest twoją pacjentką.

- Nie. Nie znam Betsy Young. Powiedziałam ci to w zeszłym tygodniu. - Byłam skonsternowana. Dlaczego wyskoczył nagle z tą dziennikarką?

- Mówiłaś, że konsultowała się z tobą.

- Tak, telefonicznie.

- I nigdy jej nie widziałaś? Nigdy się z nią nie spotkałaś?

- Nie, Noah. Już ci to mówiłam.

- Jeśli to prawda, to dlaczego, kiedy zobaczyłaś ją w korytarzu, oczy zrobiły ci się jak spodki?

Milczałam. Byłam zbyt zaskoczona. Betsy Young? Nie. Tamta kobieta, którą Noah wyprowadzał ze swojego pokoju, to była Liz bez nazwiska, z poniedziałkowej grupy Szkarłatnego Stowarzyszenia, chociaż z innymi włosami.

W końcu pojęłam.

To dlatego Betsy Young zadzwoniła do mnie po wypowiedź do swojego artykułu o pierwszym morderstwie. Nie pomyślała o mnie z powodu mojego zaangażowania w sprawę Mordercy Magdalenek.

Shelby Rush wyjawiała mi, że wiele kobiet ze stowarzyszenia lekko się maskuje. Wydało mi się to naturalne. Należące do klubu publicznie znane osoby chcą, żeby ich uczestnictwo było anonimowe, a nie mogą pokazywać się w maskach na każdym spotkaniu. Stąd peruki zmieniające włosy brązowe na blond, okulary słoneczne, kapelusze. Na pewno nie wszystkie z nich zmieniały wygląd.

Ale Betsy Young owszem.

- Noah, ona wydała mi się podobna do kogoś, kogo znam. Kogoś, kogo nie spodziewałam się tam zobaczyć. To mnie zszokowało. Uciekłam. I to wszystko.

- Morgan, czy osoba, którą widziałaś ze mną, jest twoją pacjentką?

- Nie wiem, po co zadajesz mi takie pytanie.

Przecież wiesz, że gdyby była, i tak nie mogłabym ci powiedzieć.

- Masz rację. I wcale nie muszę pytać. Bo już wiem. Kiedy spytałem cię, dlaczego uciekłaś z komisariatu, pierwsze twoje słowa brzmiały: „Nie mogę ci powiedzieć”. Nie, że mi nie powiesz, tylko że nie możesz. Na to jest tylko jedno wytłumaczenie.

Wstał i zebrał ze stołu talerze. Miał niezapiętą koszulę, dlatego musiałam odwrócić wzrok od jego nagiego torsu. Nie chciałam teraz myśleć o jego ciele.

- Nie rób tego, Noah. Posprzątam później, jak wyjdiesz.

- Czyli zostałem odprawiony?

- Nie wiem, czego się po mnie spodziewasz. Przyszędłeś tu, żeby mnie uwieść, a kiedy to się już stało, zmieniasz skórę i zaczynasz mnie ciągnąć za język, żeby zdobyć informacje, które mogą być pomocne w twojej sprawie. Więc jak ja mam to wszystko traktować?

Tylko na tyle mogłam się zdobyć, żeby nie zacząć krzyczeć. To samo przydarzyło nam się wcześniej. Pomieszały nam się role. Przekroczyliśmy granicę, a teraz dopuściłam do tego, żeby stało się to samo. Co jest ze mną nie tak?

Wyrwałam mu z rąk talerze - moje talerze.

- To jest mój dom. Nie możesz tu sobie przyjść tak po prostu, i się szarogęsić. Bez zaproszenia. Nie możesz.

Talerze, kiedy je wrzuciłam do zlewozmywaka, wydały dźwięk, jakby się roztrzaskały. Nie spojrzałam, żeby to sprawdzić.

- Masz rację - rzeki niskim głosem, który owinął się wokół mnie jak przedtem jego ramiona.

Diabli by go wzięli i za to. Najprostszym sposobem na udobruchanie człowieka jest go przeprosić. A ja nie

mogłam sobie pozwolić, żeby dać się udobruchać. Złość była moją jedyną bronią, jedynym sposobem, by utrzymać Noaha na bezpieczny dystans.

Wróciłam do stołu, żeby zebrać kieliszki i resztę rzeczy. Kiedy weszłam do kuchni, Noah nalewał wody do mojego czajnika. Dосkoczyłam do niego czterema susami, wyrwałam mu z ręki czajnik, oblewając siebie i jego potężnym chluśnięciem wody.

- Dobrze, że była jeszcze zimna - zauważył.

- To nie jest twoja kuchnia! - wrzasnęłam. - Powiedziałam ci już.

- O co się tak wściekasz? Lubisz moje gotowanie. Pamiętam, że moja kawa też ci smakowała. Nawet kupiłem cykorię.

W tym, co mówił, był cały podtekst, którego nie chciałam słuchać - bo nie chciałam domyślać się intencji jego aluzji po tym, jak on wyjdzie, a ja znów będę sama.

Odebrał mi z ręki czajnik, zanim zorientowałam się, co robi, i dolał wody.

- Noah, proszę cię, żebyś się stąd zmył. Żebyś zostawił mnie samą. I oddaj mi ten cholerny czajnik.

Ignorując mnie, postawił czajnik na kuchence, włączył palnik i zabrał się do napełniania zaparzacza świeżo zmieloną kawą, którą też ze sobą przyniósł.

- Może usiądziesz i po prostu się zrelaksujesz, boja nie piłem jeszcze kawy i na pewno nie wyjdę, dopóki tego nie zrobię. Znasz mnie z tej strony.

Jego arogancja doprowadzała mnie do szału. Roześmiał się. Nowoorleański akcent charakteryzował nawet jego śmiech. Salwy były długie i przeciągnięte, jak jego słowa, jak jego nogi, jak jego palce. Odwróciłam się. Nie chciałam dłużej na niego patrzeć. Nie chciałam znów poczuć tego wewnętrznego rozdygotania.

Na próżno.

Noah tymczasem wyjął ze swojej torby kartonik z ciastem, otworzył i umieścił zawartość na talerzu.

Maliny połyskiwały kusząco na cienkim spodzie z ciasta francuskiego.

- Nie możesz mnie wyrzucić. Przyniosłem twój ulubiony deser.

- Skąd to możesz wiedzieć?

- Mówiłaś mi. Nie pamiętasz?

Milczałam.

Czajnik zaczął gwizdać, toteż Noah **wrócił** do kuchni zrobić kawę.

- Proszę.

Podał mi dwa talerzyki i widelczyki do ciasta. Przyniósł kawę i dwie filiżanki.

- Morgan, nie musisz mi niczego mówić - odezwał się, kiedy na stole wszystko było gotowe. - Ale musisz mnie wysłuchać. Chcę ci powiedzieć, czego do tej pory dowiedzieliśmy się o tej sprawie, i nic mnie przed tym nie powstrzyma.

- Dlaczego miałbyś to robić?

- Po prostu mnie wysłuchaj.

Błyszczącym malinom nie sposób było się oprzeć. Wsunęłam widelczyk między dwa owoce, przez warstwę kremu, i wbijałam się w kruchy spód.

- Nie. Wyjaśnij.

- Bo myślę, że jesteś w to zamieszana. Sądzę, że Betsy Young jest twoją pacjentką i obawiam się, że pracując z nią, możesz znaleźć się w niebezpieczeństwie. A gdyby tak się stało, nie przyjdiesz do mnie po pomoc z powodu swojej uczciwości zawodowej. Co swoją drogą jest bardzo piękne, bez względu na to, że jest także wkurzające. Mając ode mnie informacje o postępach śledztwa, przynajmniej będziesz w stanie się chronić. A jeśli w pewnym momencie ta sprawa okaże się do tego stopnia niebezpieczna, że poczujesz

się zwolniona z zachowania tajemnicy, będziesz mogła do mnie przyjść.

Uniosłam widelczyk do ust. Delikatna i chrupka konsystencja domagała się pierwszeństwa, jeśli chodzi o uwagę. Połączone, ale wyraziste smaki maślanego ciasta, kwaskowatych malin i słodkiego kremu były doskonałą wymówką, żeby nic nie mówić.

Poza słowami Noah i ja prowadziliśmy swoją uwodzicielską grę. Krażyliśmy wokół siebie jak para motyli w tańcu godowym. Niektóre gatunki, kiedy już dojdzie do kopulacji, tkwią w zespoleniu nawet przez całą dobę.

- Któregoś dnia - powiedział Noah tak cicho, że musiałam się pochylić, by go słyszeć - przestaniesz ze mną walczyć.

- Taki jesteś pewien. - Przybrałam ton, który miał sugerować irytację.

- A ty się cieszysz, że jestem.

To ja, oczywiście, straciłam punkt. Nie odpowiedziałam. Nie byłam gotowa. I tym razem Noah nie naciskał.

Po skończonym deserze przeszliśmy do pokoju. Noah usiadł w fotelu przy oknie, jasno dając do zrozumienia, że zamierza kontynuować poważną część rozmowy.

- Nie mamy niczego. Perez i ja poruszamy się po omacku. Szlag by to trafił, nie możemy nawet znaleźć tych cholernych ciał. To jest kryzysowa sytuacja, z jaką żaden z nas nie miał nigdy do czynienia. Muszę coś mieć. Związek między mężczyznami. Jakiś ślad na zdjęciu, który wskazywałby, gdzie są te ciała. Chociaż jeden powód, dla którego morderca chce, żeby informacja trafiała najpierw do gazety.

- Zauważyłam coś dziwnego na zdjęciach w twoim biurze.

Kiwnął głową.

Mówiłam wolno, uważnie formułując każde zdanie. Nie zastanawiałam się, dlaczego w końcu zdecydowałam się to wyjawić. Nie pozwalałam sobie na wątpliwość, czy moja decyzja jest słuszna. Nie zdradzałam żadnej tajemnicy. O tym, co chciałam mu powiedzieć, nie dowiedziałam się od żadnej z moich pacjentek.

- Podeszwy stóp tych mężczyzn są brudne.

Skinał głową.

- Widać różne drobiny, zadrapania, stwardnienia i czerwone numery. Ale zauważyłam też jakiś... pieprzyk... albo brudną plamkę na prawej stopie Philipa Maura, dokładnie tam, gdzie zaczyna się numer. I jest coś podobnego na prawej stopie Timothy'ego Wheatona, prawie dokładnie w tym samym miejscu. Najpierw myślałam, że to jakiś brud. Ale jak to możliwe, żeby obaj mężczyźni mieli taką samą brudną plamkę w identycznym miejscu na stopie?

- To jest coś, co albo ja, albo Perez powinniśmy byli zauważyć.

- Mogę się mylić.

Wstał. Teraz w wyraźnym pośpiechu.

Ledwie byłam w stanie oddychać. Na okrągło, raz po raz, powtarzałam sobie w myślach, co przed chwilą powiedziałam, uspokajając się, że nie zdradziłam żadnych poufnych informacji, że po prostu wskazałam coś, co zauważyłam niezależnie od wszystkiego. Poza tym nie miałam pojęcia, czym jest ten znak na stopie. Nie spytałam o to kobiet z mojej grupy. Po pierwsze, nie miałabym im jak wyjaśnić, że widziałam w powiększeniu te zdjęcia. Mogłam się tylko domyślać, że taka organizacja jak Szkarłatne Stowarzyszenie wypracowała jakiś rodzaj zachowań rytualnych i naznacza swoich mężczyzn tajnym znakiem.

Odprowadziłam Noaha do drzwi.

- Żyję z tymi zdjęciami. Oglądałem je setki razy
- powiedział takim głosem, jakby zarzucał sobie zdradę.

Chwyił z wieszaka swój płaszcz i włożył go jednym ruchem. Potem jeszcze raz się zawahał, odwrócił się i podszedł do mnie.

- Miałem nadzieję, że nie będę musiał dzisiaj wychodzić. - Pochylił się i delikatnie, jak gdyby był motylem przysiadającym na moich wargach, pocałował mnie.

Przez moment czułam się jak w stanie nieważkości, kompletnie zagubiona. I nagle, kiedy to uczucie zaczęło być zbyt intensywne, on odsunął się, uśmiechnął z takim wyrazem w oczach, który z pewnością zaprzętnie mój umysł na wiele długich dni, i wyszedł.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Po wyjściu Noaha włączyłam kasetę, którą dała mi Shelby Rush i obejrzałam film od początku. Tym razem nie interesowała mnie aktywność grupy; szukałam Liz. Czy Liz to naprawdę Betsy Young? Zarówno jasne włosy, w których przychodziła na sesje, jak i brązowe włosy, które widziałam w komisariacie, mogły być peruką. Wiele kobiet ze Szkarłatnego Stowarzyszenia zmienia wygląd, i to nie jest zakazane. Mają prawo do prywatności i utrzymywania w tajemnicy swoich skłonności seksualnych.

To, że jedna z tych kobiet poszła na policję, nie budziło mojego niepokoju. Nawet zapytałam poprzedniego dnia grupę, czy rozważają taką możliwość.

Trudno mi było zrozumieć co innego: że kobieta, która złożyła przyrzeczenie zachowania w tajemnicy wszystkiego, co dotyczy stowarzyszenia, była jednocześnie dziennikarką, która ujawniła informację o śmierci mężczyzn należących do klubu. To był wyraźny konflikt interesów.

Jedynym uczciwym wyjściem dla dziennikarki w jej sytuacji byłoby wyznaczenie prawdy redaktorowi naczelnemu i liczyć na to, że jej szef, mimo kolizji jej życia zawodowego z prywatnym, pozwoli jej tę sprawę poprowadzić.

Czy zrobiła to?

A gdyby to zrobiła, czy naczelny „Timesa” **nie** odebrałby jej tematu?

Nie napisała, oczywiście, o powiązaniu mężczyzn ze stowarzyszeniem. I z tego, co powiedział mi Noah, wynika, że nie zdradziła tego faktu detektywom prowadzącym śledztwo.

Dlaczego?

Żeby zachować coś w tajemnicy przed organami sprawiedliwości na wypadek, gdyby potrzebowała użyć tego jako broni? Żeby chronić stowarzyszenie? A jeśli to jest powodem, jeśli zachowuje lojalność wobec stowarzyszenia, dlaczego podjęła się pisanie o tej sprawie w gazecie?

Na filmie trwała licytacja. Nawet jeśli Liz była w tym tłumie, nie miałam pewności, czybym ją rozpoznała. Twarze większości kobiet zakrywały maski. Timothy wchodził na prowizoryczną scenę. Widziałam wcześniej ten fragment. Teraz wydał mi się jeszcze smutniejszy.

Czy może być tylko zbiegiem okoliczności, że zabójca przyznaje się do zbrodni za pośrednictwem dziennikarki, która należy do stowarzyszenia? Nie wierzyłam w zbiegi okoliczności. Więc Betsy Young alias Liz musiała zostać wybrana do pisanie o jego morderstwach właśnie dlatego, że była członkinią stowarzyszenia.

Ale po co?

Na ekranie Tim zszedł ze sceny z kobietą, która go wygrała. W tym momencie zadzwonił telefon.

- Halo.

- Morgan, chciałbym, żebyś przyjechała i zobaczyła, co odkryliśmy - usłyszałam głos Noaha. - Przysysłałam po ciebie samochód.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Po raz drugi, w pięć godzin po mojej ucieczce z komisariatu, jakiś świeżo upieczony gliniarz prowadził mnie do pokoju na samym końcu korytarza. Zastanawiałam się, jak to możliwe, by jeden wieczór trwał tak długo.

- Detektyw Jordain powiedział, że zaraz do pani przyjdzie, doktor Snów.

Usiadłam po drugiej stronie biurka Noaha i gapiłam się na ścianę, którą widziałam tydzień wcześniej. Kolaż się zmienił: przybył nowy rząd zdjęć, innego mężczyzny. Chciałam się odwrócić, ale to było silniejsze ode mnie.

W dzbanku parzyła się zaprawiana cykorią kawa, a na białym porcelanowym talerzu, który zdecydowanie nie pasował do wyposażenia komisariatu, leżało kilka paczków domowej roboty, posypanych-cukrem pudrem. Uśmiechnęłam się na przekór otoczeniu, a potem znów wpatrzyłam w ścianę.

Pomiędzy zdjęciami trzech zmarłych mężczyzn były notatki, wycinki z gazety i mapy. Znajac Noaha, domyślałam się, że musi być jakiś porządek logiczny w tej efemerycznej kompozycji, aleja tego jeszcze nie odkryłam.

Mężczyźni byli przeraźliwie bladzi. Można by pomyśleć, że śpią, tylko że skóra żywego człowieka nigdy nie ma takiej barwy. Patrzenie na śmierć jest przygnębiające, ale w połączeniu z obelżywym tłem seksualnym jest też odrażające. Upokarzające.

- Jakim cudem zauważyłaś te znaki? - spytał Jordan od progu, niosąc gruby plik zdjęć.

Wyczułam ostry chemiczny zapach, ale nie skojarzyłam go z niczym konkretnym.

- Nie wiem. Pewnie dlatego, że jestem niższa od was obu. Kiedy siedzę tutaj, zdjęcia stóp są na poziomie moich oczu. Koncentrowałam się na nich. Dla was wiszą za nisko.

- Zrobiliśmy powiększenia tła na wszystkich zdjęciach, szukając czegoś, czegokolwiek, co by nam mogło zasugerować, gdzie są ciała. I powiększyliśmy wszystkie zdjęcia, na których jest całe ciało, ale...

- Kręcił głową z niedowierzaniem, wciąż próbując zrozumieć swoje przeoczenie. - W każdym razie, miałaś rację.

Poszedł do dzbanka z kawą.

- Chcesz trochę?

- Nie. - Nie miałam szansy wrócić do domu wcześniej niż dobrze po północy, a następnego dnia musiałam wstać o szóstej. Nie mogłam sobie pozwolić na przedawkowanie kofeiny, bo leżałabym do rana, myśląc na okrągło o Liz albo Betsy, czy jakkolwiek powinnam ją nazywać. I o Noahu.

To był czysty surrealizm - siedzieć w jego biurze ledwie parę godzin po tym, jak w moim mieszkaniu się kochaliśmy. Tutaj nie było między nami nic intymnego - tylko te upiorne zdjęcia.

- Proszę, spójrz. - Noah rozłożył sześć powiększeń stóp trójki mężczyzn.

Podczas gdy to robił, do pokoju weszli Mark Perez

i Tana Butler. Poznałam ich oboje wcześniej, więc wymieniliśmy tylko powitania.

Sądząc po ich wyglądzie, Noah wezwał ich z powrotem do pracy, kiedy byli już w domu.

- W samą porę - oznajmił Noah. - Nalejcie sobie kawy, weźcie krzesła. - Poczekał, aż wszyscy się zbiorą wokół biurka. - Patrzcie - dodał powoli, przeciągając do granic możliwości pierwszą sylabę.

W pierwszej serii zdjęć stopy miały rzeczywistą wielkość. Samo to przyprawiło mnie o dreszcz. Kiedy obraz jest pomniejszony, nawet wiedząc, że patrzymy na kogoś, kto nie żyje, wrażenie jest nieco abstrakcyjne z powodu wielkości. Można być przerażonym, ale to bardziej przerażenie intelektualne.

Kiedy patrzyłam na naturalnej wielkości stopy z narysowanymi na nich czerwonymi numerami, niczym szpecące graffiti na marmurowej ścianie, pociemniało mi w oczach. Chciałam się odwrócić i ochronić przed tymi obrazami, wiedząc, że nie będę w stanie ich zapamiętać.

Następny komplet powiększeń przyniósł trochę ulgi. Na każdym z nich był tylko dziesięciocentymetrowy fragment prawej męskiej stopy. Po prostu abstrakcyjne płótna z kompozycją plam. Mogłyby wisieć na ścianie jakiejś galerii sztuki konceptualnej w Chelsea w oczekiwaniu na odważnego kolekcjonera. Teraz, kiedy patrzyliśmy na stopy bez żadnego tła ani kontekstu, wszyscy widzieli to, co ja zauważyłam wcześniej.

Okrągły brązowy pieprzyk. W tym samym miejscu na każdej stopie.

Noah rzucił na stół następny komplet zdjęć. Teraz pieprzyk, z centymetrową otoczką, został powiększony piętnasto- albo dwudziestokrotnie.

Z pewnością nie był to pieg ani pieprzyk. Ten znak nie był już nawet brązowy, lecz krwistoczerwony.

Szkarłat połączony z czernią.

- To jest tatuaż - stwierdziła Tana zszokowana.

- Czy to są splecione węże? - spytał Mark, przekrzykując ją.

Noah nie odpowiedział. Patrzył na mnie, bo ja patrzyłam na to samo i też milczałam. Nie zadałam żadnego pytania.

Nie musiałam.

Byłam jedyną osobą w pokoju, która doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co widzi. To, co innym wydawało się zwiniętymi w kółko węzami, było dwiema zachodzącymi na siebie literami S. Dwa S jak Szkarłatne Stowarzyszenie.

A dla kogoś tak bystrego jak Noah fakt, że nie zadałam pytania ani nie próbowałam zgadywać, był podejrzanym.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Fotograf ustawił światła.

Ostre białe światła.

Tak oślepiające, że nie było widać twarzy. Ani osoby. Tylko jaskrawe białe światła. I głos dobiegający zza statywu.

- W takim oświetleniu wyglądasz bardziej żałośnie. Bez filtrów rozpraszających tak jest. Ale ja nie mam żadnej potrzeby pokazywać cię w korzystniejszym świetle. Nie musisz wyglądać dobrze. To nie jest cel tych zdjęć. Chodzi o strach. Taki strach, który budzi cię za dwadzieścia piąta rano, kiedy jest jeszcze ciemno, i nie pozwala ci niczego zrobić. Leżysz w łóżku i przewracasz się z boku na bok, próbujesz znaleźć chłodne miejsce na poduszce, ale wiesz, że nawet jeśli znajdziesz, to nic nie da. Niepokój i strach są zbyt głębokie, żebyś mógł z powrotem zasnąć.

Bruce Levin zamrugał powiekami. Coś docierało do jego świadomości. Jeszcze żył, ale nie czuł się normalnie. Usiłował otworzyć szerzej oczy, zorientować się, gdzie jest, ale nie był w stanie. Ktoś dotykał jego klatki piersiowej. Jego ud. Palce były jak kostka lodu przeslizgująca się po jego skórze. Boże, jak zimno. Przy-

szło mu do głowy, że pewnie jest nagi. Tego też nie mógł zrozumieć.

- Nie przejmuj się - rzekł fotograf.

W każdym razie zakładał, że to jest fotograf, bo widział wycelowany w siebie z góry obiektyw.

Bruce nie odpowiedział. Miał coś w ustach.

Co się dzieje z jego ustami?

Jego usta są pełne... czego? To było bez smaku i wchłaniało jak gąbka każdą kroplę śliny.

- Nic nie będzie bolało. Dopóki nie będziesz próbował się stawiać. Nie lubię konfliktów. - Śmiech.

Co w tym jest śmiesznego? Co za szalenie go tu przyprowadził i związał? A przede wszystkim dlaczego? Gdyby to wiedział, może wymyśliłby jakiś sposób, żeby się uwolnić. Ale nie mógł myśleć - a przynajmniej nie mógł myśleć jasno. Nie był pewien, czy jest dzień czy noc, ani jak długo tu jest, ani gdzie był przedtem, zanim znalazł się tutaj. Co się wydarzyło? Czy miał wypadek? Został ranny? Czy w ustach ma bandaż?

Bruce próbował się na tym skoncentrować. Dotychczas był kimś, kto potrafi rozwiązać każdą sprawę. Każdą skomplikowaną sprawę. Ale teraz miał uczucie, jakby część jego pamięci została odcięta. To muszą być narkotyki. Ale jakie? Naćpał się swoje, kiedy był w college'u, ale po niczym nie czuł się tak strasznie.

Z nieludzkim wysiłkiem udało mu się w końcu otworzyć oczy. Tym razem dostrzegł trochę więcej. Byłoby lepiej, gdyby nie widział nic, bo to, co zobaczył, było przerażające. Szpitalne wózki, a na nich nieruchome postacie. Nagie. Błede. Skostniałe. Skąd on to wie? Nie miał pojęcia skąd, ale powietrze wokół niego było tak lodowate, było mu tak zimno, że tamte postacie muszą być również zmarznięte.

Światło odbijające się od stalowych ostrzy nożyczek

z powrotem go oślepiło. Chryste, to boli! Przemógł jednak ból. Przynajmniej to jest inne. Przynajmniej nie tak mgliste jak cała reszta. Nożyczki przysuwały się do jego twarzy... bliżej... bliżej... ajemu przemknęła przez głowę myśl: Powiniennem się na to przygotować, ale jak?

Strach był teraz tak silny, że rozsadzał mu klatkę piersiową i wprawiał w łomot serce. Chryste, słyszał, jak dudni mu w piersi, i nagle nożyczki przysunęły się do jego czoła.

Bezwiednie, chociaż bardzo się starał tego nie zrobić, zamknął oczy.

Wtedy usłyszał dźwięk. To wydawało się bez sensu, biorąc pod uwagę wszystko inne, co się wokół niego działo. Szczęk nożyczek. Cięcie. Ale cięcie czego? Chłaśnięcie i świst, a potem szeleszczący dźwięk strzyżenia włosów. Jego włosów.

Po co komuś jego włosy?

Śnił o kobiecie, z którą kiedyś uprawiał seks. Której ciało znał równie dobrze jak swoje własne, ale tylko ciało. Lepiej było pieprzyć się z obcymi i nie wiedzieć, co je martwi, ani co im powiedział rano ich szef, i nie psuć sobie humoru zastanawianiem się, kiedy zaczną oczekiwać więcej: więcej słów, więcej czynów, więcej zobowiązań.

Lubił, kiedy jego partnerki mówiły mu dokładnie, co ma robić z ich ciałami. Przejmowały w ten sposób ster, a jemu się to podobało, bo nie musiał używać wyobraźni, by je zadowolić. Mówiły mu, a robiąc to, pozbawiały seks pewnego aspektu, który, jego zdaniem, był najbardziej niebezpieczny.

Kobiety się zakochują nie z powodu tego, kim naprawdę jesteś, lecz dlatego, że spełniasz ich erotyczne marzenia. Milczą samolubnie i nie przyznają się, czego chcą, więc wymyślasz coś na poczekaniu, a jeśli

nie daj Bóg trafisz w dziesiątkę, dostajesz premię specjalną i stajesz się jakimś pieprzonym bohaterem. I wtedy masz z głowy.

Co innego, jeśli to one ustalają reguły gry. Kobieta każe ci się ruszyć w prawo albo w lewo, w dół albo w górę, lizać ją albo ssać albo gryźć, wystrzelić albo wziąć na wstrzymanie, i nigdy nie dojdzie do takiego poranka, kiedy spojrzy na ciebie cklwym, rozkochanym wzrokiem i powie, że czekała na ciebie od dawna.

Bo w ten sposób nie jesteś dla niej niczym więcej niż żywym wibratorem.

Był twardy.

Chryste, w takim miejscu?

Przywiązany do tego metalowego łóżka?

Przemarznięty do szpiku kości, śmiertelnie przerażony, miał jeszcze dość płynącej w żyłach krwi, żeby jakiś wywołany narkotykami sen pobudził mu do życia fiuta?

Nie.

To jakaś dłoń w rękawiczce go pobudzała. Szlag. Ręka fotografa przesuwająca się w górę i w dół po jego penisie, wolniej, szybciej i wolniej, a jego ciało reagoowało, jakby cały ten koszmar w ogóle nie istniał.

Wiedział, że nie ma zbyt silnego sprzężenia między jego kutasem a mózgiem. Miał na to setki dowodów. To jednak było jeszcze bardziej chore. Tym razem nie chodziło tylko o to, że jego mózg jest wyłączony. Jego mózg powinien był się oprzeć temu obleśnemu gwałtowi. Jego mózg powinien był nie dopuścić do erekcji. A nie potrafił.

Wysunął się język i zaczął go lizać. Jak bardzo agresywny kot. Jedno długie liźnięcie. Krótkie. Długie.

Dlaczego on, Bruce, na to pozwala? Trudno jest walczyć z bezwładem. Choć chciał powstrzymać to, co się działo, uczucie w jego kroczu było przyjemnością.

Nie mógł natomiast znieść uczucia w żołądku. Lęku, którego nie uśmierzała nawet fachowa kombinacja obciążania druta z brandzlowaniem.

Nagle to się skończyło.

W połowie masażu. Skończyło się śmiechem. Niskim, głębokim i ordynarnym. Nie potrzebował słów, by zrozumieć jego znaczenie. Ten śmiech szydził z niego i z jego penisa. Sprowadzał go do najbardziej prymitywnej zwierzęcości, odmawiał mu rozumu i talentu.

- To wszystko, nic więcej nie dostaniesz.

Zadrzał.

A więc to tak. Podstrzyżyny, zabawa z fiutem, zdjęcia, a teraz, jak ci przyjdzie ochota, wykończysz mnie. Zbierało mu się na mdłości i miał nadzieję, że udławi się własnymi rzygowinami. Przynajmniej odebrałby temu monstrum przyjemność zabicia go - bo to, z pewnością, miało być tu szczytem haju. Seksualne gry, okaleczenia i na koniec morderstwo.

Wymioty podchodziły mu do gardła, coraz wyżej i nagle się cofnęły, zostawiając pałący kwas w ustach.

Proszę, błagał jakiegoś Boga, którego nie znał. Daremne myśli. Kimkolwiek, cholera, jest Bóg, nie słyszał go z tego miejsca.

Proszę, zrób coś, żeby to się odbyło szybko. I bezboleśnie.

Wtedy usłyszał jakieś trzaski i pomyślał, że to ostatnie dźwięki, jakie słyszy w życiu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Moja kolejna czwartkowa wizyta u Nicky'ego i Daphne zaczęła się źle. Siedzieli po przeciwnych stronach pokoju, nie patrząc na siebie i nie patrząc na mnie.

Czasami naprawdę czuje się w powietrzu emocje. Zawsze uważałam, że ciało wydziela zapach, by ostrzec członków grupy - tak jak to robią zwierzęta.

W tamtym pięknym słonecznym pokoju wypełnionym pogodnymi martwymi naturami, które namalowała Daphne, zanim odkryła swój talent do męskich aktów, czułam strach, złość i pożądanie.

Trzeba było trudu, żeby wydobyć z nich, co się wydarzyło przed moim przyjściem.

- Dlaczego nie chce pani o tym mówić? - zapytałam najpierw Daphne.

- Bo cokolwiek powiem, Nicky i tak to przekreśli.

- Może zostawi pani to zmartwienie mnie.

Wstała i podeszła do wiszącego kosza z ogromną paprocią. Patrzyłam, jak powoli oskubuje martwe, uschnięte liście.

- Daphne? Myślę, że byłoby dobrze, gdyby siedziała pani w jednym miejscu. Wiem, że to pani dom i że wydaje się pani normalne, że można wstać i pochodzić, ale podczas sesji byłoby nam łatwiej, gdyby

pani siedziała. Tak jak pani i Nicky siedzielibyście w moim gabinecie.

Usiadła bez słowa w tym samym co poprzednio miejscu na końcu kanapy. Nie spojrzała na Nicky'ego. On nie spojrzał na nią.

- Daphne, miała mi pani powiedzieć, co się wydarzyło, zanim tu przyszedłam.

Westchnęła.

- Nicky próbował naciągnąć mnie na seks.

- Próbowałem? - zareagował gwałtownie Nicky, a potem popatrzył na mnie. - Podeszła do drzwi, jakby na mnie czekała. Rozkazała, żebym poszedł z nią na górę. Wie, jak reaguję na ten rodzaj gadki.

- A nie mówiłam? Wszystko przekręca.

- Daphne, co było, kiedy Nicky stanął w drzwiach?

Co pani czuła?

- Byłam szczęśliwa, że go widzę. Kocham go. Cieszę się, kiedy tu jest. - Bawiła się suchym strzępiastym liściem, krusząc go na kawałki i upuszczając jeden po drugim na nieskazitelnie czystą podłogę.

- Okej. Więc on wszedł do środka. Pani była zadowolona z jego przyjścia. Co się stało później? Pocałowała go pani na powitanie?

- Oczywiście, że tak. On wciąż jest moim mężem.

- Otworzyła usta. To nie był zwykły pocałunek.

Tego pani nie mówi.

Odwrociłam się do Nicky'ego.

- Byłoby lepiej, żeby pan najpierw pozwolił Daphne wyjaśnić, co się stało, bez przerywania jej. Kiedy ona skończy, będzie pan mógł powiedzieć, co się wydarzyło pana zdaniem. Czy zgodzi się pan, że łatwiej będzie nam pracować w ten sposób?

- Tak. Chcę to wyjaśnić. Ale ona robi ze mnie wariata i...

- Nicky?

Przestał mówić, wziął głęboki oddech, a następnie wypuścił z ust powietrze, gotów wreszcie pozwolić, by Daphne opowiedziała swoją wersję wydarzeń.

Dwie historie, których wysłuchałam, bardzo się oczywiście różniły. Według wersji Daphne, Nicky, jak tylko przyszedł, dal jej jasno do zrozumienia, że jeśli ona chce się z nim kochać, on z radością ją zadowoli. Zgodziła się i zabrała go na górę. Objęli się, zaczęli rozbierać. On zdjął koszulę. Wtedy ona zobaczyła zadrapania na jego plecach.

- Spytałam, czy w ciągu kilku ostatnich tygodni był w klubie. Skłamał i najpierw powiedział, że nie. Po prostu chciał iść ze mną do łóżka. Nie obchodziły go zasady. Obietnice. Ani jak ja się z tym czułam.

Kiedy przyszła kolej Nicky'ego, oznajmił, że Daphne nie zapytała go wprost, czy był w klubie. Wciągnęła go w grę uników. To nie to samo, co kłamanie wprost.

- Co to znaczy: gra uników?

- Nie spytała mnie, czy byłem w klubie. Zapytała, czy ją kocham. Powiedziałem, że tak. Potem spytała, czy naprawdę zasługuję na to, żeby wpuściła mnie z powrotem do swojego łóżka. Nie powiedziała mi, że zobaczyła zadrapania. Podpuściła mnie.

- On decyduje o własnym życiu każdego dnia, gdy tam idzie - wtrąciła Daphne. - Ja to wiem i on to wie. Ale on musi mieć jakieś wariackie ciagoty do śmierci.

Zanim sesja dobiegła końca, udało mi się ich przekonać, żeby przestali odpowiadać na wzajemne oskarżenia i pozwolili jedno drugiemu wyrażać swój gniew. Wyjaśniłam, że jeśli nie zrobią przynajmniej tego, dalej będą reagować automatycznie i ich wzajemne urazy będą się tylko pogłębiały.

- Zanim wyjdę, Daphne, zamiast używać dawnego języka, proszę powiedzieć Nicky'emu, co pani czuje.

- Boję się o niego.

Nicky spojrzął na nią, uśmiechnął się i powiedział, że to się bardzo dla niego liczy.

- Jestem ostrożny. Nic mi się nie stanie - utrzymywał.

- Naprawdę myślisz, że Philip nie był ostrożny?

- Łzy popłynęły po jej policzkach. - Albo Tim?

Obejmując rękami głowę, Daphne płakała.

Nicky wstał, podszedł do niej i wziął ją w ramiona. Obejmował ją, pozwalał płakać, gładził po plecach i włosach.

Żałowałam, że nie mogę zrobić nic więcej, i zrobić tego szybciej. Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni jako terapeutka marzyłam, by mieć skuteczniejsze narzędzia pracy niż słowa i wgląd w ludzką psychikę.

Marzyłam o czarodziejskiej różdżce, którą pomachałabym nad tą parą, żeby oparli swój związek na pozytywnych uczuciach, jakie wobec siebie mieli, zamiast dręczyć się żądzą i pragnieniami, które ich tylko od siebie oddalają.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Mimo obietnicy złożonej Dulcie, że nie pojadę do Bostonu na pokaz przedpremierowy „Tajemniczego ogrodu”, po prostu nie mogłam zostać w domu. Wypożyczyłam samochód i w sobotę rano wyjechałam z miasta.

Jesienne liście wprost oślepiały kolorami, kiedy jechałam Merritt Parkway przez Connecticut. Niebo było bezchmurne i czysto błękitne, słońce przeświecające przez drzewa wprawiało w drżenie krajobraz. Trudno jednak było oderwać się od wszystkiego, co zaprzętało mi myśli, i po prostu cieszyć się dniem.

Nie miałam zamiaru tam się wyprawiać.

Kiedy Dulcie wyjechała z Mitchem o wpół do siódmej rano, poszłam do dużego pokoju, wyciągnęłam drewniany stół z leżącą na nim bryłą różowego kwarcu, w której dłubałam od pół roku, włożyłam ochronne gogle i zabrałam się do mozolnego ociosowania kamienia.

To było tylko moje hobby, ale zwykle działało na mnie kojąco. Kiedyś miałam nadzieję, że mam talent - zanim zrozumiałam, czym jest prawdziwy talent. Zainteresowałam się rzeźbieniem, kiedy mój ojciec powtórnie się ożenił.

Krista jest uznaną rzeźbiarką, która raz do roku wystawia swoje prace w prestiżowej galerii na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Jej rzeźby mnie oczarowały, jak tylko ją poznałam, więc Krista, wykorzystując moje zainteresowanie jako szansę na stworzenie między nami więzi, zaproponowała, że będzie mnie uczyć. Miałam zaledwie dwanaście lat, ale uwielbiałam wszystko, co dotyczyło kamienia, obróbki i narzędzi. Byłam zafascynowana ideą, że praca rzeźbiarza - tak jak to opisała Krista - polega na znalezieniu kształtów ukrytych wewnątrz kamienia, które tylko czekają, żeby je wydobyć.

Kiedy staję przed sytuacją, która każe mi szukać otuchy w odwołaniu się do postaci matki, najpierw myślę o kobiecie, która odeszła z tego świata w zamroczonym alkoholu, gdy miałam osiem lat, kobiecie, o której ocalenie walczyłam dzień w dzień, aż w końcu ona poddała się swojej słabości, albo myślę o Ninie, która wkroczyła w moje życie tego samego dnia, owinęła mnie silnymi ramionami i nigdy nie wypuściła.

Jednak więź z moją macochą też była autentyczna, narodzona z kamienia i podtrzymana przez moje ukochane hobby, którego nigdy nie porzuciłam.

Tamtego ranka wydobywanie śpiącej postaci dziecka z bryły różowego kwarcu nie pochłonęło moich myśli. Odłożyłam młotek i dłuto, zadzwoniłam po samochód, spakowałam torbę i zaczęłam się zastanawiać, co powiem Dulcie, kiedy przyjadę do Bostonu.

Po upływie półtorej godziny jazdy z Manhattanu zjechałam z autostrady w Westport, w stanie Connecticut, i zatrzymałam się w mieście, by coś zjeść. Było wpół do pierwszej. Przedstawienie zaczynało się o ósmej wieczorem. Do Bostonu było jeszcze tylko trzy godziny. Miałam mnóstwo czasu.

Siedząc w miejscowym Starbucksie, z kawą latte i kawałkiem chleba z ziarnami dyni i orzechami, od nowa zastanawiałam się nad swoją decyzją. Jadąc do Bostonu, łamałam słowo dane mojej córce. Ale jak mogłam się powstrzymać? To miał być jej pierwszy profesjonalny występ. Ona była zdenerwowana, a ja bardzo się martwiłam. Nawet gdybym miała stać gdzieś z tyłu i nigdy jej nie powiedzieć, że tam byłam, musiałam jechać.

Czy Dulcie bardzo by się zdenerwowała, gdyby mnie zobaczyła?

Byłam rozdarta. Nadal się wahałam: zawrócić, czy jechać dalej? Żaden kierunek nie wydawał się słuszny, i wtedy zadzwoniła moja komórka.

- Halo?

- Doktor Snów? Mówi Pam.

Pam była telefonistką, która dyżurowała w recepcji instytutu w weekendy oraz wieczory i dzwoniła, gdy zdarzał się jakiś nagły problem z pacjentem poza godzinami pracy.

- Cześć, Pam. - Miałam zdławiony głos, zanim usłyszałam, o co chodzi.

- Właśnie odebrałam telefon od pani pacjentki. Podała mi tylko swoje imię: Liz. Powiedziała, że to jest nagła sytuacja i że naprawdę powinna z panią porozmawiać.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Pilna prośba o spotkanie od pacjentki, która w jakiś sposób była powiązana ze śmiercią trzech mężczyzn, była równie dobrym pretekstem jak każdy inny, który przyszedłby mi do głowy, żeby wsiąść do samochodu i wrócić do Nowego Jorku.

Wreszcie mogłam się zachować jak odpowiedzialny lekarz i dotrzymać słowa, które dałam mojej córce. Wiedziałam, że rozdzierający ból, jaki czułam, wycofując samochód z parkingu i kierując się na południe zamiast na północ, zostanie ze mną na długo, ale przynajmniej nie musiałam się bać rozczarowania w oczach Dulcie.

Czekała na mnie kobieta w peruce blond, więc była to istotnie Liz. Ucieszyłam się, bo wolałam mieć do czynienia ze znaną mi pacjentką z grupy terapeutycznej niż z dziennikarką, z którą nigdy nie miałam przyjemności się spotkać.

Ona usiadła na kanapie, ja w swoim fotelu.

- Co się stało? - Nie było powodu tracić czasu.

Było południe. Słońce prześwitywało przez liście za oknem, rysując wzór na dywanie, który poruszał się i zmieniał przy każdym powiewie wiatru. Liz wpatry-

wala się w to miejsce, milcząc. Miała ze sobą szarą kopertę, którą przyciskała do piersi rozpaczliwie, tak jak ja tuliłam kiedyś swoją córkę, gdy miała wysoką gorączkę, i czekałam, przerażona, w gabinecie naszego lekarza, by dowiedzieć się, co jej jest.

- Jest czwarty mężczyzna... - powiedziała.

- Kiedy się pani dowiedziała?

- Dzisiaj rano.

- Zawiadomiła pani policję?

Przytaknęła, a potem zmarszczyła brwi.

- Co pani robiła wczoraj wieczorem w komisariacie?

- A jakie to ma znaczenie?

- Takie, że ja muszę mieć pewność, że mogę pani ufać. Że nie mówi im pani o grupie.

- Nie mówię.

- Więc po co pani tam była?

- Liz, dlaczego pani chciała się dzisiaj ze mną spotkać? Dlaczego to jest takie pilne?

- Skąd mam wiedzieć, że mogę pani ufać?

- Nie wiem, co miałabym dodać poza tym, że traktuję etykę zawodową bardzo poważnie.

- Sugeruje pani, że ja nie.

Nie powiedziałam niczego, co usprawiedliwiłoby jej reakcję.

- Czy jest jakiś powód, z którego powinnam kwestionować pani etykę? - zapytałam.

Jej śmiech nie był radosny ani uprzejmy, raczej lekko histeryczny.

- Oczywiście, że jest. Jest pani jedyną osobą, która wie, że jestem nie tylko dziennikarką, która dostaje te koszmarne przesyłki, ale że należę do tego samego klubu erotycznego co mordowani mężczyźni.

- Czy to jest coś, co panią niepokoi?

Zerwała się na równe nogi. Kłykiec palców, którymi trzymała kopertę, były białe.

- Niech pani usiądzie, proszę.

Nie posłuchała mnie.

- Czy to jest coś, co mnie niepokoi? Czy pani zwariowała? Oczywiście, że tak. Nie śpię od wielu dni. Łamię zasady w gazecie. Łamię zasady klubowe. A pani i policja zgodnie myślicie, że to ja zabijam tych mężczyzn.

- Proszę usiąść. - Mówiłam najłagodniej, jak potrafiłam. Liz miała ostre załamanie nerwowe.

Cała się trzęsła i ledwie łapała dech. Żeby prowaździć z nią jakąkolwiek rozmowę, musiałam ją najpierw uspokoić.

- Będę mogła pani pomóc, jeśli pani usiądzie, żebyśmy mogły porozmawiać o tym, co panią tak bardzo niepokoi.

Stała dalej, wpatrując się we mnie dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści sekund, a zmieniało się tylko tempo jej oddechu i spojrzenie, które stawało się coraz głębsze i bardziej udręczone.

Jeżeli jest w jakiś sposób odpowiedzialna za te wydarzenia, jest też groźna. A ja, jako osoba wtajemniczona w jej współzdział, mogę teraz być w niebezpieczeństwie. Czy ta kobieta była zdolna zabić trzech - nie, właśnie mi powiedziała, że czterech - mężczyzn?

Nie po raz pierwszy w tej pracy martwiłam się o własne bezpieczeństwo, ale zwykle w sobotnie popołudnie nie byłam sama w instytucie. Zazwyczaj w holu byli ludzie i gdybym krzyknęła, ktoś by do mnie przybiegł. Teraz na zewnątrz nie było nikogo i nie miałam niczego pod ręką, czym mogłabym ją poskromić, gdyby zachowała się gwałtownie.

Wstałam, zrobiłam krok w jej stronę, i potem jeszcze jeden. Nie poruszyła się.

Zrobiłam następny krok. Dzieliło nas mniej niż pół

metra. Patrzyłam na twarz Liz, ale nie traciłam z pola widzenia jej rąk. Ciągłe ścisnęła w nich kopertę. Gdyby poruszyła którąś ręką, by po coś sięgnąć, po coś innego - broń? - zauważyłabym ten gest i miałabym ułamek sekundy na to, żeby ją unieszkodliwić.

Uczyłam się samoobrony. Zabierałam też na lekcje moją córkę. Czysty rozsądek nakazywał, żeby umieć się zachować w sytuacji zagrożenia. Wiedziałam, że bez kłopotu poradzę sobie z Liz, dopóki zachowam zimną krew. Dopóki nie spuszcze wzroku z jej rąk.

- Może jednak pani usiądzie, Liz?

- Betsy! - wrzasnęła.

To było tak gwałtowne, że omal nie zareagowałam w sposób emocjonalny, ale uczono mnie, jak postępować z kimś, kto ma wszelkie objawy załamania psychicznego. Czy to jest na pewno to? Lata pracy przygotowały mnie na tego rodzaju sytuacje. Zaskakujące jednak było to, jak niewiele razy byłam świadkiem podobnych wybuchów, zważywszy na liczbę pacjentów, z którymi miałam do czynienia.

- Do cholery, mam na imię Betsy!

- Betsy. Betsy, chcę, żeby pani usiadła. - Wzięłam ją stanowczo pod ramię i łagodnie pociągnęłam w dół. Pozwoliła mi się posadzić, a wtedy rozczepiłam jej palce i wyjęłam z dłoni kopertę.

W tej samej chwili, kiedy nieszczęsna przesyłka znalazła się w moich rękach, z Betsy jakby uszło powietrze. Jej twarz wykrzywiła się w rozpacz. Furia została opanowana. Przynajmniej na jakiś czas.

- Zabiłam tych mężczyzn - oświadczyła i ukryła twarz w dłoniach.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Detektywi Jordain i Perez siedzieli w nieoznakowanym granatowym sedanie naprzeciwko Instytutu Butterfielda. Dzień zaczął się od telefonu od policjanta, którego zadaniem było sprawdzanie poczty w „New York Timesie”. Betsy Young dostała czwartą przesyłkę od Dalili.

Mężczyzna ze zdjęć zaginał pięć dni wcześniej. Bruce Levin był sławnym przedsiębiorcą budowlanym, którego nazwisko było niemal równie dobrze znane jak nazwiska ludzi, którym sprzedawał swoje luksusowe apartamenty. Również dlatego, że był eksmężem top modelki, z którą miał bliźniaki. Rozwód opisały wszystkie tabloidy z powodu niebotycznych żądań finansowych jego żony zarówno przy podziale majątku, jak i ustalaniu alimentów na dzieci.

Tak jak trzy wcześniejsze przesyłki, ta także zawierała kosmyk włosów ofiary w małej plastikowej torebce i trzy zdjęcia, wszystkie w identycznych ujęciach jak poprzednie, z identycznymi śladami wiązań wokół przegubów rąk i kostek.

I tak jak się spodziewali, na obu podeszwach stóp był narysowany czerwonym tuszem numer cztery.

Inne było jedynie zachowanie dziennikarki. Napisała artykuł i przyniosła go ze sobą do komisariatu.

Poprzednio była bardzo konkretna, lekko zdenerwowana, wyraźnie poruszona, ale starała się panować nad sytuacją. Poza tym nie kryła złości na Jordaina i Pereza za przetrzymywanie materiałów zbyt - jej zdaniem - długo, za to, że nie pozwalali jej ujawnić całej zawartości przesyłek i nie zgadzali się, by „Times” opublikował wszystkie zdjęcia.

Od ukazania się pierwszego artykułu o Philipie Maurze pozycja Betsy Young w gazecie systematycznie rosła, i wprost proporcjonalnie radykalizowała się jej postawa.

Tego jednak ranka była zupełnie inna: przybita i kompletnie roztrzęsiona. Po zakończeniu spotkania Perez zaproponował, że ktoś odwiezie ją do „Timesa”, na co się zgodziła. Musiała być zbyt zdenerwowana, bo nie zastanowiła się, co kryło się za jego propozycją - że jeszcze łatwiej będzie ją śledzić, jeśli pojedzie policyjnym samochodem.

Wróciła do pracy, spędziła w redakcji trzy godziny, a potem wzięła taksówkę do Instytutu Butterfielda. Wsiadła z niej z innym kolorem włosów niż ten, z którym wsiadła. Detektywi rozmawiali o jej peruce, szukali jakiegoś wytłumaczenia, ale jak wszystko inne w tej sprawie, zmiana wyglądu dziennikarki wydawała się pozbawiona sensu.

Perez sączył kawę. Tak długo siedzieli w samochodzie, że zdążyła ostygnąć. Jordain swoją już wypił, ale żałował, że nie kupił dwóch kubków. Mogą tu jeszcze spędzić sporo czasu.

- Zimno mi chodzi po plecach - powiedział Jordain. - To jest fałszywy trop.
- A ja nie byłbym taki pewien.
- Założę się, że ona nie jest Dalilą. Możemy mieć

tylko nadzieję, że Betsy wie, kto jest Dalilą i że nas do tego kogoś zaprowadzi.

- W każdym razie coś tu śmierdzi. Ona jest w tej chwili najważniejszą reporterką kryminalną w mieście, a my nie mamy nikogo, kto byłby bardziej zamieszany w to wszystko od niej.

- Żeby zrobić cokolwiek, żeby ruszyć z miejsca... - zaczął, ale przerwał mu dzwonek komórki. - Jordain.

- Butler. Mam informacje, których chciałeś.

Jordain powtórzył bezgłośnie imię policjantki Perezowi.

- Dobra, mów. Czekam z zapartym tchem.

- Przykro mi, ale muszę was zawieść. Nie znaleźliśmy niczego, absolutnie niczego, co by wskazywało na jakieś romantyczne związki Young z ostatnią ofiarą.

- Niech zgadnę - rzekł znużonym głosem. - To samo dotyczy trzech poprzednich. Rozmawialiście z partnerami biznesowymi, przyjaciółmi, portierami, i pogrzebaliście w zapisach połączeń telefonicznych. Żadnych telefonów od nowego Samsona na numer domowy Young, numer komórki czy biura.

Perez pokręcił głową, kiedy Jordain powtórzył mu wyniki dochodzenia, które przeprowadziła ich koleżanka.

- Może ona ich nie znała. Może ich gdzieś widziała i z jakichś powodów obrała sobie tych czterech facetów za cel, i ich prześladowała. Może próbowała ich złowić, a oni wszyscy ją odtrącili.

- Więc odurzyła ich prochami i zabiła z zemsty? Ona wygląda na normalną kobietę, trochę wojowniczą i agresywną, ale nie ma powodu przypuszczać, że jest tak zdesperowana, że gdyby facet powiedział nie, posunęłaby się do ostateczności. Do takiego szaleństwa. Nie, jeśli to ma z nią jakikolwiek związek, to tylko z jej pracą dziennikarską.

Kobieta spacerująca z miniaturowym pudłem morelowym zatrzymała się przy samochodzie, podczas gdy jej piesek obwąchiwał chodnik. Zajrzała przez szybę, zobaczyła dwóch rozmawiających mężczyzn, ale nie skupiła na nich uwagi. Jordain zerknął na nią, nie patrząc bezpośrednio na jej twarz.

- Sprawdziliśmy, czy jest inne wyjście z budynku?

Perez pokręcił głową.

- Większość domów w mieście nie ma tylnych wejść. Jeśli ten ma i ona z niego skorzystała, to by znaczyło, że wie, że depczemy jej po piętach. To co, wychodzimy sprawdzić i ryzykujemy, że na nią wpadniemy, czy czekamy dalej? I jak długo?

- Większość sesji trwa czterdzieści pięć minut. Mamy jeszcze czas.

- Zdarza się, żeby trzymali pacjenta dłużej niż godzinę?

- U Morgan to możliwe. Gdyby pacjent miał kryzys, ona taką zasadę by złamała.

- Ale nie złamię tej zasady dla nas.

- Ma swoją uczciwość zawodową.

- Ach, więc to jest to, co ona ma?

Jordain uniósł brwi.

- Daj spokój, partnerze, znam cię wystarczająco długo, żeby widzieć, kiedy ktoś ci wpadnie w oko. Jezu, od dawna czekam, żeby to się w końcu stało.

- Dobra, odpuść.

- Widziałem was w pokoju i...

- Jestem głodny. Masz przy sobie jeden z tych swoich odżywczych batoników, które ciągle jesz zamiast prawdziwego żarcia?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Po tym, jak Betsy wydusiła, że jest odpowiedzialna za śmierć wszystkich czterech mężczyzn, siedziała w milczeniu z głową ukrytą w dłoniach, ja natomiast otworzyłam kopertę i obejrzałam jej zawartość. Widziałam tyle podobnych zdjęć w komisariacie, że powinnam być na nie uodporniona, ale te nowe przyprawiły mnie o mdłości, a kiedy zobaczyłam czerwone czwórki na stopach następnego mężczyzny, zaczęła mi pękać głowa.

- Betsy?

Spojrzała na mnie i rzekła:

- Oni by żyli, gdybym powiedziała policji o Szkarłatnym Stowarzyszeniu.

- Co by pani powiedziała policji?

- Jak pani może być taka spokojna? Pani to w ogóle nie obchodzi! - zawołała.

- Dlaczego pani tak myśli?

- Nie znała ich pani. Dlaczego miałyby to panią obchodzić?

- Ale pani ich znała, prawda? Uprawiała pani z nimi seks i rozmawiała z nimi.

- Tak.

- Zależało pani na nich?

- Zależało mi na Brusie Levinie.

Pokiwałam głową bez zdziwienia, że Betsy znała tego ostatniego mężczyznę lepiej niż innych. Coś ją do mnie sprowadziło.

- Ale go zabiłam.

- Jak?

- Nie zrobiłam niczego, żeby go chronić.

- Owszem, zrobiła pani. Pisała pani artykuły, które były cytowane we wszystkich stacjach telewizyjnych i wszystkich gazetach w kraju. Wszyscy mężczyźni związani ze Szkarłatnym Stowarzyszeniem słyszeli albo czytali te wiadomości i powinni być ostrożni. Wyjątkowo ostrożni.

- Też tak myślałam. Ale nie byli, prawda?

- A jeśli tak, to nie była wystarczająca ostrożność.

- Nie mogę iść na policję.

- Nie namawiałam pani do tego.

- Ale uważa pani, że powinnam.

- Betsy, nie mówiłam tego. A pani sądzi, że powinna?

- Nie mogę. Złożyłam przysięgę stowarzyszeniu.

- Ale jeśli, ujawniając tę informację, może pani zapobiec czyjeś śmierci...

- To jest o wiele bardziej skomplikowane.

Nie musiała mi tego mówić. Ja byłam równie rozdarta jak ona.

- Słucham.

- Chodzi nie tylko o stowarzyszenie. Jeśli powiem policji, wylecę z „Timesa”.

- Dlaczego?

- Gdyby wyszło na jaw, że wiedziałam o stowarzyszeniu, że należałam do stowarzyszenia, i ukrywałam to zarówno przed policją, jak i przed gazetą...

- Urwała.

Czekałam, a kiedy stało się jasne, że Betsy sama

z siebie nie dokończy zdania, zapytałam, dlaczego się powstrzymała przed wyjawieniem, co by jej groziło.

- Musiałabym się wycofać z pisania o tej sprawie, a nie mogę tego zrobić. Jeszcze nie teraz. To byłoby dziennikarskie samobójstwo.

- Jest pani gwiazdą w swoim zawodzie, prawda? Wygrała pani kilka nagród Pulitzera. Czy to by wszystko przekreśliło?

- Pani nie rozumie. Tu nie chodzi o unikanie kłopotów. Dwadzieścia lat czekałam na taką okazję, żeby dzień w dzień mieć swoje miejsce na pierwszej stronie. Nie mogę się teraz wycofać.

- Wygląda na to, że już się pani zdecydowała.

- Nigdy się nie zawiodłam na własnej decyzji.

- Więc po co pani tu jest?

Widziałam po jej minie, że nie spodziewała się tego pytania. Ale obcesowe pytania działają na moją korzyść. Nie żebym zawsze liczyła na szczerą odpowiedź - pacjenci zbyt często okłamują siebie i mnie. Nie, rzecz w tym, że nikt poza zawodowym aktorem nie zdaje sobie sprawy, co pokazuje jego twarz. Tylko najbardziej chytry, najznakomitsi kłamcy są dostatecznie wprawni, żeby w pełni panować nad swoją mimiką.

Widzę, jak się rozszerzają lub zwężają źrenice. Widzę, jak drżą wargi albo pot zrasza czoło. Słyszę mimowolne nabranie powietrza. Albo zauważam przyspieszenie pulsu, obserwując wydatną żyłę na szyi. Przełykanie śliny, łapanie powietrza, mrużenie oczu, mruganie - wszystko to zdradza kłamstwo.

Betsy nie była zawodową aktorką i miała wymalowane na twarzy poczucie winy. Przy niektórych pytaniach unikała mojego wzroku. Mimo chłodnego powietrza wpadającego przez otwarte okno kosmyki jej włosów kleiły się do wilgotnego czoła. Skubała skórki

przy paznokciach, na zmianę zakładała nogi jedna na drugą. Nerwowo przełykała ślinę.

Czy celowo okazywała poczucie winy? Czy przyznaniem się do mniejszego przestępstwa chciała odebrać mnie od myślenia, że jest zdolna popełnić większe? Czy miałam dzięki temu uwierzyć, że ktoś, kto zмага się w taki sposób z sumieniem z powodu naruszenia etyki zawodowej i nieprzyznania się do znajomości z ofiarami nie może być zabójcą? Gdybym była przekonana, że Betsy dręczy się z powodu małej roli, jaką odegrała w tym dramacie, mogłabym się nie zastanawiać, czy nie odegrała dużo większej.

Ale ja się zastanawiałam.

Byłam w pełni świadoma, że kobieta siedząca w moim gabinecie tamtego sobotniego popołudnia może być odpowiedzialna za zbrodnie, które sama opisuje.

Ma motywy.

O jednym rozmawiała w grupie: nie była już najmłodsza i mężczyźni w klubie nie okazywali podniecenia, kiedy ich wybierała. Widziała to po ich twarzach i sposobie, w jaki unikali jej wzroku - podobnie ona tego dnia unikała mojego. Betsy była silną kobietą i była na nich zła.

Jak bardzo zła?

Tego jeszcze nie wiedziałam.

Drugim motywem był rozgłos i władza, jaką się niewątpliwie napawała, będąc jedyną reporterką piszącą o tej historii.

Na jej niekorzyść przemawiał fakt, iż mimo rzekomej rozpaczy z powodu śmierci czterech mężczyzn, których znała, nie była skłonna zrobić niczego, co pomogłoby zapobiec następnej zbrodni.

Ja też nic nie robiłam.

I to nie czyniło mnie podejrzaną.

Czy Betsy jest niebezpieczna? Czy miewa huśtawki nastrojów? Nieadekwatne reakcje? Trudności z koncentracją? Czy bywa niezdolna do skupienia uwagi? Odpowiedzi pozwoliłyby mi ustalić fachową diagnozę, ale musiałabym obserwować Betsy jeszcze kilka tygodni, by stwierdzić, czy jest chora psychicznie. Chora na tyle, żeby być seryjną morderczynią?

Istotne znaczenie miał fakt, że była kobietą. Przewstępcy płci męskiej gwałcą i popełniają seryjne morderstwa. Nie jest dla nich problemem seks bez nawiązywania kontaktu psychicznego - nawet dla tych zdrowych. W przeciwieństwie do nich, kobiety rzadko mają skłonność do traktowania seksu jak sportu. Mimo woli angażują się uczuciowo. Kobiety z grupy terapeutycznej potwierdziły to, ubolewając nad faktem, że nie mogą iść na nabożeństwo żałobne w intencji Philipa Maura.

To oczywiście, że kobiety też zabijają. Żona może zamordować w afekcie męża, który ją zdradził, ale żeby kobieta zabiła czterech mężczyzn, na których jej zależało, jednego po drugim, tylko dlatego, że nie darzyli jej dostatecznym zainteresowaniem?

Nie jest to wykluczone, ale wysoce nieprawdopodobne. Zwłaszcza w przypadku kobiety, która nie zdradza oznak poważnej psychozy.

Z pewnością Betsy była w jakimś stopniu zamieszana w tę sprawę, ale w jakim? I co ja mogłabym z tym zrobić? Żadne z jej zachowań nie uprawniało mnie do podejrzania, że targnie się na własne życie. Nie wymieniła nazwiska żadnego mężczyzny poza tymi, którzy już nie żyli. Na policję mogłabym iść tylko wtedy, gdybym bała się o nią lub miała informacje sugerujące, że wyrządzi krzywdę komuś innemu.

Prawo w tej kwestii jest jednoznaczne.

To, że mam grupę pacjentek znających mężczyzn,

których obrał sobie za cel seryjny morderca, jest po prostu przypadkowym znalezieniem się po niewłaściwej stronie. Już je namawiałam, by zgłosiły się na policję.

Teraz musiałam postarać się jeszcze bardziej przekonać Betsy, żeby powiedziała prawdę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Mój były mąż zadzwonił do mnie w niedzielę rano i opowiedział, jak Dulcie przeżyła weekend w Bostonie, żebym była przygotowana.

Czekałam na nią wieczorem, siedząc beczynn timer na kanapie, bez włączonego telewizora ani muzyki. Usłyszałam szczęk jej klucza i wstrzymałam oddech. Serce mi się krajało na myśl o tym, przez co przeszła moja trzynastoletnia córka.

Musiałam się powstrzymać, by nie podbiec do niej i nie przytulić jej do piersi, kiedy otworzyła drzwi. Poczekałam, aż ucichły jej kroki, gdy przez wyłożony dywanem korytarz powlokła się do swojego pokoju.

Dopiero wtedy wstałam i poszłam do niej.

Siedziała na łóżku, walizkę zostawiła przy stopach. Zacerwienione oczy, strąki na głowie.

- Cześć, kochanie - powiedziałam.

Usiadłam przy niej na łóżku, objęłam ramieniem plecy i pocałowałam w policzek. Ukryła twarz na mojej szyi. Nie widziałam, że płacze, dopóki nie poczułam, jak szloch wstrząsa jej ciałem.

- Chcę się wycofać ze sztuki - wyszeptwała przez łyzy.

- Wiem, skarbie.

Jej mała głowa była wciśnięta pod mój podbródek. Chciałam zabić swojego eksmęża za to, że przekonał mnie, bym pozwoliła Dulcie to robić. Życie przynosi dość cierpienia, mówiłam mu. Czy nasze dziecko nie może mieć normalnego dzieciństwa, zanim pozna brutalną rzeczywistość kariery aktorskiej?

Dulcie łkała tak mocno, że bolało mnie serce.

Trzymałam tak kiedyś swoją matkę, ale wtedy ja byłam małą dziewczynką, a ona dorosłą kobietą. To nie miało znaczenia; ona wciąż miała złamane przez publiczność serce. Przez miłość, której bardzo pragnęła, ale nie miała szansy jej dostać od obcych oglądających na scenie jej grę.

- Dulcie, kocham cię.
- Chcę to rzucić.
- Wiem.

Ja też chciałam, żeby to rzuciła. Chciałam zadzwonić do reżysera i powiedzieć, że przykro mi, ale Dulcie postanowiła wycofać się ze sztuki. Doskonale wiedziałam, jakiego tonu głosu bym użyła, by zrozumiał, że nie wdaję się z nim w dyskusję, tylko po prostu informuję, i musiałyby to przyjąć do wiadomości. Ma dwie dublerki, i obie dziewczyny są przygotowane, by ją zastąpić. Nie ma powodu, by któraś z nich nie zagrała równie dobrze jak Dulcie. Szkoła przyjęłaby ją z powrotem. Z góry się na to zgodzili. Cały czas miała prywatne lekcje. Szybko by nadrobiła ewentualne opóźnienia. Reżyser próbowałby mnie przekonać, że Dulcie powinna zostać. A może przyjąłby z ulgą wiadomość, że chce się wycofać? Jak śmiałyby tak pomyśleć? Dulcie doskonale się nadawała do roli Mary Lennox.

Omali się nie roześmiałam. Moja matczyna duma walczyła o lepsze z moim pragnieniem, by ją chronić przed cierpieniem.

Przytuliłam ją mocniej, wiedząc, że nie zrobię niczego, co chciałam.

- Pora na kolację. Zrobiłam twoją ulubioną.

- Zrobiłaś? - Spojrzała na mnie pytająco spod opuchniętych powiek. Była przygnębiona, ale wciąż widziałam w niej moją zuchwałą Dulcie. Jeszcze nigdy mnie tak nie ucieszył jej sarkazm.

- Tak. Najpierw kupiłam ją w sklepie EAT, potem przyniosłam do domu, postawiłam na kuchence i włączyłam palnik.

- To nie jest robienie kolacji, mamusiu, to jest odgrzewanie kolacji.

Roześmiałam się. Ona też parsknęła śmiechem i nagle świeże łzy pociekły jej z oczu, zalewając od nowa całe policzki.

Gdy usiadłyśmy przy stole w kuchni, Dulcie udowodniła, że choćby nie wiem jak była przygnębiona, nie wpływało to na jej apetyt.

- Myślałam, że będzie dobrze.

Kiwałam głową, słuchając, co wydarzyło się w Bostonie w sobotni wieczór.

- Nawet nie byłam zdenerwowana. W końcu mieliśmy tyle prób. Naprawdę znałam rolę na pamięć. I wszystkie piosenki. I wcale się nie bałam.

Czekałam, nie przerywając.

- Ale kiedy tam stanęłam... nie wiem, po prostu przestałam funkcjonować. Nie wiedziałam, gdzie co jest. Wszystko było nie tak. To było straszne. I napisali o tym. Jak byłam zdenerwowana. Nawet nieporadna.

Znów zaczęła płakać, a ja musiałam się powstrzymać, by nie rozpłakać się razem z nią, ze współczucia. Odsunęła od siebie talerz, położyła głowę na stole i zaczęła szlochać jeszcze głośniejszym głosem, jak gdyby to właśnie przed chwilą stało się po raz drugi.

Gładziłam swoją córkę po głowie, ale nic nie

mówiłam. Chciałam dać jej swobodę, by wyrzuciła z siebie cały ból, przeżyła go z pełną siłą. Jako zawodowca wiedziałam, że przemawianie do niej, próba rozmycia wstydu i rozczarowania tylko by te uczucia stłumiły.

Kiedy kilka minut później uniosła głowę, ślady łez na jej twarzy przypawiły mnie o skurcz żołądka. Oczywiście, że powinnam jej pozwolić wycofać się z przedstawienia. Nie ma powodu, by moje dziecko przechodziło przez coś tak okropnego. Wiedziałam, że życie przyniesie jej wystarczająco dużo bólu później, kiedy nic nie będę mogła na to poradzić.

To mogłam po prostu przerwać.

- Chcę się wycofać.
- Dobrze, porozmawiajmy o tym.
- Nie chcę o tym rozmawiać. Chcę z tym **po prostu** skończyć.

To już nie było dobrze.

- Dulcie, musimy o tym porozmawiać. To zbyt poważna decyzja, żeby jej nie przemyśleć.

- Tata powiedział, że mogę.
- A ja nie mówię, że nie możesz. Nie musimy przeprowadzać tej rozmowy teraz, ale kiedyś musimy. - Przeklinałam swojego byłego męża za to, że dał jej wolną rękę bez porozumienia ze mną. Oczywiście, że Dulcie może się wycofać, ale nie byłoby dla niej dobrze, gdyby podjęła taką decyzję, nie rozumiejąc, dlaczego chce to zrobić i co to oznacza.

Wstałam i nalałam do czajnika wody.

- Zrobię gorącą czekoladę. Możemy obejrzeć jakiś film.

- Nienawidzę czekolady z proszku. Instant! - Wyrzuciła to słowo, jakby posmakowała tego czegoś, czego nienawidzi, i chciała to wypluć.

Westchnęłam w duchu. Dulcie zachowuje się sto-

sownie do swojego wieku. Nie mogłam jej za to winić, bo nie chciałam, by zachowywała się jak stara malutka. Co nie znaczy, że umiałam sobie z tym radzić. Ze wszystkich aspektów macierzyństwa najtrudniej było mi się pogodzić z myślą, że muszę uwielbiać każdą stronę osobowości mojej córki. Dulcie była uparta, przekorna i sarkastyczna, a kiedy demonstrowała wszystkie te cechy charakteru naraz, wydawało się, że wstąpił w nią jakiś dziecięcy demon.

Wyłączyłam czajnik i otworzyłam lodówkę.

- Chcesz trochę cydru? Jest świeży; kupiłam go w weekend. Mogę go podgrzać z laską cynamonu.

Zwykle bardzo lubiła ten jesienny napój, ale dziś oczywiście pokręciła głową.

- Nie. Chcę tylko, żebyś zadzwoniła do Raula i powiedziała, że nie gram w przedstawieniu.

- Nie będzie ci przykro, kiedy za dwa miesiące odbędzie się premiera w Nowym Yorku, a ty w niej nie wystąpisz? Nie będziesz żałowała?

Potrząsnęła głową.

- Myślę, że zamiast do niego dzwonić, jutro rano powinniśmy pójść razem do studia i powiedzieć mu o tym osobiście.

- Nie! - wrzasnęła. - Nie mogę. Nie chcę go widzieć.

Gdzieś w tyle mojej głowy zapaliło się światełko alarmowe. Dlaczego ta propozycja wydała jej się taka straszna? Usiadłam z powrotem przy stole, obok niej.

- Nie musimy tego robić przy wszystkich, Dulcie, ale musisz się spotkać z Raulem i sama mu o tym powiedzieć.

- Powiedziałam, że nie. Nie ma żadnego głupiego przepisu, który by mnie do tego zmusił.

- Nie, nie przepis. Ale zwykła uprzejmość. On cię wybrał spośród trzystu pięćdziesięciu innych dziew-

czyn. Pracuje z tobą od czterech miesięcy. Nie możesz tak po prostu zniknąć bez wyjaśnienia dlaczego.

- Ty mu powiedz dlaczego. Mamo... - Przeciągnęła tak to słowo, że zawisło w powietrzu.

Gdyby była młodsza, uległabym jej. Dulcie jednak miała trzynaście lat, więc zaczęłam się zastanawiać, o co naprawdę chodzi i dlaczego jej zależy, żebym wzięła wszystko na siebie. Czy jest to po prostu regresja - chciała się poczuć jak mała dziewczynka pod skrzydłami matki, cała bezpieczna i chroniona, po tym, jak spróbowała sił w świecie bezdusznym i krytycznym?

Nie sędzę. Nawet kiedy była młodsza, nigdy nie była typem dziecka, które chciałoby, żebym prowadziła za niego własne bitwy. Nigdy nie zdawała się na mnie w życiowych konfrontacjach, ani się ich nie bała. Przeciwnie, a miała to po ojcu, stawiała się silniejsza w zderzeniu z przeciwnościami losu.

- Raul myśli, że jestem idiotką. Głupim dzieckiem, który miał najgorszą treść sceniczną w historii ludzkości.

Poczułam się jak waleczny rycerz gotów zabić smoka, który zagroził jego ukochanej.

- Nazwał cię głupim dzieckiem?

Pokręciła głową.

- Co ci powiedział?

- Powiedział, że... - Nie dokończyła.

- Dulcie, w porządku. Nie będę cię zmuszała, żebyś się przed nim tłumaczyła. Tylko zdradź mi, co on ci powiedział. Muszę to wiedzieć.

Wciąż się wahała.

- Powiedział mi... - szepnęła.

Wzięłam jej rękę i zamknęłam w swych dłoniach. Nasze palce były prawie tej samej długości. Pamiętałam maleńką rączkę, która wczepiała się kiedyś w moją z dziką siłą.

- Co on powiedział, skarbie?
- Nic.
- Proszę, wyrzuć to z siebie.

Zaniosła się płaczem. Nigdy bym nie pomyślała, że może mieć w sobie tyle łez. Przysunęłam się do niej bliżej, otoczyłam ją ramionami i gładziłam po plecach.

- Ja... ja go... zawiodłam. Och, mammo... On nigdy więcej nie będzie chciał ze mną pracować...

Wreszcie zaczęło mi świtać, o co naprawdę chodzi. Jak mogłam być tak tępa?

- Dulcie, przez tyle tygodni prosiłaś mnie, żebym cię odbierała ze studia dziesięć, piętnaście minut później. Czy naprawdę chodziło o to, żebym nie wchodziła na próby, czy o coś innego?

Spojrzała na mnie spod swoich gęstych rzęs, na których połyskiwały łzy.

- Nie chciałam, żebyś widziała, jak robię błędy.
- Wierzę, że to jeden z powodów. Pytam jednak o to, i ty o tym wiesz, czy to był jedyny powód?

Nie musiała nic mówić. Domyśliłam się odpowiedzi w chwili, gdy odwróciła ode mnie wzrok.

Bardzo wiele razy podczas ostatnich dwóch miesięcy przyjeżdżałam do studia i zastawałam Dulcie pracującą z Raulem nad jej rolą. Nie byli sami - zawsze w pobliżu kręcili się jacyś ludzie z zespołu szykujący się do wyjścia i rozmawiający ze sobą - ale Dulcie wyraźnie spędzała z nim więcej czasu niż inne dzieci. Dla mnie to było zrozumiałe, bo grała główną rolę. Ale czy ona zdawała sobie sprawę, że to był jedyny powód? Czy zwracała się do niego, bo potrzebowała pomocy, czy zależało jej na jego uwadze?

- Nigdy nie miał nic przeciwko temu, żebym została po próbie omówić swoją rolę.

Ciągle była w moich ramionach i mówiła do mojej szyi. Czułam na skórze jej oddech, gorący i wilgotny.

- Nie wątpię, że nie miał nic przeciwko temu.

Dulcie nie powiedziała nic więcej.

Nie miała ośmiu czy dziewięciu lat. Była trzynastolatką. I teraz wiedziałam, że zadurzyła się w Raulu. To dlatego moja córka była zrozpaczona, że nie spełniła oczekiwań swojego reżysera.

- Mamo, musisz do niego zadzwonić w moim imieniu i powiedzieć, że rezygnuję. - Wciąż mówiła stłumionym głosem.

- Dulcie, tata mi mówił, że w recenzji napisano, że zachwyciłaś publiczność niezwykłą skalą głosu, i że masz poważne zadatki na gwiazdę.

- Tak sobie tylko napisali.

- Jeżeli tak sobie tylko napisali o dobrej stronie występu, to dlaczego nie myślisz, że tak sobie tylko napisali o gorszej?

- Ja... nie wiem.

Jedyne, czego chciałam od samego początku, to żeby Dulcie została w szkole i zaczęła z karierą aktorską, dopóki nie skończy college'u. Teraz gotowa byłam ją przekonać, by nie rezygnowała z udziału w sztuce, bo tu już nie chodziło o tremę. Nie chodziło o to, że występowanie na scenie jest dla niej nadmiernym obciążeniem psychicznym.

To był konflikt serca. Jej pierwszy. I nie miałam zamiaru pozwolić mojej córce, by zrezygnowała ze swojego wielkiego marzenia tylko dlatego, że onieśmiała ją mężczyzna, w którym się zadurzyła: jej reżyser.

Usiadła wyprostowana. Przestała płakać, ale miała mokrą twarz.

- Czy Raul nie może z tobą popracować nad tremą? Jestem pewna, że ma duże doświadczenie z innymi dziećmi.

- Powiedział, że mógłby. Muszę go tylko poprosić.

- Ale?

- Mamo, jeśli go poproszę, żeby mi pomógł, będzie wiedział, jaka jestem słaba. Będzie wiedział, że nie jestem dobra i że nie poradzę sobie bez niego.

Mówiąc to, patrzyła na mnie, i światło padające na jej twarz powodowało, że widziałam w jej oczach swoje odbicie.

- Nie będzie w tym nic złego, kochanie. W tym, że poprosisz go o pomoc i że będzie wiedział, że go potrzebujesz. Na pewno nie stracisz w jego oczach.

Słyszałam swoje słowa. Wiedziałam, że nie przyszłyby mi teraz do głowy, gdyby nie chodziło o Dulcie, ale one miały swój własny wydźwięk również dla mnie.

- Nie wiem - odrzekła z wahaniem.

- Podobało ci się, że grasz w tej sztuce, kiedy już przeżyłaś tamtą pierwszą scenę?

Kiwnęła potakująco głową, teraz prawie zawstydzona, w głębi duszy zdając sobie sprawę, że nie była ze mną do końca uczciwa.

- Problem z tremą pojawił się na wieczornym przedstawieniu w sobotę, prawda?

- Tak.

- A jak było podczas niedzielnej popołudniówki? Też tak strasznie?

- No wiesz, przez jakiś czas bałam się, że coś schrzanię.

- Przez jakiś czas. A później?

Wstała i podeszła do lodówki po wodę.

- Chyba było w porządku - powiedziała, odwrócona do mnie plecami.

- W porządku? To mi niewiele mówi. Jak ci szło?

- Mnie tam tak naprawdę nie było. Tylko Mary Lennox. Jakbym widziała to, co ona widzi. Jakby to sztuka była rzeczywistością, a prawdziwa rzeczywistość zniknęła. - Zapomniała o zażenowaniu i od nowa

przeżywała euforię, w jaką wprawiało ją wcielanie się w inną postać.

- Kiedyś mówiła mi to twoja babcia. - Ból straty przeszył mnie nagłym chłodem. Nigdy nie przestaje nam brakować tych, których kochaliśmy, uczymy się tylko przetwarzać tęsknotę za nimi na cząstkę nas samych. Uczymy się, że tęskniąc za nimi, nigdy nie przestajemy ich kochać, ale to nie zmienia faktu, że od czasu do czasu poczucie straty chwyta nas znienacka i poraża swoją siłą. - Więc coś mi się wydaje, że będziesz chciała zostać w tej sztuce.

- Dlaczego?

- Dlatego, skarbie, że aktorki muszą grać. To jest to, czym żyją i co im daje spełnienie. A Raul może ci pomóc.

- Będę go musiała poprosić o pomoc? - Skrzywiła się z niechęcią.

- W tym cała rzecz, Dulcie. Mimo że zawsze z niechęcią będziesz się przyznawała, że potrzebujesz pomocy, ten ktoś, kogo poprosisz o pomoc -jeśli mu na tobie zależy - zrobi to z radością. Tak wiele będzie dla niego znaczyło, że jest ci potrzebny, że nawet nie zauważy, że czujesz się z tym niezręcznie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Długa ściana pokoju dziennego była obwieszona wycinkami prasowymi. Dobrych dwadzieścia pięć artykułów, każdy przedstawiający te wydarzenia w trochę inny sposób.

Kiedyś we Włoszech poszedł do kościoła. Może w Sienie? Cała tylna ściana została pokryta świstkami papieru różnej wielkości i w różnych kolorach, każdy z nich był wypełniony ręcznym pismem. Każda karteczka stanowiła modlitwę. Niektóre z nich były stare i pożółkłe.

Zatem to jest jego ściana wysłuchanych modlitw. Mężczyźni, którzy z niego szydzili, dostawali to, na co zasłużyli. Jeden po drugim. Żałował tylko tego, że choć inne zdjęcia martwych ciał zostały opisane, nigdzie ich nie wydrukowano. Owszem, proste fotki ich nagich stóp z numerami też były makabryczne. Też robiły wrażenie. Prawdę mówiąc, gdyby robił okładkę do książki o tych seryjnych morderstwach, pewnie by wykorzystał obraz anonimowych brudnych stóp, jakże żałosnych z tymi jaskrawoczerwonymi numerami na podszwach.

Jego spojrzenie wędrowało od numeru jeden na stopach Philipa Maura przez numer dwa na stopach

Timothy Wheatona do numeru trzy na stopach Granta Firtha. A teraz numer cztery na podszewkach stóp Bruce'a Levina.

Numer pięć też ma trafić na tę ścianę. Ale nie ma pośpiechu. Dzisiaj może rozkoszować się zgonem Bruce'a Levina. Wyjątkowy drań, jeden z najgorszych. Śmiejący się z jego fiuta, popisujący się swoją sztywną pałą. Ogier. Pierdolony głupi ogier.

Uśmiechnął się.

Już nie, już nie jest ogierem.

Paul Lessor chciałby móc komuś to powiedzieć, podzielić się swoją satysfakcją.

Wyśmiewali się z niego, a teraz umierają.

I nikt nie ma pojęcia dlaczego.

W wiadomościach i w gazetach dziennikarze pytają: Co łączy tych czterech mężczyzn? Dlaczego właśnie oni? Co mają ze sobą wspólnego? A im dłużej szukali, im bardziej się przyglądali, im więcej było ciał, tym bardziej byli skonsternowani.

Paul znał odpowiedź na ich pytanie. Rzeczą, która ich łączyła, był najciemniejszy, najgłębiej skrywany sekret. Dla każdego z nich było sprawą niemal życia i śmierci, by nikt się nie dowiedział o ich nocnych rajdach, ich skłonności do podporządkowywania się silnym kobietom, które kazały im leżeć albo stać, całować je albo lizać, albo rznąć, albo masować, albo kąpać... Jedna była nawet tak bezczelna, że chciała, by wytarł jej cipę po tym, jak poszła do łazienki.

Nie. Ci silni, wpływowi mężczyźni - którzy kierowali firmami, robili pieniądze i dyrygowali innymi ludźmi - nie mogli sobie pozwolić na to, aby ktokolwiek się dowiedział, że należą do tajnego stowarzyszenia, w którym są bezsilni jak mrówki pod butem ogrodnika. Więc strzegli swojego sekretu tak dobrze,

że ani ich rodziny, ani policja, ani dziennikarze nie mogli odkryć powiązań między nimi.

Była niedziela, minęła druga w nocy. Powinien się położyć. Wiedział, że zapłaci za to jutro, kiedy pójdzie niewyspany do pracy, ale nie czuł się jeszcze zmęczony.

Wziął z biurka czerwony magiczny marker, podszedł do ściany wysłuchanych modlitw i zaczął podkreślać swoje ulubione fragmenty artykułów, które ukazały się w sobotnich gazetach.

I zastanawiał się, ile jeszcze czasu upłynie, zanim prawda wyjdzie na jaw. I każdy, kto się z niego śmiał, sam stanie się pośmiewiskiem. Pomyślał, że to będzie piękne...

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

- Tu jest za jasno. Może pani przygasić trochę światło? - zapytała Annę.

- Ja też bym nie miała nic przeciwko temu - rzekła Ellen.

Nie było wcale tak jasno. Włączona była moja lampa na biurku. Wbudowane oświetlenie paliło się z taką samą intensywnością jak zawsze. Zastanowiłam się nad tą prośbą, wstałam i przykręciłam reostat na tyle, by różnica była zauważalna. Potem usiadłam z powrotem w fotelu.

Grupa się zebrała. Brakowało tylko Betsy, ale nie byłam zdziwiona, że się nie pojawiła.

- Zacznijmy. Jeśli... - Musiałam sobie przypomnieć, żeby nie nazywać jej Betsy. - Jeśli przyjdzie Liz, wprowadzimy ją w temat rozmowy.

- Myślę, że powinniśmy na nią zaczekać. Nie ma tu tylko jej - rzekła Davina. - A od ukazania się dwóch ostatnich artykułów po raz pierwszy jesteśmy wszystkie razem. To jest jedyne miejsce, w którym możemy się zebrać i o tym porozmawiać.

- Rozumiem, że chcielibyście być w komplecie, ale ona może nie przyjść. A mamy sobie dużo do powiedzenia. Pozwolicie, że jednak zaczniemy?

Kilka z nich pokiwało bez przekonania głową, odezwała się tylko Shelby:

- Myślę, że ma pani rację, doktor Snów. Naprawdę powinniśmy zacząć, żeby móc jakoś wyjaśnić to, co się stało.

W ciągu trzech ostatnich tygodni stres, jaki odczuwały te kobiety, zdecydowanie się pogłębił. Były w szoku, niespokojne, zdezorientowane. I panicznie przerażone.

Rozmowa szybko zesłała na czterech zabitych mężczyzn i domysły na temat motywu mordercy: dlaczego spośród dziesiątek mężczyzn należących do klubu obrał sobie za cel właśnie ich. Żadna z kobiet nie podała racjonalnej sugestii. Wydawało się, że porwał ofiary na chybił trafił.

Grupa była też szczerze zaniepokojona kilkoma mężczyznami, którzy od dwóch tygodni nie pojawili się w klubie. Czy żaden z nich nie zaginął?

- Może po prostu nie przychodzą na wasze spotkania. Może się wystraszyli. Próbowaliście się z nimi skontaktować?

- Tak, ale nie możemy zrobić nic innego poza wysłaniem zakodowanej wiadomości. A żaden z nich się nie odezwał - wyjaśniła Shelby.

- Dziwię się, że w ogóle jeszcze ktoś przychodzi - wtrąciła Ginny. - Dlaczego wszyscy nie trzymają się z daleka od tego klubu? Dlaczego ja sobie nie odpuściłam?

- Jak się pani czuje, kiedy pani tam przychodzi?

- Jakby to było ważniejsze niż kiedykolwiek, żeby się pokazać... - Wahała się przez moment. - Czuję się jeszcze bardziej podładowana. Jakbyśmy za każdym razem, kiedy się zbieramy, mówiły temu szaleńcowi: „Pierdol się”.

Kilka kobiet ją poparło.

- Myślę, że to bardzo uzasadniona reakcja. Chcecie, żeby wszystko wróciło na normalne tory. To sposób na oswojenie rzeczywistości po tym, co się wydarzyło.

- Kiedy jestem w stowarzyszeniu, mogę udawać, że nic się nie zmieniło - przyznała Annę.

- Ja nie mam takiego uczucia - stwierdziła Davina.
- Nie sądzę, żebym mogła tam jeszcze kiedyś pójść. To jest chore. Jakbyśmy prowadziły jakąś makabryczną seksualną grę.

Shelby potrząsnęła głową.

- Przecież to nie nasza wina. Nie my to zrobiliśmy. Nie odpowiadamy za to, co się stało. - Mówiła nienaturalnie głośno.

Annę zaczęła płakać.

- Mam dosyć tego ciągłego przygnębienia. Wystarczająco straszne było, kiedy zginął Philip. A po nim Tim. Ale teraz... czterech... to jakiś koszmar. Myślę, że powinniśmy coś zrobić.

Shelby odwróciła się gwałtownie w jej stronę.

- Zdaje się, że już to omówiliśmy.

- Może przydałoby się powiedzieć grupie, co omówiłyście - zasugerowałam.

Annę zwróciła się bezpośrednio do mnie.

- Powiedziałam Shelby, że moim zdaniem powinnyśmy porozmawiać z policją.

Ucieszyłam się, że jedna z nich do tego wróciła. Gdyby tak się nie stało, musiałabym wymyślić jakiś sposób, aby im to podpowiedzieć.

Tych mężczyzn łączyła tylko jedna rzecz: stowarzyszenie, do którego należały te kobiety. Owszem, policja wie, że każda ofiara miała identyczny znak wytatuowany na prawej stopie, ale to nie był znaczący trop, skoro nie mieli pojęcia, co ten tatuaż oznacza.

- Nie - przemówiła ostrym tonem Shelby. - To po

prostu niemożliwe. Co miałybyśmy zeznać? Nikt o nas nie wie. Ostatnią rzeczą, którą możemy zrobić, to zde-maskować klub. To byłaby katastrofa. Nigdy byśmy się nie podniosły! - Jej głos był na granicy krzyku.

Po raz pierwszy, odkąd zawiązałyśmy grupę, ujawniła ten stopień emocji. I byłam z tego zadowolona.

- Nieważne, czy to zniszczy stowarzyszenie. - Annę też była teraz zirytowana. - Jeśli to może ocalić życie choćby jednemu człowiekowi, to chyba nie mamy żadnego wyboru. Nawet nie rozumiem, jak to może podlegać dyskusji.

- Chyba nie mówisz poważnie - oburzyła się Ginny. - Chcesz, żeby dowiedział się twój mąż? Twój szef? Twoje dzieci? Twoi teściowie? Twoi przyjaciele? Ja nie. W żadnym wypadku. Poza tym co to da, jeśli powiemy policji? Pomożemy im w ten sposób ostrzec potencjalne ofiary? Na litość boską, nie ma takiego mężczyzny w klubie, który by już o tym nie wiedział.

- Tyle że to niczego nie zmienia - upierała się Annę.

- To jest poza dyskusją - oświadczyła Shelby. - Wszystkie złożyłyśmy przysięgę. Tak jak wszyscy mężczyźni, którzy do nas przychodzą. Nie możemy nic nikomu zdradzić.

- Myślę, że dyskusja jest potrzebna - wtrąciłam swoje. - I to bardzo poważna.

- Pani by chętnie wszystko powiedziała - naskoczyła na mnie Shelby. - Poszła pani do tej dziennikarki. Dlaczego? Zobowiązała się pani do zachowania naszych spraw w tajemnicy, a rozmawiała pani z prasą.

Łatwiej im było wszystkim skupić się na ataku na mnie niż na rozważaniu, czy powinny iść na policję. W mojej twarzy utkwiło dziesięć par oczu - gniewnych, zbolałych i oskarżycielskich.

- Nie, Shelby, nie poszłam do tej dziennikarki. To

ona przyszła do mnie. I nie rozmawiałam z nią o niczym, co ma związek ze stowarzyszeniem. Mój komentarz dotyczył typowych zachowań seryjnego mordercy z dewiacjami seksualnymi. Nie wypowiadałam się na temat zamordowanych mężczyzn ani nie mówiłam, co mogłoby ich łączyć.

- Ale może mieć pani jeszcze ochotę z nią rozmawiać. Skąd mamy wiedzieć, że tak nie jest?

Jeszcze raz zaczęłam im wyjaśniać zasadę tajemnicy lekarskiej. Chciałam, aby zrozumiały, że tylko jedna z nich może zgłosić się na policję i pomóc detektywom znaleźć klucz do ustalenia mordercy. A jednocześnie musiały mi ufać, jeśli miałam im pomóc poradzić sobie ze złością, wstydem i poczuciem winy.

- Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych ustanowił zasadę poufności między psychoterapeutą a pacjentem dla sądów federalnych decyzją z 1966 roku w sprawie „Jaffee kontra Redmond”. Środowisko psychiatryczne powszechnie ją stosowało, ale w końcu sprawa trafiła do sądu. Przez ponad pięćdziesiąt lat prawnicy i lekarze starali się w sposób jasny określić, że relacja pomiędzy pacjentami a psychoterapeutami wymaga bardzo wysokiego stopnia ochrony.

Słuchały mnie w skupieniu. Tylko Shelby próbowała ignorować moje słowa. Patrzyła w okno na splecione gałęzie drzewa oświetlone przez uliczną latarnię.

- Jest inny precedens, sprawa Tarasoffa - ciągnęłam - który ustalił ścisłe granice tajemnicy lekarskiej. W wyroku tamtego procesu zdecydowano, że psychoterapeuci mają obowiązek ostrzeżenia trzeciej strony, jeśli jakiś pacjent zagraża owej trzeciej stronie. Ale żadna z was nie wymieniła nazwiska następnej zagrożonej osoby lub osób. I o ile wiem, żadna z was nie ma takiej wiedzy. Więc ja sama nie mam prawa iść na policję.

- Mówi pani tak, jakby uważała, że my mamy takie prawo - zauważyła Cara.

- Mamy obowiązek - poprawiła ją Annę.

- O nie, nie. Po moim trupie! - wrzasnęła Shelby, patrząc na nie wszystkie po kolei. - Co im powiecie? Jakie podacie nazwiska? Nawet nie znamy prawdziwych nazwisk tych facetów, na litość boską. To jest szaleństwo! Złożyliśmy przysięgę i musimy jej dotrzymać.

- Za jaką cenę?

Żadna się nie odezwała.

- Nie chcemy, żeby rozmawiała pani z prasą. - Shelby zwróciła się do mnie, wyraźnie próbując zmienić temat.

- Przykro mi, ale to nie ma nic wspólnego z wami - odrzekłam najuprzejmiej, jak umiałam.

- Właśnie że ma. Nie rozumie pani? Gdybyśmy pani nie wynajęły, gdybyśmy pani nie płaciły, nic by pani o tej sprawie nie wiedziała. Pani nazwisko nie ukazałoby się w gazecie. Nie miałyby pani pacjentów, których my pani napędzamy.

Nie jestem z lodu. Jeśli ktoś mnie sprowokuje, mogę się zdenerwować jak każdy człowiek. A jednak w takich okolicznościach, rozumiejąc, w jakim stresie są te kobiety - a Shelby w szczególności - z ogromnym wysiłkiem pohamowałam własne emocje po to, by pomóc tym kobietom z ich emocjami.

- Shelby, ja nie rozmawiałam z prasą, żeby zdobyć więcej pacjentów. Co panią skłania do takiego wniosku?

- My dajemy pani władzę.

W jej świecie to była transakcja jak inne, a władza stanowiła jej walutę. Kilka kobiet pokiwało głową, zgadzając się z nią, rozumiejąc, co miała na myśli. Bo przecież powodem, z którego powstał klub, było właś-

nie umożliwienie im spełniania pragnień, by metaforycznie - i być może dosłownie, z tego, co widziałam na filmie - ich było na wierzchu.

- Wy widzicie w tym władzę, aleja nie. Wynajęłyście mnie po to, żebym pomogła wam uporać się z niepokojącą sytuacją. To ani mnie, ani was nie stawia w pozycji siły. To nie jest walka między nami.

- I nie będzie, dopóki nie zacznie pani rozmawiać z prasą.

Davina cały czas słuchała bardzo uważnie, ale mówiła niewiele.

- Shelby, odczepisz się wreszcie? Może porozmawiamy o tym, co dałoby się zrobić? Jak się z tym czujemy? Jak dalej znosić to całe gówno? Idę do biura, warczę na ludzi, jestem zła. Potem jestem w dołku. Chce mi się płakać, ale boję się, że jeśli sobie pozwolę na łzy, rodzina albo przyjaciele zapytają, co mi jest. Co ja mam im, kurwa, powiedzieć? Jak mam obejść to postępujące przygnębienie, żeby móc wrócić do normalnego życia?

- Nie może pani. Nie może... - Obiegłam wzrokiem twarze wszystkich kobiet z uwagą, jedna po drugiej. - Żadna z was nie może obejść tego procesu. Dlatego jest tak ważne, żeby się wygadać. Tutaj. Wyrzucić z siebie wszystko, co tylko chcecie. - Zatrzymałam spojrzenie na Ginny.

- Ja mam coś, co chciałabym z siebie wyrzucić - oznajmiła. - Myślę, że wiem, kto może za tym stać.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Nina wyraźnie czekała, aż grupa się rozejdzie, bo zajrzała do mojego gabinetu pięć minut po wyjściu ostatniej kobiety.

- Możemy pogadać? - spytała.
- Jasne, ale nie teraz. Dulcie jest sama w domu.
- Macie jakieś plany na kolację?
- Nie.
- To może odprowadzę cię do domu? Porozmawiamy w drodze, a potem we trzy coś zjemy.

Nie poczekała, aż wyjdziemy na ulicę, tylko zaczęła mówić, kiedy schodziłyśmy z pierwszego piętra do holu.

- Musimy coś z tym zrobić. To nie jest dobre ani dla ciebie, ani dla mnie. Ani dla instytutu.

Minęło kilka dni od naszej sprzeczki, która w naszych stosunkach była czymś nowym. Przez tyle lat od śmierci mojej matki nigdy się nie pogniewałyśmy na dłużej niż na kilka godzin.

- I jeszcze gorsze dla tych czterech, którzy nie żyją - uściśliłam.

Otworzyła ciężkie drzwi, które wychodziły na ulicę. Zapadł już wieczór, ale jak przez wiele dni tamtej jesieni było względnie ciepło. Ja miałam na sobie

dzianinową bluzkę i sweter zarzucony na ramiona, którego rękawy zawiązałam pod szyją. Nina miała teatralnie udrapowany szal w kolorze naturalnej wielbłądziej wełny.

Sklepy były oświetlone i kiedy mijałyśmy butik za butikiem, widziałam nas obie w szybach wystaw. Bardzo przywykłam do oglądania naszych lustrzanych odbić, kiedy szłyśmy ramię przy ramieniu.

- Zmienisz zdanie na temat mojej pracy ze Szkarłatnym Stowarzyszeniem?

- Moim problemem jest policja. I to, dlaczego, znając mój stosunek do sprawy, wyciągnęłaś ją na zebraniu.

- Nie wiedziałam, że jestem cenzurowana.

- Możesz przestać się zachowywać jak zrugana nastolatka i darować sobie ten sarkastyczny ton?

- A to coś da? I tak się z tobą nie zgodzę w tej sprawie. To wszystko wygląda coraz gorzej. - Opowiedziałam jej, co się wydarzyło w grupie.

Moja opowieść trwała do Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy, gdzie musiałyśmy się zatrzymać i poczekać na zmianę świateł.

- Zdarzało nam się kłócić, ale jeszcze nigdy, w żadnym sporze, nie byłyśmy po tak skrajnie przeciwnej stronie. Potrzebuję rady od kogoś, kto pomoże mi rozważyć różne możliwości, a ty się sztywno trzymasz swojego zdania.

Ściągnęła brwi i zmrużyła oczy.

- Dalej wątpisz w moją ocenę sytuacji?

- Uczylaś mnie oceniać problemy z każdej strony, ważyć wszystkie racje tam, gdzie w grę wchodzi dobro pacjentów. Niczego z góry nie zakładać. Ale w tej sprawie jesteś uparta.

- Morgan, czy znasz nazwisko jakiejś osoby, której grozi niebezpieczeństwo?

- Wiesz, że nie.
- A znasz nazwisko kogoś, kto *zagroza* członkom stowarzyszenia?

- Nie znam. Jedna z kobiet w grupie myśli, że może znać. Ale nie o to chodzi.

Zmieniły się światła i przeszliśmy równym krokiem na drugą stronę.

- Właśnie o to. Twoim zadaniem jest pomóc tym kobietom uporać się z żalem i problemami związanymi z ich aktywnością w klubie. A jednocześnie, prowadząc terapię, powinnaś pracować nad swoim referatem o zmieniającym się poziomie agresywnych zachowań seksualnych wśród kobiet, które osiągnęły wysokie szczeble kariery zawodowej.

- Czy ciebie obchodzi to, że jakiś szaleniec zabił czterech mężczyzn?

- Obrażasz mnie, Morgan.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś taka uparta.

- Dlaczego?

- Bo to nie jest takie czarno-białe, jak to przedstawiasz. Ci mężczyźni giną z rąk jakiegoś mordercy. Jediną rzeczą, która ich łączy, jest Szkarłatne Stowarzyszenie. Do tej organizacji należy między innymi dziennikarka, która te wydarzenia opisuje, która ma wyraźne skłonności maniakalne i zdradza oznaki stresu oraz poczucia winy. I która ukrywa swój zawód przed resztą grupy, a przed policją i „New York Timesem” zataja swoją wiedzę o tym, co mają ze sobą wspólnego wszystkie ofiary. I jakby tego było mało, inna członkini klubu napomknęła mi dzisiaj o jakimś facecie, który jest paranoikiem, chyba dwubiegowym. Człowiek ten odszedł z grupy, nim zaczęła się ta seria zabójstw, a poza tym żywił urazę wobec kilku innych mężczyzn. Więc jest dwoje możliwych podejrzanych, a policja nie wie o żadnym z nich.

- Policja zna dziennikarkę, mówiłaś mi o tym. I jestem pewna, że uważa ją za podejrzaną.

- Opierając się na fakcie, że ona pisze o tej sprawie, ale traktowałiby to znacznie poważniej, gdyby wiedzieli, że z każdym z tych mężczyzn, na litość boską, łączył ją seks, że czuje się zupełnie nieatrakcyjna i że jest zazdrosna o młodsze kobiety w grupie.

Zatrzymałyśmy się przed następnym skrzyżowaniem. Wiatr przywiał purpurowy liść, który przykleił się do twarzy Niny. Rzuciła go na chodnik.

- Morgan, naszym zadaniem nie jest wyręczenie policji.

- Jesteśmy lekarzami. Naszym zadaniem jest ratowanie ludzkiego życia.

- To jest bardzo naiwne. Robimy, co w naszej mocy, ale nie jesteśmy herosami.

- Zgadzam się z tobą. Dlatego nie możemy podejmować takiej decyzji, przy jakiej ty się upierasz. Mówiąc inaczej, czy musimy zachować milczenie za wszelką cenę?

Zmieniły się światła, więc Nina zaczęła przechodzić przez ulicę. Albo nie dosłyszała mojego pytania, albo nie umiała na nie odpowiedzieć.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY

Spał tylko cztery godziny, i to bardzo niespokojnie. „New York Timesa” zawsze doręczano mu do domu o wpół do szóstej. Zastanawiał się, czy będzie następny artykuł. Coś nowego o ostatnim zamordowanym mężczyźnie? Dalsza krytyka opieszałości policji?

Podreptał do kuchni w swoim frotowym szlafroku i włączył czajnik. Wyjął filiżankę z porcelany z Limoges, srebrną łyżeczkę i pudełko sypek czarnej herbaty. Napełnił bambusowe sitko herbacianymi liśćmi, uskubnął listek mięty z doniczki na parapecie, umył go i wrzucił do filiżanki, kiedy czajnik zaczął gwizdać.

Wlewając wodę, usłyszał uderzenie gazety o wycieraczkę. Zostawił herbatę, by naciągnęła, i zabrał spod drzwi „Timesa”.

Siedząc na kanapie, z filiżanką na stoliku w zasięgu ręki, przebiegł wzrokiem pierwszą stronę. Nic. Około pięciu minut przeglądał dział krajowy i dział miejski w poszukiwaniu jakiegokolwiek wzmianki o zabójstwach popełnianych na członkach Szkarłatnego Stowarzyszenia.

Nic.

To oznacza zmarnowany dzień. To, że niski poziom

depresji, na jaki był skazany, wzrośnie do poziomu średniego.

Nie. Nie może się poddawać.

Zostawiwszy gazetę, wrócił do kuchni, zagotował jeszcze raz wodę, podgrzał w tosterze słodką bułeczkę, posmarował malinowym dżemem z Fauchon w Paryżu i zabrał swoje śniadanie do pokoju. Wiedział, co zrobić. Robił to wcześniej i pomagało.

Z połówką bułki w ręku stanął przed ścianą z wyciętymi artykułami i począwszy od pierwszego, przeczytał je jeszcze raz. Nie pominął ani słowa, szczególną uwagę zwracając na zdania, które podkreślił czerwonym markerem. Niektóre sprawiły mu wyjątkową przyjemność, inne zaniepokoiły.

Każdy z tych artykułów czytał już dziesiątki razy i ciągle nie miał dosyć. Uwielbiał patrzeć na pokryty czarnym drukiem papier gazetowy, sposób, w jaki szeryfy liter wtapiały się w białe tło, w jaki linijki niczym żołnierze maszerowały w górę i w dół kolumny, w idealnym szyku.

Zdarzało mu się gubić sens słów, zapomnieć, że jedno połączone z następnym tworzy frazę, która dodana do następnej tworzy zdanie, które dodane do następnego tworzy akapit. Zamiast tekstu widział proste linie i faliste kształty, kropki, kreski i kontrastowe przestrzenie między nimi. Wodził palcami po kompozycji graficznej, dostrzegając sposób łamania marginesów i puste miejsca na wcięcia akapitowe. Była też abstrakcyjna kompozycja linii narysowanych jego markerem - jedyny kolor na tle monochromatycznego druku.

Jak przystało na artystę, podziwiał sposób, w jaki pochłastał bezbarwną informację na czerwono, zaznaczając wszystkie wzmianki o tym, kiedy najbliżsi po raz ostatni widzieli ofiary żywe i jakiego typu

ludźmi byli czterej zamordowani. Podkreślał również wypowiedzi policji - szczególnie detektywa Noaha Jordaina. Bez względu na to, jak zrećnie gliniarz sformułował to, co miał do powiedzenia, dla Paula było całkowicie jasne, że śledztwo nie zbliżyło się ani trochę do wykrycia sprawcy czy miejsca, w którym znajdowały się ciała.

Paul oznaczył gwiazdką - znów czerwonym markerem - każdy fragment, w którym dziennikarka robiła aluzje do tego, co łączyło czterech mężczyzn. Bardzo subtelne aluzje. Zastanawiał się, ile osób mogło to zauważyć. Czy wychwyciła to policja?

„Szkarłatne numery na podeszwach jego stóp były...”

W każdym artykule Betsy Young odnosiła się do koloru numerów w ten sposób. Zawsze były szkarłatne. Nie czerwone, co brzmiałoby bardziej naturalnie, ani cynobrowe, co byłoby właściwszym określeniem dla każdego, kto znał się na odcieniach kolorów, i nie krwistoczerwone, co było może zbyt kwieciste jak na „New York Timesa”, ale w odniesieniu do zbrodni bardzo adekwatne.

Nie. Ona używała przymiotnika „szkarłatny” z własnego wyboru. Kim ona jest i co wie?

Zastanawiał się, czy nie pójść do redakcji „Timesa”, żeby się z nią spotkać. Spróbować z niej wyciągnąć, co wie o Szkarłatnym Stowarzyszeniu.

Ale jak miałyby to zrobić?

Wrócił do czytania.

Odnalazł jeden fragment, który zaznaczył z zupełnie innego powodu. Patrzył teraz na te dwa akapity, koncentrując się na ich treści i zastanawiając jeszcze raz nad tą ekspertką od spraw seksu. Czy rzeczywiście jest taka bystra?

Doktor Morgan Snów, terapeutka seksuolog, która pracuje w Instytucie Butterfielda i która w znacznym stopniu przyczyniła się do zdemaskowania Mordercy Magdalenek, przyznała, że zdjęcia, których zdecydowaliśmy się nie publikować, mogą wskazywać na seksualne tło obu zbrodni. Na jednym z ujęć niewidoczny fotograf skierował obiektyw prosto między nogi ofiary. Zdaniem doktor Snów, również sine ślady na nadgarstkach, kostkach i jądrach ofiary sugerują seksualny motyw zbrodni.

„Sine przebarwienia często wskazują na sadomasochizm. Fizyczne skrępowanie wzmacnia w grze seksualnej zarówno poczucie dominacji, jak i uległości”, powiedziała Snów.

Podobały mu się spostrzeżenia doktor Snów. Słyszał o Instytucie Butterfielda, ale nigdy tam nie był. W jego poszukiwaniach właściwego lekarza instytut był kolejny na liście. Może nadeszła pora, by tam pójść. Jego osobiste problemy całkowicie wystarczają za pretekst. Nie miałby kłopotu z ukryciem, że prawdziwym celem wizyty jest dowiedzieć się, co Betsy Young pokazała doktor Snów i co ta naprawdę sądzi o motywacji zabójcy.

Bardzo chciał usłyszeć, jak ktoś opisuje mu te zdjęcia osobiście, posłuchać miękkich i twardych dźwięków słów malujących w szczegółach brutalnie skrępowane i zbezczeszczone ciała. Marzył, by ktoś opowiedział tylko jemu, w cztery oczy, o sinych śladach i o tym, na co one wskazują, jak bolesnej i upokarzającej przemocy doświadczyli ci mężczyźni, zanim zostali zabici.

Wróciwszy do kuchni, Paul ponownie zagotował wodę. Następna filiżanka herbaty była jeszcze słabsza niż poprzednia. Dużo kofeiny o tak wczesnej porze to nie jest dobry pomysł. Nie wziął jeszcze leków.

Dopiero za piętnaście minut ma otworzyć szklaną buteleczkę w kolorze bursztynu i wysypać na dłoń truciznę. Spokój byłby pożądany, otepiająca nuda - nie. Codziennie go kusiło, by nie wziąć tych pigułek. I zdarzało się, że ulegał swej pokusie. W takie dni jednak nie był sobą. A może był bardziej sobą niż w inne?

Gdyby nie wziął prochów, znów mógłby być mężczyzną. Stałby mu fiut i przypominał, jakie to uczucie móc panować nad swoim własnym ciałem. Tylko że wtedy zbuntowały się jego umysł. Ekspłodowałyby głowa. Miałyby ochotę położyć się na chodniku, żeby chodziły po nim kobiety na wysokich obcasach. Chciałyby zetrzeć z powierzchni ziemi każdego innego mężczyznę, który stałby pomiędzy nim a tymi kobietami. Trawiłby go ogień pożądania i bólu. I wtedy by się rozpadł na kawałki. Depresja by go pokonała, odarła z wszelkiej chęci jedzenia, spania, wstania z łóżka, pójścia do łazienki czy wykonania wysiłku, by się ubrać.

To wszystko jest ponad ludzkie siły. Miał tego serdecznie dosyć.

Rezygnując z byle jakiej herbaty, otworzył szafkę i wyjął opasłą książkę telefoniczną Nowego Yorku. Przerzucając cieniutkie kartki, znalazł to, czego szukał. Używając jasnoczerwonego markera, który miał w kieszeni szlafroka, zapisał adres i numer telefonu Instytutu Butterfielda.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Pomimo miękkiego popołudniowego słońca za oknem Paul Lessor nie zdjął czarnych słonecznych okularów z bocznymi osłonkami.

- Byłem wcześniej u wielu terapeutów - odparł i założył nogę na nogę, przygniatając nieskazitelny kant swoich spodni.

Chciałam zobaczyć jego oczy.

- Czy razi pana światło, Paul? Chce pan, żebym opuściła rolety?

- Tak. Byłoby lepiej.

Wstałam i podeszłam do okna. W jego odbiciu zobaczyłam, że Paul nie odwrócił głowy, by spojrzeć na mnie, lecz raczej zerknął na drzwi, jakby sprawdzał, czy są zamknięte. Jego ruchy były lekko spowolnione, charakterystyczne dla stanu apatii, toteż zaczęłam się zastanawiać, czy jest na jakimś leku antydepresyjnym.

Miałam czas, by do tego dojść.

Wróciwszy na swoje miejsce, spodziewałam się, że Paul pozbędzie się okularów, ale spotkało mnie rozczarowanie.

- Zastłoniłam okna. Może pan zdjąć okulary.

Wykonał ruch, by zrobić to, o co prosiłam, ale ręka zawisła mu w powietrzu i z powrotem opadła.

- Muszę rzucić obecnego terapeutę - oświadczył.
- Im prędzej, tym lepiej.

- Proszę mi o nim opowiedzieć i wyjaśnić, dlaczego nie chce pan już do niego chodzić. Nie musi mi pan podawać jego nazwiska, jeśli pan nie chce, ale wołałabym wiedzieć.

- Dlaczego musimy o nim rozmawiać?

- Chciałabym zrozumieć, dlaczego szuka pan nowego terapeuty, zanim skieruję pana do kogoś z instytutu. Chcę wybrać właściwego lekarza.

- Chce mi pani dać skierowanie?

- Tak. To jest konsultacja.

- Wiem. Ale myślałem, że to będzie konsultacja u pani. Żeby pani została moją terapeutką.

- To nie jest wykluczone, ale my pracujemy inaczej. Najpierw musimy dokonać oceny. Może się okazać, że nie jestem dla pana właściwym lekarzem.

Pokręcił głową i starannie ułożona jasna grzywka opadła mu na oczy.

- Ja naprawdę przyszedłem do pani. Żeby to pani mnie prowadziła.

Seksualna nuta była ledwie uchwytna, ale ja ją wyłapałam. Chodzi o sposób, w jaki jego głos zniżył się o jeden ton na kilku ostatnich słowach, chytry grymas, z jakim jego usta złożyły się do artykulacji, a potem zastygły w półuśmiechu.

- To mi pochlebia. A mogę spytać, dlaczego właśnie ja?

- Czytałem o pani w gazecie. Odrobiłem pracę domową. Myślę, że do siebie pasujemy.

Spoufalał się ze mną zbyt szybko. Nie nawiązaliśmy jeszcze żadnego bliższego kontaktu, a Paul Lessor miał już przedwczesną projekcję relacji między nami.

- Zażywa pan obecnie jakieś leki?

- Nie - odrzekł po chwili wahania.

Podejrzewałam, że kłamie. Za długo zwlekał z odpowiedzią. Miałabym pewność, gdybym widziała jego oczy, ale przez ciemne szkła niewiele mogłam wyczytać.

- Czy kiedykolwiek był pan na jakichś lekach?

- Doktor Snów, muszę panią o coś zapytać. To bardzo ważne.

Kiwnęłam głową.

- Czy zna pani dziennikarkę, która pisze o tych morderstwach? Tych z ofiarami, które mają czerwone numery narysowane na podeszwach stóp?

- Może mi pan wyjaśnić, co to ma do rzeczy?

- Martwi mnie ta sytuacja.

- Tak, jest bardzo poważna.

- Czy pani coś wie o tych morderstwach? Czy dziennikarka pokazywała pani zdjęcia? Czy wie pani o czymś, czego nie było w gazetach? To dlatego wybrałam panią. Dlatego, że dziennikarka zwróciła się konkretnie do pani.

Miałam nadzieję, że nie drgnęła mi twarz, że nie dałam niczego po sobie poznać, ale przeszył mnie lekki strach. Pochyliłam się do przodu, próbując pochwycić wzrok mężczyzny siedzącego naprzeciwko mnie, ale mogłam tylko zgadywać, na co patrzę.

- Może mi pan powiedzieć, dlaczego pan z tym do mnie przyszedł?

- Bo bardzo się tym przejmuję. Mówiłem pani.

Instykt mnie ostrzegął, że ten człowiek może być w jakiś sposób zamieszany w te morderstwa.

- Ale dlaczego pan się przejmuje? Znał pan kogoś z tych mężczyzn?

- Nie.

- To dlaczego się pan przejmuje?

- Naprawdę pani myśli, że to dobry pomysł pomagać tej dziennikarce? - spytał, ignorując moje pytanie.

- A dlaczego nie?
- Może się pani stać krzywda. Mieszanie się w to może być dla pani naprawdę niebezpieczne.
- To miłe, że pan się o mnie martwi, ale dlaczego pan sądzi, że może mi coś grozić, skoro mam z tym wspólnego tylko tyle, że rozmawiałam z tą dziennikarką przez telefon?

Obserwowałam go, kiedy zastanawiał się, co odpowiedzieć. Czy nosił tupecik? Jego okulary były stanowczo za duże, za szerokie. Czy przyszedł tu w przebraniu?

Niemal obsesyjnie pocierał ręce.

- Może porozmawiamy o panu i o tym, jak się pan w tej chwili czuje - powiedziałam, celowo zmieniając temat, grając na zwłokę, próbując ocenić sytuację i wymyślić, co by tu zrobić.

- Dawno nie byłem tak szczęśliwy.
- To dobrze. Od dawna jest pan szczęśliwy?
- Od dwóch tygodni.
- Może mi pan powiedzieć, jak było przedtem, kiedy nie był pan tak szczęśliwy?

Milczał. Po chwili, kiedy uniósł rękę i wsunął ją pod marynarkę, zaczął sprawiać wrażenie człowieka, który zapomniał, gdzie jest. Skrzywił się i przez następną minutę obmacywał swój tors.

- Chyba powinienem już iść - powiedział nagle.
- Muszę iść.

- Dlaczego?

Kilka razy potrząsnął głową w przód i w tył.

- Chciałem tylko panią ostrzec, żeby się pani nie zadawała więcej z tą dziennikarką.

- Myślałam, że przyszedł pan tu, żeby znaleźć nowego terapeuta.

- Nie.

- Przyszedł pan tylko po to, żeby mnie ostrzec?

Skinął głową. Wciąż trzymał rękę na piersi w pozie przypominającej Napoleona.

- Mogłaby się pani wplątać w poważne kłopoty, doktor Snów.

- W jaki sposób?

- Jeśli pani będzie próbowała ingerować. To jest to, co robią wszyscy terapeuci. Ingerują. Ale nikt z was nie wie tak naprawdę, co robi. Wy tylko zgadujecie. Przekonałem się o tym na własnej skórze. Jestem stałym obiektem waszej zabawy w zgadywanki. Wypróbuję was jednego po drugim i jedyne, co wam się udaje, to wysysać ze mnie siłę.

- Jak my to robimy?

Mówił dalej, jakby nie usłyszał mojego pytania.

- Wie pani, jaką siłę daje bycie słabym? Kiedy ktoś ci rozkazuje, a ty robisz to, czego chce, stajesz się karmicielem, żywicielem. Wtedy właśnie ma się władzę, choć wydaje się, że jest dokładnie odwrotnie. Ale terapeuta, do którego chodzę, pozbawił mnie tego wszystkiego, a inni mężczyźni nic nie rozumieją. Próbowałem im to wyjaśnić, ale oni tylko mnie wyśmiali.

Z trudem podążałam za tokiem jego myślenia.

- Jacy mężczyźni?

- Nie rozumie pani? Myślałem, że pani zrozumie.

- Nie. Bardzo bym chciała znaleźć panu odpowiedniego terapeuta.

Rękę wciąż miał za kłapą marynarki, przyciśniętą do piersi.

- Nie o to chodzi. Mówiłem pani, prawda? Przeszedłem ostrzec, że jest pani w niebezpieczeństwie. Nie widzi pani tego?

- W jakim niebezpieczeństwie?

- Niepotrzebnie się pani wtrąca. To musi być załatwione. I trzeba to załatwić w pewien sposób. To

jeszcze nie koniec. Jest więcej mężczyzn, którzy muszą zostać ukarani, a pani nie może w to ingerować.

Wstał i w tym samym momencie coś wypadło mu na podłogę. Coś błyszczącego. Schylił się szybko, by to podnieść. Kiedy się wyprostował, podwinięta poła marynarki odsłoniła jego koszulę. Po prawej stronie, tam gdzie trzymał rękę, była okrągła wilgotna plama.

Kiedy kobiety karmią piersią, z sutków może saczyć się pokarm. Znałam to z doświadczenia, bo karmiłam Dulcie. Mężczyźni rzadko mają laktację, ale w pewnych okolicznościach to się zdarza. Nagle w mojej świadomości punkty zaczęły wyświetlać się szybciej, niż byłam w stanie połączyć w całość. Musiałam go zatrzymać w swoim gabinecie jeszcze kilka minut i zadzwonić na policję. Ten człowiek na pewno jest zamieszany w te morderstwa.

Zastrzeżenia Niny nie miały tu zastosowania. Paul Lessor nie był moim pacjentem. To była wstępna konsultacja, a poza tym wyraźnie mi groził, co dawało mi prawo do zawiadomienia policji.

Miał laktację. Zapewne cierpiał z powodu innych skutków ubocznych zażywania leku. Postanowiłam to wykorzystać.

- Zaszło panu w ustach, prawda? Zostało nam jeszcze pół godziny. Może usiądzie pan i pozwoli, że przyniosę panu szklankę wody. Potem możemy się zrelaksować i wtedy pan mi powie, co pan ma na myśli, mówiąc, że coś mi grozi.

Wciąż był pobudzony, ale coś z moich słów do niego dotarło, bo usiadł bez protestu.

Zanim się poruszyłam, wyjaśniłam dokładnie, co chcę zrobić.

- Wstanę i poproszę swoją asystentkę, żeby przyniosła karafkę zimnej wody. Z dwiema szklankami.

- Nie przestając mówić, podeszłam do drzwi, otwo-

rzylam je i zrobiłam dwa kroki w stronę biurka Allison. - Możesz nam przynieść wody z lodem? - rzekłam na tyle głośno, by mieć pewność, że Paul mnie słyszy.

Potem, pochylając się do przodu, wyszeptalam najciszej, jak mogłam, modląc się, by nie usłyszał.

- Zadzwoń na 911. I wezwij Jordaina.

Podnosząc głos, dodałam:

- Tak, dwie szklanki.

Wróciłam do gabinetu, zostawiając uchylone drzwi. Nie mógł tego zauważyć, bo siedział odwrócony plecami do wejścia.

Kiedy okrążałam biurko, zobaczyłam, że trzyma w rękach przedmiot, który wypadł mu z kieszeni: wymienne ostrze jakiegoś nożyka. Bawił się nim, jakby to było równie nieszkodliwe jak piórko.

- Mogę to zobaczyć? - spytałam, mając nadzieję, że nie usłyszał w moim głosie cienia strachu.

Ścisnęło mnie w żołądku. Starałam się myśleć jasno. Nie mam się czego bać. Nawet gdyby się na mnie rzucił z tym małym ostrzem, byłam przygotowana, umiałam się bronić.

Kiedy obracał je w palcach, gładka stalowa powierzchnia połyskiwała w świetle lampy. Ruchoma plamka świetlna przeniosła się ze ściany na podłogę, potem na moją twarz i moje prawe oko. Zamrugałam. Poruszył znowu ostrzem i „zajaczek” przeskoczył na okno.

- Po co to panu?

- Robię kolaże. To moje narzędzie pracy - oznajmił, jakby tłumaczył coś dziecku.

- O? Pracuje pan w gazecie?

- Nie.

- A czym się pan zajmuje? Jest pan fotografem?

- Bałam się usłyszeć jego odpowiedź. Wstrzymałam oddech. Gdyby powiedział, że tak...

- Myślałam, że chce pani rozmawiać o niebezpieczeństwie, które pani grozi.

- Chcę.

W drzwiach pojawiła się Allison i zapukała.

- Och, świetnie, woda. Dziękuję, Allison.

Odwrócił się tak szybko, jak mógł, ale i tak odrobinę wolniej, niż zrobiłby to człowiek nie będący pod wpływem leków antydepresyjnych. Ukrył w dłoni nożyk. Miałam nadzieję, że przy swoich osłabionych odruchach skaleczy się i to go zdekcentruje.

- Nie chcę, żeby ktoś tu z nami był - powiedział, kiwając głową w jej kierunku.

- Allison nie zostanie. Przyniosła nam tylko wodę. Zaschło panu w ustach, prawda? Powinien pan się napić. Allison, możesz postawić wodę na biurku. Dziękuję.

- Bardzo proszę. - Kiedy stawiała tacę, trzęsły jej się ręce.

- Świetnie - powiedziałam.

Nie odchodziła. Po prostu stała przede mną, patrząc mi w oczy.

- Dziękuję, Allison - powtórzyłam. - Dalej już sobie poradzimy.

Wyszła, nie spoglądając na mężczyznę, który siedział na kanapie za jej plecami.

- Nie zamknęła drzwi - powiedział Paul, kiedy umilkły jej kroki.

- Nie.

- Wolałbym, żeby były zamknięte. Nie chcę, żeby ktoś wszedł. - Wyjął z dłoni nożyk i znów zaczął go oglądać. Swoją ukochany talizman. Swoją błyszczącą zabawkę. Swoją władzę. Swoją siłę.

Wstałam. Ile czasu minęło od chwili, kiedy prosiłam Allison, by wezwała policję? Ile czasu może zabrać Jordainowi przyjechanie tutaj? A jeśli nie było

go pod telefonem, który miała Allison? Jeśli **nie** zdołała się z nim skontaktować? Nie, wtedy by coś powiedziała.

Numer, który miała zapisany, był chyba numerem jego komórki? Chyba ten numer wpisałam latem do notesu? Tak, to musi być numer jego komórki. Bo Jordain zawsze odbierał komórkę, bez względu na to, gdzie był. Tak mi powiedział, dając swoją wizytówkę z telefonami. Poza tym nie byłam w bezpośrednim niebezpieczeństwie - nic mi nie groziło, dopóki potrafiłam zająć Paula Lessora rozmową. A to akurat umiałam zrobić. Choćbym była nie wiem jak zdenerwowana, na tym polegała moja praca, tym się zajmowałam dzień po dniu. Pomagałam ludziom otwierać się, przełamywać wewnętrzne bariery. Dawać upust emocjom.

To samo mogłam robić z nim.

I na tym zabiegu, jeśli można się tak wyrazić, skoncentrować jego uwagę.

Liczyłam na to.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DRUGI

Noah Jordain, Mark Perez i Tana Butler siedzieli pochyleni nad ostatnią serią zdjęć, które dostała w przesyłce Betsy Young. Ciągłe czekali na kilka powiększeń, które zlecili laboratorium, ale poza tym było mnóstwo rzeczy do zrobienia i jeszcze więcej powodów do frustracji. Wszyscy z ekipy Dalili byli przepracowani, przemęczeni i zirytowani śledztwem, które nie mogło ruszyć z miejsca.

- Jedno trzeba mu przyznać - mruknął Perez. - Dalila jest cholernie konsekwentny w swojej metodzie. Spójrzcie na to: każdy z tych czterech facetów ma sine ślady wokół nadgarstków i kostek dokładnie w tych samych miejscach. Zupełnie jakby używał swoich poprzednich zdjęć jako szablonu, żeby krępować ich w identyczny sposób.

Kiedy Noah Jordain położył się wieczorem do łóżka, widział powielone wizerunki tych mężczyzn, wszystkich czterech, jakby jego mózg był gabinetem luster. Mnożyli się w nieskończoność, ich upiorne postacie wrzeszczały na niego, że nie robi nic, by powstrzymać tę masakrę.

Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po sypialni, pozwalając swoim oczom odpocząć i jeszcze raz przejrzeć w pamięci setki zdjęć, które nie dawały mu spoko-

ju. Gdyby przestał skupiać się na szczegółach, być może wychwyciłby jakąś prawidłowość, którą wszyscy mogli przeoczyć.

Chociaż jeden trop więcej.

Obaj detektywi plus Tana Butler, a także dziesiątki innych gliniarzy, bez przerwy grzebali w tych zdjęciach, szukając czegoś, co mogłoby ich doprowadzić do znalezienia ciała albo zatrzymania zabójcy.

Jedyne, co mieli, to tatuaż, ale wciąż nie wiedzieli, co on znaczy. Perez wysłał odbitki małego dwukolorowego znaczka do wszystkich wydziałów policji w kraju i do FBI. Gdyby mogli dojść, co oznacza ten symbol, wiedzieliby przynajmniej, co łączy ofiary zabójstw.

- Potrzebujemy jednego pieprzonego światełka w tunelu - mruknął Perez, otwierając puszkę wody. Wysiadał mu kręgosłup. Jak wszyscy pracował po szesnaście albo i osiemnaście godzin na dobę, i czuł się wykończony.

- Sami musimy znaleźć to światełko - odparł Jordan. - Nie możemy dłużej czekać.

- Co można zrobić, czego jeszcze nie zrobiliśmy?

- Znaleźć ten pieprzony związek - rzekł Noah podniesionym głosem, co było do niego niepodobne, ale też po raz pierwszy miał do czynienia z tak beznadziejną sprawą. Nigdy w swojej piętnastoletniej karierze policyjnej nie prowadził śledztwa, w którym miałyby tak mało punktów zaczepienia. - Rany boskie, nie mamy nawet zwłok. Dlaczego? Jaki powód może mieć morderca, żeby ukrywać przed nami te ciała, a jednocześnie dawać nam dowody zbrodni?

Perez nie miał nic do powiedzenia.

- To naprawdę dobre pytanie, Noah - skomentowała Tana Butler.

- Dobre pytanie jest wtedy, kiedy wynika z niego

dobra odpowiedź. A to jest ciągle próżne gadanie. - Noah walnął pięścią w biurko.

Tana Butler aż podskoczyła na krześle.

- Posłuchaj, to do niczego nie prowadzi - zwrócił koledze uwagę Perez.

- Co? - spytał Jordain.

- Wściekanie się. Zarywanie nocy. Patrzenie godzinami na te cholerne zdjęcia, kiedy tu po prostu niczego nie ma.

- Mamy coś nowego na Young? - spytał Jordain, wstając, by nalać sobie następną filiżankę kawy.

- Nie. Nic. Od pierwszego dnia jeździmy za nią dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ta kobieta chodzi tylko do pracy, na siłownię, kilka razy odwiedziła kogoś znajomego w alei East End. I chodzi w peruce do doktor Snów. Była w jej gabinecie w trzy poniedziałki z rzędu i w jedną sobotę po południu. Jeśli ktoś coś wie, to twoja przyjaciółka.

Jordain rzucił partnerowi piorunujące spojrzenie.

- Nie możemy zmusić dziennikarki, żeby zdradziła swoje źródła. Nie możemy zmusić terapeutki, żeby złamała tajemnicę lekarską. Ani potajemne zdobywanie informacji nie jest nielegalne, ani noszenie peruki dla ochrony swojej prywatności w klinice.

- W takim razie nie będzie żadnego przełomu. To proste. Sami niczego się nie dowiemy. Coś się musi wydarzyć. Jedna z tych kobiet musi zdecydować, że bardziej zależy jej na tym, żeby nam pomóc, niż na własnej zawodowej...

Noah podniósł rękę.

- Masz rację. Jesteśmy zmęczeni. Opuśćmy. Żadna z tych kobiet nie łamie prawa. Musimy zakładać, że żadna nie wie, kim jest morderca, bo gdyby wiedziała, a ma jakieś ludzkie odruchy, przekazałaby nam tę informację. Nawet rasowa dziennikarka napalona na

sensacyjny materiał nie siedziałyby spokojnie i nie czekała, aż niewiedomo ilu jeszcze ludzi zginie. To samo dotyczy Morgan i jej tajemnicy lekarskiej.

Hamował kłębiące się w nim uczucia. Był wściekły na swojego partnera za samą sugestię, że Morgan mogłaby zataić taką informację, i czuł się winny, bo chciał ją chronić, gdyby była w cokolwiek zamieszana.

Czuł się także sfrustrowany, bo nie wiedział, jak do niej dotrzeć emocjonalnie, a także dlatego, że wciąż mu na niej zależało. Był zły, bo to śledztwo nie dawało mu żadnej szansy na spędzanie z nią czasu, nawet gdyby zgodziła się z nim umówić.

Miał czterdzieści jeden lat. Od bardzo dawna próbował porzucić marzenie o znalezieniu ideału kobiety. Zakładał, że najlepsze, na co może liczyć, to to, że pewnego dnia będzie miał dość szukania. Potem myślał, że w końcu spróbuje jakiegoś przyzwoitego związku. Prawie osiągnął ten moment, kiedy poznał Morgan.

Morgan.

Nie był na tyle naiwny, by wierzyć, że potrafi ustalić, co komuś dolega, ale był pewien, że ona kogoś takiego jak on potrzebuje. A jeszcze bardziej był pewien, że gdyby Morgan miała to, czego szukała u mężczyzny, mogłaby się w końcu uleczyć.

Zadzwoiła jego komórka. Wyjął ją zza paska, otworzył, mruknął „halo” i słuchał.

- Wychodzimy - oświadczył, chowając telefon, i ruszył do drzwi. - Możliwe, że w końcu, cholera, coś mamy. Szybko.

Perez odniósł wrażenie, że jego partnera coś przerażyło. Tylko raz słyszał podobny ton w jego głosie. Tamtego wieczoru, kiedy Morgan Snów znalazła się w pułapce w mieszkaniu szaleńca.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY TRZECI

Ile czasu minęło? Kilkanaście minut? Godzina? Ani na chwilę nie oderwałam wzroku od twarzy Paula Lessora. Nie odwracałam głowy ani nie patrzyłam w bok, ale kątem oka dostrzegałam migające cienie w korytarzu za drzwiami. Wiedziałabym, gdyby przyszedł Jordain. Gdyby wreszcie przyszedł.

Na razie jednak panowała tam cisza, zakłócana tylko odległym dzwonkiem telefonu. Potem znowu mignęły cienie.

I w końcu dziesięć ruchów w jednym.

Drzwi otworzyły się na oścież i w tym samym ułamku sekundy niewyraźne postacie wpadły do środka. Nim się zorientowałam, było już po akcji. Wszystko znieruchomiało.

Noah trzymał wykręcone do tyłu ręce Paula, Mark Perez mierzył do niego z pistoletu. Trzej mundurowi zajmowali pozycje wokół nas.

Scena ożyła z powrotem, kiedy Tana Butler zatrzasnęła stalowe kajdanki na rękach Paula.

- Paul Lessor, jest pan aresztowany - powiedział Perez i wygłosił formułkę o prawach zatrzymanego.

Paul wpatrywał się we mnie, wyrzucając z siebie jedno słowo raz za razem.

- Dziwka. Dziwka. Dziwka.

Butler i gliniarz, którego nigdy wcześniej **nie** widziałam, wzięli go pod rękę i wyprowadzili.

Noah podszedł do mnie.

- Nic ci się nie stało?

Skinęłam głową, nawet nie próbując wydobyć z siebie głosu. Dopiero teraz, kiedy było już po wszystkim, ogarnęło mnie przerażenie. Starłam się nie myśleć o tym, że przez pół godziny morderca siedział w moim gabinecie, bawiąc się ostrzem nożyka.

- Musimy wiedzieć, co ci powiedział. Jesteś w stanie pojechać z nami do komisariatu?

Próbowałam znaleźć słowa. Uspokoić się. Poczeekać, aż dotrze do mojej świadomości, że zagrożenie naprawdę już minęło.

Noah przykląkł koło mnie i położył ręce na moich kolanach. Bijące z niego ciepło przenikało przez spodnie w moją skórę. To była jedyna rzecz, której byłam świadoma. Żar jego dłoni.

Patrzyłam na oprawione w srebrną ramkę zdjęcie mojej córki. Twarz Dulcie falowała przed moimi oczami. Co by było, gdyby Paul Lessor mnie zranił? Gorzej, gdyby mnie zabił. Dulcie beze mnie? Poradziłaby sobie, miała jeszcze ojca. Ale byłaby wtedy jedną z owych zagubionych dziewczyn. Osieroconych przez matki córek, które nigdy do końca nie rozumieją, dlaczego ciągle mają uczucie, że czegoś im brakuje.

- Morgan? - Głos Noaha przywołał mnie do teraźniejszości.

- On bierze thorazine - wybąkałam.

- Skąd wiesz? Od niego? - Był podekscytowany.

- To ważne. To jest jedna z niewielu informacji, które mamy o zamordowanych mężczyznach. Przynajmniej jeden z nich został nafaszerowany tym właśnie lekiem.

- Zauważyłam, że ma laktację. To jeden ze skut-

ków ubocznych przyjmowania chlorpromazyny przez dłuższy okres. Włożył rękę pod marynarkę i trzymał ją na piersi. Kiedy niechcący odsłonił koszulę, zobaczyłam mokrą plamę. Wiedziałam, co to znaczy. Przypomniałam sobie. Powiedziałaś, że ślady thorazine były w próbce włosów. I ciągle mówił o tych mężczyznach. Tamtych i jakichś innych. Mówił, że na to zasługują. I że grozi mi niebezpieczeństwo, jeśli się będę wtrącała.

Mówiłam za szybko. To nie miało jednak znaczenia, bo Noah za mną nadażał. Nie odrywałam wzroku od jego oczu. Czułam się bezpiecznie.

Nawet wtedy, w tak nerwowym momencie, byłam wściekła na to złudne poczucie bezpieczeństwa. Przypominało mi o władzy, jaką miał nade mną Noah Jordain. O tym, że zdobywałam się przy nim na mówienie o rzeczach, których nie mówiłam innym ludziom. Miałam też wrażenie, że potrafi wyzwolić mnie od urazu.

- Ma prawo jazdy, adres. Mieszka w mieście - oznajmił Perez, wchodząc w pośpiechu do mojego gabinetu. - Wysłałam tam Restona i Douglasa.

- Morgan, możesz pojechać z nami? - spytał Perez.

- Mam nagraną taśmę. - Przypomniałam sobie dopiero teraz.

- Tak? Dlaczego go nagrywałaś?

Zastanawiałam się przez chwilę, zanim rozjaśniło mi się w głowie.

- Zawsze nagrywamy konsultacje. Potencjalni pacjenci są informowani. To nic niezwykłego.

Wstałam na chwiejnych nogach. To, co zrobiłam, moja zdrada, zaskoczyło mnie samą. Kiedy Noah wyciągnął rękę, byłam zdumiona, jak łatwo mi przyszło się na nim wesprzeć. Odzyskałam równowagę, odsunęłam się od niego i pewnym krokiem przeszłam

przez pokój o własnych siłach. Magnetofon był mały, ale w pełni widoczny na dolnej półce stolika do kawy, tuż przy kanapie.

Wyłączyłam nagrywanie, wyjęłam kasetę i podałam ją Noahowi.

- Muszę to odzyskać. Zrobisz kopię?

- Tak. - Praktycznie wyrwał mi kasetę z rąk.

Przez chwilę patrzyłam na jego palce. Przypomniałam sobie, jak grały na fortepianie, i jak kilka dni temu grały na mnie. Nie mogłam dostrzec związku między tamtym mężczyzną a tym detektywem.

- Co tu się dzieje? - Głos Niny był spięty, a jednocześnie pełen furii. Nigdy nie widziałam, żeby była aż tak wzburzona.

Perez i Jordain odwrócili się, ale kompletnie ich zignorowała. Jej złość nie była skierowana do nich. To mnie piorunowała wzrokiem. Cokolwiek dała nasza próba pogodzenia się poprzedniego wieczoru, zniweczyła to grupa policjantów, wyprowadzająca z Instytutu Butterfielda pacjenta w kajdankach. Nawet jeśli to był potencjalny pacjent.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Perez i Jordain wpatrywali się w ścianę salonu, na swój sposób niesamowicie podobną do ich ściany w komisariacie. Lessor obwiesił ją od początku do końca artykułami z całej prasy na temat morderstw Dalili. W czarno-białych wycinkach opatrzonych czerwonymi znakami można było dostrzec pewien graficzny zamysł: mapa umysłu szaleńca.

Noah zaczął od prawej strony, Mark od lewej. Przesuwali się z jednego końca na drugi, czytając po cichu, dopóki nie trafili na fragment, który Paul Lessor podkreślił. Wtedy odczytywali go na głos.

Dwaj policjanci, którzy dotarli tam wcześniej, pokazali detektywom, co ustalili podczas przeszukania lokalu.

- Znaleźliście cokolwiek, co mogłoby wskazywać, gdzie są ciała? - spytał Perez.

Obaj, Reston i Douglas, przyznali, że nie, ale pokazali detektywom apteczkę pełną buteleczek z lekarstwami, łącznie z thorazine i kilkoma innymi lekami przeciwdepresyjnymi. Większość była do połowy opróżniona.

- On faszeraował się wszystkim naraz - mruknął Perez. - Tu jest jakiś pieprzony skład apteczny.

Godzinę później sfotografowano ścianę i, kawałek po kawałku, gniazdo dyrektora artystycznego zostało rozebrane. Nie znaleźli niczego, co prowadziłyby do następnego celu w ich poszukiwaniach.

Często seryjni mordercy zostawiają jakieś pamiątki po swoich ofiarach, ale w mieszkaniu Paula nie było niczego podejrzanego. Żadnej broni, żadnych sznurów do krępowania. Na żadnym z ubrań mężczyzny nie znaleziono śladów krwi, ale policjanci zabrali całą zawartość jego kosza na brudy, by laboratorium mogło to sprawdzić.

- Nie ma szansy, żeby mógł cokolwiek ukryć w takim małym mieszkaniu, ale na wszelki wypadek zbierzmy odciski. Teoretycznie mógł tych facetów tutaj sprowadzić.

Ktoś z ekipy pomocniczej zabrał się do pracy.

- Ten zatrzymany cieszy mnie znacznie mniej, niż się spodziewałem - zauważył Noah Jordain dwie i pół godziny później.

- Dlaczego?

- Poza jego obsesją na punkcie tych artykułów tu po prostu niczego nie ma.

- Założę się, że ma gdzieś jakieś inne miejsce. Poza miastem. On jest dyrektorem artystycznym w dużym wydawnictwie. Na pewno stać go na weekendowy dom w głębi stanu, czy nawet w Hamptons.

- Dowiemy się tego, jak tylko dostaniemy od sądu nakaz na sprawdzenie jego kont bankowych, papierów hipotecznych i billingów. Jasne, że to by rozwiązało sporo problemów, jeśli ja się mylę, a ty masz rację.

- I pewnie tym razem nie miałbyś nic przeciwko temu - powiedział Perez.

- Nic a nic.

Noah siedział przy biurku Lessora. Wszystko było podkładane na miejsce. Najbardziej w tym mieszka-

niu uderzył go nieskazitelny ład. Nawet artykuły na ścianach były równiutko wycięte, podkreślenia staranne, wykonane tym samym czerwonym markerem.

Otworzył rdzawoczerwony skórzany notes z adresami, który leżał w prawym rogu biurka na skórzanej podkładce tej samej barwy. Wewnątrz strona po stronie zapełniona była wystudiowanym, wprawnym pismem.

Nic tu nie zwracało szczególnej uwagi.

- Trzeba to porównać z tym, co już mamy.

Tana Butler spędziła kilka ostatnich dni na wklepywaniu do komputera informacji z tradycyjnych i elektronicznych notesów wszystkich ofiar. Analiza porównawcza może ich doprowadzić do zabójcy. Albo do kogoś, kto znał wszystkich czterech mężczyzn. Albo przynajmniej wie, co ich łączyło.

Jak dotąd, było tylko kilka wspólnych telefonów. Jakieś kino. Nowojorski Wydział Komunikacji. Centrum handlowe Bloomingdale's. I kilka restauracji, ale cóż w tym niezwykłego? Wszyscy mieszkali na Manhattanie, wszyscy posiadali spore konta i wszyscy byli ludźmi wolnych zawodów.

Może jest jakaś szansa, że z notesu Lessora wyniknie coś więcej?

Jordain już go miał zapakować, kiedy potrząsnął głową.

- Jeezu...

- Co jest? - Perez obrócił się gwałtownie.

- Cholera, czasem zachowujemy się jak skończeni idioci. - Wyjął komórkę i zadzwonił do Tany Butler.

Odebrała po pierwszym dzwonku.

- Zdejmij z niego te cholerne buty i skarpetki i sprawdź, czy ma na stopie tatuaż.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIĄTY

Wyjaśniałam Ninie, co się wydarzyło podczas wizyty konsultacyjnej Paula Lessora. Nachmurzyła się, kiedy opowiadałam, jak puszczał zajączki ostrzem nożyka. Pochyliła się, gdy mówiłam o jego laktacji i jak skojarzyłam to ze skutkami długotrwałego przyjmowania chlorpromazyny i tym, co wiedziałam od Noaha - że prawdopodobnie ofiary zostały odurzone przed śmiercią właśnie tym lekarstwem.

Lojalność Niny wobec tych, których kochała, była legendarna. Podobnie jak jej zacięta wojowniczość. Każdy, kto z nią dłużej pracował, widział, jak prowadziła batalie o pacjentów, przeciwstawiała się ingerencjom zewnętrznych władz, walczyła z członkami rodzin, którzy działali na szkodę pacjentów i przeszkadzali im w odzyskiwaniu zdrowia psychicznego.

W ciągu czterech ostatnich miesięcy widziałam ją częściej rozżłoszczoną niż podczas całych trzydziestu lat naszej znajomości. Najpierw poszło o moją współpracę z policją w tropieniu Mordercy Magdalenek, jak detektywi nazwali seryjnego zabójcę nowojorskich prostytutek. Ostatnio o sprawę Szkarłatnego Stowarzyszenia.

Ale tamto było niczym w porównaniu z reakcją na incydent z Paulem Lessorem.

To, co powiedziała, gdy skończyłam, wydobyło się

z niej z tłumioną siłą, która mnie zdziwiła. Nie wrzeszczała; przeciwnie, jej głos był jak szept. Tyle że ostry. Usta miała zaciśnięte, a pionowe zmarszczki nad górną wargą - zwykle prawie niewidoczne - były pobielełe z wściekłości.

- Nie dzwoni się na policję, żeby weszła do instytutu i wyprowadziła pacjenta w kajdankach.

- Tłumaczyłam ci, że to nie był pacjent. Przyszedł na konsultację, ale to był podstęp. On przyszedł mi grozić, Nina. Miał niebezpieczne narzędzie. Wiedział różne rzeczy o zamordowanych mężczyznach. On naprawdę mi groził.

- Skąd wiesz, że był niebezpieczny? Skąd wiesz, że nie był urojenowcem? Skąd wiesz, że to ostrze nie było zwyczajnym rekwizytem?

- Nie wiem, ale nie mogłam ryzykować. Ten człowiek miał broń.

- Pracujesz ze skazańcami. Znasz karate i potrafisz się bronić. Jak my wszyscy. Dokładnie wiesz, co robić, kiedy ktoś cię zaatakuje. Gdyby on miał pistolet, gdybyś była tu sama wieczorem, mogłabym zrozumieć. Ale tak nie było. Zachowałaś się nadgorliwie, Morgan. Szukałaś pretekstu, żeby zadzwonić na policję. Od dawna szukasz pretekstu.

- To nieprawda.

- Czyżby? - Jej starannie wyregulowane brwi uniosły się w niedowierzaniu.

- Czy insynuujesz, że kłamię?

- Nie. Przypuszczam, że bronisz się przed prawdą.

- Czy robiłam to kiedykolwiek wcześniej?

- To nie znaczy, że nie robisz tego teraz. Nie próbujesz się zmierzyć z tym, co czujesz do tego detektywa.

- Próbuję się zmierzyć z tym, co wiem o tej serii zabójstw.

- To już przerobiłyśmy, prawda? Twoja wiedza o Szkarłatnym Stowarzyszeniu nie może pomóc policji. Ale nie o to teraz chodzi. Mówimy o tym, dlaczego ich tu wezwałaś.

- Powtarzam ci: on mi groził, a ja uznałam za bardzo prawdopodobne, że jest zabójcą i przyszedł sprawdzić, czy nie pomagam policji wpaść na jego trop. Dlaczego myślał, że mogę to robić, nie mam zielonego pojęcia. Mówił coś o cytowaniu moich wypowiedzi w gazecie, ale jakie to ma teraz znaczenie? Został aresztowany. Nieważne, czy ma coś na sumieniu, czy nie, ten człowiek przyniósł do mojego gabinetu coś, co uznałam za broń. Nina, a gdyby on się na mnie rzucił i mnie zranił? A gdyby miał dużo szczęścia i przeciął mi tętnicę?

Jej twarz trochę złagodniała. Matczyna troska, wiza tego, o czym mówiłam?

- Wiesz, że jestem po twojej stronie, prawda?

- Masz ciekawy sposób okazywania tego. Tobie nie chodzi o mnie, Nina, tylko o instytut.

Sposępniała. Widziałam w jej oczach urazę i błysk powracającej złości. Wstałam.

- Mam następnego pacjenta. A to nas do niczego nie zaprowadzi. Musisz po prostu mi zaufać.

Nina też się podniosła, więc stanęłyśmy twarzą w twarz. Żadna z nas się nie poruszyła, żeby objąć drugą na zgodę. A jedna z nas powinna była się na to zdobyć.

I wtedy ktoś przerwał ten moment pukaniem do drzwi.

- Doktor Snów, dzwoni detektyw Jordain.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY

Dulcie stała na środku pokoju, a ja siedziałam na kanapie, po raz pierwszy od wielu dni w miarę zrelaksowana. Noah Jordain trzymał Paula Lessora w areszcie. Niebezpieczeństwo minęło. Dulcie opowiadała mi o próbie.

- Kiedy się zebraliśmy w komplecie, Raul usiadł z nami w kółku i zaczęliśmy omawiać wszystko, co się wydarzyło w Bostonie.

Nie relacjonowała zwyczajnie przebiegu wydarzeń, tylko grała przede mną, jakby to była scena ze sztuki.

- Pytał nas po kolei, jakie mamy wrażenia, dobre i złe. Nikt ani słowem nie wspomniał o mnie, o tym, jak na początku spanikowałam. Nikt.

- No widzisz. Tata mi powiedział, że to było coś, czego jego zdaniem wielu ludzi w ogóle nie zauważyło. Pewnie tobie się wydawało, że to ciągnie się godzinami, ale on mi mówił, że trwało tylko minutę czy dwie.

- Dla mnie to były godziny, naprawdę, jakby czas stanął w miejscu. Było cicho, wszyscy na mnie patrzyli, a ja nie miałam pojęcia, co zrobić.

- Brzmi to rzeczywiście okropnie - przyznałam.
- Moja mama opowiadała mi to samo, jej też to się zdarzało.

- A zdarzało jej się z nerwów wymiotować? Raul mówił, że niektórzy naprawdę wielcy aktorzy i aktorki wymiotują nawet po latach grania. Możesz to sobie wyobrazić? Ja, gdybym ciągle wymiotowała, dałabym sobie z tym spokój. A ty jak myślisz? - Najwyraźniej nie oczekiwała ode mnie odpowiedzi. Miała za to jeszcze mnóstwo do zrelacjonowania na temat uzdrawiającej sesji, która odbyła się tego dnia. - Więc potem Raul nam powiedział, że było więcej recenzji, i wszystkie nam przeczytał.

- Były dobre?

- We wszystkich trzech napisali, że zostanę gwiazdą. Że mam wszystko, czego trzeba.

- Wspomnieli o tremie scenicznej?

- Nie. To niesamowite. Naprawdę myślałam, że napiszą.

Po raz pierwszy od kilku tygodni widziałam Dulcie tak spokojną. Do premiery pozostało jeszcze całe osiem tygodni. Scenarzyści pracowali nad nową wersją dwóch piosenek i niektórych dialogów. Aktorzy i reżyser poprawiali kilka epizodów, na których potknęli się w Bostonie.

Rozmawiałam przez kilka minut z Raulem, kiedy Dulcie zbierała tego wieczoru swoje rzeczy. Zapewnił mnie, że jej tremajest znacznie mniejszym problemem niż u wielu znanych mu doświadczonych aktorów.

- Nie martwiłbym się o nią - stwierdził w końcu.

- Jeśli znajdzie mi pan matkę, która nie martwi się o swoją córkę, to będzie to dziwna matka.

Rozejrzałam się, upewniając, czy Dulcie nie stoi gdzieś obok, i poruszyłam temat jej zadurzenia.

- Wydaje mi się to całkowicie naturalne, ale chciałam, żeby pan o tym wiedział.

- Wpisane w zawód - zauważył rzeczowo. - Kiedy zdarzyło mi się to po raz pierwszy, byłem zbity z tropu.

Nie miałem bladego pojęcia, co się dzieje. Ale to było jakiś czas temu. Teraz jestem naprawdę dobry w rozpoznawaniu objawów. I jeśli już to widzę, potrafię tak manewrować, żeby, nie unikając normalnego zaangażowania, nie wyglądać na zainteresowanego.

Kiedy Dulcie zrelacjonowała mi do końca swój dzień, poszliśmy do kuchni zrobić prawdziwą gorącą czekoladę, z roztopionej tabliczki gorzkiej czekolady i mleka. Właściwie to Dulcie ją przyrządziła, by wyeliminować ryzyko kulinarnej wpadki. Ja siedziałam przy stole i dotrzymywałam jej towarzystwa.

To wtedy zadzwonił Noah i zapytał, czy może wpaść.

- W jakiejś konkretnej sprawie...?

- Czy dla przyjemności? - skończył część zdania, której nie wypowiedziałam, częściowo ze względu na Dulcie, a częściowo dlatego, że łatwiej było mi założyć, że chodzi o pierwszy powód.

- Myślę, że powinieneś mi powiedzieć.

- Dzisiaj mam sprawę, ale to zawsze dla mnie przyjemność, doktor Snów, kiedy mogę zwrócić się do pani choćby służbowo.

Jego żartobliwy ton wydawał się zrozumiały. Wyobrażałam sobie, jaką musiał czuć ulgę, mając za kratkami człowieka, który prawie przez miesiąc grał na nosie jemu i całemu wydziałowi policji.

Nie zapytałam, czy nie może z tym poczekać do następnego dnia. Wiedziałam, że gdyby mógł, nie dzwoniłby dziś wieczorem.

- Lubisz gorącą czekoladę?

- Ty ją robisz?

- Nie, Dulcie. - Nigdy się nie **spotkali, ale wiedział** o niej dużo, oglądał jej zdjęcia i interesował się jej karierą aktorską.

- W takim razie lubię.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

- Więc jesteś aktorką - **powiedział**, kiedy podali **sobie** ręce. - Ciężka robota. **Jak** to znosisz?

- Spokojnie.

Widziałam, że jest nim zaciekawiona. Wyjaśniłam jej, że Noah wpadnie, żeby omówić sprawę związaną z toczącym się śledztwem, ale nie była przekonana, że to tylko o to chodzi. Odezwał się w niej jakiś szósty zmysł. Ten sam zmysł, jak przypuszczałam, który zawsze odzywał się we mnie, gdy chodziło o nią.

Odziedziczyła więc nie tylko zamiłowanie do aktorstwa po mojej matce - odziedziczyła także moją intuicję.

- Myślę, że najgorsze są premiery - zauważył.

Dulcie spojrzała na mnie ze ściągniętymi brwiami, ciskając we mnie przez pokój milczące oskarżenia.

- Ja panu tego nie powiedziałam, detektywie, prawda?

- Nie. Gram na fortepianie, Dulcie. Jazz. Mam na koncie kilka dużych występów przed publicznością. Znam ten strach. Znam to uczucie wewnętrznego dygotu. Straszne.

- Dużo czasu panu zajęło, żeby się tego pozbyć?

- zapytała z fascynacją w głosie.

- Nie pozbyłem się tego, ale nauczyłem się z tym żyć. Głębokie oddychanie. I koncentracja. Czekać na wejście, zawsze zadaję sobie pytanie, za jakie grzechy, dlaczego sam sobie to robię. I zawsze mam tę samą odpowiedź. Dlatego, że chcę grać. Do diabła z publicznością.

Był tak dobry w roli czarującego faceta, że aż wyglądało to podejrzanie. Cieszyło mnie, że teraz, kiedy sprawa została rozwiązana, nie będę zmuszona spotykać się z nim dalej. W roli męskiego łgarza też pewnie jest dobry. Nasz ostatni erotyczny wieczór był jakąś aberracją i nie miałam zamiaru pozwolić sobie na powtórkę. Wtedy byłam naprawdę zestresowana, strasznie przejęta, a Noah po prostu wykorzystał moją chwilę słabości.

- Hej, robi się późno - oświadczyłam, widząc, że Dulcie wypija czekoladę. - Może zaczniesz szykować się do spania?

Spojrzała na mnie z nadąsaną miną, która mogła być wstępem do sprzeczki, więc z góry ucięłam to, co chciała powiedzieć.

- To nie podlega negocjacji.

- Tak jest, doktor Grzech - odparowała z przesadzonym o jeden ton sarkazmem.

Darowałam sobie komentarz i powtórzyłam sugestię, by poszła do łóżka. Zatrzymała się przy drzwiach i popatrzyła na Noaha.

- Fajnie, że mi pan to wszystko powiedział. Dzięki.

- Miło było cię poznać. I bardzo chciałbym cię zobaczyć w tej sztuce.

- Przyjdzie pan na premierę? - Wydawała się zadowolona, co mnie naprawdę zdziwiło. Jej reakcja była natychmiastowa i szczerza.

- Jeśli twoja mama mnie zaprosi.

- Jeśli nie zaprosi, ja to zrobię.

Nigdy dotąd nie widziałam, żeby moja córka flirtowała, więc byłam lekko zszokowana, i to dość niemile. Zaatakowała mnie wizja przyszłości: w ułamku sekundy przeskoczyłam od tego jednego komentarla do jej randek i późnych powrotów do domu. Oczami wyobraźni zobaczyłam siebie, jak przesiaduję wieczorami na kanapie, wyczekuję na dźwięk jej klucza w drzwiach.

Ja i Noah przeszliśmy do dużego pokoju.

- To na pewno on? - spytałam.

- Nie na pewno, ale myślimy, że to on. Bardzo interesujące jest to, że facet ma na prawej stopie tatuaż, taki sam jak ofiary.

- Naprawdę?

Noah skinął głową i skupił na mnie wzrok. Uparty. Intensywny. Chciałam odwrócić głowę, lecz wiedziałam, że to będzie podejrzané. Ja też chciałam mu coś powiedzieć: tylko dwa słowa. Ale nie musi ich usłyszeć z moich ust. Może je wyciągnąć od Paula Lessora.

- Co zamierzacie dalej?

- Sprawdzamy odciski palców z jego mieszkania. Porównujemy jego notes na adresy z notesami ofiar. Szukamy czegoś, co łączy tych mężczyzn. Przepyтуjemy ludzi, z którymi pracował. Staramy się ustalić miejsca, w których bywał w ciągu ostatnich tygodni. Szukamy czegokolwiek, co odbiegałoby od rutyny, co rzucałoby się w oczy. I miliona innych rzeczy. - Powstrzymał ziewnięcie.

- Kiedy ostatnio spałeś więcej niż cztery godziny jednym ciągiem?

Uśmiechnął się. Cholera. Ten jego długi, wolny, leniwy uśmiech zawsze poruszał we mnie coś głęboko w środku.

- Morgan, czy jest coś, co możesz mi powiedzieć o tym tatuażu?

Zdawał sobie sprawę z tego, że coś o tym wiem. Tylko skąd? Niech go diabli. Pokręciłam głową. Mają zabójcę w areszcie, mogą do tego dojść na własną rękę. Nie muszę łamać tajemnicy zawodowej. Z poczucia ulgi prawie zakreśliło mi się w głowie.

- Ale wiesz coś, czego my nie wiemy.

- Noah, przestań. Proszę.

- Szlag.

- Jeśli zaczniesz mi wiercić dziurę w brzuchu, poproszę, żebyś wyszedł.

- Co muszę zrobić, żebyś poprosiła, żebym został?

Oblała mnie fala zimna. Wzdrygnęłam się mimowolnie, nie mówiąc ani słowa.

- Dlaczego budzę w tobie strach?

Potrząsnęłam głową.

- Znasz chociaż odpowiedź?

Powtórzyłam ten sam przeczący gest.

- Mam kilka podejrzeń.

- To świetnie - rzekłam drwiąco.

- Chcesz, żebym zachował je dla siebie?

- Tak, ale mam niedobre przeczucie, że tego nie zrobisz.

- Czy byłaś z kimś na prawdziwej randce od czasu rozvodu?

Mogłam odburknąć, że to nie jego interes albo po prostu odmówić odpowiedzi. Wiedziałam jednak, że Noah się nie poddają natomiast nie byłam w nastroju do walki. A przynajmniej takie sobie wybrałam usprawiedliwienie.

- Nie.

- Uważasz, że to właściwy sygnał dla twojej córki?

- Słucham?

Siedzieliśmy razem na kanapie w wystarczającej odległości, by się nie dotykać, ale na tyle blisko, że czułam miętowy zapach jego wody kolońskiej. Na tyle

blisko, że mógł wyciągnąć rękę i odgarnąć mi z twarzy włosy.

- Wiesz, twoje włosy mają kolor melasy, której używała do gotowania moja mama - powiedział.

- A twój głos brzmi jak woda, która szumiała w rzece za naszym oknem późnymi wieczorami.

- Jesteś bezwstydy.

- Jestem zadurzony od czasu, odkąd zobaczyłem cię po raz pierwszy. I więcej niż zadurzony od pewnej nocy. Nie sądziłem, że tak trudno będzie mi się z ciebie wyleczyć.

- Więc jestem dla ciebie jak grypa.

- Nie. Przeciwnie. Przy tobie czuję się całkiem rozbudzony, bardziej świadomy wszystkiego: kolorów, smaków, nawet zapachu powietrza. Po tym, jak byliśmy razem, teraz, kiedy znów jestem sam, prześladowuje mnie ten smutny bluesowy riff, ciągle ten sam.

Opuściłam głowę, nie chcąc, żeby zobaczył rumieńce na moich policzkach.

Bystry facet, szybko wrócił do tego, co mówił o Dulcie.

- Więc twoim zdaniem to jest dobry pomysł, żeby twoja córka widziała, że jej mama zrezygnowała z mężczyzn, z własnego życia? Że całkowicie poświęciła się pracy i jej? To jest dla dziecka zbyt duża presja. To chyba przytłaczające dla nastolatki mieć mamę, o którą musi się martwić, że jest samotna i smutna.

- Kiedy zrobisz dyplom z psychologii?

Zignorował zaczepkę w moim głosie.

- Czy jej ojciec spotyka się z kobietami?

Kiwnęłam głową.

- Tym gorzej. Wyciągnie z tego wnioski, że mężczyźni są silniejsi od kobiet.

To było jak drzazga pod paznokciem. Jak skaleczenie papierem opuszki palca. Jak ukąszenia owadów na

szy i policzkach. Całe mnóstwo nieprzyjemnych uczuć naraz.

- Jak śmiesz...

- Co? To zbyt niewygodne?

- Jestem tak silna, że Dulcie może nigdy nie poznać kobiety silniejszej ode mnie. Widzi to każdego dnia. Nie rozpadłam się na kawałki razem ze swoim małżeństwem. Nie uganiałam się za dziesiątkami facetów tylko po to, żeby nie być sama. Nie zaczęłam pić ani brać środków uspokajających, ani niszczyć sobie zdrowia w jakikolwiek inny sposób. Nie miałam nieprzespanych nocy. Nigdy nawet nie dałam jej do zrozumienia, jaka jestem samotna.

Pozwolił, by moje ostatnie słowa zawisły w powietrzu. Ogarnęło mnie zażenowanie, gdy zdałam sobie sprawę, co nieopatrznie powiedziałam.

- Tak jak kto? Która kobieta mówiła ci, jaka jest samotna, i składała cały ten ciężar na twoje barki?

Gwałtownym ruchem odwróciłam głowę. Strumień łez, które w jednej chwili nabiegły mi do oczu, zawstydził mnie. Noah znów mnie przechytryzył, znów skłonił mnie do mówienia rzeczy i okazywania uczuć, do których nigdy wcześniej się nie przyznawałam.

Jedną ręką odwrócił moją twarz do siebie i wskazującym palcem drugiej zatrzymał płynącą po policzku łzę.

- Nie musisz mi mówić, Morgan. Domyślam się. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że możesz mi powiedzieć. To jest ta niesamowita rzecz między nami. Nie wiem, skąd wiem o tobie tyle rzeczy. Czy będzie ci lżej, jeśli powiem, że to mnie przeraża tak samo, jak przeraża ciebie?

- Jeśli to cię przeraża, dlaczego w takim razie sobie nie pójdiesz?

- Bo uczucia, które przerażają, najlepiej świadczą

o tym, że żyjemy. - I nie dając mi szansy zaprotestować czy oprzeć mu się w jakikolwiek sposób, pochylił się i pocałował mnie.

To był gest hojności. Wsparcia. Niczego nie brał. Dawał wszystko.

Poprzez moje wargi przekazywał swoje pragnienie. Swoją gotowość czekania. Swoją całkowitą bezradność wobec požądania. Przyjmowałam to wszystko, nie dając niczego w zamian. Nie walczył o to, nie próbował niczego wymusić. Wystarczyło mu to, że składa mi ofiarę.

- Pewnego dnia zechcesz dać mi to samo - ciągnął niskim, głębokim głosem, który był jak zapadająca ciemność. - Wiem, że tak będzie. Nie mylę się. W innych rzeczach tak, ale nie co do ciebie. Nie pytaj, skąd wiem. Nie ma wytłumaczenia, po prostu wiem. Tak samo bywa, kiedy mam jakiś pomysł na muzykę. Czasami napisanie całej kompozycji zajmuje mi długie miesiące, ale to nie szkodzi. Wystarczy, że to gdzieś żyje w mojej głowie. Bo moje palce, moje wewnętrzne ucho, moja dusza wiedzą, że reszta sama przyjdzie, jeśli będę cierpliwy.

Pocałował mnie znowu, tym razem przyciągając mnie do siebie i otulając ramionami.

Przez trzydzieści sekund... czterdzieści pięć... po prostu się zapomniałam. Nie było mnie tam. Nie było siedzącej na kanapie kobiety, której córka śpi w innym pokoju. Nie było terapeutki, która ma informację, na której temu policjantowi tak strasznie zależało.

Pulsowanie jego krwi w moich uszach i poczucie bezpieczeństwa w jego objęciach zepchnęły w niebyt cały świat, jaki znałam i do jakiego przywykłam.

W końcu, zanim udało mi się uwolnić, bo wiedziałam, że właśnie to powinnam zrobić, on przerwał

pocałunek. Wstając, uśmiechnął się do mnie z góry, trochę smutno i tęsknie.

- Skazujesz mnie na cierpienie - powiedział i nie dając mi szansy na wyduszenie choćby słowa, wyszedł.

Siedziałam na własnej kanapie i rozglądałam się po własnym pokoju takim wzrokiem, jak gdybym nigdy wcześniej go nie widziała.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

Złe wieści nadeszły w południe następnego dnia, jak zawsze przez telefon.

- Szlag! - warknął Perez z taką zaciętością i furją, że Jordain nie miał wątpliwości, co się stało. - Niech to szlag! Cholera jasna.

- Następny?

Perez kiwnął głową, nie przerywając rozmowy.

- Nigdzie się nie ruszaj, zaraz tam będziemy. - Odłożył słuchawkę. - To był Douglas. Betsy Young dostała dziś rano następną przesyłkę. Będziemy musieli wypuścić Lessora.

- Mógł to wysłać, zanim go zgarnęliśmy.

- Nie. Kosmyk włosów nie jest w torebce. Tym razem został zawinięty w śliczny mały wycinek artykułu z dzisiejszego „New York Timesa” z informacją o tym, że aresztowaliśmy podejrzanego.

Noah Jordain poczuł, że z jego żołądkiem dzieje się coś niedobrego, ale nie mógł tracić czasu. Złapał butelkę pepto-bismolu z górnej szuflady biurka, odkręcił i wychylił duszkiem kleisty różowy płyn, podczas gdy Mark Perez czekał przy drzwiach.

- Gdzie Young była w nocy?

- Cały czas w domu.

Noah wyrzucił do kosza butelkę, po czym wyszli.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Detektywi przez całe popołudnie analizowali zdjęcia, które dostała tego ranka Betsy Young. Wszystkie charakterystyczne szczegóły zgadzały się ze zdjęciami poprzednich ofiar. Pięć kompletów drastycznych fotografii pięciu mężczyzn, którzy zostali zabici, a ich ciała zbezczeszczone.

W jaki sposób byli mordowani?

To pozostawało tajemnicą.

Dlaczego?

Nie mieli zielonego pojęcia, żadnego tropu. Lista pytań była stokrotnie dłuższa od listy faktów, jakie ustalili.

Louis Fenester leżał, jak pozostali, na szpitalnym wózku. Źródło światła było równomiernie rozproszone, ale to wcale nie łagodziło ostrych rysów mężczyzny i jego kościstej budowy.

Był chudy z natury - jego przyjaciółka dostarczyła policji kilka jego zdjęć osiem dni wcześniej, kiedy nie wrócił do domu z siłowni. Teraz wystawały mu żebra i miał głęboko zapadnięte policzki. Wyglądał, jakby nadgorliwy rzeźbiarz wyżłobił swoim dłutem zbyt dużo marmuru. Fenester nie przypominał już żywego człowieka - mógłby być kamienną figurą wieńczącą

jakiś grobowiec. Jego skóra była jak biały marmur, zupełnie pozbawiona świetlistości.

Wokół nadgarstków i kostek miał takie same zielonkawo-niebiesko-purpurowe obwódki jak pozostali mężczyźni.

Jak wszyscy czterej przed nim, i jak Paul Lessor, Fenester miał identyfikujący tatuaż na prawej stopie. Ale co on oznaczał? Lessor stanowczo odmawiał jakiegokolwiek rozmowy o tym znaku.

Wszystko wskazywało na to, że Fenester leżał w tym samym pomieszczeniu, z tymi samymi szarymi kurtynami w tle, które oglądali na wszystkich innych zdjęciach. Nic nie zdradzało natury tego gabinetu grozy poza ową połacią jednolitej bezbarwnej szarości.

Mimo że zdjęcia były kolorowe, śmiertelna bladeść powlekająca ciało mężczyzny nie miała żadnego koloru - ani śladu barwy, którą można by nazwać inaczej niż śmiertelną bladeścią. Jedynym żywym akcentem na tych fotografiach były czerwone piątki na stopach ofiary. Jaskrawoczerwone. W odcieniu liści, które o tej porze roku ozdabiały park i ulice miasta. Jak nazywała ten kolor Betsy Young we wszystkich swoich artykułach?

Jordain próbował sobie przypomnieć.

Nigdy nie użyła słowa „czerwony”, była bardziej konkretna. Szkarłatny.

Tak, szkarłatny.

Kiedy weszła agentka Butler, obaj detektywi podnieśli głowy. Na jej twarzy widniał uśmiech satysfakcji. Po głębokich rozczarowaniach wydarzeniami dnia - koniecznością wypuszczenia Lessora, świadomością, że Betsy Young też nie wygląda na podejrzaną, obowiązkiem poinformowania przyjaciółki Fenestera i jego rodziny o makabrycznym morderstwie, znoszeniem wściekłości ich szefa o to, że znów są w punkcie

wyjścia - zadowolona mina Tany Butler podniosła ich na duchu.

- Coś masz? - spytał Noah.

Podeszła do stołu zarzuconego zdjęciami ofiar i położyła wydruk komputerowy, na którym było mnóstwo odręcznych gryzmołów.

- Wklepaliśmy telefony z notesu Fenestera do naszej rosnącej bazy danych i mamy jeden numer, który pojawia się we wszystkich sześciu.

- Restauracja?

- Tak. W jednym jest pod nazwą S's, w jednym pod Shel's. Lessor zapisał ją pod P i nazwał „U przyjaciół Pete'a". A w notესie elektronicznym Fenestera jest pod literą S. Bez nazwy. Tylko numer.

- Więc sprawdziłaś to? - Noah pochylił się z palcami przyklejonymi do biurka, i w tej pozycji, zeszytniały, czekał na odpowiedź.

- To jest telefon komórkowy. Zarejestrowany na Pine Realty, handel nieruchomościami. Pracujemy nad zdobyciem billingów.

- Daj mi ten numer.

Noah wcisnął klawisz głośnika w swoim telefonie i wybrał numer, który Tana wskazała mu palcem.

Wszyscy troje zamarli, i po dwóch głuchych sygnałach usłyszeli kliknięcie. W ułamku sekundy między włączeniem się poczty głosowej a początkiem powitania Tana wzięła gwałtowny oddech.

- Nie możemy w tej chwili odebrać telefonu, ale zostaw, proszę, swoje nazwisko i numer, a wkrótce ktoś do ciebie oddzwoni. Terminy spotkań i kalendarz imprez są też dostępne na stronie internetowej.

Noah przerwał połączenie.

- Terminy spotkań w handlu nieruchomościami mogę zrozumieć - powiedział Mark Perez. - Ale imprezy? Jakie imprezy?

- Domy otwarte dla innych pośredników? - podsunęła Tana.

- Żadne z was nie wierzy, że to agencja nieruchomości, co?

- Ile wam zajmie ustalenie nazwiska i adresu gościa, który płaci rachunki? - spytał Perez Tanę.

- Około godziny. Jak dobrze pójdzie.

- Lepiej na to nie liczymy - mruknął pośepnie Noah.

- Na razie idzie nam tak, że szkoda gadać. Pięciu zabitych facetów, a my nie mamy bladego pojęcia, gdzie są ciała. Mamy za to gościa z zaburzeniami psychicznymi, którego tak te zabójstwa rajcują, że aż ciarki mi chodzą po plecach, i który nie puszcza pary z ust. Och, byłbym zapomniiał, mamy jeszcze czerwony tatuaż, który ich wszystkich łączy.

Noah wstał, podszedł do okna i otworzył je na oścież. Wychylił się, opierając ręce na porowatym ceglany parapecie.

Ryk klaksonów, uliczny zgiełk, samochody przejeżdżające z rykiem silnika. Środek popołudniowego szczytu. Mimo że powietrze było przesycone spalinami, wydawało się świeższe niż to wewnątrz biura. Wziął głęboki oddech. Zwykle koniec października był dużo zimniejszy. A może dlatego miał takie wrażenie, że nieporównanie cieplej było na zewnątrz niż w ich śledztwie?

Zimno, zimniej, mróz.

Nie był przyzwyczajony do fuszerowania roboty. Tylko że nigdy dotąd nie prowadził sprawy bez głównych dowodów - zwłok ofiary i sceny zbrodni. To stanowiło źródło tropów. Ciało i miejsce, w którym to ciało zostało znalezione.

Kiedy już oswoisz się z myślą, że ofiara była konkretnym mężczyzną lub konkretną kobietą, że miała jakąś pracę, rodzinę, współmałżonka, rodzeństwo albo

dziecko, którym jej zabrakło i których życie, poczwąszy od tego dnia, nigdy nie będzie takie samo, kiedy już się otrząśniesz z pierwszego wrażenia - choć przechodziłeś przez to tyle razy, że powinienesz być uodporniony - zacznasz badać ślady. Włosy i włókna. Skóra pod paznokciami. Broń. Krew na podłodze. Albo na pościeli. Łuski pocisków. Zawartość żołądka ofiary. List w kieszeni. Przedarte zdjęcie w torebce.

Czasem można do czegoś dojść dzięki jednej rzeczy. A są setki miejsc do przeszukania.

Ale ta paranoja? Zdjęcia i włosy w sterylnych torebkach, w jakie matki pakują dzieciom śniadania, sprzedawanych w każdym cholernym supermarkecie w całych Stanach Zjednoczonych? Zwykłe szare koperty, jakie można kupić w każdym sklepie z artykułami biurowymi w całym tym cholernym kraju?

- Hej, Noah, popatrz na to! - zawołała Tana Butler.

Pochylona nad zdjęciami Fenestera, wpatrywała się w jedno z powiększeń.

- Co to jest?

- On ma jakiś cień na lewym udzie. Cień albo cholera wie co. W każdym razie to jest coś, czego nie widziałam wcześniej.

Noah wrócił do stołu i spojrzał przez jej ramię na to, co pokazywała palcem.

Nie zauważył niczego podobnego na żadnym innym zdjęciu. Pierwsze odstępstwo od pedantycznej dokładności, ale by mieć pewność, wziął powiększenie, podszedł do wytapetowanej fotografiami ściany i zaczął je porównywać ze zdjęciami poprzednich ofiar w tym samym ujęciu.

Dla niego ten kolaż obrazów śmierci nie był makabryczny - przywykł do tego - ale ktoś z zewnątrz, kto wszedłby tu po raz pierwszy, nie zapomniałby widoku tej ściany do końca życia. Setki zdjęć wszystkich

części męskiego ciała. Te same fragmenty w dziesiątkach różnych powiększeń. Niektóre rozpoznawalne, inne powiększone do granic abstrakcji.

- Nie, niczego takiego nie ma na nogach innych mężczyzn.

Wrócił do Tany, położył zdjęcie na stole i wskazał palcem podłużną nieregularną plamę.

- To nie wygląda na zasinienie, ale na pewno wygląda dziwnie. Co to może być?

Podniósł dwa inne zdjęcia na chybił trafił, odwrócił je i użył białego papieru jako maskującej ramki, żeby nic nie odwracało ich uwagi od tajemniczej plamy.

Wszyscy troje patrzyli na to w skupieniu.

- Cholera, co to jest? - mruknął Perez.

Noah zbliżył do siebie białe ramki, jeszcze bardziej zmniejszając kadr, na którym koncentrował wzrok.

- Jasny szlag - wymruczał.

Tana Butler podniosła głowę.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY

Thorazine łatwo było zaaplikować. Rozkruszone tabletki z wodą. Wodą pitą łakomie. Żywe trupy chcące się położyć i spać. Całkowicie poskromione. Chodzące trupy. Śpiące trupy. Trupy. Nic ich nie budzi. I dobrze. Nic nie powinno obudzić trupów. Ale trupy mogą budzić strach w sercach tych, którzy o nich wiedzą. Trupy mogą przestrzegać żywych, by trzymali się z daleka. Żeby byli grzeczniejsi niż ci mężczyźni. Żeby się zachowywali.

Zachowywali.

Takie proste słowo. Takie wdzięczne pojęcie.

Jak z płatka, myślał fotograf, wszystko idzie jak z płatka. Błogosławiony pomysł. Cały plan jest błogosławiony. Na tych mężczyzn nie czeka nikt obcy. Nie mogą się przestraszyć kogoś, kogo znają. Poszli chętnie, nawet nazbyt chętnie. Właściwie sami się naspraszali.

Nie ma się o co martwić. Aparat do nasłuchu jest włączony. Gdyby coś poszło nie tak, fotograf natychmiast by usłyszał.

Spokojna głowa. Co mogłoby pójść nie tak ze śpiącymi trupami?

Każdy z nich był w idealnym kolorze, kształcie

i formie. Oświetlić każdego z nich, uchwycić kadr, dobrać kąt ustawienia obiektywu, wywołać starannie film, wszystko to wymaga umiejętności.

Efekt był profesjonalny, choć fotograf był tylko amatorem.

Ghrr.

Jakiś dźwięk?

Ghrrr.

Jęk?

Ghrrrrrrr.

Co się dzieje?

Narzędzia pracy upuszczone bez namysłu. Rozbryzgana na podłodze czerwień. Nieważne. Nie teraz.

Ghrrr.

Biegiem, szybciej. Taki kawał drogi ze studia, przez hol, w dół po schodach, przez zimne wyłożone cegłą pomieszczenie, przez grube pancerne drzwi zbudowane na wypadek inwazji, żeby móc przetrzymać sześćoosobową rodzinę przez dni albo tygodnie.

Ghrrrrrrrrr.

Coraz bliżej. Bliżej.

Skępowany mężczyzna wił się na wózku i rzucał. Miał bladą jak ściana twarz, pot skapywał mu z czoła do oczu. Krzyczał przez knebel.

To ważne, żeby zapamiętać skutki uboczne działania chlorpromazyny, tak na wszelki wypadek. Niektóre były poważne. Tylko jeden mógł być śmiertelny: atak serca. A fotograf wiedział, jak wygląda człowiek przechodzący atak serca. Dokładnie tak, jak ten mężczyzna przywiązany do wózka.

Trzęsące się palce rozpięły pasek.

Minęło kilka dobrych godzin od ich ostatniego koktajlu. O tej porze lek przestawał działać. Dlaczego atak przyszedł teraz? Mniejsza o to.

- Możesz wstać? Chodź, pomogę ci usiąść.

Ghrrr.

Rusza się, podnosi. W bólu i powoli, ale dzięki Bogu trzyma się na nogach.

- Zabiorę cię do szpitala. Wszystko będzie dobrze. Oprzyj się na moim ramieniu. Pomogę ci.

Modlitwy? Tak, modlitwy wypowiedane cicho o to, by mężczyzna był w stanie przejść do samochodu. Szedł bardzo powoli, skulony z bólu. Ale stawiał jedną stopę przed drugą. Unosił nogi. Stopień. Krok w górę. Stopień. Krok w górę. Bezgłośnie modlitwy, by wytrzymał drogę do szpitala. Bo on nie może umrzeć. To byłoby morderstwo.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Zaplanowana wizyta u Nicky'ego i Daphne była dla mnie szczęśliwą okazją do wyrwania się z instytutu. Po wznowionym poprzedniego dnia konflikcie z Niną czułam się w pracy nieswojo. W ciągu trzech tygodni miałyśmy dwie - nie, trzy - poważne sprzeczki, które coraz bardziej nas od siebie oddalały. Prawie nie wychylałam nosa ze swojego gabinetu. Starałam się nie płatać po korytarzach. Wiedziałam, że prędzej czy później będziemy musiały znaleźć jakiś sposób na rozwiązanie naszych nieporozumień i że unikanie Niny jest tchórzostwem i dziecinadą, ale wcale nie było mi z tym łatwiej.

Żeby zmierzyć się z tą kobietą, musiałam najpierw zmierzyć się z pytaniem, co czuję do Noaha Jordaina. A na to nie byłam jeszcze gotowa.

Podróż do Connecticut, trwająca dobre czterdzieści pięć minut, dawała mi przynajmniej trochę czasu na pozbieranie myśli.

Zjechałam z drogi międzystanowej Merritt Parkway w Ulicę Północną, jechałam dziesięć minut, skręciłam jeden raz, potem drugi, jechałam jeszcze pięć minut i w końcu zatrzymałam się przed domem Daphne. Byłam piętnaście minut wcześniej, ale nie zamierzałam się tym przejmować.

Zaparkowałam na podjeździe.

Po prawej stronie od domu były sady. Pomyślałam, że nikt nie będzie miał mi za złe, jeśli zrobię sobie w tamtym miejscu mały spacer.

Gdziekolwiek spojrzałam, kolorowy dywan z liści wyściełał trawę i zmieniał krajobraz w fowistyczne płótno.

Kiedy zbliżamy się do śmierci, tracimy nasz kolor, tracimy urodę. Widziałam moją matkę, schorowaną i wychudzoną, z matowymi włosami. W ostatnich chwilach, kiedy leżała nieprzytomna, jej brzoskwinio-wa kiedyś cera była ziemistoblada.

Kiedy umierają liście, stają się piękniejsze. Ginać, ofiarowują światu paletę krzykliwych barw.

Powiał wiatr i setki cytrynowożółtych liści osiki wzbiły się w powietrze, nurkując i szybując w górę, fruwając przed moimi oczami z wdziękiem motyli.

Trochę się zachmurzyło, gdy wysiadałam z samochodu, ale teraz znów świeciło słońce i rozświetlało otaczający mnie pejzaż oraz dom za drzewami.

Szłam w jego stronę, będąc coraz bliżej i bliżej, aż, przy tak doskonałej widoczności, ujrzałam wewnątrz pracowni Daphne. Zobaczyłam kilka dużych płócien zwróconych w stronę okna. Jakiś metr przed nim zatrzymałam się. Nie, ściśle mówiąc, jakiś metr przed nim zatrzymał mnie obraz, który zobaczyłam przez szybę.

Na sztalugach był portret mężczyzny. Nagiego, siedzącego na krześle. Miał przechyloną na bok głowę. Jego twarz była zwiotczała i bez życia. Ciało bezwładne, z obwisłymi fałdami.

Obraz był ciemniejszy wokół krawędzi i rozjaśniał się stopniowo do wewnątrz, tak że najbardziej rozświetlone były środkowe partie ciała. W samym centrum tej ekspozycji, uhonorowany niczym diament

w witrynie Tiffany'ego, znajdował się klejnot - namalowany z największą dokładnością i pietyzmem fragment płótna: bardzo mały, skurczony penis.

W tej kompozycji było coś znajomego. Co? Gdzie ja to już widziałam? Spojrzałam na następne sztalugi. Inny męski akt. Tutaj mężczyzna stał, a właściwie opierał się o ścianę. Miał opuszczone ramiona. Patrzył rozpaczliwym, żalonym wzrokiem, błagając o pomoc.

Daphne jest więcej niż dobra. To mistrzyni portretu psychologicznego. Potrafi uchwycić uczucia oraz intencje nie gorzej od wielu uznanych artystów, których prace wiszą w dużych galeriach.

Tak jak na poprzednim obrazie, zastosowanie efektu aureoli sprawiło, że tylko na chwilę zatrzymałam wzrok na pełnej wyrazu twarzy mężczyzny, a zaraz potem moją uwagę przyciągnął jego penis. Pomarszczony, zwiotczały, czerwony.

Świetlistość i zamiłowanie do szczegółu były cechą stylu Daphne, ale niczemu w swoim malarstwie nie poświęcała więcej czasu, twórczego zapału i staranności, niż oddaniu groteskowego piękna genitaliów.

Myśląc o tym, zobaczyłam trzecie płótno.

Dostałam mdłości. Zupełnie się tego nie spodziewałam, więc nie miałam czasu przygotować się na szok, jaki wywołał we mnie ten obraz. Uchwyciłam się jedną ręką gałęzi drzewa i zwymiotowałam na świeżo opadłe liście.

A później pobiegłam w stronę domu.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Ronny White zobaczył, że na parking szpitala Greenwich, od strony izby przyjęć, wjeżdża srebrny terenowy mercedes. Zanotował w pamięci numery rejestracyjne.

Szpital miał świetny personel, był dobrze zorganizowany i spełniał potrzeby mieszkańców sześćdziesięciotysięcznego miasta, którzy należeli do najzamożniejszych w Stanach Zjednoczonych. Lubił swoją pracę. Tutaj nigdy nie było tak tłoczno i nerwowo jak w szpitalach wielkomiejskich. W Greenwich pracowali znakomici lekarze ściągani z dużych miast, by zaspokajać wymagania bogaczy.

Najbardziej ze wszystkiego Ronny lubił pacjentów i odwiedzających, którzy płacili mu sowite napiwki za pilnowanie ich luksusowych aut.

Kierowca, który właśnie skręcił na parking, prowadził jak pirat drogowy, co było dla Ronny'ego pewnym sygnałem, że chodzi o jakiś nagły przypadek. Zadzwoił do recepcji i poprosił Lucie, żeby przysłała kogoś z personelu medycznego.

- Mamy tu jakiś problem.

To była jedna z rzeczy, które mógł robić: patrzeć, kto przyjeżdża i wchodzi do środka, co byłoby nie do pomyślenia w żadnym z tych gigantycznych szpitali w strefach wielkomiejskich.

- On ma atak serca! - rozległ się krzyk kierowcy, kiedy samochód zatrzymał się tuż przed Ronnym.

Ten kiwnął ze zrozumieniem głową.

- Proszę go nie ruszać. Oni już idą... - Nie zdążył dokończyć, bo pojawili się dwaj sanitariusze z noszami i dwie pielęgniarki.

Ledwie wyciągnęli mężczyznę z samochodu, kierowca wrzucił wsteczny bieg i z piskiem opon opuścił parking.

Ronny patrzył za uciekającym mercedesem, próbując sobie przypomnieć numery rejestracyjne. Myślał, że ma je w głowie, ale nie był tego pewien. Samochód jechał za szybko. Kto zostawia człowieka w takim stanie i natychmiast odjeżdża? Przestępca, uznał Ronny. Albo pijany kierowca. Tak czy inaczej, powinien zadzwonić na policję.

Mężczyzna był teraz na noszach. Wieźli go pędem na oddział reanimacji.

Chryste.

Pracował w Greenwich od czterech lat i widział już niejedno. Bogaci ludzie nie płaczą inaczej niż biedni. Niektórzy siadali na parkingu w środku popołudnia, zwijali się w kulkę i po prostu łkali. Widział szczeniaków, nie starszych od dzieci jego siostry, którzy przyjeżdżali drogimi samochodami, gasili papierosy, wpadali odwiedzić mamusię czy tatusia i wypadali, trajkocząc przez komórkę. Widział matki, które wnosiły siniejące niemowlęta i karetki przywożące pacjentów z wszelkimi możliwymi chorobami i urazami.

Nigdy jednak nie widział mężczyzny gołego jak go Pan Bóg stworzył, ze spętanymi rękami i nogami, wiezionego do izby przyjęć o czwartej po południu. Cholera, o żadnej porze nie widział czegoś takiego.

I miał nadzieję, że już nigdy nie zobaczy.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Drzwi frontowe były zamknięte, ale nie na zasuwę. Wchodząc do środka, zawołałam po imieniu Daphne. Nikt się nie odezwał. Pobiegłam do salonu, sprawdziłam kuchnię, korytarze, cały czas wołając gospodynię. Raz za razem.

- Daphne? Daphne? Daphne?

Cisza.

To nie był jeden z tych domów, w którym zostawia się otwarte drzwi. Poza tym gdzie jest Daphne? Podobno cierpi na agorafobię i od pół roku nie wychodzi na dwór, nie mówiąc o tym, że umówiliśmy się na sesję. I gdzie jest Nicky?

Pojedynczo żadną z tych rzeczy bym się nie przejęła, ale wszystko naraz, zwłaszcza po obejrzeniu tamtych upiornych obrazów, wydało mi się naprawdę niepokojące.

Może Daphne czytała o tamtych mężczyznach, którzy zostali zamordowani, mężczyznach, których znała z czasów swego aktywnego uczestnictwa w Szkarłatnym Stowarzyszeniu, i użyła talentu malarskiego do wyrażenia własnych koszmarów?

Tak, to musi być to. To jest jedyne możliwe wyjaśnienie.

Weszłam do pracowni. Może Daphne tam jest, w jakimś kącie, którego nie dostrzegłam. Może ma na uszach słuchawki i nie słyszała mojego wołania.

Wpadające przez okno światło rozlewało się na makabrycznych płótnach.

To były portrety bezsilności.

- Daphne? Daphne?

Bez odzewu.

W pracowni poza głównym wejściem było troje drzwi. Pierwsze prowadziły do łazienki. Daphne tam nie było. Za drugimi znajdowała się pakamera na materiały i narzędzia. Kiedy je zamknęłam, coś usłyszałam. Odwróciłam się, rozglądając uważnie dookoła. Dźwięki pochodziły z urządzenia przypominającego elektroniczną nianię, które leżało na gzymsie marmurowego kominka. Podeszłam bliżej. Odbiornik wychytujący dźwięki skąd? Wzięłam go ze sobą i poszłam sprawdzić trzecie drzwi.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyłam, były czerwone lampki nad szafkami i blatami. Zapach był ostry i przenikliwy. Nie rozpoznałam go podczas swojej pierwszej wizyty w tym domu i skojarzyłam z czymś innym w biurze Jordaina, ale teraz zrozumiałam.

Daphne mówiła, że robi zdjęcia swoim modelom i posługuje się nimi przy pracy, choć maluje też z natury. Oczywiście, musi mieć własną ciemnię.

W rubinowym świetle widziałam butelki z odczynnikami i plastikowe kuwety. Na lince z plastikowymi spinaczami rozpiętej między jedną a drugą ścianą wąskiego pomieszczenia wisiało co najmniej kilkanaście zdjęć.

Kilkanaście ujęć twarzy. Wyzutej ze wszystkiego poza rozpaczą.

To była twarz, którą zapamiętałam z obrazu.

Gdzie jest Daphne?

Ciągle trzymałam odbiornik do nasłuchu i kiedy to urządzenie się ożywiło, omal nie wypuściłam go z ręki. Dźwięk przypominał skowyt jakiegoś zwierzęcia w opałach. Czy może był to ludzki jęk?

Mój strach przeszedł w panikę. Zastanawiałam się gorączkowo, co począć.

Stękanie nie cichło.

Wybiegłam z pracowni z powrotem do holu, rozglądając się, szukając jakiegoś tropu, który podpowiedziałyby mi, gdzie jest Daphne - bo teraz byłam pewna, że jest w zasięgu nadajnika. Gdzieś tam, skąd dochodzą dźwięki emitowane przez urządzenie, które trzymałam w ręku.

W salonie pusto. W kuchni także. Ale w spiżarni za kuchnią zobaczyłam otwarte na oścież drzwi. Gdyby nie były otwarte, nigdy bym ich nie zauważyła - stanowiły część regału, który maskował ukryte przejście.

Schodami w dół.

Jęki w mojej ręce nie ustawały.

Weszłam do ciemnej piwnicy do przechowywania wina, gdzie powitały mnie różne zatęchłe wonie.

Wino i ocet, zapach kwasu.

I jeszcze coś.

Odstრęczające ludzkie zapachy. Odór moczu. Kału. Brudnego ciała.

W domu? W tym domu?

- Daphne?

Stękanie dochodziło już nie tylko z odbiornika. Teraz słyszałam je w pewnej odległości od siebie. Było tu, na dole, ze mną. Niedaleko.

Starając się nie używać węchu, ciągle wołałam Daphne i nasłuchiwałam, czy ktoś mi nie odpowie. Czy to Daphne mogła wydawać te dźwięki? Jęczało więcej osób niż jedna. Kto z nią jest? I gdzie?

Przeszłam przez następne otwarte drzwi - te były

zamaskowane jako piwniczny regał na butelki wina. Jeszcze trzy stopnie w dół. Jak głęboko pod ziemię schodziłam?

Dławił mnie odór ludzkich odchodów. Zastanawiałam się przez sekundę, czy będę w stanie brnąć dalej. Oddychaj przez usta, pomyślałam. Nawet nie próbuj tego wachać.

Wyjęłam komórkę. Brak zasięgu. Cholera jasna.

Ostatni schodek i znalazłam się w ogromnym ciemnym lochu. W trzewiach podziemi.

A kiedy moje oczy przyzwyczyły się do tej głębokiej ciemności, ujrzałam drastyczny dowód na to, że deprawacja ludzkiego umysłu nie zna granic.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY CZWARTY

Czterej mężczyźni leżeli przywiązani do szpitalnych wózków. Nie chciałam, żeby ta makabra była prawdą, ale przecież widziałam to na własne oczy.

Kto ich tu ukrył? I gdzie jest Daphne?

Pot spływał mi po plecach. Nogi trzęsły mi się tak bardzo, że z trudem utrzymywałam równowagę.

Mój rozum przestał funkcjonować.

Ghrrr.

Usłyszałam ten dźwięk i wrzasnęłam. Co się dzieje?

Umarli nie mówią.

Ani nie jęczą.

Jednak ci mężczyźni jęczeli.

W mroku zobaczyłam jaskrawoczerwone znaki na podeszwach ich stóp. Namalowane numery—oczywiście, że tak - namalowane czerwoną farbą.

2

3

4

5

Nie było numeru jeden.

Dlaczego ten wózek jest pusty?

Gdzie podziewa się numer jeden?

Błagalny chór jęków. Kiedy byłam stażystką w szpitalu na oddziale psychiatrii, widywałam takie twarze. Oni są czymś nafaszerowani, odurzeni.

Thorazine.

Cholera.

Nikt z nas na to nie wpadł - ci mężczyźni nie zostali zabici.

Cholera jasna.

Wszyscy troje - Jordain, Perez i ja - szukaliśmy seryjnego mordercy. Ja analizowałam osobowość każdej poznanej przeze mnie kobiety związanej ze Szkarłatnym Stowarzyszeniem, szukając tej jednej, która wykazywałaby cechy seryjnego mordercy: psychopatki mającej w pogardzie ludzkie życie. Potwora, który zabija dla dreszczu emocji i satysfakcji seksualnej.

Wszyscy znamy statystyki.

Osiemdziesiąt osiem procent seryjnych morderców to mężczyźni rasy białej w wieku od dwudziestu do czterdziestu lat. Ponad siedemdziesiąt procent z nich działa w określonym miejscu czy okolicy. W charakterystyce ich rozwoju dziecięcego, opracowanej w 1990 roku, za trzy dominujące zachowania uznano marzycielstwo, nałogową masturbację oraz izolowanie się od środowiska.

Ogromna większość wielokrotnych zabójców to dominujący, władczy mężczyźni, którzy często mają kłopot z dostrzeganiem różnicy między sobą a Bogiem. Wielu z nich jest przekonanych, że to sam Bóg kieruje ich czynami.

Ktoś, kto uwięził tutaj tych mężczyzn, odurzył ich i trzymał wbrew woli, popełnił ciężkie przestępstwo, ale to nie było dzieło seryjnego mordercy. Żadnego mordercy. Wszyscy czterej, na szczęście, byli żywi.

Wszyscy szukaliśmy niewłaściwego rodzaju przestępcy. I nie udało się, oczywiście, go znaleźć.

Krażyłam między mężczyznami i kolejno, jednemu po drugim, sprawdzałam puls i wyjmowałam kneble, spiesząc się, nie panując nad drżeniem rąk. Zbyt wiele miałam do zrobienia naraz. Istotą selekcji medycznej są szybkie decyzje. Najpierw musiałam się upewnić, czy wszyscy żyją. Sprawdzić, czy któryś nie jest w stanie krytycznym. Dopiero potem martwić się o ich samopoczucie i całą resztę.

Wydawało się, że żadnemu z mężczyzn nie zagraża poważne niebezpieczeństwo.

Owszem, byli odurzeni, ale nie mieli objawów odwodnienia ani zagłodzenia.

I wszyscy żyli.

Teraz potrzebowałam pomocy.

Jeszcze raz wyjęłam komórkę - dalej nie było zasięgu. Znajdowaliśmy się zbyt głęboko pod ziemią.

Musiałam skontaktować się z Noahem.

Jak najszybciej.

- Idę wezwać pomoc-powiedziałam i odwróciłam się, by stromymi piwnicznymi schodami wrócić na górę.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY PIĄTY

Nicky stał w drzwiach, zagradzając mi drogę, ale nie patrzył na mnie. Miał otwarte usta i równie bladą twarz jak leżący przed nim mężczyźni. Tyle że ich bladość - ten trupi wygląd, który wszyscy widzieliśmy na zdjęciach - była namalowana. Zauważyłam na górze paletę i pędzle. Daphne była artystką. Użyła swoich umiejętności, by stworzyć na fotografiach wrażenie śmierci, pokrywając ciała mężczyzn jasnoszarą farbą.

Kiedy Nicky objął wzrokiem makabryczną scenę, uświadomiłam sobie, bo kilka minut wcześniej przeżywałam to samo, że jego umysł próbuje zrozumieć i przyjąć do wiadomości to, co widzą oczy. Było dla mnie jasne, że nie miał z tym obrzydlistwem nic wspólnego.

- Musimy zadzwonić na policję - powiedziałam.
- Natychmiast. Możesz mnie zaprowadzić do telefonu?

Nie poruszył się. Mimo ciemności widziałam, jak pulsuje mu żyła na skroniach.

- Daphne to zrobiła? - zapytał cicho.
- Nie wiem.
- Jak... - Załamał mu się głos, ale uparcie **blokował** mi drogę.

- Nicky, musimy zadzwonić na policję. Proszę, pozwól mi pójść na górę, chcę wezwać karetkę. I policję. Nie słuchał.

- Moja żona. Ona to zrobiła?

- Nie wiem, Nicky.

- Oni nie żyją?

- Żyją, ale są w niebezpieczeństwie. My też jesteśmy w niebezpieczeństwie. Ty i ja. Daphne też. Proszę, puść mnie. Musimy pójść na górę i zadzwonić na policję.

- Wiesz, gdzie ona jest?

- Nie.

- Wiesz, że to ona zrobiła, prawda?

Kiwnęłam głową.

- I wiesz, dlaczego to zrobiła?

W pierwszej chwili, kiedy weszłam do tego lochu, nie byłam w stanie wyobrazić sobie powodu, z którego ktoś mógłby zrobić coś takiego. Gdy pochylałam się nad tymi żywymi trupami i słuchałam bicia ich serc, nie przychodził mi do głowy żaden motyw, ale teraz, widząc smutne, żałosne oczy Nicky'ego, zrozumiałam wszystko.

- Tak - powiedziałam, próbując prześliznąć się między nim a framugą.

- To miało mnie odstraszyć od klubu, raz na zawsze. Miałam się bać, że jeśli nie przestanę tam chodzić, będę następny w kolejce.

- Nicky! - krzyknęłam. - Przestań. Nie teraz. Możemy o tym wszystkim porozmawiać, jak tylko wezwę policję.

Nigdzie jednak nie poszliśmy, bo w pobliżu nas stanęła Daphne.

- Nicky? - odezwała się silnym, pewnym i rozkazującym tonem. - A co ty tu robisz?

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Tana Butler odebrała powiększenia prawego uda piątej ofiary i idąc korytarzem, przerzucała je niecierpliwie, patrząc, jak fragment, o który chodziło, staje się coraz większy i większy, aż na ostatniej odbitce wypełnił cały arkusz.

Akurat w momencie, gdy przekroczyła próg pokoju, w którym czekali na nią detektywi, otworzyła w zdumieniu usta.

- Nie uwierzycie... To wygląda, jakby on miał tu plamę żywego ciała. Czy to możliwe, żeby cała reszta była pomalowana? - Podniosła wzrok. Ani jeden, ani drugi nawet jej nie usłyszeli.

Obaj rozmawiali przez głośno mówiący telefon, w pośpiechu wkładając kurtki.

- Tak, tak, ma numer jeden na obu stopach - mówił anonimowy męski głos.

- Okej, już jedziemy. - Noah ruszył do drzwi.

- Szpital w Greenwich, który to zjazd? - krzyczał Perez.

- Trzeci z dziewięćdziesiątki piątki.

Tana Butler wybiegła za nimi, dowiadując się, o co chodzi, w drodze do samochodu Noaha Jordaina.

- Jakieś pół godziny temu do szpitala w Greenwich

przywieźli mężczyznę z atakiem serca. Nagiego. I, jak słyszałaś, z czerwonymi numerami na podeszwach stóp.

- Potwierdzili, że to Philip Maur?

- Jest przytomny. Sam powiedział, kim jest. Jego żona też jest w drodze do szpitala.

Jordain wyprowadził samochód z miejsca parkingowego.

- Jest jedna dziwna rzecz - dodał Perez. - Lekarze zauważyli na jego nogach ślady jasnoszarej farby.

- To już wiem. - Tana podała mu zdjęcia.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY SIÓDMY

Przy łóżku Philipa Maura siedziała jego żona. Atak serca, którego przyczyną było przedawkowanie chlorpromazyny, na szczęście miał lekki przebieg. Kobieta trzymała swojego męża za rękę i cicho płakała, mrużąc na okrągło te same cztery słowa.

- Myślałam, że nie żyjesz. Myślałam, że nie żyjesz.

Noah Jordain i Mark Perez stali w drzwiach, kończąc rozmowę z lekarzem.

- Nie będziemy z nim rozmawiali dłużej, niż to konieczne.

- Na wszelki wypadek wejść z wami.

- Oczywiście, doktorze - odrzekł Perez.

- Czy ma pan świadomość, gdzie pan był? - spytał Noah Jordain po tym, jak obaj się przedstawili Philipowi Maurowi i wyrazili swoją radość, że widzą go żywego.

- Tak. W jej domu - odparł schrypniętym głosem. Zwilżył językiem wargi. Raz, a potem znowu. Żona podała mu szklankę wody. Pił powoli, do samego dna.

Noah był zniecierpliwiony, ale nie okazywał tego.

- Był pan w jej domu?

- Wszyscy byliśmy w jej domu.

- Wszyscy?

- Ja i czterej inni. Związani jak... - Załamał mu się głos i zaczął płakać. Cholera. Nie mógł powstrzymać łez i nie mógł wypuścić ręki swojej żony.

- Pan i czterej inni mężczyźni. Czy oni wszyscy zmarli?

Pokręcił głową. Skulił ramiona.

Lekarz podszedł bliżej, gotów przerwać rozmowę, gdyby zapis EKG na monitorze uległ zmianie, ale nie zauważył niczego niepokojącego.

- Wiemy, że to straszne, panie Maur, i jest nam bardzo przykro, że niepokoiimy pana rozmową o tym, co się wydarzyło, ale musimy znaleźć ten dom. Musimy znaleźć ludzi, którzy to panu zrobili.

Philip kręcił energicznie głową.

- Wszyscy żyją. Są czymś nafaszerowani. Ale żyją... - Z gardła wyrwał mu się krótki szloch. - Przepraszam... ja nigdy nie chciałem... - Łzy płynęły mu po policzkach. Żona patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem.

Jordain zrozumiał, że Phil nie powie niczego przy żonie. Poszukał wzrokiem Tanę Butler i lekkim pochyleniem głowy wskazał panią Maur. Policjantka podeszła do struchlałej kobiety i ujęła ją delikatnie pod ramię.

- Pani Maur, czy zechciałaby pani ze mną wyjść na kilka minut? Mam parę pytań, a pani odpowiedzi mogą być bardzo pomocne.

Kiedy wyszła z pokoju, Jordain zajął jej miejsce przy łóżku.

- Teraz jest ważne jedynie znalezienie miejsca, w którym pana przetrzymywano, żebyśmy mogli dotrzeć na czas do pozostałych mężczyzn. Czy wie pan, czyj jest ten dom?

Skinął głową.

- Jak ona się nazywa?

- Ja nie chciałem...
- Na to będzie czas później, panie Maur. Teraz musimy się dowiedzieć, gdzie pan był i gdzie są ci inni mężczyźni.
- Znam tylko jej imię. Imię, którego używała.
- Jak to?
- Nie wiem, czy to było jej prawdziwe imię. Wiele z nich nie używało prawdziwych imion.

Noah poczuł się tak, jakby był głęboko pod wodą i starał się z całych sił wydostać na powierzchnię do światła.

Zapisał imię, które podał mu Philip. Bez nazwiska. Informacja bez większego znaczenia.

- Gdzie jest ten dom? Czy pan to wie?
- Gdzieś za miastem. Przykro mi, ale byłem już zawiany, kiedy wsiadałem do samochodu.
- Pamiętaj pan, ile czasu zajęło jej przywiezienie pana do szpitala?
- Nie. Dla mnie to było jak pięć lat.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY ÓSMY

Detektywi i miejscowa policja stali na parkingu szpitala w Greenwich, dyskutując, w jaki sposób zabrać się do szukania podejrzanego domu.

- Duże miasto, mało ludzi. Mamy tu tylko sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców, ale administracyjnie Greenwich zajmuje powierzchnię ponad stu kilometrów kwadratowych. Są tu wielkie domy z ogromnymi posiadłościami. Sprawdzanie wszystkich po kolei zajęłoby kilka dni.

- A jedyne, co mamy, to jej imię, i nawet nie jesteśmy pewni, czy jest prawdziwe.

W tym momencie podeszła do nich Tana Butler w towarzystwie jakiegoś mundurowego oraz mężczyzny, który był ubrany w czarne spodnie, białą koszulę i czarną marynarkę z insygniami szpitala. Przedstawiła go detektywom.

- Mamy coś - oznajmiła. - Pan White widział kobietę, która przywiozła Philipa Maura. Zapamiętał samochód, bo ta kobieta wjechała na parking z piskiem opon. I tak jak to robi ze wszystkimi samochodami, które parkują przed izbą przyjęć, zanotował numer rejestracyjny.

- Jest pan przyzwoitym człowiekiem - powiedział

Noah, zerkając na świstek papieru z trzema cyframi i trzema literami zapisanymi czarnym długopisem.

Wręczył go miejscowemu detektywowi.

- Sprawdzenie nie powinno nam zająć więcej niż pięć minut.

- Niech będą trzy - powiedział Noah.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Daphne stała w cieniu schodów. Miała potargane włosy, bluzkę wyrzuconą na spodnie, plamy potu **pod** pachami. I usta wykrzywione grymasem wściekłości.

- Co ty tu robisz? - wrzasnęła na mnie.

Miałam niewiele czasu - tylko kilka sekund, bo tyle czasu człowiek jest w szoku - na to, by precyzyjnie się koło Nicky'ego, potem ominąć jakoś Daphne i wydość się stąd na górę. Na zewnątrz. Znaleźć telefon. Uciec.

Zanim się jednak zorientowałam, nim zrozumiałam, co się dzieje, Nicky runął na mnie i siłą swojego ciała przygniół mnie do podłogi. Poczułam rwanie w barku. Fale mdłości podchodziły mi do gardła. Wiedziałam z doświadczenia, że mogę mieć złamaną kość.

Nicky usiadł.

- Popchnęłaś mnie - rzekł do Daphne oszołomionym głosem.

Z bólu kręciło mi się w głowie, ale w końcu ja też zdołałam usiąść.

- Dlaczego mnie popchnęłaś? - spytał Nicky żonę.

Jego system nerwowy był przeciążony. Próbował odgadnąć sens tego, co się działo, ale niczego nie pojmował.

Za mną pojękiwali i krzyczeli mężczyźni na wózkach.

Daphne stała nade mną i swoim mężem z połyskującymi nożyczkami w ręku. Odwrócona plecami do schodów, blokowała przejście. Żeby się wydostać na zewnątrz, musiałabym ją pokonać.

- Wstań - powiedziała do męża.

Nicky zastosował się do jej polecenia.

Powoli, mimo bólu, ja też się podźwignęłam, nie spuszczać wzroku z nożyczek. Daphne stała jakieś półtora metra przede mną. Zastanawiałam się, czy dałabym radę rzucić się na nią, tak żeby straciła równowagę. Nożyczki nie były najgroźniejszą bronią przeciwko nam dwojgu. Nicky mógłby je wyjąć z jej ręki jednym ruchem. On jednak stał bezwolnie, pocierał brodę i patrzył na swoją żonę.

- Nicky? - odezwałam się, lecz on nie zareagował.

- Daphne, odłóż, proszę, nożyczki. Powinnaś zadzwonić na policję. Pomogę ci. Nawet nie pójdziesz do więzienia. Po prostu potrzebujesz pomocy. Oni wszyscy żyją. Wyjdiesz z tego obronną ręką, ale musisz odłożyć nożyczki i pozwolić mi dostać się do telefonu.

Zaśmiała mi się prosto w oczy i spojrzała na męża.

- Widzisz, Nicky? Rozumiesz teraz, prawda? Musisz wreszcie to zrozumieć. Zrobiłam to wszystko dla ciebie, a nie żeby kogoś skrzywdzić. Wszystko dokładnie zaplanowałam. Nawet specjalnie wysyłałam te zdjęcia do Liz. Wiedziałam, że ona tak bardzo was wszystkich nienawidzi, że z radością napędzi wam strachu. Domyśliłam się, kim jest. Spotkałam ją na jakimś bankiecie. Miałam farta. Pieprzyć konflikt interesów. Wiedziałam, że nie oprze się pokusie i nie odda nikomu takiego tematu, że zrobi wszystko, co będzie mogła, żeby policja się nie pożywiła, a sama zbierze całą śmietankę. Nie chciała, żeby znaleźli sprawcę

- chciała mieć władzę nad wami wszystkimi, i ja jej to załatwiałam. Ja chciałam, żebyś żył w strachu. Dzień po dniu. Żeby ten strach w tobie rósł, aż stanie się tak wielki, że zwycięży nad chucią.

On tylko kiwał głową.

- Musisz z tym skończyć. Rozumiesz to, prawda? Koniec z chodzeniem do Szkarłatnego Stowarzyszenia.

Daphne mówiła do niego dużo ostrzejszym tonem niż poprzednio w mojej obecności. Jej twarz była maską władczyni, która miała niewiele wspólnego z wrażliwą, kochającą żoną, jaką oglądałam podczas dwóch odbytych sesji. Która z tych kobiet jest prawdziwa? Żona, która chce jedynie, by mąż był jej wierny? Czy ta agresywna, dominująca kobieta oszalała z zazdrości?

- Daphne, musimy w tej chwili zadzwonić na policję. - Używałam spokojnego tonu, mając nadzieję, że dotrę do niej i pokonam mur jej wściekłości, ale ona mnie kompletnie ignorowała.

- Nicky, rozumiesz? - powtórzyła.

Kiwnął głową.

- Od tej chwili masz robić, co ci każę. Tak czy nie? Przytaknął.

- Chodź tu.

Przysunął się do niej bliżej.

Wyciągnęła wolną rękę i pogładziła palcami krocze swojego męża.

Wydawało się, że my wszyscy przestaliśmy istnieć - ja i czterech nagich mężczyzn przywiązanych do wózków. Mówili coś i krzyczeli, ale ona ich nie słyszała. Masowała dalej swojego męża, aż uśmiech satysfakcji rozkwitł na jej wargach. Podnieciła go. Mimo dramatu i cierpienia tamtych, smrodu sali tortur, wiszącego w powietrzu niebezpieczeństwa i połyskującej broni, on był pod jej urokiem.

Objęła całą dłońią wybrzuszenie w jego spodniach, ścisnęła, a potem rozpięła rozporek i wyjęła jego przyrodzenie.

- Widzisz, kiedy mnie słuchasz, kiedy akceptujesz mnie taką, jaka jestem, kiedy nie walczysz ze mną, jest dobrze. Jesteś twardy, prawda? Miły i twardy. I to jest dla mnie. Bo ja wiem, jak cię traktować.

Nicky zapadł w stan seksualnego zamroczenia. Miał zamknięte oczy, rozchylone usta, obwisłe mięśnie twarzy. Daphne pochyliła się i zaczęła ssać jego penis. W górę i w dół, liżąc go i pochłaniając ustami.

To była moja jedyna szansa. Jak bardzo Daphne była skoncentrowana, dowodząc swojej erotycznej dominacji nad mężem? Jak bardzo chciała pokazać jemu, lub samej sobie, lub innym obecnym mężczyznom, że to ona ma władzę i potrafi nimi wszystkimi komenderować?

Czy wystarczająco, żebym była w stanie się wy-
mknąć?

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Zrobiłam kroczek w przód. Okazało się, że Daphne ma doskonale podzielną uwagę. Uniosła głowę znad podbrzusza swojego męża i wycelowała we mnie nożyczki.

- Nie myślisz o tym poważnie, co?

Nicky był jak w somnambulicznym transie, skupiony bez reszty na wilgotnych wargach swojej żony. Zdawał się nie wiedzieć - a jeśli wiedział, nic sobie z tego nie robił - że jego penis jest całkowicie obnażony.

- Nicky, potrzebuję twojej pomocy - powiedziałam błagalnym tonem, zdziwiona, że mój głos może brzmieć tak żałośnie.

Wolna ręka Daphne powędrowała do penisa męża i ścisnęła go tak mocno, że zbiełały jej kłykcie palców.

Nicky w ogóle nie był świadomy mojej obecności. Nie miałam pojęcia, jak do niego dotrzeć. Daphne trzymała w prawej ręce nożyczki, lewą dalej mu dogadzała, i łypała na mnie okiem.

- Nie ruszaj się - powiedziała.

Spojrzałam prosto na Nicky'ego, wzięłam oddech i zaczęłam przemawiać wyraźnym, podniesionym głosem:

- Nicky, ona cię okłamuje. Nie ma żadnej agorafobii, ale jest niebezpieczna. Potrzebuje poważnej pomocy, pomocy psychiatrycznej, a tylko ty możesz dopilnować, żeby taką pomoc dostała. Wiem, że chcesz jej pomóc. Po to do mnie przyszedłeś, żeby zapewnić jej fachową pomoc.

Z odchyłoną do tyłu głową zatracił się jeszcze bardziej w swoim seksualnym stuporze. Mój głos był prawdopodobnie tylko szumem w tle w porównaniu z wrażeniami, których doznawał.

Daphne nie przerywała swoich zabiegów.

Zrobiłam następny krok do przodu.

Daphne przestała ruszać ręką.

Nicky gwałtownym ruchem odrzucił do tyłu głowę.

- Nie! - krzyknął. - Proszę, nie przerywaj.

- Skończę, jak zrobimy porządek z nią. Musimy ją związać. Musimy chronić siebie.

- Proszę... nie przerywaj. - Wciąż nie mógł się pozbierać po tym, jak wstrzymała jego zbliżający się orgazm. - Proszę... - powtórzył.

- Jak tylko zdecydujemy, co zrobić z tym małym bałaganem.

Była w rozterce. Wiedziała, że utrzymanie Nicky'ego w seksualnym odurzeniu jest kluczem do utrzymania go po jej stronie zamiast po stronie rzeczywistości, a jednocześnie musiała wymyślić, jak powstrzymać mnie. Drżące w jej prawej ręce nożyczki zdradzały jej roztrzęsienie.

- Nicky, musimy ją położyć na wózku i związać. Musisz się ruszyć. Musisz mi pomóc.

Nicky odwrócił się. Oczy szklily mu się od pożądania, ale kiedy na mnie spojrzał, ta gorączka nieco przygasła.

Wiedziałam, że nie mam wyjścia, jak przekonać go, że jego żona potrzebuje pomocy, a on jest jedynym

człowiekiem, który może jej tę pomoc zapewnić. Jeśli naprawdę ją kocha, czy jest to zdrowa miłość, czy nie, muszę liczyć na to, że bardziej będzie chciał ratować ją, niż mnie skrzywdzić. Ale czy mogłam być tego pewna? Że będzie chciał, albo raczej że będzie mógł? Za małe miałam jeszcze pojęcie o ich związku, by wiedzieć, czy jest wobec niej słuźalczy tylko seksualnie, czy także w inny sposób.

- Nicky, możemy pomóc Daphne.

- Cii... - Pocałowała go za uchem. - Nicky... - Wzięła go za rękę, podniosła do swoich ust i zaczęła ssać jego kciuk, pochłaniając cały, a potem wolno ciągnąc. - Mamy sekrety, które musimy zachować, Nicky. Twoje sekrety klubowe. Moje sekrety tutaj. Musimy je pogrzebać. Oba komplety sekretów. - Znów wzięła do ust jego kciuk.

Co planowała zrobić, by zachować swoje sekrety? Co ja mogłam zrobić, żeby ją powstrzymać? Nie miałam żadnego sposobu, by się obronić. Jedyne, czym dysponowałam, to mój głos. Ale jak mogłam rywalizować z nią?

Nicky był uzależniony od rezygnowania z władzy. Uległość wobec kobiet podniecała go seksualnie i jego żona o tym wiedziała.

- Przykro mi - zwróciła się do mnie. - Nie wiem, co innego mogłabym zrobić. Znasz teraz za dużo naszych tajemnic. Musisz wypić to piwo.

Nie dyskutowałam. Uznałam, że będę przynajmniej udawać, że mam zamiar się poddać. Wiedziałam, że im dłużej będę grała na zwłokę, tym większą mam szansę namówić Nicky'ego, by mi pomógł.

- Mogę ci doradzić, co możesz zrobić, Daphne. Mogę ci pomóc. Mogę wpłynąć na policję, żebyś nie poszła do więzienia.

- Nie sądzę. - Zaśmiała się i wzdrygnęła.

To był śmiech obłąkany. Śmiech człowieka **chorego** na władzę. Rehot, który przeszył moje ciało jak spazm bólu.

- Sama wiem, jak sobie pomóc. Zamierzam pogrzebać swoje sekrety. Cały czas wiedziałam, że mogę to zrobić. Ten bunkier jest sześć metrów pod domem. Nikt o nim nie wie. Mój dziadek go zbudował jako schron przeciwlotniczy. Nie ma go w żadnych planach. Jak tylko ja i Nicky wyjdziemy stąd i zamkniemy za sobą drzwi, nikt was tu nigdy nie znajdzie. Nie planowałam tego, ale zawsze wiedziałam, że jest to wyjście awaryjne.

Nicky wydawał się zdziwiony jej słowami. Widziałam to w jego zwężających się oczach, w sposobie, w jaki ściągał usta.

- Nicky. - Przybrałam najbardziej autorytarny ton, na jaki było mnie stać. Zdawałam sobie sprawę z błędów, jakie popełniłam podczas sesji z Paulem Lessorem. Nie miałam zamiaru stracić jedyne go pocisku, jaki mi został.

Nie odwrócił się.

- Nicky! - wrzasnęłam na niego z maksymalną dawką jadu, jaką można włożyć w dwie sylaby.

Zareagował i odwrócił się do mnie.

- Musisz mnie słuchać, Nicky - mówiłam dalej władczym głosem. - Daphne cię kocha. Kocha cię do tego stopnia, że zabije pięcioro ludzi, jeśli będzie musiała. Musisz osłabić siłę jej miłości. Jeśli tego nie zrobisz, doprowadzisz do tego, że zniszczy was oboje. Skończy się na tym, że będziesz strażnikiem jej sekretów. Rozumiesz, co do ciebie mówię, prawda? Tak. Oczywiście, że rozumiesz. Wiem, że jest to dla ciebie jasne. Masz swój sekret od lat. Szkarłatne Stowarzyszenie jest twoim brudnym sekretem. I wiesz, jak ten sekret waży na twoim życiu. Zdajesz sobie z tego sprawę, Nicky, prawda?

Słuchał. Jej palce w jego kroczu nie odrywały go od mojego dyktatorskiego tonu ani od znaczenia moich słów. Każdą pojedynczą sylabą, którą wypowiadałam, rozkazywałam mu słuchać.

Na krótki moment Daphne zapomniała o najważniejszej rzeczy. O tym, że jej mąż nie jest uzależniony od seksu.

Nicky był uzależniony od kobiet, które biorą nad nim władzę. Kobiet, które czegoś od niego żądają. Ona była za łagodna. Zaślepiło ją to, że potrzebowała od niego pomocy. Widziała w nim swego wybawcę, a to nie była rola, o jakiej marzył. On chciał być niewolnikiem. Gdyby choć na minutę przestała go prosić o pomoc i nakazała mu posłuszeństwo, wygrałaby.

Na szczęście tego nie zrobiła.

- Posłuchaj mnie, Nicky - rozkazałam. - Ty draaniu. Musisz mnie słuchać. Daphne tak bardzo cię potrzebuje. Ona ciebie pragnie. Jesteś jedynym, czego pragnie. Ona tobą nie rządzi. Ja to robię. Ona jest słaba, tak jak ty. To ja mam tutaj władzę.

Był całkowicie skupiony na moich słowach.

- Ty nie chcesz być silnym, odważnym mężczyzną i dać Daphne tego, czego potrzebuje. Czego potrzebuje, Nicky. Ty chcesz dać mnie to, czego żądam.

Ręka Daphne przesuwała się po jego naprężonym członku, tam i z powrotem, coraz szybciej.

- Nicky... pomóż mi.

- Nie! - wrzasnęłam na niego, mając nadzieję, że Daphne jest zbyt daleka od zrozumienia, co robię, że nie będzie próbowała dochodzić, dlaczego on na mnie reaguje.

Był teraz skoncentrowany na mnie bez reszty. To, co robiła mu ona, mogło się łączyć z moim głosem, ale to bardziej mój głos niż jej zabiegi pochłaniały jego uwagę.

- Nicky, rozkazuję ci zabrać Daphne nożyczki. Teraz!

Odwrócił się do swojej żony. Fakt, że nadal trzymała w dłoni jego penisa, zdawał się do niego już nie docierać. Odtrącił jej rękę jak natrętną muchę i sięgnął po nożyczki.

Była od niego szybsza. Przepychając się koło niego, rzuciła się do mnie z podniesioną ręką, z nożyczkami wymierzonymi w moją pierś.

- Nicky, zatrzymaj ją! - krzyknęłam.

Pognał za nią natychmiast.

Zaczęłam biec w innym kierunku, na oślep, byle znaleźć jakiś ką, w którym nie będzie mogła mnie dopaść. Myślałam tylko o Dulcie, że muszę się chronić dla Dulcie. Muszę wrócić do domu do mojej córki.

Daphne goniła mnie rozwścieczona, gotowa stoczyć bitwę z inną kobietą, z wszystkimi innymi kobietami, które na niego działały, kiedy już nie działała na niego ona.

- Nicky, zatrzymaj ją! - wrzeszczałam.

Była ścigającą mnie plamą, która nagle zniknęła. Nicky ją złapał. Oboje leżeli na podłodze niczym kłody.

Usłyszałam płacz. Szloch Daphne. Nicky leżał na niej. Nareszcie oklapnięty.

- Daphne, doktor Snów ma rację. Wiesz, że ma. Musimy zapewnić ci pomoc. Nie możemy pogarszać jeszcze sprawy.

Patrzyła na niego z odrazą: jej nozdrza były rozdęte, usta wykrzywione pogardliwym grymasem. W niezwykłym wybuchu energii uwolniła jedną rękę. Wciąż miała zaciśnięte w dłoni te cholerne nożyczki. Uniosła je nad głowę.

Opadły. W mrocznym podziemiu błysnął łuk srebrnego światła.

Dźwięk przypominał skowyt złapanego w nocy małego zwierzaka.

Wzdrygnęłam się.

Daphne przestała się ruszać. Struga krwi zamieniała jej jasnoróżową bluzkę w ciemnoczerwoną.

Nicky krzyknął coś niezrozumiale i ukląkł przy niej.

- Nie. Nie dotykaj jej, Nicky. Idź na górę i wezwij policję. Gdybyś spróbował wyjąć te nożyczki, mógłbyś ją zranić jeszcze bardziej. Idź. No już!

Patrzył na mnie nieruchomym wzrokiem.

- Nie mogę jej zostawić - jęknął.

- Jeśli tego nie zrobisz, ona na pewno umrze. Idź.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Nicky nie musiał jednak opuszczać Daphne.

Policja - łącznie z obydwojoma detektywami - znalazła dom i była już w środku, w drodze do piwnicy, kiedy rozległ się krzyk Daphne.

Za nimi przyjechały wezwane karetki, bo detektywi spodziewali się, że znajdą tam pozostałych mężczyzn.

W dziesięć minut wszyscy mężczyźni oraz Daphne, która była nieprzytomna, ale ciągle żyła, zostali zabrani do miejscowego szpitala. Nicky się pozbierał, zapiął spodnie i pojechał ze swoją żoną, trzymając ją za rękę i powstrzymując łzy. Trwał przyklejony do jej boku. Towarzyszyli im dwaj miejscowi policjanci.

Jeden z pielęgniarzy obejrzał mój bark. Nie sądził, żeby był złamany - miałam za duży zakres ruchu i za mało mnie bolało - ale na wszelki wypadek radził zrobić prześwietlenie.

Jordain, Perez, Butler i dwaj miejscowi policjanci zostali, by zbadać miejsce przestępstwa. Najpierw jednak Noah zajął się mną.

Kiedy usiedliśmy na schodach domu wystłanych dywanem żółtych i szkarłatnych liści, próbowałam sobie przypomnieć, jak się normalnie oddycha.

Noah gładził mnie ręką po plecach.

- Poczwórny oddech, okej? Wdech, raz, dwa, trzy, cztery. Trzymaj, raz, dwa, trzy, cztery. Wydech, raz, dwa, trzy, cztery. Trzymaj, raz, dwa, trzy, cztery.

To było ćwiczenie, które stosuje większość terapeutów. Skupienie. Oddech. Relaks. Ja go tej techniki nauczyłam. Teraz on jej używał, udzielając mi pierwszej pomocy.

Nie wiedziałam, jak wydostałam się na zewnątrz, jak długo siedziałam na ziemi, jak długo siedział przy mnie Noah ani kiedy wziął mnie w ramiona. Ani kiedy moje policzki zrobiły się takie mokre.

W końcu przestałam płakać i mój oddech trochę się uspokoił.

- Muszę tam wrócić. Posiedzisz kilka minut sama? Na pewno mogę cię zostawić?

Pokiwałam głową, że tak.

- To nie potrwa długo.

A jednak wpadłam w panikę, gdy tylko odszedł. Obejrzałam się, patrzyłam, jak znika w tym domu, powtarzając na okrągło jego ostatnie słowa. To nie potrwa długo. To nie potrwa długo.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, wzięłam głęboki oddech. Musiałam się uspokoić. Teraz już wszystko było dobrze. Pięciu mężczyzn żyje. Nawet rana Daphne nie zagraża jej życiu.

Sięgnęłam do torebki -jakim cudem wciąż miałam przy sobie torebkę? Nie mogłam sobie przypomnieć; może Tana albo Perez mi ją dali - wyjęłam komórkę i zadzwoniłam do Dulcie. Nie zastanawiałam się, dlaczego muszę to zrobić ani która jest godzina, ani nie myślałam o tym, że mogę przeszkodzić jej w próbie czy w lekcjach.

Odebrała po trzecim sygnale.

- Mama? - Sprawdziła numer na wyświetlaczu.

Przyłożyłam do ust zaciśniętą dłoń i ugryzłam się w kłykieć, by nie wybuchnąć płaczem.

- Cześć, skarbie. - Zdziwiłam się, że tak bardzo drży mi głos i nagle pożałowałam, że zadzwoniłam. Naprawdę nie chciałam martwić mojej córki.

- Co się stało?

Pokręciłam głową, zdając sobie sprawę, że ona mnie nie widzi. Z całych sił, używając całego mizernego talentu aktorskiego, jaki posiadałam, zdobyłam się na rzeczowy głos.

- Nie. Nic. Po prostu myślałam o tobie. Chciałam się upewnić, czy wszystko w porządku. Wszystko dobrze, prawda?

- To taaakie dziwne.

- Co?

- Absolutnie bez żadnej przyczyny boli mnie bark. Nie tak strasznie, ale jednak musiałam wziąć tylenol.

- Kiedy to się zaczęło?

- Jakieś pół godziny temu.

- Jesteś pewna, że nie powinnaś pójść do lekarza?

- Tak, mam, jestem pewna - powiedziała tym swoim tonem trzynastolatki w stylu „niepotrzebnie się o mnie tak martwisz”.

- Nic się nie wydarzyło? Zaczęło cię boleć ni stąd, ni zowąd?

- Tak mi się wydaje. Może na coś wpadłam. Nie wiem. Ale już jest w porządku.

Czułam pulsujący ból własnego barku. Ja muszę iść do lekarza. Nie wierzyłam w zbieg okoliczności, więc jak to możliwe, że obie uraziłyśmy sobie tę samą część ciała o tej samej porze tego samego dnia?

- Mamo?

- Tak, kochanie.

- Muszę iść. Czekają na mnie.

Przez kilka sekund trzymałam w ręce telefon, tylko

na niego patrząc. Tak trudno było mi się skupić. Musiałam zadzwonić do jeszcze jednej osoby. Kilka innych osób też powinno się dowiedzieć, co odkryłam. Nie żony i narzeczone, i rodziny mężczyzn, którzy się odnaleźli - tych zawiadomiła policja. Ale inne kobiety, sekretne siostry, które przejmowały się tą sprawą na swój sposób. One też zasługują na to, by dowiedzieć się prawdy teraz ode mnie, a nie z jakichś wiadomości telewizyjnych ani z jutrzejszej gazety.

Shelby Rush odebrała natychmiast, a ja, nie wchodząc w szczegóły - bo nie sądziłam, żeby chciała tego policja - powiedziałam jej, co się wydarzyło.

Kiedyś w grupie Shelby mi powiedziała, że nie czuje jeszcze prawdziwego żalu z powodu śmierci tych mężczyzn - zmartwienie, desperację, szok, złość, tak - ale nie jest w stanie ich opłakiwać.

Teraz, dowiedziawszy się, że żyją, wybuchnęła płaczem. ~~AA~~ siedziałam i słuchałam jej szlochu.

- Jak jej się udało trzymać ich tam tyle czasu?
- spytała w końcu.

- Byli odurzeni. Wystarczająco silnie, żeby trzymać ich w charakterze żywych trupów. Ale prawdopodobnie nie na tyle, żeby nie mogli jeść ani pić.

- Spętała ich, prawda? I zostawiła tam. Mając cały czas pod kontrolą.

- Tak.

- To tak jak w grach, które uprawialiśmy w klubie.
- Shelby mówiła łamiącym się głosem. - Ale nigdy nikogo nie krzywdziłyśmy. Nigdy nie zrobiłyśmy niczego, co wyrządziłoby komuś krzywdę. Powiedziała pani, że oni wszyscy żyją. Dobrze słyszałam, prawda?

- Wygląda na to, że ona o nich dbała. Na swój własny dziwny sposób - dodałam.

- To straszne. Pięciu mężczyzn. Zamkniętych. Jak zwierzęta. Przez całe tygodnie.

- Shelby, muszę już iść. Ale chciałam do pani zadzwonić. I prosić, żeby zawiadomiła pani resztę.

- Oczywiście.

- Jeszcze jedno. Może mi pani zrobić przysługę i najpierw zadzwonić do Liz?

- Tak, ale dlaczego?

Nie mogłam jej tego wytłumaczyć - złamałabym tajemnicę. To do Liz należało wyjaśnienie wszystkiego Shelby, ja zaś byłam pewna, że to zrobi. Liz jest utalentowaną kobietą, która musi popracować nad poczuciem własnej wartości, ale było ją na to stać.

Nie mogłam wtedy wiedzieć, że Noah poprosił już Tanę Butler, żeby zadzwoniła do Liz czy raczej Betsy, bo pod takim imieniem znała ją policja, i zapewniła jej obiecaną wyłączność na informacje, i że dziennikarka była już w drodze do Greenwich.

Ostatni z serii artykułów miał należeć do niej. Jedyny, który mogła napisać bez cenzury policji, lecz z ich pomocą.

Ostatni telefon wykonałam do Niny.

- Jesteś pewna, że nic ci nie jest? - spytała, wysłuchawszy mojej relacji.

W jej głosie nie było już śladu złości, tylko troska o mnie. Nina była dla mnie kimś najbliższym matki, a właśnie tak reagują prawdziwe matki. Natychmiast zapominają i wybaczą wszystko, przez co przeszły z naszego powodu, kiedy zagrożone jest nasze bezpieczeństwo i nasza pomyślność. Lepiej wiedziałam o tym jako matka niż jako córka.

- Żyję i jestem w jednym kawałku. Mam trochę stłuczony bark, ale to małe piwo. Mogę zająć się tym jutro.

- Nie jesteś sama, prawda?

- Nie, Noah jest ze mną. - Spojrzałam przed siebie.

Był kilka kroków dalej, rozmawiał z Taną Butler, zerkając na mnie przez ramię co kilka minut.

- Chcę z nim pogadać. Musisz teraz jechać do szpitala i dać się zbadać. Ja pojedę za ciebie do teatru i odbiorę Dulcie. Dzwoniłaś do niej?

Opowiedziałam Ninie o zbiegu okoliczności.

- Jak to możliwe? - spytałam.

- Miłość czyni cuda. Wiąże nas w taki sposób, że czasami to przeczy logice. No dobrze - westchnęła.
- Teraz chcę porozmawiać z Noahem o zawiezieniu cię do szpitala.

- Nina, proszę. Przeszłam przez piekło i wiem, że się trochę potłukłam, ale niepotrzebny mi szpital. Lekarz poczeka do jutra. Jutro to zrobię. Naprawdę nic mi nie jest.

I to była prawda.

Czyż nie?

- Tak, skarbie, wiem. Jesteś mądra i dzielna. I jestem z ciebie dumna.

Co usłyszała w moim głosie? To, że byłam bardzo zdenerwowana? Przygnębiona? Wszystkie emocje, które ukrywałam przed Dulcie, przed nią?

Noah wrócił w momencie, kiedy chowałam telefon.

- Jesteś gotowa? - spytał.

Skinęłam głową, a on pomógł mi wstać. Trzymał mnie pod rękę i powoli zesliśmy ze schodów, oddalając się od domu.

Wciąż miałam w nozdrzach piwniczny odór lochu. Łapałam wielkimi haustami powietrze, usiłując pozbyć się smrodu; nic nie pomagało. Wzięłam następny długi oddech, jeszcze głębszy, jeszcze bardziej rozpaczliwy.

- Morgan, co ty robisz?

Opowiedziałam mu o smrodzie i znów zalałam się łzami. Otarł je wierzchem dłoni, ale jego czułość jeszcze bardziej mnie rozkleiła.

Otworzył moją torebkę, znalazł tubkę z miętusami i włożył mi jednego do ust.

Byłam jak szmaciana lalka. Mógł mnie przestawiać, sadzać, podnosić i karmić. Nie przeszkadzało mi to. Kogo ja tyle czasu oszukuję? Nie mogę radzić sobie ze wszystkim bez żadnej pomocy. Kiedy ja się wreszcie nauczę, myślałam, że czasem trzeba pozwolić ludziom podejść do siebie trochę bliżej?

Dulcie. Ninie. Może nawet... Noahowi.

Muszę pojąć i zaakceptować to, że być może pewnego dnia będę potrzebowała więcej, niż dostaję, albo więcej, niż ktokolwiek jest w stanie mi dać, i być może skończy się na tym, że będę rozczarowana i zawiedziona. Być może.

Skoro jednak moja trzynastoletnia córka to pojęła, z pewnością i ja mogłabym zdobyć się na wysiłek, żeby nauczyć się tego samego.

Zastanawiając się jednak, czy będę dobrą studentką, nie byłam przesadnie optymistyczna.

Szliśmy teraz ścieżką przez wyszukany angielski ogród, który podziwiałam trzy tygodnie temu, gdy przyjechałam do Greenwich po raz pierwszy. Większość kwiatów już dawno przekwitła, poza pojedynczymi margerytkami i jednym krzakiem róży. Pochyliłam się nad ostatnimi w sezonie bujnymi, staromodnymi różowymi różami. Wciągnęłam w nozdrza zapach. Był aż za ciężki. Zbyt słodki.

Cofając się, nadepnęłam na kilka margerytek. Białe i żółte, były jaskrawe i zbyt wesołe. Zrobiło mi się smutno, że je przygniotłam, i znów popłynęły mi łzy. Jak to możliwe?

Skąd w człowieku tyle łez?

Noah poprowadził mnie dalej ścieżką do wyjścia. Karmazynowe i szkarłatne, cytrynowe i rdzawe, i soczyste brązowe liście dębów, klonów i brzoź wyście-

łały tę część drogi. Minęliśmy szerokie rabaty funkii, jeszcze z pełnymi liśćmi, ale już pożółkłymi i wędzącymi. Między tymi kwiatami, górując nad nimi, rosły krzewy budlei, zwane motylim zielem. To roślinina, o której wiedziałam najwięcej. Purpurowe, lawendowe i białe kwiaty w większości opadły, poza trzema czy czterema, które zakwitły później. One miały szansę przeżyć do pierwszego mrozu.

I wtedy go zobaczyłam, Był delikatny, silny i bardzo piękny.

Odjak dawna mógł tu żerować? Czy na pewno jest prawdziwy? Przystanąłam nieruchomo, Noah zrobił to samo. Olśniewający motyl monarcha nie mógł być wytworem halucynacji, bo Noah też się w niego wpatrywał. Widział, jak składa swoje pomarańczowo-czerwono-czarne skrzydła za czarnym korpusem i dalej żeruje.

Staliśmy ramie przy ramieniu, nic nie mówiąc.

Motyl wziął porcję ostatniego w tym sezonie nektaru, rozłożył skrzydła, uniósł się i krążył w powietrzu przez dziesięć, może dwadzieścia sekund.

Wstrzymałam oddech.

Najpierw się wahał, lekko drżał, czekając na jakiś tajemniczy sygnał od wiatru, który wskaże mu kierunek. Potem nieśmiało zatoczył jeszcze jedno kółko nad krzewem, po czym nagle, jakby instynktownie pewien, dokąd zmierza, wzbił się i poszybował w górę.

I wtedy Noah zabrał mnie do domu.

Koniec.